

Elizabeth Moon

Ostatnia sprawiedliwa

(Remnant Population)

Przełożyła Anna Ścibior-Gajewska

Dla Betsy, która mnie zainspirowała; dla Mary, Ellen i Carrie, które odpowiedziały ciepłem i światłem.

Ta książka ma wiele matek chrzestnych, dawnych i obecnych. Jej literackie wzorce to m.in. esej LeGuin, „The Wall” Marleny Haushofer i książka, o której tylko słyszałam, lecz której nie znalazłam, gdy zaczynałam pisać: „Two Old Women „Veimy Wallis; to również te baśnie, w których stare, mądre kobiety posiadają wiedzę wartą poznania. Ale nie napisałabym też tej książki bez prawdziwego doświadczenia życiowego kobiet bardzo podobnych do Ofelii, od których powinnam była nauczyć się dużo więcej, niż zdołałam. Zbyt wiele ich jest, by je tu wszystkie wymienić z imienia, lecz nie powinny zostać pominięte. W poprawkach pomocna mi była Lois Parker, dzięki temu zwłaszcza, że chętnie dzieliła się ze mną doświadczeniami długiego życia

ROZDZIAŁ 1

Kolonia Sims Bancorp, nr akt #3245.12

Między palcami stóp czuła chłód wilgotnej ziemi, ale na głowie, tuż przy skórze, pojawił się pot. Będzie jeszcze cieplej niż wczoraj: do południa cudowne, czerwone kwiaty jednodniowego powoju o korzennym zapachu zwiną delikatne kielichy i zwieszają swe główki nad łądygami pnącymi. Ofelia stopą wpełznąła mierzwę głębiej między łądygi pomidorów. Lubiła upał. Gdyby w zasięgu wzroku nie było jej synowej, Rosary, zdjęłaby kapelusz i pozwoliła, by pot wyparował. Ale Rosara martwiła się, że słońce powoduje raka; Rosara była przekonana, że to nie uchodzi, by starsza kobieta wychodziła z domu, nie mając na głowie nic prócz przerzedzonych siwych włosów.

A nie były przecież takie rzadkie. Ofelia dotknęła skroni, jak gdyby chciała wpełznąć zbłąkany kosmyk na swoje miejsce; tak naprawdę upewniała się, że sploty warkocza, który nosiła, są grube – wciąż grube, jej nogi – wciąż mocne, a ręce, choć żyłaste ze starości i spracowane, wciąż sprawne. Ofelia przyglądała się swojej synowej w odległym kącie ogrodu: chuda, włosy w kolorze przypalonego papieru, oczy barwy błota. Ona sama uważała, że jest piękna z tą wąską talią i białymi dłońmi, ale Ofelia wiedziała swoje. Zawsze wiedziała, lecz Barto nie chciał słuchać mądrości matki, więc miał teraz Rosarę o smukłych kształtach... i nie miał dzieci. Ofelii przeszkadzało to mniej, niżby się zdawało innym. Potrafiła zaakceptować synową na tyle niezależną, by odmówić rodzenia dzieci. Nie; chodziło raczej o tę determinację Rosary, żeby wymusić na teściowej posłuszeństwo wobec wszystkich drobnych ograniczeń, wymyślonych, by strzec cnoty dziewic... Tego Ofelia nie potrafiła znieść.

– Powinnyśmy były zasadzić więcej fasoli! – zawołała Rosara. Wspominała o tym przy sadzeniu, wiedząc, że Ofelia nie zużyje całej fasoli, jaką normalnie zbierała. Chciała, by Ofelia uprawiała zarówno fasolę na sprzedaż, jak i fasolę do jedzenia.

– Mamy dosyć – odparła Ofelia.

– Jeśli zbiory się udadzą – powiedziała Rosara.

– Jeśli zbiory się nie udadzą, to większa uprawa byłaby większą klęską.

Zapadła w drzemkę tam, pośród krzewów pomidorów, obudziła się, dopiero gdy ukośne promienie popołudniowego światła zaczęły się zapuszczać między grządki. Światło prosto w oczy zawsze ją budziło; wciąż była przekonana, że w ogóle nie spała w komorze kriogenicznej, ponieważ przez cały czas światła były włączone. Humberto mówił, że to absurd, że nie można nie spać, gdy się jest zamrożonym, o to przecież chodzi. Ofelia nie kłóciła się, ale była pewna, że pamięta światło, cały czas przebijające przez zamknięte powieki.

Teraz senna leżała na kruchej podściółce pomiędzy rzędami pomidorów i myślała, jak

spokojnie wygląda ta mała, zielona dżungla. Spokojnie i cicho, chociaż przez chwilę; zapewne Rosara wróciła do domu, nie zauważywszy, że Ofelia zasnęła. A może tej suki to nie obchodziło. Ofelia obracała obraźliwe słowo na języku, bezgłośnie, smakując je. Suka. Zdzira. Nie znała zbyt wielu takich wyrazów, co do dawało tym nielicznym w jej słowniku specjalnej mocy, całego tego gniewu, jaki niektórzy ludzie rozdzielają pomiędzy wiele słów, przy wielu okazjach. Głos Bartolomea dobiegający z ulicy przerwał jej zadumę; usiadła najszybciej jak mogła, sycząc z bólu, który odezwał się w biodrze i kolanach.

– Rosaro! Rosaro, wyjdź!

Był albo podekscytowany, albo rozzłoszczony, lub może jedno i drugie. Często tak bywało. Najczęściej nie chodziło o nic wielkiego, ale on nigdy nie przyznawał się do takich uczuć, nawet już po fakcie. Ze wszystkich swoich dzieci Ofelia jego właśnie lubiła najmniej, nawet w niemowlęctwie; był zachłannym oseskiem: ciągnął gwałtownie jej sutki, jak gdyby nigdy nie miał dosyć. Z zachłannego niemowlaka wyrósł na wymagające dziecko, był synem, którego nic nie mogło zadowolić. Nieustannie klócił się z innymi dziećmi, żądając sprawiedliwości, co zawsze oznaczało rozstrzygnięcie na jego korzyść. Jako mężczyzna był taki sam, te cechy Humberta, których Ofelia najbardziej nie lubiła, uwydatniły się dziesięciokrotnie w jego synu. Lecz był jej jedynym żyjącym dzieckiem i rozumiała go.

– Co? – warknęła Rosara; albo ucięła sobie drzemkę (czego nie pochwaliby ani Barto, ani Ofelia), albo pracowała przy komputerze.

– Chodzi o Kompanię. – Odebrano im koncesję.

Wrzask Rosary. Mógł oznaczać, że chociaż raz Barto przejmuje się czymś istotnym, albo że właśnie odkryła pryszcz na brodzie. U Rosary to mogły być te dwa powody, albo cokolwiek innego.

– Mamo! – Barto wypadł przez kuchenne drzwi do ogrodu.

– Tak? – Wyśledziła tłustą gąsienicę i gdy syn się pojawił, szybko ją złapała. – Widzisz?

– Tak, mamo. To dobrze. Posłuchaj, to ważne...

– W tym roku będą dobre zbiory – powiedziała Ofelia.

– Mamo! – Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy matki.

Był bardzo podobny do Humberta, tyle że Humberto miał łagodniejsze oczy.

– Słucham cię – odpowiedziała, ponownie wyciągając rękę w stronę krzaka pomidorów.

– Kompania utraciła koncesję – powiedział, jakby miało to jakieś znaczenie.

– Kompania utraciła koncesję. – Ofelia powtórzyła informację, by pokazać, że go słucha. Często zarzucał jej, że nie słucha.

– Wiesz, co to oznacza – ciągnął zniecierpliwiony. – Że musimy stąd odejść. Likwidują kolonię.

Za jego plecami przed domem pojawiła się Rosara; Ofelia dostrzegła czerwone plamy na jej

policzkach.

– Nie mogą tego zrobić! To nasz dom!...

– Rosaro, nie bądź głupia! – Barto splunął na pomidory, jakby to było jej ciało; Ofelia szarpnęła się do tyłu, więc spojrział na nią. – Ty też, mamó. To jasne, że mogą zmusić nas do odjazdu. Jesteśmy ich pracownikami.

„Którzy nigdy nie otrzymywali zapłaty”, powiedziała Ofelia do siebie. Pracownikami bez emerytur, bez świadczeń lekarskich nieposiadających nic, oprócz tego, co sami wyprodukowali dla siebie nawzajem. Pracownikami, którzy mieli się utrzymać i wyprodukować nadwyżkę. I tak nie wysyłali regularnie takich ładunków drzew tropikalnych, jakie im zlecono... Od lat już nie było dość dorosłych, żeby kontynuować wyrąb lasu.

– Ale ja tak ciężko pracowałam! – zawodziła Rosara.

Przynajmniej raz Ofelia przyznawała jej rację; czuła to samo. Patrzyła bokiem na krzewy pomidorowe, unikając spojrzenia błyszczących oczu Barta, skupiając wzrok na postrzępionych brzegach liści, na łodygach najeżonych maleńkimi włoskami. Pierwsze pąki zwieszały się jak małe kandelabry, ich płatki były jeszcze stulone, lecz już gotowe, by otworzyć się w świetle, nabrać ognia i...

– Posłuchaj mnie – nalegał Barto. Wsunął dłoń pomiędzy Ofelię a krzewy pomidorów, ujął ją za podbródek i siłą odwrócił jej twarz. – Wciąż masz prawo głosu w radzie, mamó. Musisz iść na zebranie. Musisz głosować z nami. Mamy szansę wybrać sobie nowe miejsce.

Zebranie. Nienawidziła zebrań. Zauważyła, że nie zwrócił się do Rosary, ale przecież wiedział, że Rosara i tak pójdzie i będzie głosować tak, jak on jej każe.

– Głos to głos – mówił teraz do niej głośniejszym głosem, jakby była głucha. – Nawet twój. – Puścił jej podbródek. – Idź teraz do środka; przygotuj się.

Ofelia przemknęła koło niego, stawiając bose stopy w bezpiecznej odległości od jego ciężkich butów.

– I włóż buty! – krzyknął za nią. Za jej plecami głosy jego i Rosary przycichły, lecz nie złagodniały – szorstkie mamrotanie, którego nie słyszała wyraźnie.

Wykąpała się, umyła głowę i włożyła najlepsze ubranie, jakie jej zostało. Sukienka zwisała teraz luźno, z przodu, gdzie nic już nie wypełniało stanika, talia opadała, z tyłu brzeg unosił się, tam gdzie sukienka okrywała zgarbione plecy. Buty, nienoszone od miesiąca, uciskały jej palce i obcierały pięty. Od tego zebrania zrobią się jej pęcherze i co dobrego z tego wyniknie? Oparła głowę o kuchenne drzwi i słuchała, jak Barto mówił do Rosary, że na innej planecie matka z pewnością będzie zmuszona ubierać się przyzwoicie. To znaczy zawsze nosić buty i ciemne

sukienki, takie jak ta.

Cicho przysiadła na ławie obok Rosary i słuchała głosów żalu i gniewu wypełniających pomieszczenie. Tylko nieliczni dostrzegali w tej sytuacji szansę – kilku mężczyzn, kilka kobiet, blisko połowa młodych. Pozostali widzieli jedynie zmarnowane lata, stratę, nieszczęście. Pracowali tak ciężko, i po co? Jak mają teraz zaczynać od nowa, stawać znowu przed taką samą ciężką pracą? Tutaj przynajmniej mieli już zbudowane domy, już obsadzone ogrody.

Carl i Gervaise przerwali narzekania i przedstawili różne propozycje, które należało przegłosować, choć nie wspomnieli ani razu, skąd się o nich dowiedzieli. Ofelia nie wierzyła w to, że Kompania pozostawi im wybór; była przekonana, że głosowanie nic nie da. Mimo to, gdy Barto wyciągnął rękę za plecami Rosary, dźgnął Ofelię w żebra i syknął, wstała, kiedy i on wstał, i głosowała za Neubreit, nie za Olcranem. Inni głosowali za Neubreit, prawie dwie trzecie, i tylko ci najbardziej przekorni, jak Walter i Sara, upierali się, że tam nie pojedą.

Dopiero na końcu zebrania, gdy wstała i odwróciła się, spostrzegła przedstawiciela Kompanii stojącego w drzwiach. Miał gładki, młodzieńczy wygląd pilota: kogoś, czyja skóra nie zaznała światła gwiazd inaczej, jak tylko przez właz statku. Nie paliło go żadne słońce, nie mroziła żadna zima; żaden deszcz nie obmył ani żaden wiatr nie osuszył tego człowieka. W swoim starannie skrojonym, czystym ubraniu wyglądał jak Obcy. Nie powiedział nic. Zanim ktokolwiek miał szansę go zagadnąć, odwrócił się i odszedł w ciemność. Ofelia ciekawa była, czy wie o ścieżkach śluzu przecinających drogę, ale z pewnością miał oczy pilota: widział tam, gdzie koloniści nie potrafili.

Następnego ranka Ofelia wstała o świcie i wyszła do ogrodu, jak zawsze bosa i ubrana w najstarszą roboczą koszulę. Zdecydowanie odmawiała noszenia kapelusza przed wschodem słońca, dostrzegła więc ruch na drodze poza granicą ogrodu – zobaczyła przedstawicieli Kompanii w schludnych ubraniach pilotów. Było ich wielu. Wszyscy w takich samych niebieskoszarych uniformach w kolorze porannej mgły, z naszytym logo Kompanii Sims Bancorp.

Jeden z nich zatrzymał się, by odwzajemnić spojrzenie.

– Dzień dobry pani – pozdrowił ją bez uśmiechu, lecz uprzejmie.

W tych chwilach przed wschodem słońca najbardziej kochała ich ciszę i pustkę. A on stał tam, jakby miał prawo psuć jej poranną samotność. Miał zamiar zadawać pytania, a ona przez grzeczność będzie musiała na nie odpowiedzieć. Westchnęła i odwróciła wzrok, z nadzieją, że tamten uznają za zbyt starą i otumanioną, by marnować na nią czas.

– Czy głosowała pani wczoraj wieczorem?

Nie odchodził. Popatrzyła na niego, widząc jego młody wiek, jego inność... skórę nietkniętą działaniem pogody, oczy patrzące wprost na nią, jakby miał prawo...

– Tak – odparła krótko. Potem, ponieważ tak lakoniczna odpowiedź byłaby nieuprzejma, dodała: – Nie wiem, jak się do pana zwracać... nie chciałabym być niegrzeczna.

Uśmiechnął się, autentycznie rozbawiony. Czyżby nadal uprzejmość była rzadka pośród kosmicznych żeglarzy?

– Nie jestem urażony – powiedział. Podszedł bliżej. – Czy to prawdziwe pomidory?

Nie odpowiedział na jej pytanie. Musi być bardziej bezpośrednia.

– Nie potrafię z kimś rozmawiać, jeśli nie wiem, jak się do niego zwracać – powiedziała. – Ja nazywam się Sera Ofelia.

– Jestem Jorge. Przepraszam. Przypomniała mi pani moją babkę: ona nazywa mnie Ajo. Ale... czy one naprawdę tak rosną, na świeżym powietrzu... takie skażone?

Ofelia przeciągnęła ręką po liściach, uwalniając ciężki aromat.

– Tak, to są pomidory, i tak, rosną na świeżym powietrzu. Nie mają teraz owoców, oczywiście. Dopiero kwitną. – Podniosła kilka liści, by pokazać mu pęki nierozwiniętych jeszcze kwiatów.

– Jaka szkoda – powiedział głosem kogoś, kto uprzejmie wyraża żal z powodu niedogodności, której skutków sam nie odczuje. – Ma pani taki ogród i teraz to się zmarnuje...

– Nic się nie zmarnuje – powiedziała Ofelia.

– Ale przecież wyjeżdżacie za trzydzieści dni – rzekł młody człowiek.

Przypomniała sobie, że na imię mu Jorge i że ma babkę, która go kocha. Wydało jej się to niemożliwe; mógł wyskoczyć z błyszczącego, szeleszczącego pakunku, jak świąteczne prezenty z jej dzieciństwa, cały kolorowy i gładki. Z pewnością nie urodził się wśród krwi i zamieszania, jak zwykle dzieci.

– Nie musi już pani pracować w ogrodzie. Powinna się pani pakować.

– Lubię pracę w ogrodzie – odrzekła Ofelia. Chciała, żeby sobie poszedł. Chciała odkryć, co się w niej zmieniło, gdzieś w środku, kiedy powiedział: „Przecież wyjeżdżacie”. Spuściła wzrok. Na ziemi, na powierzchni ściółki, rurkośliz pełznął, szukając czegoś, co mógłby przekłuć swoją wydłużoną chitynową ssawką, jedyną twardą częścią ciała. Ofelia podniosła go, trzymając za miękkie odwłok, i patrzyła, jak staje się coraz dłuższy, długi na przynajmniej dziesięć centymetrów, i cienki niczym nić. Potem wyćwiczonym ruchem nadgarstka poderwała robaka do góry i rozgniotła jego skorupkę kciukiem drugiej ręki. Zapiekło na chwilę, ale warto było to znieść, by zobaczyć zaszokowaną i przerażoną minę młodego mężczyzny.

– Co to było? – zapytał. Sądząc z wyrazu twarzy, spodziewał się usłyszeć coś potwornego.

– Nazywamy je rurkoślizami – wyjaśniła. – Ta kłująca część jest jak igła do zastrzyków, pusta, tak, by mogły ssać... – Nie musiała dodawać nic więcej, młody człowiek już zaczął się

wycofywać.

– Czy to może przejść przez... buty? – Wpatrywał się teraz w jej bose stopy.

Ofelia uśmiechnęła się do siebie i udając, że ją swędzi noga, podrapała się lewą stopą w prawą łydkę.

– To zależy od butów – odparła. Przypuszczała, że mogłoby przejść przez cienkie płócienne buty z gotowymi dziurkami. Ale nie mogło przebić ludzkiej skóry (nie wiedziała, czemu), tego jednak nie powiedziała.

– Myślę, że z radością opuścicie to miejsce.

– Przepraszam – powiedziała Ofelia. – Muszę skorzystać z...

Wskazała ręką szopę stojącą w rogu ogrodu. Podziałało; oblał się nieładnym rumieńcem i odwrócił gwałtownie. Prawie zachichotała. Powinien wiedzieć, że mają toalety w domach; pierwszą rzeczą, jaką zrobili osadnicy, było zainstalowanie przetwórnicy odpadów. Ale ucieszyła się, widząc, że odchodzi. Na wypadek, gdyby jednak zawrócił, pokonała resztę drogi do szopy na narzędzia i weszła do środka.

Ofelia przeprowadzała się już kiedyś. Wiedziała, że przeprowadzka zajmuje więcej niż trzydzieści dni, jeśli usiłuje się zabrać wszystkie swoje rzeczy. Przedstawiciele Kompanii powiedzieli ludziom, że nie muszą zabierać niczego: wszystko zostanie im dostarczone. Lecz czterdzieści lat to czterdzieści lat, dla niektórych całe życie, dla innych nawet więcej. Niewielu już pozostało z pierwszych kolonistów; Ofelia była z nich najstarsza.

Niewiele miała do pakowania. Nie pobrała zbyt wielu ubrań z zapasów wspólnoty podczas minionych dziesięciu lat. Jej własne pamiątki zniknęły jedna po drugiej – większość zostawiła, gdy stali się kolonistami, inne zostały zepsute przez dzieci, zniszczone przez owady, rozpuszczone w pierwszej czy drugiej wielkiej powodzi, albo zgniły później czy zapleśniały. Miała jeszcze chip ze zdjęciami siebie i Humberta z ich ślubu i portretami pierwszej dwójki dzieci, i szarfę, którą zdobyła w szkole podstawowej za ortografię, a która teraz była już spłowiała, perłowoszara. Miała to wszystko i półmisek na owoce podarowany przez teściową – szkaradzeństwo, które przetrwało jej celową nieostrożność, podczas gdy ładniejsze rzeczy się porozbijały. Z łatwością spakowałaby się w mniej niż trzydzieści dni. Gdyby nie... wsparła głowę na trzonku motyki wiszącej na ścianie szopy.

Gdzieś we wnętrzu Ofelii, w chwili gdy ten młody człowiek powiedział, że ona wyjedzie, wszystko się zmieniło. Szukała tej zmiany w sobie, tak jak w ciemnym domu gmerała by w poszukiwaniu szydełka w worku z włóczką.

Nie wyjedzie. Ofelia zatrzepotała powiekami, nagle bardziej przytomna, nie pamiętała, kiedy

ostatnio była aż tak przytomna. Wspomnienia napływały wyraźne jak kropla porannej rosy, która odbija maleńkie, zakrzywione obrazy otaczającego świata. Nagle poczuła się lekka, jakby ziemia usunęła się jej spod nóg, jakby spadała aż do środka planety. Czy to radość, czy strach? Nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała tylko, że z każdym uderzeniem serca jej krew niesie tę samą wiadomość do mięśni i kości: ona nie jedzie.

– Mamo! – Barto stanął w drzwiach kuchennych.

Ofelia złapała pierwsze narzędzie, jakie nawinięło jej się pod rękę, i tyłem wyszła z szopy. Nożyce do przycinania drzewek. Dlaczego nożyce? Nie trzeba teraz niczego przycinać. Odwróciła się i znalazła właściwe słowa.

– Nie mogę znaleźć tego małego sekatora, tego do pomidorów.

– Mamo, zostaw pomidory. Nie będzie nas tu, by je zbierać. Posłuchaj, mamy następne zebranie. Ludzie z Kompanii mówią, że nie obchodzi ich nasze głosowanie.

Oczywiście, że ich nie obchodzi. To właśnie znaczy być zakontraktowanym. Rozumiała dobrze, nawet jeśli nie rozumiała niczego innego, co to znaczy być odfajkowanym, opieczętowanym, dostarczonym władcy. Wysłuchają kolonistów z nie większą uwagą, niż Humberto słuchał jej. Nie wspominała o tym Bartowi. To by tylko sprowokowało kolejną kłótnię, a ona nie lubiła kłótni, zwłaszcza w jej ulubionej porze, wczesnym rankiem.

– Barto, za stara jestem na zebrania – powiedziała.

– Wiem o tym. – W głosie brzmiało zniecierpliwienie, jak zwykle. – Rosara i ja idziemy; chcę, żebyś zaczęła sporządzać inwentarz.

– Dobrze, Barto. – Tak będzie prościej. On i Rosara pójdą, a ona będzie mogła wrócić do ogrodu i wdychać jego zapach o poranku, w najlepszej porze.

– I będziemy chcieli zjeść śniadanie.

Ofelia westchnęła i odwiesiła nożyce do drzewek na hak. Słońce wypalało powoli poranną mgiełkę i czuła już jego gorąco na głowie. Słyszała już głosy z innych domostw, z innych ogrodów. Rosara mogła przyrządzić śniadanie: zazwyczaj to robiła. Nie lubiła potraw przygotowanych przez Ofelię.

W domu Ofelia zmieszała mąkę, olej i wodę, by zagnieść ciasto, rozwałkowała je i opiekała cienkie krążki na rozgrzanej płycie. Gdy się przypiekały, poszatkowała cebulę i zioła, resztki kiełbasy, zimne gotowane ziemniaki. Kiedy placki były gotowe, zawijała je zręcznie wokół zimnego nadzienia, dodając kroplę octu i oliwy. Barto lubił te placki; Rosara wolała ciepłe nadzienie. Ofelii było wszystko jedno. Dziś rano mogłaby zjeść opilkę żelaza albo nic. Nie zwracała uwagi na rytualne narzekania Rosary i rytualne pochwały Barta. Gdy skończyli, wyskrobała deskę do krojenia nad ogrodowym wiadrem.

Po wyjściu obojga Ofelia wyniosła wiadro i opróżniła je do rowu, zasypując ziemią zwinięte łupiny ziemniaków, miękkie końce marchewek, liście rzepy, kawałki cebuli i ziół. Słońce

dotknęło ciepłą dłońią jej karku i uświadomiła sobie, że znowu wyszła bez kapelusza.

Kolejna korzyść z pozostania. Nikt nie będzie jej nękał, żeby wkładała kapelusz.

ROZDZIAŁ 2

Barto i Rosara wrócili z zebrania dokładnie w takim nastroju, jakiego oczekiwała Ofelia: źli, przygnębieni i gotowi wyładować na niej swój gniew. Na szczęście zebranie trwało dłużej, niż się spodziewała – dyskusja musiała być zażarta – więc posunęła się już daleko w pracy nad inwentarzem.

– Nie potrzebujemy tego – powiedział Barto o pierwszej grupie posegregowanych rzeczy. – Mówiłem ci: wszystkie przedmioty zrobione tutaj są bezużyteczne. – Wszedł do sypialni i, sądząc z hałasu, wyrzucał wszystkie ubrania na podłogę.

– Mówią, że nie mamy prawa wybierać, dokąd chcemy jechać – oznajmiła Rosara. Niespokojnie krążyła po kuchni, biorąc do ręki jedno naczynie po drugim i odkładając je z powrotem. – Mówią, że mamy być gotowi do odjazdu za dwadzieścia dziewięć dni i że możemy zabrać najwyżej dwadzieścia kilo na osobę. Musimy podróżować w kriogenicie i nie będziemy wiedzieli, dokąd nas wiozą, aż dotrzemy na miejsce...

– Barbarzyńcy! – Barto stanął w drzwiach z naręczem ubrań. Jak zauważyła Ofelia, były to tylko jego ubrania. – Wszystko, co tu zrobiliśmy, te wszystkie lata...

Ofelia nie przypominała mu, że z początku był małym dzieckiem: przez większość czasu korzystał z pracy innych.

– Co zrobią z kolonią? – zapytała.

– Co mnie to obchodzi? Zniszczą, zostawią, żeby zgniła, to nie ma znaczenia. – Wrócił do sypialni; Ofelia usłyszała, jak ubrania spadły na łóżko z miękkim „puf”. – Mamo! Gdzie walizki?

Ofelia stłumiła śmiech i spróbowała spokojnie odpowiedzieć.

– Nie ma żadnych walizek, Barto.

Czemu myślał, że mają walizki? Nigdy ich nie potrzebowali.

– Przecież ty i tata musieliście w czymś przywieźć rzeczy.

– Kompania dała nam pudło. – Pudło już dawno zużyto do konstrukcji przetwórnicy śmieci. Wszystko, co tylko przywieziono, zostało wykorzystane.

– Powiedzieli, że nic nam nie dadzą. Mówili, że mamy sami spakować nasze rzeczy, w coś, co da się porządnie ułożyć w ładowni. – Spojrzał na matkę ze złością, jakby to była jej wina, jak gdyby to ona powinna rozwiązać ten problem.

– Możemy coś uszyć – odparła. – Przecież jest cały ten zapas płótna w magazynie z zaopatrzeniem. Skoro nie będziemy go potrzebować na ubrania, możemy zrobić z niego coś do pakowania wydzielonych bagaży.

„Ja nie wyjeżdżam”, przypomniała sobie, ale zagadnienie wydało jej się interesujące. Zawsze lubiła rozwiązywanie problemów. Bagaże innych ludzi – ona i Humberto nigdy nie podróżowali – zrobione były z płótna i miały kształt skrzyni lub walca, niektóre były odlane z plastiku.

W trzydzieści dni łatwiej będzie coś takiego uszyć. Pomyślała o innych kobietach, które pracowały na maszynach i były najszybsze, potrafiły robić wzory.

– Ty się zajmiesz szyciem – powiedział Barto. – A skoro już, to przy okazji poreperuj te wszystkie rzeczy... – Szerokim gestem wskazał leżące na łóżku i podłodze stopy ubrań.

Łatwiej było wziąć ubrania i pójść do szwalni w Centrum niż tłumaczyć, że większości z nich nie trzeba reperować. Albo że nie będą odpowiednie tam, dokąd ich odeślą. Ofelia wzięła naręcze ubrań i skierowała się do wyjścia.

– Czekaj! A co z resztą?

– Nie uniosę więcej, Barto – wyjaśniła. Nie patrzyła mu w oczy. Po chwili z irytacją wypuścił powietrze z płuc i wiedziała już, że najgorsze minęło. Zniosła ubrania do Centrum, gdzie w korytarzu przed pomieszczeniami szwalni zastała grupkę kobiet rozprawiających z żywieniem. Na jej widok ucichły. W końcu odezwała się Ariane.

– Sera Ofelia... Może pomogę ci to nieść?

Ofelia uśmiechnęła się do młodszej kobiety.

– Po prostu Barto chce mieć pewność, że te ubrania są zreperowane, a ja nie spodziewam się mieć z tym wiele roboty.

Czy powinna zdradzić Ariane swój pomysł, żeby uszyć walizki z materiału z zapasów? Z pewnością ktoś inny o tym pomyśli.

– Nie mamy żadnych pudeł, Sera Ofelia – odezwała się Linda. Można było być pewnym, że zawsze wygada się z każdym problemem. – Wiem, że nasi rodzice przybyli tu z pudłami, które dostali od Kompanii, ale coś się z nimi stało – a teraz nie chcą nam dać nowych.

– Te pudła zostały wbudowane w ściany przetwórnicy odpadów – wyjaśniła Ofelia. Uczono o tym dzieci w szkole, przynajmniej wtedy, kiedy ona tam pomagała. Linda powinna była to wiedzieć.

– Ale co my pocniemy, Sera Ofelia?

Kilka kobiet wyglądało na podenerwowane, tak jak podenerwowana czuła się Ofelia. Wiedziały, że ona nie jest osobą, do której należy się zwracać z pytaniami; nie oczekiwały też żadnych odpowiedzi.

– To proste. Uszyjemy coś w rodzaju walizek z materiału, którego w tym roku nie będziemy potrzebować na nowe ubrania.

– Potrafi pani to zrobić? – zapytała Linda. Na jej twarzy wypisane było nieprzyzwoite wprost zdumienie.

Ofelia uśmiechnęła się do pozostałych kobiet, do każdej po kolei, przykuwając ich uwagę.

– Wiem, jak dobrze nasze najlepsze szwaczki potrafią zaplanować i wykonać nowe rzeczy – powiedziała. – Ja sama nie umiałabym tego zrobić, bez pomocy... – Rytualne wyrzeczenie: niegrzecznie byłoby twierdzić, że jest się znawcą, a zwłaszcza jedynym ekspertem w sprawie.

– Coś jakby plecaki – powiedziała Kata. Jej głos brzmiał już weselej.

– Bardziej jak pudło, ale z płótna – poprawiła Ariane.

– Czy mamy dosyć materiału? – zapytała Linda.

– Idź i sprawdź – poleciła jej Ariane. – Wróć tu i powiedz nam, ile mamy bel płótna.

– Gdybyśmy miały zlecić maszynom tkanie większej ilości, należy to zrobić dzisiaj – dodała Kata. – I płótno musi być sprawiedliwie rozdzielone.

Ofelia nie odezwała się więcej, tylko weszła do pierwszego pokoju szwalniczego. Położyła ubrania Barta na jednym z długich stołów i zaczęła je przeglądać. Kobiety kolejno wchodziły za nią, rozmawiając teraz o tym, jak zrobią płócienne skrzynie, które pomieszczą ich dobytek. Ofelia znalazła wystrzępiony kołnierzyk u jednej koszuli i małe trójkątne rozdarcie na nogawce jednej pary spodni. Włączyła jasną lampę do szycia, przysunęła sobie szkło powiększające i zabrała się do cerowania dziury. Prawie, nie musiała jej widzieć: wyczuwała palcami brzegi rozdartego materiału z taką łatwością, jakby widziała je oczyma. Ale lubiła widok materiału pod lupą, nitki wyglądały wtedy jak grube włókna.

Kiedy wróciła do domu ze starannie poskładanymi ubraniami na rękę, Rosara stała w salonie pomiędzy stosami ich rzeczy. Miała czerwone oczy i wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. Ofelia skinęła jej głową i poszła odłożyć ubrania, które niosła. Sypialnia była znów wysprzątana: pewnie Rosara podkładała na miejsce te rzeczy, które Barto wyrzucił. Na łóżku leżała sterta ubrań do cerowania. Ofelia wzięła je i skierowała się do Centrum, mając nadzieję, że uda jej się uniknąć rozmowy z synową.

Teraz w Centrum pełno było pracujących kobiet. W obu pokojach szwalni długie stoły pokryte były kawałkami płótna. Dwie kobiety – Dorotea i Ariane – stały blisko siebie, pochylone nad wzorami wykrojonymi z najcieńszego materiału, i spinały pierwszą płócienną walizkę.

– To za cienkie – powiedział ktoś, biorąc ze stołu płat zielonego materiału. – Musimy mieć mocniejszy materiał.

– Ale nie za ciężki – dodał ktoś inny.

Ariane podniosła wzrok znad spinanej walizki i spostrzegła Ofelię.

– Ofelio, proszę, popatrz na to. Czy to się sprawdzi?

Ofelia utorowała sobie drogę do końca stołu pomiędzy rozgadanymi kobietami.

– Chcemy, żeby to było łatwe do zrobienia – powiedziała Dorotea. – Jak najmniej szycia, bo musimy pracować bardzo szybko. Ale musi też być mocne. Bezpiecznie zamknięte. I jeszcze trzeba jakoś oznaczyć walizki różnych rodzin...

Ofelia przyjrzała się delikatnemu różowemu płócienu, aż błyszczącemu od szpilek, i położyła na stole swoją stertę cerowania.

– Czy to się zmieści? – zapytała. Dwie kobiety udrapowały swoje kawałki cienkiego, różowego materiału dookoła jej zawiniątka. Teraz już bardziej przypominało to kształty, jakie

Ofelia pamiętała – płaskie pudełkowate formy – ale miękkie płótno opadało na zawartość.

– Uda się – orzekła Ariane. – Ale musimy to jakoś umocować.

– Rzepami – powiedziała Dorotea. – Maszyna może je szybko zrobić; możemy je przyszyć do tego dłuższego kawałka, który idzie naokoło – powinien być szerszy, wtedy będzie zachodził na drugi kawałek.

Ofelia odsunęła się, przeszła w głąb pomieszczenia. Tutaj Josepha i Aurelia kierowały zespołem projektantek: ich rozwiązanie miało podstawowy kształt pudła, lecz zamykało się sprytną zakładką, wymagającą tylko jednego krótkiego rzepu. Potrzeba było na to dużo materiału i precyzyjnego zszywania zakładanych narożników. Ariane przyszła za Ofelią, niosąc naręczę jej ubrań.

– Zrobiłam to za ciebie – powiedziała. – Nie musisz męczyć oczu nad takimi drobiazgami. Twój pomysł uszywania płóciennych waliz...

– To nic takiego – automatycznie odparła Ofelia. – Dziękuję ci za te ubrania, Ariane.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Sera Ofelia. Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy...

– Nie, dziękuję ci. Rosara i ja poradzimy sobie.

Ariane miała przecież własne dzieci i wnuki. Poza tym przyznać się, że potrzebuje pomocy, znaczyłoby przyznać się, że ona i Rosara nie zgadzają się ze sobą – coś, o czym każdy wiedział, ale nikt nie przyjmował do wiadomości.

– Może zrobiłabyś pierwszą walizkę – zaproponowała Ariane. – Potrzebujemy modelu do odwzorowania.

Ofelia ostrożnie przesuwała materiał pod igłą maszyny, tak, by tkanina była cały czas równo naprężona. Dawniej była bardzo dobrą szwaczką, lecz ostatnio miała trudności ze skupieniem się na pracy po skrojeniu i złożeniu materiału. Barto narzekał na krzywe ściegi w ostatniej wyszywanej koszuli, jaką dla niego uszyła. Przerwała pracę i zawołała do Ariane. – Czy rogi muszą być kwadratowe? Gdybyśmy je zaokrągliły, można by dać tutaj ten sznurek i umocnić wszystko.

Ariane zabrała próbkę, by porozmawiać z Doroteą.

Ofelia siedziała na swoim miejscu z zamkniętymi oczami. Czowała się rozdwojona wewnątrz. Jeden cichutki głosik powtarzał: „Ja nie jadę, ja nie jadę”. Ale głos, którego przywykła słuchać, wciąż mówił o problemie płóciennych walizek. Wiedziała, jak zaplanować pracę w grupie; wiedziała, jak słuchać tego głosu, który mówił za nią, gdy była z innymi. Ten drugi głos był dziwny.

Wróciła Ariane z Doroteą.

– Zaokrąglimy rogi, dodamy sznurek... coś jeszcze?

– Nie... Zastanawiałam się tylko. – Ofelia wróciła do pracy, obszywając krzywizny rogów,

a jej palce same prowadziły materiał pod igłą. Już prawie skończyła, gdy zorientowała się, jak trudno będzie przymocować rzepy do brzegu, gdy już został przyszyty do boków.

– Powiemy reszcie, żeby najpierw przyszywały rzepy – powiedziała Ariane. – Powinnaś teraz odpocząć, minęła już pora obiadu.

Ofelia nie zauważyła tego. Zawsze bawiło ją wymyślanie sposobów zrobienia czegoś, chociaż zazwyczaj ktoś po prostu wydawał jej polecenie. Słuchała tych poleceń; teraz usłuchała Ariane i poszła za nią powoli, czując w ramionach twardy supeł od pochylania się nad maszyną.

– Zjesz z nami?– zapytała Ariane.

Ofelia pokręciła głową.

– Muszę iść do domu; Barto będzie mnie potrzebował. Ale później wrócę.

Okazało się, że Barto i Rosara gdzieś wyszli; dom bez nich był spokojny i cichy. Ofelia złożyła naręczę naprawionej odzieży na ich łóżku i weszła do swojego pokoju. Ktoś zwałił wszystkie jej ubrania na łóżko, dzieląc je na skłębione kupki: bielizna, koszule, spódnice, jedyna sukienka. Nie cierpiała oglądać swoich ubrań w takim stanie. Bielizna zawsze wyglądała dziwnie nieprzyzwoicie, nawet niewymyślna i stara, jak wszystkie jej rzeczy. Szmatławe, nieatrakcyjne kształty, beżowe i białe, zaprojektowane po to tylko, by podwójnie okryć to, co jej workowate odzienie i tak zakrywało.

Nie wyjedzie. Nie musiałyby nosić bielizny, skoro już nie byłoby komu oburzać się z tego powodu. Czują, jak tłucze się jej serce, a rozkoszne uczucie przekory przenika ją od stóp do głów, zalewając gorącem. Wróciła do salonu i wyjrzała na drogę. Pusto. Będą jedli w Centrum, to więcej niż pewne.

Ofelia weszła ponownie do swojego pokoju i zamknęła drzwi. W pokoju nie było okien. Ukradkiem zdjęła ubranie. Przez krótką chwilę, oddychając ciężko, stała naga, potem wślizgnęła się znów w suknię, pozostawiając na podłodze zrzucaną bieliznę. To nieobyczajne! – wrzasnął jej głos publiczny. Bezwstydne! Obrzydliwe!

Na skórze brzucha, bioder, ud czuła dotknięcia tkaniny. Niepewnie zrobiła jeden krok, potem następny. Lekki ruch powietrza między nogami, chłód tam, gdzie przyzwyczajona była do gorąca.

Przestań! – nakazał jej głos publiczny. Nie możesz tego robić.

A głos prywatny milczał. Nie musiał nic mówić. Nie może tego robić teraz, gdy są tu inni ludzie, którzy mogli ją potępić. Ale później... później będzie nosiła tylko to, w czym będzie się dobrze czuła. Cokolwiek to będzie.

Szybko, nie zważając na siebie i ogarniające ją uczucie niesmaku, rozebrała się i ubrała znowu, porządnie. Bielizna, cały komplet. Spódnica, bluzka, wszystko. Na razie. Na dwadzieścia dziewięć dni.

Właśnie się ubrała i porządniej poukładała swoje rzeczy, gdy wrócili Barto i Rosara. Mieli

nowe zmartwienie.

– Mówią, że jesteś za stara – powiedział Barto, patrząc na nią groźnie, jakby właśnie na dziś wybrała sobie taki wiek.

– Na emeryturze – dodała Rosara. – Za stara do pracy. To śmieszne. Przecież zawsze pracowała; będzie pracować aż do śmierci; to właśnie robią ludzie.

– Masz siedemdziesiąt lat – ciągnął Barto. – Nie jesteś już na kontrakcie; mówią, że wysłanie cię dokądś będzie ich kosztować i że i tak nie będziesz już użyteczna dla kolonii.

Nie zaskoczyło jej to, ale ją rozgniewało. Nieużyteczna? Czy im się zdaje, że teraz jest nieużyteczna, bo oficjalnie nie ma pracy, tylko zajmuje się ogrodem i domem, i w większości gotowaniem?

– Obciążą nasz rachunek – powiedziała Rosara. – Będziemy musieli zapłacić za twój transport.

– W kontrakcie była zagwarantowana emerytura – ciągnął Barto – ale ponieważ nie wyszłaś ponownie za mąż i nie miałaś więcej dzieci, straciłaś jej część.

Tego jej nie powiedziano. Mówiono, że straci dodatek za produktywność, mimo że nadal pracowała w pełnym wymiarze godzin. Nie wspomniano nic o emeryturze. Ale to oczywiście tamci ustanawiali zasady. I dzięki tym zasadom, być może, ułatwią jej pozostanie.

– Mogłabym po prostu tu zostać – powiedziała Ofelia. – Wtedy nie będziecie musieli płacić...

– Oczywiście, że nie możesz tutaj zostać! – Barto huknął pięścią w stół, aż zadzwoniły talerze. – Stara samotna kobieta... – Umarłabyś, i tyle.

– I tak przecież umrę – odparła Ofelia. – To właśnie mają na myśli. A gdybym została, nie będzie was to nic kosztowało.

– Ależ, mamó! Nie podejrzewasz chyba, że zostawię cię tutaj samą, na śmierć. Wiesz, że cię kocham. – Barto wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozplakać, jego wielka czerwona twarz ściągnięta była z wysiłku, by okazać synowskie przywiązanie.

– Mogę umrzeć samotnie w każdym innym miejscu, na przykład w kriogenicie. Czy zamrażanie nie jest bardziej niebezpieczne dla starszych ludzi?

Z jego spojrzenia wywnioskowała, że wie o tym, prawdopodobnie niedawno mu to powiedziano.

– To byłoby lepsze niż umieranie tutaj, jako jedyny człowiek na całej planecie – powiedział Barto.

– Byłabym z twoim ojcem – odparła Ofelia. Ten argument mógł przekonać Barta: zapamiętał ojca jako boską istotę, która nie mogła uczynić żadnego zła. Ale Ofelia znenawidziła się za to kłamstwo już w chwili, gdy je wypowiadała.

– Mamó, nie bądź sentymentalna! Tato nie żyje; nie żyje już od... – Barto musiał się zastanowić i policzyć; Ofelia wiedziała. Od trzydziestu sześciu lat.

– Nie chcę opuszczać jego grobu – powiedziała. Raz zacząwszy, nie mogła przestać. – I innych... – Pozostałych dwóch chłopców, dziewczynki, która zmarła w niemowlęctwie, Adelii. Nad tymi grobami przelała szczere łzy, i teraz mogła płakać nad nimi.

– Mamo! – Barto postąpił krok w jej stronę, ale Rosara stanęła między nimi.

– Barto. Zostaw ją. To oczywiste, że jej własne dzieci, twój ojciec... to dla niej istotne sprawy. – Rosara przynajmniej ujęła to we właściwej kolejności. – Poza tym... – Można było polegać na Rosarze, na pewno zepsuje cały efekt: miała zamiar wyjaśnić, że to jest jednak jakieś wyjście, nawet gdyby nie mogli sobie na to pozwolić. – Gdyby została – ciągnęła Rosara, spełniając oczekiwania Ofelii – nie musielibyśmy płacić...

– Nie! – Barto uderzył Rosarę w twarz; Ofelia cofnęła się przezornie i zataczająca się w tył kobieta nie wpadła na nią. – To moja matka; nie zostawię jej tutaj.

Ofelia odezwała się:

– Idę do Centrum szyc płócienne walizki.

Barto nie wyjdzie za nią na zewnątrz: nigdy tak nie robił. Mógł też pomyśleć, że ta jej uwaga oznacza kapitulację.

Tego wieczoru ani Barto, ani Rosara nie wspominali o incydencie. Ofelia powiedziała, że skończyła jedną walizkę i że jutro zrobi następną.

Rano pierwszą jej myślą było: „Dwadzieścia osiem dni”. Drugą: „Za dwadzieścia osiem dni będę wolna”.

Obudziła się wcześnie, jak zwykle, więc gdy wyszła do ogrodu, poranne mgiełki wciąż przesłaniały widok. Ofelia badała ogród rośliną po roślinie: fasolę o małych pachnących kwiatkach, pomidory, młode pędy kukurydzy, rozrośnięte wąsy przepekli. Kilka kwiatów pomidora otwarło się, zwijając w tył płatki, jak małe lilie.

Usłyszała szybkie kroki na drodze i przykucnęła. Przedstawiciel Kompanii minął ją, ledwie rzuciwszy okiem za ogrodzenie. Po tym incydencie przyspieszyła pracę, zbierając liściojady i wysysające soki roślin łądogowce. Wiedziała, że Barto zgani ją, jeśli zobaczy, że pracuje w ogrodzie teraz, gdy ta praca jest bezużyteczna. Mógłby się nawet rozgniewać i zniszczyć rośliny. Gdy Barto i Rosara wyszli z sypialni, śniadanie stało już na stole. Ofelia uśmiechnęła się do nich.

– Właśnie wychodzę do Centrum. Zostanę tam cały dzień, tak myślę, będę szyc.

Tej nocy, w łóżku, skóra Ofelii przypominała sobie dotyk ubrania bez bielizny. Ofelia przesunęła dłońmi po brzuchu, po bokach. Jest stara... tak mówił jej głos publiczny, ten głos, który wiedział, co powiedzieć do kobiet w Centrum. Jest stara i pomarszczona, i daleka od tych

uczuć, jakich doświadczała w młodości, gdy kochała się w Caitanie, a potem w Humbercie. Tak mówił głos publiczny. Lecz głos prywatny, ten nowy głos, mówił: „Ja nie jadę. Oni odejdą, a ja tu zostanę. Sama. Wolna”.

Następnego ranka zbudziła się pamiętając, że to już tylko dwadzieścia siedem dni. I ten dzień, i kolejny, i jeszcze następny mijały według tego samego wzoru. Spędzała dnie w Centrum, pomagając innym w szyciu walizek, doradzając im, co zabrać, a co zostawić, tuląc małe dzieci, gdy były przestraszone, opowiadając bajki starszym. W dzień była jedną z nich, członkiem grupy odrywanej od wszystkiego, co zbudowali przez czterdzieści lat: byli bezradni i bez nadziei, lecz trwali. W nocy była obcą osobą, której nie znała, osobą, którą może tylko pamiętała z dzieciństwa.

Potem zostało zaledwie pięć dni. Tylko że Kompania znowu skłamała i prom był już w drodze na orbitę, wioząc pierwszych pasażerów: trzydzieści dni na ewakuację planety, nie trzydzieści dni do odlotu pierwszej grupy. Każdy kolonista miał numer, według kolejności ewakuacji. Matki z dziećmi najpierw, ponieważ dzieci były kłopotliwe, póki się ich nie usunęło z drogi. Samotni dorośli na końcu. Ofelia po raz ostatni uściskała dzieci, dla których była babcią, i machała do nich, gdy wprowadzano je na pokład statku.

Drugi prom wylądował po godzinie. Ludzie Kompanii wyjaśnili, jak to będzie, jak doskonały jest ich plan: do momentu, kiedy prom dowiezie kolejną grupę do statku na orbicie, poprzednia będzie już miała oznakowane i załadowane bagaże i zostanie zamrożona w kapsułach kriogenicznych. Dziesięć kursów promu na dzień, przez pięć dni, i ostatni prom wystartuje na czas, by zmieścić się w ustalonym limicie czasu.

Ofelia nie przypuszczała, jak prędko kolonia opustoszeje. Pod koniec pierwszego dnia przypomniał się jej koszmar pierwszej wielkiej powodzi, gdy tak wielu zginęło. Pod koniec drugiego dnia ona i pozostali koloniści patrzyli po sobie szeroko rozwartymi oczami. Przedstawiciele Kompani kręcili się między nimi, dawali im zajęcie, powstrzymywali panikę.

Ofelia wciąż jeszcze musiała gotować posiłki i sprzątać po innych: ma odlecieć ostatnim promem, przypomnieli jej ludzie Kompanii. Rosara i Barto, protestujący przeciw rozdzielaniu ich z matką, zostali wpisani na pierwszy lot ostatniego dnia. Ofelia słyszała, jak tłumaczyli, że nie można jej ufać, że jest stara, że zapomina o różnych rzeczach. Przedstawiciele Kompanii zerkali w jej stronę, a ona spuszczała wzrok, jakby tego nie słyszała. Wiedziała, że będzie im wszystko jedno.

Ostatniego dnia budzik zerwał ich wszystkich na nogi dużo wcześniej niż zwykle. Było jeszcze ciemno; poranna gęsta mgła, zimna i wilgotna, lgnęła do skóry Ofelii, gdy szła z Barto i Rosarą na lądowisko. Dołączyli do końca kolejki. Długi szereg ludzi ruszył z miejsca. Rosara mocno uściskała teściową. Barto powiedział: „Mamo...” niepewnym głosem małego chłopca.

– Kocham was – powiedziała Ofelia i popchnęła ich do przodu. – Nie spóźnijcie się. Będą

zli, jeśli się spóźnicie.

– To ty się nie spóźnij – odparł Barto. Wpatrywał się w nią, jak gdyby chciał zajrzeć w głąb jej głowy, usłyszeć ten nowy, cichy głosik, który śpiewał o wolności.

– Wszystko w porządku, Barto – powiedziała. Z tyłu domu, poza ogrodem, rozciągało się pastwisko. Zanim – wątłe roślinki, które zaryzykowały opuszczenie rodzimego zagajnika, by zmierzyć się z terraformującymi bakteriami glebowymi. Za nimi – ściana miejscowej roślinności... najpierw sięgające głowy zarośla, potem wysoki częstokół lasu. Gdyby udało się jej niezauważonej przebyć pastwisko, byłaby niewidzialna. Nie będą szukać długo. Trochę pokną i ponawołują... a potem odejdą.

Ofelia wyruszyła w pierwszych promieniach szarego świtu, w porannej mgle, zabierając kilkudniowe zapasy jedzenia w poszewce i mały woreczek nasion. Na wypadek gdyby zniszczyli ogród, będzie mogła go obsiać na nowo... nie wybiegała dalej myślą w przyszłość.

Na pastwisku pod stopami czuła sprężynujące podłoże, mokra trawa omiała jej nogi, moczyła spódnice. Uświadomiła sobie, że może zostawić ślad, ciemny szlak na posrebrzonej rosą trawie, gdyby ktoś tego ranka zbyt wcześnie jej szukał. Może pomyśla, że to ślady zwierzęcia.

Usiadła, żeby odpocząć, dopiero gdy dobrze zapuściła się w las: i tak było tu zbyt ciemno. Światło przebiło się teraz przez korony drzew, ukazując więcej kształtów i kolorów, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej. Coś poruszało się gdzieś w górze w gałęziach drzew, klekocząc i skrzecząc. Ofelia drgnęła, lecz nie ruszyła się z miejsca.

Wkrótce słońce zaczęło osuszać mgłę. Gdy Ofelia widziała już dość wyraźnie, wstała i ruszyła dalej, powoli, wybierając drogę, by oszczędzić stopom kolejnych siniaków. Bywała już przedtem w lesie, po śmierci Humberta; odkryła wtedy, że zawsze odnajduje drogę z powrotem. Nikt jej nie wierzył: martwili się i nekali ją tak długo, aż wreszcie zaprzestała swoich wędrówek. Lecz teraz nie obawiała się, że się zgubi.

Gdy poczuła głód, usiadła i zjadła część zapasów. Wykopała mały dołek, żeby się załatwić, a potem zasypała go liśćmi. Popołudniu, kiedy światło zaczęło przygasać, zgromadziła patyki i liście, by przygotować sobie legowisko na noc. Jej prom miał odlecieć tuż po zachodzie słońca. Przypuszczała, że drugi prom przyleci po ludzi Kompanii. Ofelia nie wróci więc do domu przez dwa dni.

ROZDZIAŁ 3

Nawet jeśli wołali, nie słyszała ich. Jeśli szukali, to nie tam, gdzie się ukryła. Długo po zapadnięciu zmroku leżała, nie śpiąc; czekała, ale nie usłyszała żadnych ludzkich odgłosów, tylko grzmot silników startującego promu. Gdzieś bliżej coś szeleściło wśród liści, coś spadało pomiędzy konarów ponad nią, objając się o nie, aż uderzyło o ziemię – nie wiedziała, blisko czy daleko. Słyszała miękkie furkotanie, jakby dźwięk budzika przykrytego poduszką; powtarzający się, rezonujący dźwięk, przypominający uderzanie kamieniem o kamień. Jej serce galopowało, aż uspokoiło się, gdy zmęczenie zaczęło piec w oczy i tłumić strach. Kiedy w końcu usnęła, nie miała pojęcia, jak długo jeszcze będzie trwała noc.

Przed świtem obudził ją, zmarzniętą i przemoczoną, odgłos lądowania jeszcze jednego promu; nie potrafiła już zasnąć, chociaż zmuszała się do zamknięcia oczu. Gdy pojawiły się pierwsze promienie słońca, nie mogła w to uwierzyć; była na wpół przekonana, że oczy mają ją, zmęczone ciemnością. Kiedy poranny blask stał się na tyle mocny, że mogła rozróżnić kolory rdzawo-pomarańczowych i bladozielonych łat porostów na najbliższym drzewie, dobiegł ją dźwięk startującego promu, a jego ryk rozpląnął się w niebie ponad drzewami.

Żałowała, że nie zabrała suchego ubrania; nie przypuszczała, że będzie tak przemoczona i zeszywniała. Od spania na ziemi, na świeżym powietrzu, nie poczuła się wcale wolna; czuła się lepka, nieszczęśliwa i dokuczał jej ostry ból w stawach. Gdy w końcu uświadomiła sobie, że może zdjąć wilgotne ubranie lepiałe się do skóry, roześmiała się głośno, potem zamilkła raptownie, z dłonią na ustach. Barto nie lubił, kiedy się śmiała bez powodu. Czekala, nasłuchując: nie skarcił jej żaden głos, poczuła, jak rozluźnia się jej ciało, a dłoń odruchowo uniesiona do ust opada. Była bezpieczna, przynajmniej od tego. Ściągnęła ubranie, zerkając dookoła, upewniając się, że nikt nie podgląda.

W przyćmionym świetle jej skóra błyszcziała, bledsza niż wszystko dookoła. Nie przyglądała się sobie; patrzyła na ubrania, strzepując je. Może udałoby się je gdzieś rozwiesić. Przebiegł ją dreszcz; gdy kropla wody spadła na jej gołe ramię i spłynęła po skórze. Potem dotarł do Ofelii komizm tej sytuacji i zaczęła chichotać bezgłośnie, nie mogła przestać, aż rozbolał ją brzuch.

Rozwiesiła koszulę i bieliznę na zwisającym pnączu, potem złożyła spódnice, robiąc z niej poduszkę, na której usiadła. Tkanina była wciąż nieprzyjemnie wilgotna, lecz ona dotykała jej tylko siedzeniem, a ciepło jej ciała wkrótce rozgrzało materiał. Wyjęła wczorajszy podplomyk i kawałek kielbasy i zjadła je łączywie. Dziś miały inny smak, jakby nieznanego pożywienia, czegoś nowego. Woda w butelce również smakowała inaczej, Ofelia nie umiała jednak sprecyzować, na czym polega różnica.

Po jedzeniu wykopała kolejny dołek i skorzystała z niego. Być może nie musiała – skoro była teraz jedyną osobą na świecie, kogóż raziłyby jej odchody? – lecz przyzwyczajenie całego

życia mówiło zdecydowanie, że ludzie robią coś z nieczystościami. Kiedy będzie pewna, że wszyscy odlecieli – naprawdę odlecieli, na zawsze – zobaczy, czy przetwórnia odpadów będzie dla niej pracować. Na razie zasypała dołek czerwonym pyłem i liśćmi w dziwnych kolorach.

W miarę jak dzień stawał się cieplejszy, Ofelię zaczęło męczyć siedzenie w bezruchu. Brakowało jej dobrze znanej codziennej rutyny pielienia i gotowania, żmudnych prac, które wykonywała od tak dawna. Byłoby miło rozpaść ognisko, móc gotować, ale nie miała jak rozniecić ognia i nie zaryzykowałyby, że dym zdradzi jej kryjówkę. Pozbawiona tej możliwości, zaczęła zbierać patyki i układać je prawie bezmyślnie. Oto mała platforma z krzyżujących się patyków, żeby utrzymać siedzisko Ofelii z dala od wilgotnej ziemi. A tam większy, odłamany konar, jego kora prawie całkiem już zgniła... będzie z niego wygodna osłona z tyłu przy kolejnym dołku, który wykopała. Uporządkowała niewielką przestrzeń, na której się osiedliła, organizując ją dla swojej wygody. Stopniowo polanka zaczęła przybierać kształt i wygląd pokoju, bezpiecznego miejsca.

W południe, gdy nieliczne promienie odsłoniętego słońca padały prosto na jej głowę, zrobiła sobie kolejną przerwę na jedzenie i rozejrzała się dookoła. Jej butelka z wodą leżała wtulona w przestrzeń pomiędzy dwoma korzeniami; Ofelia osłoniła ją przed słońcem dużymi, płaskimi liśćmi. Inny liść posłużył za tacę, na której złożyła swój posiłek. Nagość wciąż jej przeszkadzała: kobieta czuła każdy ruch powietrza, nawet powodowany przez jej własne ruchy. Naciągnęła w końcu bieliznę, a na to koszulę, krzywiąc się, odrobinę zawstydzona potrzebą prywatności, której wymagało nie co innego niż samoświadomość. Nie włożyła długiej spódnicy, która teraz służyła jej jako poduszka. Za to bez butów Ofelia czuła się dobrze.

Po południu przysła burza. Bywała już kiedyś na deszczu i nie bała się zmoknąć. Przecież wyschnie, kiedy ulewa minie.

Ale nigdy nie była w lesie w czasie burzy. Z początku słyszała tylko wiatr i domyślała się jedynie, że pada, gdyż korony drzew zatrzymywały pierwsze krople. Potem nasiąknięte wodą liście zaczęły przeciekać. W chwili, gdy właśnie pomyślała, że burza chyba już minęła (zrobiło się jaśniej, a grzmot słychać było tylko w oddali), dosięgnął ją ten „niższy” deszcz. Kropla za kroplą, drobna mżawka, wężyki wody, ciekące strumyki – z nadejściem zmroku przemoczona była do suchej nitki. Ponieważ skuliła się na zaimprovizowanym siedzisku, spódnica pod nią nie zmokła bardziej, ale też i nie wyschła. Worek z jedzeniem, przykryty wielkimi liśćmi, wciąż wydawał się wilgotny; podpłomyk był zawilgły i stęchły. Nie chciała kłaść się do snu na mokrej leśnej ściółce; nie chciała też przez całą noc bezsennie siedzieć. W końcu oparła głowę o pień drzewa i zapadła w niespokojną drzemkę, budząc się na każdy nieznajomy dźwięk.

O pierwszym brzasku postanowiła, że nie wytrzyma kolejnej mokrej nocy w lesie. Chciała się komuś poskarżyć, potwierdzić, że to nie jej wina. Nigdy przedtem nie uciekała; nie można po niej oczekiwać, że zrobi wszystko jak należy za pierwszym razem.

Aż do tego czasu nie przejmowała się brakiem głosów. Powiedziano jej, że ma już słaby słuch... albo umysł. Barto nie mógł się zdecydować. Zazwyczaj była w stanie słyszeć to, co chciała usłyszeć; często pragnęła ciszy. W te rzadkie noce, kiedy Barto nie chrapał, a Rosara nie budziła się trzy czy cztery razy, by z hałasem, potykając się, dotrzeć do toalety, Ofelia leżała rozbudzona i rozkoszowała się ciszą.

I cisza tego pierwszego dnia nie martwiła jej, bo ona nie odbierała jej jako ciszy. W swoim wnętrzu słyszała spierające się głosy, ten publiczny, który mówił rzeczy przewidywalne, i ten nowy, prywatny głos, który mówił o rzeczach nie do pomyślenia. Na zewnątrz nieprzerwanie rozbrzmiewały dźwięki startujących i lądujących promów, jednego za drugim. Drugiego dnia odgłosy własnych działań Ofelii – gdy przeciągała gałęzie, zbierała patyki, oddychała, jadła, piła – uspokajały ją, całkiem tego nieświadomą, przemieszane z głosami jej wnętrza.

Nie zauważała ciszy, dopóki nie zapragnęła odpowiedzi.

Cisza była jak ściana. Była obecnością, nie brakiem... ciśnieniem w uszach, które sprawiało, że Ofelia nerwowo przetykała ślinę, jakby to mogło je odetkać. Cisza otulała jej głowę swymi dłońmi, tłamsząc ją i dusząc.

Kiedy panika minęła, Ofelia stała napięta, z otwartymi ustami, chwytając gwałtownie powietrze... nie pamiętała, jakie to pytanie wymagające czyjejś odpowiedzi, chciała zadać. Uszy donosiły, że mają pod dostatkiem dźwięków: szelesty wśród liści, kapanie wody, kamienny, rezonujący stukot. Lecz te dźwięki nie niosły znaczeń, a głosy w jej głowie, zarówno ten znajomy, jak i ten nowy, milczały, uciszone jej strachem. Nareszcie jeden z nich – nie zauważyła, który – polecił: „Idź teraz do domu”. Wyrzekł to pewnie, bez żadnych wątpliwości.

Zatrzymała się na skraju trawiastego pasa otwartej przestrzeni, spokojniejsza już, i przypomniała sobie, dlaczego nie powinna tak po prostu pójść do domu. Tutaj było dużo ciszej niż w lesie. Owiąło ją tchnienie wiatru, przynosząc zapach owiec, gdzieś na prawo od niej. Żadnych odgłosów ludzkich. Żadnych maszyn. Czy oczekują jej powrotu? Czy ktoś siedzi w domach, w Centrum, wstrzymując oddech, obserwując ją przez jakieś specjalne urządzenie i czekając, aż ona wejdzie w jego zasięg?

Poczuła ciepło na prawym policzku i na szyi: słońce osuszało mgłę. Zimna wilgoć i ciepło następowały na przemian, aż słońce zwyciężyło i jasne światło zalało miasteczko. Przed nią leżał jej dom – wracała, krocząc dokładnie tą samą drogą, tak dokładnie, że gdyby jej ślady na rosie sprzed dwóch poranków zachowały się, wsuwałyby w nie stopy, jak w dobrze znane skarpetki. Lecz nic nie mąciło łańców matowego srebra.

Wkroczyła w mokre trawy. Chciała dostać się do domu i zrzucić przemoczone ubranie.

Najpierw rozebrała się i wzięła gorący prysznic. Potem zastanowiła się, co włożyć. W czym chciałyby chodzić. W domu... chyba bez niczego. Ale chciała wyjść do ogrodu, a nie była jeszcze

gotowa, by chodzić nago na zewnątrz. Naciągnęła koszulę. Do koszuli chciała włożyć krótkie spodnie, jak te, które nosiła jako dziecko, jak te, które uszyła dla Barta.

W jego pokoju – „nie w jego, w moim pokoju,” powiedziała sobie – znalazła długie spodnie, których nie zabrał. Odszukała nożyczki i obciąła nogawki, nie tracąc czasu na ich obrobienie. Kiedy przymierzyła spodnie, okazało się, że są za szerokie w pasie, jednak nie przeszkadzało jej to, że zjeżdżają na biodra. Lepsze to niż bielizna albo spódnica.

Zjadła coś na zimno z lodówki. Przez dwa dni nic się nie zepsuło, choć światelko w lodówce nie zapaliło się. Pstryknęła wyłącznikiem światła w kuchni: znowu nic. Ale woda była gorąca... zastanowiło ją to, póki nie przypomniała sobie, że cysterny z wodą są izolowane, tak samo, jak lodówka. Skoro lodówka pozostała zimna, gorąca woda pozostała gorąca. Potem Ofelia wyruszyła, by sprawdzić, co wydarzyło się w kolonii.

Czuła się dziwnie – prawie nieuczciwie – gdy tak zaglądała do okien i otwierała drzwi domów, których mieszkańcy nie byli obecni, by ją pozdrowić: „Witaj, Sera Ofelia” albo: „Nasz dom twoim domem, Sera Ofelia”. Ani jednych drzwi nie zamknięto na klucz; zresztą nie miały zamków, tylko zatrzaski, by nie wypuszczać – albo nie wpuszczając – dzieci, i Ofelia zawstydziała się, otwierając pierwszych kilkoro drzwi. Potem stało się to zabawne; mogła zajrzeć pod łóżko Senyaginów. Teraz mogła otworzyć szafę Lindy i sprawdzić, czy jej gospodarstwo było w takim samym nieładzie, jak jej umysł. W blasku dnia biegła od domu do domu, z rozmachem otwierając zamknięte drzwi, wpuszczając światło, wpuszczając siebie do środka. Wszystkie ogródki wyglądały tak, jak dwa dni temu. Szkarłatne trąbki powoju rozwinęły się... pomidory i fasola, i dynie, i groszek, i buraki... wszystkie rośliny, jakich by zapragnęła, więcej niż byłaby w stanie zjeść, dające więcej nasion, niż kiedykolwiek zdoła zasiać.

Także Centrum zastała otwarte. Długie stoły do szycia zaśmiecone były ścinkami i kawałkami materiału. Wszystkie maszyny zostały wyłączone i nie włączały się, gdy naciskała guziki. Podeszła do drzwi pomieszczenia sterowniczego elektrowni. Były zamknięte, ale nie na zamek: otwarły się, gdy je pchnęła. Świetlik w dachu wpuszczał dużo słońca; podeszła do wielkich wyłączników, wszystkich ustawionych na 0, i przesunęła je na 1. Wokół niej pojawiło się więcej światła. Panel sterowania rozbłysnął, wszystkie wskaźniki znajdowały się na zielonych polach. Wiedziała, co to znaczy; wszyscy wiedzieli. Każdy dorosły kolonista uczył się obsługiwać elektrownię; były to sprawy zbyt ważne, by powierzyć wszystko kilku specjalistom.

Teraz maszyny w Centrum będą działać, tak samo lodówka i światło w domu. Skoro Ofelia już tu była, sprawdziła poziomy w przetwórnicy odpadów. Możliwe, że będzie musiała kiedyś uzupełnić zbiorniki; jedna osoba może nie wyprodukować wystarczającej ilości odpadów, by elektrownia działała.

Po wyjściu z Centrum Ofelia ostrożnie podążyła ku lądowisku wahadłowców. Gdyby ludzie

Kompanii czyhali, by ją złapać w pułapkę, to czekali by właśnie tam. Przekradała się skrajem drogi, doszła do końca budynków. Stąd miała widok na lądowisko, porysowane i splekane od dużego ruchu w ciągu ostatniego tygodnia, lecz poza tym puste. Lekki wiatr wiał dokładnie w jej kierunku; nie wyczuła jednak świeżych śladów w nikłym zapachu oleju i paliwa. Gdzieś z bliska doszedł ją smród rozkładu. Podążyła za nim do budki strażackiej, gdzie, jak przypuszczała, przedstawiciele Kompanii urządzili sobie ucztę z kolonijnych owiec, przynajmniej kilku. Osiem czy dziewięć nieumiejtnie zarżniętych zwierząt gniło na podłodze, ich skóry leżały na osobnej stercie, zeszywniałe i pokryte krwią. Ofelia jęknęła. Co za marnotrawstwo dobrej wełny i skór, tak to wszystko zostawić.

Cofnęła się jednak do trzeciego z rzędu domu po tej stronie wioski i znalazła mały ogrodowy wózek w szopie Arramandysów.

Przewiezienie zabitych owiec do przetworni odpadów zajęło jej resztę popołudnia. Na wózku mieściły się dwie owce naraz, znalazła też wiadra na oślizgłe, wzdęte jelita i inne organy. Mimo całej ostrożności trochę tego śmierdzącego bałaganu dostało się na ubranie Ofelii. Po skończeniu pracy umyła rękawice, zamoczyła je w środku dezynfekującym, potem zsunęła ubranie, nie dotykając mokrych miejsc. Te rzeczy również będzie musiała zdezynfekować.

Potrzebowała lepszego rozwiązania. Z obrzydzeniem wykrzywając wargi, podniosła ubranie patykiem i także wrzuciła do wejściowego kontenera przetworni. Potem umyła się pod prysznicem i wytarła w wielki szary ręcznik – jeden z tych, które wisiały na miejscu dla każdego, kto będzie ich potrzebował. Rozważała, czy nie owinąć by się w jeden z nich i nie pokonać tak drogi do domu... albo wskoczyć szybko do czyjś domu i poszukać porządnego ubrania.

Albo... Albo przejść nago ulicą, przy której mieszkała, a przy której nie mieszkał już nikt, by ją wydać. Podreptała do otwartych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Zmierzch: słońce tymczasem zapadło za las na horyzoncie. Nikogo na ulicy, nikogo w domach. Miała napięty brzuch – z emocji, podniecona własną odwagą. Czy będzie w stanie? Któregoś dnia tak, była tego pewna, odkąd po raz pierwszy odezwał się w niej ten nowy głos. A skoro mogła to zrobić któregoś dnia, czemu nie teraz, dzisiaj, póki jeszcze ten pomysł budzi dreszcz emocji?

Opuściła ręcznik na podłogę i zrobiła jeden krok. Nie. Zawróciła, podniosła ręcznik i weszła do środka, by go odwiesić. Jeśli ma zamiar przejść nago całą ulicę, zacznie od razu tutaj, w umywalni. Wewnątrz budynku, już pełnym wieczornego cienia, czuła się wystarczająco bezpiecznie. W drzwiach znowu stanęła. Nie? Tak? Nie musi się spieszyć. Może stać tutaj bardzo długo, dopóki się nie ściemni, jeśli tak zechce. Aż nikt nie będzie mógł jej zobaczyć, nawet gdyby ktoś tam był.

Ale ona będzie wiedziała. I chciała wiedzieć. Pierwszy krok – spod framugi. Drugi krok – spod cienia okapu. Jeszcze jeden krok, i następny, dalej od budynku, na drogę, wzdłuż drogi...

i żadne oczy nie wycierają z ciemnych okien, nie rozlegają się żadne odgłosy, by ją zawstydzić. Rzeźkie wieczorne powietrze dotyka jej wszędzie, na plecach i na bokach, na piersiach i brzuchu, na ramionach i nogach, między nogami. Uczucie to było – gdy uspokoiła się na tyle, by to zauważyć – bardzo przyjemne.

Potem spostrzegła światła Centrum gorejące na tle granatowego zmierzchu. Zmroził ją strach – ledwie mogła oddychać. Idiotka! Jak mogła być tak głupia? Jeśli ktokolwiek był na orbicie, jeśli obserwował planetę, na pewno to widział. Będą wiedzieć; mogą wrócić.

Biegła teraz, nieświadoma już swej obnażonej skóry, wpadła do środka, szukając wyłączników światła, by je zgasić. Potem do domu, a tam wyciągnęła rękę do przełącznika, zanim sobie przypomniała... Stała przez chwilę, mięśnie skurczyły się z wysiłku, by powstrzymać odruchowy gest, zanim ona sama mogła zdjąć rękę z przycisku, nie dotykając go. Serce waliło jak młotem; w całym ciele czuła, jak wybijało puls jej przerażenia. Gdy serce zwolniło, gdy się uspokoiła, sama sobie dała reprimendy. Głupia, głupia. Nie wolno jej teraz zapominać – nie ma już nikogo, kto by jej przypominał.

Zjadła zimną kolację, w domu, w ciemności. Przynajmniej była wewnątrz, nie zmoknie, gdyby padało. Pozamykała okiennice, czyniąc ciemność jeszcze czarniejszą, i macając dookoła, znalazła drogę do łóżka. Własny pokój wydał się jej mały, duszny. Jutro przeprowadzi się do pokoju Barta i Rosary, pokoju, który dzieliła z mężem, zanim umarł. Ale dzisiaj – dzisiaj nie będzie dłużej błądzić po ciemku. Po omacku naciągnęła na siebie przykrycie i prawie już zasypiała, gdy sobie przypomniała.

Tak samotna nie była jeszcze... nigdy w życiu. Dziwiła się przez moment, że nie boi się, sama w ciemnościach, jedyna osoba na planecie. Nie bała się ani trochę... czuła się bezpieczna, bezpieczniejsza niż kiedykolwiek, jak daleko sięgała pamięcią. Zapadła w sen, gdy jej ciało odnalazło znajome zagłębienia w pościeli.

Kiedy rano obudziła się we własnym łóżku, we własnym domu, otoczona znajomymi zapachami, nie pamiętała, co się wydarzyło. Jak zwykle wstała, poczłapała do przełącznika światła i dopiero, kiedy rozbłysło, uświadomiła sobie, że jest naga i dlaczego jest naga. Minionych kilka dni było jak sen, nierealne. Porwała z haczyka szlafrok i naciągnęła go, zanim otworzyła drzwi, na wpeł oczekując, że dobiegnie ją chrapanie z sypialni Barta i Rosary.

Powitała ją cisza, absolutna cisza niezamieszkanego domu. Mimo wszystko zajrzała do ich sypialni. Pokój już wyglądał inaczej, jak pokój, w którym przez jakiś czas nikt nie mieszkał. Barto nie chciał marnować przydzielonych im kilogramów na pościel, dlatego na łóżku wciąż leżała kremowa narzuta z szerokim czerwonym pasem, a poduszki obleczone były w czerwone poszewki. Szeroko otwarta szafa wyglądała jak ślepa paszcza z pomarszczonym językiem ze skarpety. Ofelia uśmiechnęła się złośliwie, na myśl o tym, jak narzekać będzie Barto, gdy

rozpakowawszy bagaż, nie znajdzie jednej skarpetki. Podniosła ją, zamknęła szafę i zasunęła zasuwkę. Drzwi zawsze się otwierały. Pokój nadal wyglądał obco, Ofelia nie umiała powiedzieć dlaczego. Cienka, połyskliwa warstwa rosy wygładziła parapet; gdy Ofelia przyglądała się temu, z sufitu opadł się ślizgowiec, ciągnąc za sobą swoje pęta.

Po śniadaniu uprzątnęła lodówkę, zepsutą żywność wyrzuciła do rowu z kompostem. Powinna sprawdzić też inne lodówki. Większość z nich będzie można wyłączyć, zachować na wszelki wypadek, gdyby ich później potrzebowała. Wygodnie będzie mieć lodówkę w Centrum i może jedną na obrzeżu miasta, po drugiej stronie, na te dni, gdy będzie chodziła doglądać bydła.

Większość lodówek zawierała jakąś żywność. Ofelia uprzątała je metodycznie, zabierając szczerstwiele czy zepsute jedzenie na kompost. Dobrą żywność – twarde kielbaski, wędzone mięso, sery i marynowane warzywa – zanosila do swojego domu. Już teraz zastanawiała się, które ogródki zachować, z których zrezygnować, które obsiać na nowo ziarnem na paszę dla owiec i bydła. Poświęciła na to cały dzień, dręcząc się świadomością, że gdzieś może psuje się jedzenie... coś, czego nie znajdzie w porę. Dopiero późnym popołudniem zorientowała się, że nawet gdyby nie znalazła już nic więcej, to i tak będzie miała aż nadto pożywienia. Sprzątanie śmierdzących lodówek stanie się później nie do zniesienia, ale nie musiała do niczego się zmuszać.

Na wschodzie zbierała się burza, wieża z chmur, śnieżnobiała na szczycie i ciemno-niebiesko-szara u podstawy. Wieczorem będzie padać, wczesnym latem takie burze przemieszczały się od wybrzeża nad ląd prawie codziennie. Na zachodzie wznosiły się wzgórza, stopniowo przechodząc w dalekie góry, lecz Ofelia nie sięgała wzrokiem poza ścianę lasu. Słyszała o górach – mapa w Centrum pokazywała mozaikę ze zdjęć zrobionych przez satelity badawcze, zanim założono kolonię.

Kiedy weszła do domu, pierwsze podmuchy wiatru gnanego przed burzą połaskotały jej łydki. Już będąc w środku, spojrzała za siebie. Chmury zasłaniały ponad pół nieba. Z pewnością ze statku – jeśli wciąż tam był – nie było widać jej światła. Nie zamierzała spędzać w ciemności kolejnego wieczoru; chciała ugotować sobie dobrą kolację. Włączyła światło z takim samym uczuciem rzucanego wyzwania jak to, które skłoniło ją do wzięcia prysznicu u Falaresów.

W pobliżu dudniły grzmoty przesuającej się burzy. Ofelia zamknęła okiennice w sypialni, zostawiając odsłonięte okna w kuchni. Gotując, jednym okiem zaglądała na dwór, czekając na wiatr i deszcz. Gdy nadeszły, jej kielbaski skwierczały już razem z cebulą, pieprzem i plasterkami ziemniaków. Zgarnęła gorące nadzienie na świeży okrąg podpłomyka i zasiadła obok kuchennych drzwi, słuchając szumu deszczu w ogrodzie.

Wkrótce zmierzch wypełnił się dźwiękami płynącej wody: grubych kropli deszczu, bębniących o dach, melodyjnych uderzeń kropli spadających z okapu na kamienne przedproże, bulgotania wody spływającej z małych, przydomowych kanałów do większego rowu za domem.

Tu było dużo lepiej niż w lesie. Ofelia dokończyła kolację i oparła się plecami o framugę drzwi. Delikatna mgiełka wodna muskała jej twarz i ręce, gdy opryskiwały ją krople odbite od ziemi. Zlizła deszcz z warg: to było bardziej odświeżające niż jakikolwiek prysznic.

Deszcz padał jeszcze po zapadnięciu zmroku. Ofelia podniosła się w końcu, mrukliwie narzekając na zeszywniałe plecy i nogi, i przeniosła swoją poduszkę do drugiej sypialni. Ślizgowiec spędził dzień, zasnuwając róg pokoju pajęczyną; Ofelia zabiła owada butem – jedyny pożytek z butów, powiedziała sobie radośnie – i podarła pajęczynę. Ślizgowce nie były jadowite, ale ich odnóża zakończone pazurkami kłuły, a Ofelia nie życzyła sobie, by te pazurki budziły ją w ciemności.

Budząc się w świetle sączącym się przez okiennice, Ofelia przeciągnęła się rozkosznie. Trochę swędziała ją skóra, a kiedy przyjrzała się jej, zobaczyła nieznaczne zaczerwienienie. Dziś więc będzie musiała znowu włożyć koszulę. Ale kiedy spojrzała na swoje koszule, żadna jej się nie spodobała. Pomyślała o domach, w których była, o rzeczach, które tam zostały. U Lindy widziała szal wykończony lamówką. Gdzieś w innym domu w pobliżu – umysł Ofelii odmówił podsunęcia imienia właścicieli – ktoś zostawił miękką niebieską bluzkę. Mogłaby też uszyć sobie koszulę z pozostawionego w Centrum materiału.

Nie dzisiaj. Dziś znowu zajmie się oczyszczaniem domów, chciała bowiem opróżnić więcej lodówek i sprawdzić, co jeszcze przydatnego zostawiono. Wyszła z domu, prosto w poranny chłód i mgłę – pozostałość po deszczu – nie martwiąc się już, że ktoś mógłby ją zobaczyć i skrytykować. Wilgotne powietrze łagodziło oparzenia; nawet kiedy znalazła zapamiętaną niebieską koszulę, haftowaną w małe różowe kwiatuszki, nie była zdecydowana, czy ją włożyć. Właściwie nie potrzebowała jej. Przez cały dzień nosiła koszulę jak pelerynkę, zarzucając ją na plecy, kiedy przechodziła z domu do domu, lecz zdejmując wewnątrz.

Po południu znowu przypomniała sobie, że powinna poszukać zwierząt po drugiej stronie osiedla, koło rzeki. Przy okazji mogłaby sprawdzić pompy. Zarzuciła więc koszulę na ramiona i podniosła porzucony przez kogoś kapelusz.

Bydło wypasano pomiędzy osiedlem a rzeką, tam gdzie w wilgotnej glebie rosły wybujałe trawy terraformujące. Od lat nie miała do czynienia z bydłem, nie wiedziała, że zbudowano wysokie, mocne ogrodzenie, wewnątrz którego zamykano cielaki. Nikt nie pamiętał o tym, by je wypuścić, ale dwie krowy przeskoczyły przez bramkę. W pobliżu pasła się trzecia. Za ogrodzeniem zobaczyła dwa zdrowe cielęta i jedno chude, skóra i kości. Ofelia spostrzegła, że próbowało podkraść się do wymienia jednej z krów, ta jednak ubodła je i odpędziła. Ofelia przyjrzała się krowie poza ogrodzeniem. Nie była pastuchem, ale zauważyła, że wymię tego zwierzęcia jest bardziej nabrzmiące, niż wymiona krów wewnątrz ogrodzenia. Dalej, na brzegu rzeki, dostrzegła brązowe grzbiety innych pasących się krów. Może wszystko będzie dobrze. Nie chciała się tym zamartwiać. Otworzyła bramkę i stanęła za nią, podczas gdy wygłodniałe krowy

ruszyły naprzód, wyprowadzając swoje cielęta na trawę. Druga krowa podeszła do swojego cielaka i zaczęła go wylizywać. Małe chwyciło dójkę i zaczęło ssać, ale Ofelia nie dostrzegła na jego pyszczku mlecznej piany, która znaczyłaby, że cielę dostaje mleko.

Poczuła wyrzuty sumienia. „To twoja wina, Ofelio. Gdybyś tylko zatroszczyła się o to, by tu zajrzeć, choćby wczoraj. To wszystko dlatego, że jesteś samolubna. Uparta. Próżna”. Podeszła do koryta z wodą na wybiegu, mimo że nie miała zamiaru zamykać tam zwierząt. Spostrzegła, że głos sumienia brzmiał nie jak jej własny głos, ale raczej jak... czyj? Jak głos Barta? Humberta? Nie, był to starszy i nie do końca męski głos. Pobrzmiwał w nim także kobiecy gniew. Ofelia była zbyt zmęczona, by się tym przejmować; zauważyła tylko, że głos nie odzywał się przez kilka dni, a teraz wrócił.

Tego wieczoru, w chłodnym zmierzchu, siedziała na progu kuchennych drzwi i wdychała zdrowe zapachy ogrodu. Nowy głos mruczał z zadowoleniem, tak jak szemrała woda w przydomowym kanale. Stary głos milczał, cichy jak śpiący kot. Nowy głos powtarzał: „Wolna, wolna, wolna... cicho... cudownie, wolna, wolna”.

ROZDZIAŁ 4

Informacja poufna: Gaai Olaani, przedstawiciel Sims Bancorp z pokładu jednostki podświetlonej Diang Zhi, do Dowództwa Oddziału, Operacje Kolonialne

Stosownie do zaleceń Kolonia 3245,12 została ewakuowana zgodnie z przepisami. Do wglądu załączniki: A – lista personelu, B – porzucone wyposażenie, którego transport jest nieopłacalny, C – dowody lokalnych czynników biologicznych, hamujących standardową biochemię terra-formowania, być może wyjaśniające niepowodzenie kolonii, włącznie z niewystarczającą stopą reprodukcji. Próbę powtórnej kolonizacji powinny poprzedzić dalsze badania nad oddziaływaniem rdzennych czynników biologicznych na procesy terraformujące. Ktokolwiek przejmie koncesję, może zaskarżyć nas, jeśli nie zamieścimy tego w aktach.

Informacja poufna: Moussi Shar, wiceprezes do spraw ksenoeksploracji, do Guillerma Ansada, kierownika projektu. *Nie dbam o to, jak wiarygodny jest wasz agent, ta sprawa została spreparowana, by nas gnębić. Wiemy, że Sims nie zapewnił wystarczającego zaplecza materiałowego i personalnego, jak również, że osadził ludzi na równinie zalewowej, na drodze huraganów tropikalnych. Jeżeli żyją jeszcze krowy i owce, terra-formowanie nie zakończyło się klęską. Trzymać się planu.*

Ofelia nie była pewna nawet tego, którego dnia straciła rachubę czasu. Tak bardzo była zajęta w te pierwsze dni – cztery? pięć? A potem, gdy już opróżniła i odłączyła wszystkie lodówki, gdy sprawdziła każdy budynek pod kątem potencjalnych pożarów, wtedy ustaliła sobie wygodny rytm życia, kilka dni spędziła, niby tonąc w chmurach przyjemności.

Dzień po dniu robiła to, na co miała ochotę. Żadnego przeszkadzania. Żadnych głosów. Żadnych żądań, by przestała czynić to, a zajęła się tamtym. Dzień po dniu pomidory pęczniały, z małych zielonych guziczków stając się pyzatymi kulami zieleni. Fasola wypychała się z suchych, pomarszczonych kwiatów, wydłużała w grube zielone strączki. Wczesne dynie formowały się pod rozbuchanym kwieciami i nadymały jak balony. Pracowała w ogrodzie każdego ranka, zbierając łodygowce i liściojady, rozgniatając rurkoślizy; prawie nie musiała o niczym myśleć.

Popołudniami robiła regularny przegląd maszynarii: przetwórnia odpadów, elektrownia, pompy i filtry. Mimo że od lat nie było to jej obowiązkiem, bez trudu przypominała sobie, co ma robić. Jak na razie wszystkie liczniki i wskaźniki pozostawały na zielonych polach. Nigdy nie dochodziło do spadków napięcia; nigdy woda w kranach nie była żółta czy mętna. Po tych codziennych kontrolach Ofelia dalej zbierała z różnych budynków potrzebne jej rzeczy, przeważnie gromadząc je w szwalniach Centrum. Tam czuła się dobrze: kilka razy późnym

popołudniem ucięła sobie drzemkę, budząc się w momencie, gdy słońce znikło za drzewami, czujna i gotowa, by iść poszukać zwierząt.

Ta sprawa martwiła ją odrobinę; nie chciała, by zwierzęta były jak dzieci, by oczekiwały jej opieki. Ale przypuszczała, że będą jej potrzebne. Będzie potrzebowała mięsa, większej ilości niż leżała zamrożona w wielkich chłodniach Centrum. Będzie potrzebować nowej wełny do przedzenia. Nie cieszyła się na myśl o praniu i gęplowaniu. Ale owce były już strzyżone: nie będzie musiała się tym martwić aż do następnej wiosny.

Tymczasem każdego dnia upewniała się, że wie, gdzie są zwierzęta. Ani owce, ani bydło nie oddalały się od pastwiska: nie mogły żywić się miejscowymi roślinami. Owce były płochliwe przez kilka dni po jej powrocie z lasu: podejrzewała, że ludzie Kompanii niezdarnie i hałaśliwie polowali na te zwierzęta, które zabili na ucztę. Lecz owce na powrót zaczęły ją darzyć ślepym zaufaniem: znały ją, a ich pasterzy przecież nie było. Krowy, powściągliwsze, obserwowały ją czujnymi oczami i nadstawiały uszu, gdy szła przez podmokłą łąkę, ale nie uciekały.

Gdy o tym myślała, wciąż na nowo ogarniała ją złość na agentów Kompanii. Skoro chcieli świeżego mięsa, mogli je byli wziąć z zamrażarek wspólnoty; nie musieli straszyć owiec i zostawiać jej do posprzątania tamtej jatki. Nawet jeśli nie wiedzieli, że znajdzie się ktoś, kto to zrobi, nie powinni byli zostawiać takiego bałaganu.

Zaniepokoił ją widok pierwszych zmieniających kolor pomidorów. Jak to już długo? Usiłowała policzyć dni wstecz, lecz oprócz wydarzeń z pierwszych kilku, brakowało takich, które odznaczyłyby się w jej pamięci. Maszyny to powiedzą, uświadomiła sobie po pierwszej panice. Posiadały niekasowalny datownik. A gdyby zechciała, mogłaby też wpisywać różne rzeczy do dziennika kolonii.

Tak naprawdę to nie zależało jej na tym. Musi tylko wiedzieć, kiedy ma siać – chociaż w tym klimacie niektóre rośliny rosły na okrągło przez cały rok – ale o tym poinformują ją maszyny. Nikt nie przeczyta jej raportów, nawet jeśli naprawdę wpisze coś do dziennika; ona sama zaś z pewnością nie zechce czytać swoich własnych słów.

Otworzyła w końcu dziennik i spojrzała. Minęło trzydzieści dwa dni. To chyba za dużo. Podejrzliwie stuknęła palcem w ekran – liczby nie zmieniły się. Przewinęła tekst wstecz, do ostatniego z regularnych raportów, dla pewności licząc dni na palcach. Tak: ostatni wpis był sprzed trzydziestu dwóch dni, zwięzła notatka.

Dziennik na czas transportu przekopiwany na kość; kolonia porzucona; żyjący personel ewakuowany. Ponownie trzydzieści dni wstecz, do wpisów sprzed przybycia reprezentantów Kompanii. Ofelia nie była z tych, co to tracili czas na czytanie dziennika, a co dopiero wpisywanie raportów, ale w chwili, gdy zaczęła je przeglądać, zafascynowały ją. Komuś chciało się sprawdzać cztery razy dziennie wszystkie maszyny i wpisywać odczyty wszystkich liczników; ktoś sprawdzał poziom wody w rzece, temperaturę, ilość opadów, prędkość wiatru.

Były krótkie notatki o zwierzętach – *dzisiaj kolejny martwy poród cielęcia* – i o roślinach – *w tym sezonie na kielkach kukurydzy nie ma pleśni*.

Tak wiele jednak pominięto. Ofelia przewijała tekst w poszukiwaniu wydarzeń, które pamiętała. Były tam narodziny i zgony, przeprowadzki z rodziny do rodziny, poważne choroby, wstrząsające doświadczenia... ale ani słowa o tym, co się za nimi kryło. Z notatki „C. Herrodis: przeprowadzka od K. Botha do R. Stephanosa” można by sądzić, że ktoś zebrał swoje rzeczy osobiste do worka i po prostu przeniósł się na drugą stronę ulicy. Ofelia pamiętała lata kłótni i awantur, które poprzedziły odejście Cary z domu Botha. Martwo urodzone dzieci, to, jak Kostan oskarżył Carę o czary, to, jak ona zarzucała mu, że skąpi jej swego nasienia na korzyść „tej dziwki, Lindy”... a następnie zemsta Lindy na Carze, zemsta, która kosztowała kolonię ich ostatnie kurczęta. Jedyne Reynaldo odważył się przyjąć Carę, kiedy Kostan wyrzucił ją z domu... a potem zmarła, pół roku później, i nikt nie chciał dociekać, jak to możliwe, że ktoś upada na twarz, i uderza potylicą o kamień, twarde na tyle, by zabić.

To nie miało sensu, prowadzić dziennik, który nie mówi nic, podaje tylko liczby i daty. Ofelia zawahała się. Wszystkim im wbito do głowy, że to oficjalny dziennik, że nikt nie może tu nic wpisać, oprócz tych, do których to należy, tych przeszkolonych. Nikt nie zobaczy efektów jej działania, ale... to jest słuszne. Ofelia wiedziała, że to słuszne.

Rzuciła okiem na klawisze. Maszyna może nie przyjąć zmian. Ofelia jednak odkryła właściwą kombinację: ekran przesunął się, pokazując tylko pojedynczy raport, ze strzałką wskazującą miejsce, gdzie można coś dopisać.

Cały dzień zajęło jej przedstawienie historii Cary i Kostana, tak jak tego chciała. Umiała opowiadać historie; wiedziała, jaki kształt powinna mieć taka opowieść. Ale układać słowa własnymi rękami, widzieć je pojawiające się na ekranie – to było dużo trudniejsze. Cofała się w czasie, by wytłumaczyć: matka Kostana nigdy nie lubiła Cary. Lubił ją jego ojciec. Brat Kostana miał romans z Lindą. Wszystko się łączy, wszystko musi się zmieścić w opowieści, lecz to, co mogłaby przekazać mrugnięciem, przechyleniem głowy, zmianą tonu, teraz, ubrane w książkowe słowa, zapisane, wyglądało niezdarnie, a nawet niewiarygodnie.

W łóżku, w ciemnościach, uwolniła skrepowane myśli i pozwoliła im biec swobodnie. Trzydzieści dwa dni. Ogromny lęk wznosił się jak góra na horyzoncie jej umysłu. Czy się zbliżał? Nie – co dziwniejsze, już go pokonała, nawet sobie nie uświadamiając jego wielkości czy formy. Tak bywało i dawniej, z innymi lękami. Kiedy po raz pierwszy kochała się z Caitanem... kiedy brała ślub z Humbertem... kiedy pierwsze dziecko walczyło, by wydostać się z niej na świat... za każdym razem, już później, świadoma była ogromnego lęku, któremu nie stawiała czoła, lecz raczej zignorowała, minęła, nie zauważając, nie rozpoznając go. Tak było i teraz.

Bałam się. Przypomniała sobie ten jeden bezgłośny krzyk, zduszony i wepchnięty

z powrotem w gardło, jakby połknęła na wpół urodzone dziecko. Teraz, we wspomnieniach, zbadałaby tę górę swojego lęku, lecz nie mogła sobie jej przypomnieć: tkwiła tam, zamglona i złowrózba, na zawsze już niepoznawalna, na horyzoncie pola widzenia.

Tak było lepiej. Nie dumaj nad sprawami minionymi, zawsze powtarzała matka. Nie marnuj czasu na przeszłość: już minęła, przemknęła, jak kartka niesiona wiatrem. Matka miała na myśli ciężkie czasy, głosiła też wartość wspomnień o tym wszystkim, co dobre.

W ciemnym pokoju Ofelia wyciągnęła się swobodnie na łóżku i zastanowiła, co teraz czuje. Lewe biodro bolało bardziej niż prawe, a ramiona były zeszywniałe – chciałaby, żeby ktoś je wymasował. Ale czy się bała? Nie, teraz już nie. Maszyny działały. Nie wszystkie zwierzęta zdechły, a nawet gdyby, to miała dosyć żywności na długie lata. Nie była też samotna, nie w ten sposób, jak rozumie to większość ludzi. Nie zmęczyła się jeszcze byciem wolną od wymagań innych. A jednak następnego ranka w ogrodzie poczuła łzy na twarzy. Co było ich przyczyną? Nie umiała powiedzieć. Sam ogród uspokajał ją. Pomidory dojrzewały z dnia na dzień; jeden może być już dobry tego popołudnia. Zielone strączki fasoli, wysoka kukurydza, pachnąca tym mocnym zapachem, który przywodził jej na myśl ciało Caitana. Nie chodziło o to, że pragnęła, by ktoś do niej mówił, chciałaby tylko, by ktoś słuchał... Ta myśl przywiodła ją z powrotem do komputera Centrum i jego dziennika, tak pełnego danych, a tak pustego, jeśli chodzi o historie.

Zbyt trudno było zapisywać całe opowieści ze szczegółami. Zajęłoby to Ofelii resztę życia, a i tak by nie skończyła. Notowała sobie wskazówki: ostre bóle głowy Ewy. Urodziny siostry Rosary, kiedy to rozbił się dzban. To, co czuła, kiedy druga powódź zniszczyła ostatnią z ich łodzi i nikt już nie zapuszczał się na drugi, odległy brzeg rzeki, nawet w porze suszy.

Z tych wskazówek mogła później odtworzyć całą opowieść – prawdziwą opowieść. Nie pisała codziennie; pisała, kiedy miała ochotę, kiedy wspomnienia dokuczały bardziej niż palący śluz na skórze, kiedy musiała zobaczyć je uzewnętrznione, by się przekonać, że posiadają swój koniec. W inne dni wpisywała tylko oficjalny raport, notując odczyty wskaźników maszyn, temperaturę, ilość opadów, uwagi o zbiorach.

Siedziała na progu, jedząc kolejnego dojrzałego pomidora. Tego roku będzie ich miała dużo więcej, niż mogłaby zjeść. Gorące promienie południowego słońca padały na jej stopy; nie ukryła ich w cieniu, tylko przesuwała w przód i w tył, aż w końcu słońce zamieniło się w gorące buty, okrywając jej palce i podbicie właśnie tak, jak obuwie.

W te dni życie było łatwe, miała świadomość tego. Za pół roku już tak nie będzie. Nie mogła w to jednak uwierzyć. Zawsze będzie jej łatwo, dzięki maszynom. Jeśli nadal będą działać. Sprawdzała je każdego dnia i każdego dnia pracowały, a wszystkie wskaźniki znajdowały się na zielonych polach. Musi im być łatwiej utrzymywać tylko jedną osobę.

Daleko na wschodzie zwał chmur wznosił się niby świetliste wieżyczki, rażące oczy

blaskiem, lecz od dołu chmury wyglądały jak zamazane i brudne; nadchodzą sztormy znad morza, potężne letnie burze: może padać całymi dniami. W niektórych latach całkiem omijały kolonię, w innych koloniści ucierpieli od dwóch czy trzech huraganów, tracąc większość plonów. Chociaż zazwyczaj Ofelia spała w popołudniowym upale, teraz z westchnieniem podniosła się na nogi i wzięła koszyk. Zbierze dziś wszystko, co dojrzało i jeszcze raz sprawdzi maszyny, zanim nadejdzie burza.

Tego popołudnia kapryśne podmuchy wiatru odwracały liście w ogrodzie, ukazując ich blade spody. Systematycznie zrywała owoce i warzywa, idąc od domu do domu. W każdym sprawdzała, czy okiennice i drzwi są zamknięte i zablokowane sztabami, czy szopy z narzędziami są odpowiednio zabezpieczone. Wysoko w górze powłoka chmur przemierzała niebo, zmieniając ciepłe, żółte światło słoneczne w mleczny blask. Zrobiło się duszno. Ofelia poczuła, że brak jej tchu, że choć nie może oddychać, jednak co jakiś czas wzdraga się, przenikana dziwnym chłodem. Dom wypełnił się kosztami dojrzałych pomidorów, fasoli, papryki, dyni, przepékli, melonów; ich bogaty zapach falował w powietrzu. Gdy lunęły pierwsze strugi deszczu, Ofelia porzuciła zbieranie i poszła do Centrum.

Barometr wskazywał spadek ciśnienia, tak jak się tego spodziewała, a alarm pogodowy brzęczał. Wyłączyła go i wywołała obraz z satelity. Nie wiedziała, że wciąż funkcjonuje, że Kompania zostawiła w górze satelitę pogodowego. Teraz na ekranie pojawiła się spirala chmur, jeszcze nad morzem, zahaczając tylko o ląd skrajem chmur. Ofelia spojrzała na liczby wyświetlone na brzegu ekranu i zastanawiała się, co oznaczają. Dostyc wiedzieć, że to duży sztorm i że niedługo ją ogarnie. Powinna zagonić zwierzęta do miasta, jeśli zdoła... w czasie takich burz rzeka wylewa i bydło mogłoby zostać zmyte przez jej nurt.

Kiedy podeszła z powrotem do drzwi wyjściowych, pchany wiatrem deszcz lunął na drogę, a drobna mgiełka kropelek zrosiła Ofelię, gdy wyjrzała na zewnątrz. Było prawie ciemno; ledwo rozróżniała kształty budynków. Nie zamierzała wychodzić w ciemność i deszcz, by odszukać głupie krowy, które powinny mieć na tyle rozumu, by znaleźć wyżej położone tereny. Pójdzie do domu, gdy minie ta nawałnica.

Rano przez podwójne okiennice nie przesączyło się żadne światło. Ofelia nie musiała wyglądać na zewnątrz, by wiedzieć, że na wioskę naciera teraz główny atak burzy. Słyszała wycie wiatru pomiędzy budynkami, czuła przeciąg – podmuchy wciskane każdą szczeliną przez ogromną siłę. Włączyła światła, ciesząc się, że wciąż działają. Podczas burz nigdy tu nie brakowało prądu, ale Ofelia pamiętała z dzieciństwa w innym świecie, że w czasie burzy elektrownie mogą przestać działać.

Dziwne to było uczucie – gorąca i duchoty, z szalejącym na zewnątrz wiatrem i drobnymi prądami powietrza, łaskoczącymi w stopy jak myszy. Zmusiła się, by przygotować sobie

śniadanie, na które nie miała ochoty: jeden ze złocistych melonów z cudzego ogrodu. Miała nadzieję, że nie będzie tak wyczuwać zapachu, gdy już zje owoc, lecz powietrze przesycone było jego aromatem. Mogłaby otworzyć okno od strony osłoniętej od wiatru. Wróciła do sypialni i odemknęła wewnętrzne okiennice. Zapach melona snuł się za nią, opływając ją, przesączał się za okno. Wsunęła się w kąt pokoju i nagle podskoczyła, kiedy gdzieś niedaleko uderzył piorun, białe światło niczym włócznia przebiło żaluzje, a trzask gromu zabrzmiał tak, jak gdyby ktoś uderzył ją w głowę łopata.

Wolała już znosić ciężki zapach melona niż to. Gdy wyrównał jej się oddech, zamknęła wewnętrzne okiennice i położyła się na łóżku, nie czuła się tam jednak wystarczająco bezpieczna. Wstała z ociąganiem i zwlokła z łóżka nakrycie i poduszki. W szafie nie będzie miała powietrza, ale uchroni się od błyskawic. Umościła się tam i zwinęła w kłębek..

Hałas się zwiększał; wiatr zdawał się Ofelii żywą istotą demonem zdecydowanym dostać się do niej i rozerwać ją na strzępy. Ofelia skuliła się w gnieździe z poduszek i pościeli, na siłę próbując zasnąć. Nie udało się; nigdy jej się nie udawało. Każdy huk gromu podrywał ją i odbierał oddech. Każdy nowy hałas oznaczał coś niedobrego – coś, co się oderwało i może uderzyć o okna lub drzwi, coś nienaprawionego, co się złamie i wpuści do środka wichurę.

Niewymawiane od lat zdania napłynęły jej do głowy, modlitwy, których uczyła ją babka, które sama odmawiała. W czasie burzy łatwo było uwierzyć w duchy i nadprzyrodzone moce. Zarzuciła to wszystko, gdy wyszła za Humberta; mąż nie tyle zakazał jej, co zignorował te koncepcje, tym samym zaprzeczając ich istnieniu. Później, gdy starali się o przyznanie miejsca w kolonii, w rubryce „religia” wpisał „żadna” i Ofelia nie protestowała. Z dala od rodziny, tutaj, z ludźmi, którzy – w cokolwiek wierzyli – nie ujawniali wiary w przesady, bez wspierającej ją organizacji, pozostałości religii jej dzieciństwa zatarły się bez reszty.

Teraz mamrotała tamte zdania, potykając się na zapomnianych słowach, lecz mimo to czując przypływ otuchy. Przysypiała i budziła się gwałtownie, nieszczęśliwa, w ciasnej i dusznej szafie, aż w końcu usnęła, po czym obudziła się w ciszy pełnej grozy.

Czy to dzień, czy noc? Czy to centrum huraganu, czy też burza już minęła? Zerknęła na zewnątrz szafy i ujrzała jedynie bezruch pokoi, jak zwykle oświetlonych elektrycznością. Powoli, gderliwie narzekając na ból w stawach – zawsze nasilający się w czasie tych sztormów – wygramoliła się z szafy i z trudem podniosła na nogi.

Jeśli znajdowała się teraz w oku cyklonu, to uderzy on ponownie z drugiej strony, co oznacza, że nie powinna otwierać okiennic w sypialni. Już raczej drzwi wychodzące na drogę... Zrobiła jeden krok, potem następny, stąpając po wyziębionej, wilgotnej podłodze, nasłuchując powracającego zagrożenia. Z oddali dobiegał ją pomruk grzmotu. Tak czy inaczej, to nic nie znaczyło.

Otworzyła wewnętrzne drzwi. Były całe mokre od deszczu wpychanego wiatrem poprzez żaluzje drzwi zewnętrznych. Woda skapywała na podłogę, znacząc mokry ślad. Teraz dopiero zobaczyła, że się przejaśniło. Zwolniła zatrask i pchnęła żaluzjowe drzwi. Ani drgnęły, napęczniałe po deszczu; ustąpiły, dopiero gdy uderzyła w nie prawym biodrem, a i wtedy musiała pchać mocno, by się otwały: zważyło się na nie małe drzewko, rosnące przy głównym wejściu.

Na dworze blade światło zalewało drogę, ukazując rowy po brzegi wypełnione płynącą wodą i smugi błota prowadzące w dół ulicy. Ofelia spojrzała w górę. Wysoko nad głową dojrzała okrąg czystego błękitu... a dookoła ścianę chmur o szczytach malowanych złotem wschodzącego słońca. Dokładnie tak, jak jej opowiadano, dokładnie tak, jak na zdjęciach. Lecz jednak inaczej, kiedy sama stała tu, w środku, ze stopami w śliskim błocie, nie mając komu o tym powiedzieć.

Mogłaby przejść do Centrum na drugą połowę burzy; będzie tam równie bezpieczna, może nawet bardziej. Ale chciała zobaczyć, jak się zbliża, chciała zobaczyć, jak szybko nadchodzi. Niebezpieczne. To odezwał się stary głos ostrzegawczymi tonami z dzieciństwa. Ten sztorm może ją zabić tak łatwo, jak ona sama rozgniała ślizgowce i miażdżyła rurkoślizy. Powinna wrócić do środka i znowu ukryć się w szafie.

Odsunęła się od domu, nie spuszczając z oka chmur na wschodzie. Zdawały się nie przybliżać. Kolejne kilka kroków i oto stała na drodze, skąd mogła popatrzeć na wschód wzdłuż ulicy i przekonać się, że wszystkie domy stoją. Płot jej ogrodu był zwalony, a padając, pociągnął za sobą wszystkie pomidory. Łodygi leżały płasko na ziemi, skierowane w stronę lasu. W oddali Ofelia słyszała głosy zwierząt.

Ściana chmur zdawała się przybliżać, ale trudno było mieć pewność. Ofelia chciała poczekać, aż nawałnica ogarnie lądowisko wahadłowców, może nawet ostatnie domy stojące przy końcu drogi. Ona na pewno zdąży na czas dobiec do domu. Tym razem wiatr nadejdzie spoza niego, więc sam budynek ją osłoni.

Zrobiła jeszcze kilka kroków na wschód, czuła się prawie tak niesforna, jak wtedy, gdy po raz pierwszy wyszła bez ubrania. Potem cofnęła się. Głupotą byłoby w ten sposób iść na spotkanie sztormu, na otwartej przestrzeni. W spiętrzonych chmurach zamigotała błyskawica; gdy Ofelia przyjrzała się lepiej, mogła dostrzec, że odległa granica czystej przestrzeni jest teraz zdecydowanie dalej, zaś wschodni skraj przybliżył się.

Było tak pięknie. Zawsze podobały jej się zdjęcia takich burz robione z kosmosu – pełne wdzięku białe spirale chmur nad niebieską wodą – lecz nigdy nie wyobrażała sobie, jak piękne będą od wewnątrz. W ścianie chmur Ofelia dojrzała wszystkie tony błękitu, szarości i purpury, ich złote szczyty stały się białe, oświetlone jaśniejszym blaskiem dnia, a ponad nimi była czysta głębia nieba. Ofelia nie znalazła słów, by opisać to, co czuje, gdy piękno walczyło z lękiem; postąpiła jeszcze kilka kroków naprzód, a potem znów się cofnęła, brodząc w chłodnym błocie, które koilo bolące stopy.

Potem zwały chmur pojawiły się ponad nią; koniec drogi zniknął jej z oczu wraz z rykiem wiatru i wody; rzuciła się do ucieczki w kierunku domu, przedzierając się przez poskręcane gałęzie zwalonego drzewa, a pierwszy podmuch wichury uderzył o przeciwległą ścianę budynku. Ta cicha wizja ze złota, bieli i błękitu w mgnieniu oka przekształciła się w szarość deszczu, wichurę i nieznośny hałas.

Stała przy wyjściu, obserwując burzę przez uchylone drzwi. Czowała, jak domem wstrząsają uderzenia wiatru, lecz nie czowała potrzeby schronienia się w bezpiecznej szafie. Godzina za godziną patrzyła na strumienie wody gnane wiatrem, patrzyła, jak strugi deszczu chłoszczą domy po drugiej stronie ulicy. Gdy stopy rozboleły ją za bardzo, przyniosła sobie do drzwi krzesło i usiadła. Deszcz i wiatr przez cały dzień... lecz stopniowo słabły, wiatr nie wiał już tak mocno, uderzenia były od siebie wyraźnie oddzielone. Do zmroku nawałnica goniła nawałnicę, w przerwach pomiędzy nimi wiał słabszy, stały wiatr.

Deszcz padał bez przerwy. Tę noc Ofelia przespała w łóżku, zostawiwszy zapalone światło w kuchni; nie umiałaby podać innej przyczyny prócz tej, że światło poprawia jej samopoczucie. Pokój znów wydawał się duszny, przepelniony zapachami zebranych plonów, które już zaczynały pleśnieć od wilgoci. W tym deszczu nie mogła otworzyć okien, ale otworzyła i podparła drzwi wejściowe. Spała niespokojnie, śniąc o wodzie: wodospadach, rzekach, łzach płynących po kamiennych twarzach, przeciekających dachach i pękających rurach. Po każdym śnie budziła się przekonana, że to jawa – tylko po to, by odkryć, że leży bezpiecznie w łóżku, mokra nie bardziej, niż tyle, co od wilgoci w powietrzu.

Rano deszcz padał z płynących wysoko szarych chmur stabilnie i nieprzerwanie jak odwieczna niedola, ale bez gwałtowności. Od czasu do czasu nad domem przetaczały się nawałnice, zawirowania niskich, ciemnych chmur i porywistego wiatru, lecz na wschodzie Ofelia mogła już dostrzec skrawki błękitnego nieba. Otaczało ją gorąco i wilgoć. Przepchnęła się obok zwalonego drzewa, by wydostać się na drogę, i pozwoliła, żeby deszcz obmył jej ciało z potu. Był ciepły, nieco tylko chłodniejszy niż krew w ciele, Ofelia odchyliła więc głowę do góry i piła deszcz.

Tej nocy, gdy ostatnie uderzenia wiatru wstrząsały okiennicami, a jaskrawe światła przebijały przez szpary, Ofelia leżała w łóżku i dziwiła się, dlaczego kiedykolwiek bała się burz. Jej ciało było ociężałe, lecz świeże, obmyte deszczem. Dudnienie gromów odbijało się echem w jej piersiach i brzuchu, wstrząsało jej kośćmi. Przypominało jej Caitana.

Jest nikczemną starą babą i zasługuje na śmierć. Dawny głos zganił ją, jej nagą skórę i odkrywanie siebie. Przepięknie, mówił nowy głos. Nie znajdowała innych słów, lecz jedna za drugą przed jej oczyma rozbłyskiwały wizje ciemności i deszczu, wiatrów, spiętrzonych chmur, wznoszących się ku światłu.

Śniła o zamkach, o gwiazdach i szczytach, których nigdy nie widziała.

Pomidory i kukurydza były całkowicie zniszczone; większość liści fasoli zrobiła się jasnożółta i opadła: utonęły. Wzdłuż skraju ogrodu pędy dyń podnosiły pomarszczone, wachlarzowate liście, nie zeszpecone atakami wiatru i wody. Ofelia zepchnęła ze ścieżek plątaninę łodyg pomidorów, kukurydzę wyrwała na kompost i poszła sprawdzić inne ogrody. Wszystko, co wysokie, zginęło; wszystko, co niskie i liściaste, przetrwało. Kilka drzew owocowych wciąż stało; inne wyrwane były z korzeniami.

Krowy pasły się bliżej miasta niż zazwyczaj, ponieważ rzeka zaczęła wylewać. Ofelia pognałaby je jeszcze bliżej, ale krowy mogły brodzić w wodzie, która dla niej była zbyt głęboka, a kiedy spróbowała przepędzić stado, kilka zwierząt, rozbryzgując wodę, uciekło na głębie, gdzie dwa z nich straciły grunt pod nogami i rycząc żałośnie, spłynęły w dół rzeki, obracane przez prąd.

Ofelia ze złością przyjrzała się krowom. Zaslugują na to, by utonąć, by je zjadły potwory, by je porzucić na piaszczystej wysepce bez trawy. Przecież próbowała im tylko pomóc. Zbyt są podobne do ludzi, oto ich problem. Uciekać przed pomocną dłonią, uciekać w kierunku zagrożenia. Wyciągnęła stopy ze szlamu, zdecydowana nie ryzykować więcej życia dla istot tak niewdzięcznych, i z pluskiem skierowała się do wioski.

Następnego dnia – jeszcze więcej deszczu, na przemian z upałem i gorącą parą, unoszącą się z ziemi. Rozważała, czyby nie zapisać swoich odczuć na temat burzy w dzienniku, lecz nie chciało jej się walczyć ze słowami. Jednak coś pragnęła robić: czuła niepokój. Przyciągały ją jasne skrawki materiału w szwalni. Nikt nie zawracał sobie głowy ozdabianiem płóciennych walizek: znalazła pełne szuflady lamówki, koralików, frędzli, krótkich serii materiału, najwyraźniej niezatwierdzonych do produkcji przez nadzorcę szwalni.

Nie mogła znaleźć tego, czego chciała. Zajrzała do instrukcji obsługi fabrykatora. Chciała deszczu, i wiatru, i błyskawic, a ponad nimi chmur i słońca. Hałasu. Piękna. Destrukcji. Wcisnęła klawisze i ustawiła wskaźniki. Maszyna jęknęła, jak zawsze przy starcie, i wyrzuciła pomarszczony pas srebrzystej szarości, a następnie fałdowane purpurowe płócienko. Ofelia wyjęła materiał z kosza maszyny i rozłożyła go na stole, obok innych skrawków. Palcami przesuwiała i zestawiała różne kształty, kolory, bawiła się, przymierzając różne faktury, łącząc materiały matowe z błyszczącymi.

To był jedyny sztorm tego lata. Do codziennych obowiązków Ofelia dodała kontrolowanie ekranu pogodowego. Dzień za dniem śledziła dwa inne sztormy, które uderzyły o ląd setki kilometrów stąd. Pogoda na miejscu wróciła do normalnych pod koniec lata upałów i palącego słońca, z jedną czy dwiema ulewami na tydzień. Ofelia oczyściła ogrody ze szczątków po huraganie i zaplanowała, które w tym roku obsiać na zimę. Pokroiła i wysuszyła zebrane pomidory, wyłuskała i zamroziła fasolę. Niektóre dynie da się przechować w chłodziarkach

w Centrum; inne pokroiła w paski do suszenia. Paprykę, cebulę i czosnek nawlokła na sznurki, które powiesiła w chłodniejszych i przewiewnych pomieszczeniach Centrum.

Potem nadeszła pora obsiania ogrodu na zimę. Po raz pierwszy Ofelia zatęskniła za innymi ludźmi, gdy walczyła z najmniejszym z kultywatorów. Nigdy sama nie orała; najczęściej jeden z najsilniejszych kolonistów przygotowywał ziemię dla wszystkich, zamieniając tę pracę na ulgi przy innych obowiązkach. Wydobyła kultywator z magazynu, ale wtaczając go lekko wznoszącą się drogą do domu, zadyszała się i spociła; już czuła ból w ramionach i biodrach.

Kiedy włączyła urządzenie, od jego ochryplego hałasu rozbolały ją uszy, maszyna zaś wykopała pod sobą dołek. Ofelia musiała podskoczyć, by cały ciężar oprzeć na uchwytych i unieść wirujące zęby, a potem nie umiała poprowadzić maszyny prosto. Skopawszy jedną trzecią ogrodu w nieregularne bruzdy i dziury, ze wstrętem porzuciła maszynę. Mrowiło ją w dłoniach, a całe ciało bolało. W uszach wciąż jej dzwoniło od hałasu. Odpoczęła chwilę i potoczyła kultywator z powrotem. Nie zostawi go na dworze, żeby zardzewiał – miała choć tyle poczucia przyzwoitości. Ale gdyby mogła odnaleźć projektantów takich maszyn, nagadałaby im do słuchu. Czemu by nie zrobić maszyny, którą mogą posługiwać się niscy ludzie? Cichej maszyny? Następnego dnia wzięła widły i łopatę z szopy na narzędzia i sama zaczęła spulchniać ziemię. Nie było to takie trudne, jeśli pracowała powoli. Nie starała się nawet przygotować wszystkich ogrodów: nie potrzebowała aż tak dużo przestrzeni. Potem wytoczyła ogrodowy wózek i poszła na pastwisko po nawóz. Mimo takiej ilości deszczu niecały wtopił się w ziemię: znalazła dosyć, by wymieszać go z glebą, dodając ziemskie bakterie i grzyby, których potrzebowały rośliny.

Zimowe zbiory składały się z większej ilości korzeni i bulw: podobnie jak w lecie, cebuli, lecz także marchwi, rzodkiewek, buraków, ziemniaków, słodkich batatów i porów – warzyw z dużymi liśćmi, nie lubiących promieni letniego słońca, i nieznoszących upału strączkowych. Mając do wyboru cały kolonijny zapas nasion, Ofelia posadziła więcej swoich ulubionych warzyw: groch Tinę, sałatę kędzierzawą, pasternak kardoński, długie, białe rzodkiewki zwane śnieżyczkami, żółte ziemniaki. Zasiała lub zasadziła też inne, by odświeżyć zapas nasion, lecz nie w takiej ilości.

Gdy skończyła już pracę w ogrodzie, więcej czasu spędzała w Centrum, na nowo czytając i przeglądając stare zapisy w dzienniku. Prawie już zapomniała Molly Suppert, gdy nagle natknęła się na notatkę o jej śmierci: biedna Molly, nie była autentycznym członkiem kolonii, lecz przydzielonym technikiem – specjalistą. Przez pięć lat sama prowadziła klinikę, w tym czasie szkoląc swych następców spośród osadników. Miała zostać zabrana po pięciu latach, ale gdy statek przybył, Molly nie żyła.

Ofelia nie dowiedziała się, z jakiego świata pochodziła, ale wszyscy wiedzieli, że musi to być dziwne miejsce, jeśli jego mieszkańcy choć trochę podobni są do Molly o skórze białej jak kość,

żółtozielonych oczach i kędzierzawych pomarańczowych włosach. I te jej poglądy. To właśnie Molly sugerowała, że dziewczęta nie muszą wychodzić za mąż tak wcześnie i że nie trzeba wpajać dzieciom posłuszeństwa biciem. Gdyby trzymała się tylko szczepień, testów ciążowych i uczenia położnych obsługi maszyny diagnostycznej, nie znaleźliby jej potem z nożem w szyi za budynkiem Centrum.

Wiele wysiłku kosztowało ich upozorowanie, że upadła na kosę, zaganiając bydło nad rzekę, i Ofelia zastanawiała się, czy Kompania naprawdę w to uwierzyła. Ona sama nawet lubiła Molly, chociaż nie była na tyle głupia, by się jej zwierzać, jak młodsze dziewczęta. Bardzo pięknie jest powtarzać te rzeczy, które mówiła Molly, ale świat jest, jaki jest, i jaki od zawsze był, z biciem dzieci i w ogóle.

W dzienniku Ofelia dopisała to, co pamiętała o Molly. Nie wiedziała na pewno, kto ją zabił, a nie miała zamiaru oskarżać, nie mając pewności. Ale opisała słońce w kręconych włosach Molly, to, jak lśniły niczym aureola wokół jej głowy, jakby była świętą, lecz świętą nie była, gdyż potrafiła kląć siarczyście w dwóch językach. A przynajmniej tak Ofelia przypuszczała, sądząc z tonu i porywczosci w jej głosie, gdy mówiła w ojczystym języku, jakikolwiek był. Ofelia nie zapamiętała ani jednego słowa: nigdy tak naprawdę go nie rozumiała.

ROZDZIAŁ 5

Tak dużo czasu już minęło, że kiedy znów usłyszała głosy, nie wiedziała, czym są. Brzmiały obco, jak skrzeki i wrzaski, które dobiegały ją z odległego lasu. Zamarła na ulicy; serce tłukło jej się w piersiach. Co? Gdzie?

Uszy zaprowadziły ją do Centrum, do pomieszczeń sterowniczych, gdzie z jednego z szarych pudełek wydobywało się mamrotanie, które jej mózg podzielił w końcu na słowa. Przez dłuższy czas gapiła się na pudełko, zanim zrozumiała, że nie mówi do niej, że to nie maszyny przemówiły do swych ludzkich stróżów, których oczekiwały.

– Skoryguj kurs, osiemnaście-sześć-czterdzieści jeden... Głos mówił z tak silnym obcym akcentem, że z wysiłkiem nadążała za sensem, lecz język był jej znany. Męski głos. Głos nawykły do wydawania poleceń.

– Zrobione – odezwał się drugi głos. – Wahadłowiec. Jeden Szafir, koryguję. Mam sześć-zero-dwa i trzydzieści-dwanaście. – Syk i trzask, a potem: Jakież ślady tej drugiej kolonii?...

– Na podczerwieni wybija się jak cholerna latarnia – odpowiedział pierwszy głos. – Granica między lokalną i terra-formowaną roślinnością wydaje się stabilna. Lądowisko. Jakież zabudowania. A co? Nie będziemy w pobliżu.

– Tak się tylko zastanawiam. Tamci... – Syk, trzask.

Przedłużająca się pauza, potem:

– No tak, ale my nie popełniliśmy tego błędu. – Pierwszy głos. – Poza tym tylko idioci wybierają miejsce w strefie tropikalnej. Słyszałem, że zabrali stąd mniej kolonistów, niż osadzili. – Przerwa, jakby ktoś zadał pytanie, choć Ofelia nie słyszała nic, prócz szumiącego, miękkiego syczenia. – Nie, nie renegaci – tak wielkie straty. Biedne zmarzlaki. Nie to, co nasi.

Ofelia siedziała, prawie nie zdając sobie sprawy z zimnego potu, który nagle zaczął spływać po jej żebrach. Wahadłowiec? Ląduje? Zmarzlaki? Koloniści?

Znajdą ją. Znajdą i odeślą z powrotem w kosmos, do jakiejś komory kriogenicznej... albo, co niewiele lepsze, będą oczekiwali, że się do nich przyłączy, że dostosuje swoje plany do ich planów, że będzie robić, co jej każą.

Jej serce zatrzepotało się w piersi; poczuła dreszcze i zimno. Nie chce tego: nie chce być schwyтана, wsadzona do klatki, odsyłana to tu, to tam. Spróbowała się zastanowić, co może zrobić. Znowu uciekać do lasu? Może zdążyłaby zebrać więcej rzeczy, ale nie mogłaby żyć w lesie; nic, co tam rośnie, nie nadawało się do jedzenia.

Wyszła na zewnątrz i spojrzała w górę. Oczywiście, niczego nie widziała. Niebo było bładoniebieską kopułą z pasmami białych chmur. Jeśli statek krążył po orbicie, nie mogła go zobaczyć. Czy oni mogli dojrzeć ją? W dzień – mało prawdopodobne, pomyślała. Ale w nocy?

Nie może włączyć świateł. Chociaż sama decydowała się radzić sobie bez światła podczas

wielu letnich wieczorów, teraz czuła się ograniczona ciemnością. Miała do zrobienia kilka rzeczy, skoro zamierzała uciec, i potrzebowała światła. Tę noc spędziła jednak w ciemnościach, zerkając ku gwiazdom. Czy mogli ją zobaczyć nawet bez świateł? Podczerwień... to jest ciepło, jak pamiętała; kiedyś koloniści mieli takie okulary, żeby widzieć w ciemności zwierzęta, ale przez lata wszystkie się popsuły. Więc statek tam, w górze, mógł ją i tak dostrzec, z pewnością zauważy pióropusz ciepła nad przetwórną odpadów. Czy uwierzą, że przetwórnia pracuje bez przerwy, odkąd ewakuowano tamtą kolonię? Że ktoś po prostu zapomniał wyłączyć automatykę?

Zbudził ją świt; zasnęła, siedząc oparta o ścianę, i teraz bolał ją kark. Kleiły jej się oczy. Przeciągała się powoli, wytrzymując ból, aż w końcu udało jej się podnieść, tuż przy ścianie. W budynku Centrum światła było akurat tyle, by znaleźć drogę z pokoju do pokoju. Weszła do pomieszczeń biurowych i zapatrzyła się w szare pudełko, z którego nie dobywały się żadne głosy. Właśnie kiedy zaczynała się zastanawiać, czy to nie był sen, pudełko zatrzeszczało znowu i głosy podjęły rozmowę.

– Lokalny wschód słońca – oznajmił inny męski głos.

Ofelia zastanowiła się, gdzie mogą być: tutaj słońce nie wzejdzie jeszcze przez godzinę. Na wschód od niej? Tylko morze leżało na wschodzie, chyba że powędrowało się daleko na północ. Pstryknięciem włączyła ekran pogodowy, który wyrysował mapę kontynentów, zaznaczając granicę dnia. Gdzieś przy tej granicy znajduje się miejsce, w którym wylądowali. Musi leżeć w odległości ponad tysiąca kilometrów.

Być może nigdy jej nie znajdą. Będą zbyt zajęci. Przez całe czterdzieści lat pobytu tutaj żaden z kolonistów nie zapuścił się dalej niż kilka kilometrów od bazy. Planowali dalsze wyprawy, ale wydarzyły się różne rzeczy. Na razie chyba jest bezpieczna.

– Osiem-osiem zrzuci łobuzów parami.

– Do dzieła.

Ofelia spędziła ten dzień pochylona nad odbiornikiem, śledząc przebieg inwazji – nie mogła nic poradzić na to, że tak właśnie o tym myślała – w na wpół zrozumiałych uwagach. Pamiętała dosyć z własnego lądowania, by znać kolejność niezbędnych czynności. Pierwsze promy mogły lądować na nieprzygotowanym gruncie; na pokładzie wiozły mechatoty, które niwelowały teren pod lądowisko. Potem lądowały promy z głównym ładunkiem, przywożąc brygady budowlane, które stawiały prowizoryczne konstrukcje na magazyny i kładły powierzchnię pasa do lądowania. Na końcu – promy pasażerskie ze świeżo obudzonymi kolonistami, uszeregowanymi według specjalności. Ofelia wyobraziła sobie jakąś inną kobietę, podobną do niej samej w młodości, budzącą się z hibernacji, usiłującą uspokajać dzieci, w miarę jak je ożywiają, próbującą je uciszyć, gdy gromadzono ich na pokładzie promu... Lądowali w deszczu, przypomniała sobie, że Barto krzyczał i bódł ją swoją twardą, okrągłą głową w piersi.

To jednak nastąpi później. Dzisiaj, gdzieś na wschodzie i północy, towarowe promy

wylądowują mechaty, a wielkie maszyny budowlane torują sobie drogę przez roślinność tej planety – ciekawa była, czy w tamtym miejscu jest las, czy zarośla – by wydłużyć pas lądowiska.

Tej nocy poszła spać do domu, wierząc, że usłyszy, jeśli jakiś prom będzie siadał na pobliskim lądowisku. Nie zapaliła żadnych świateł – byłoby to głupotą, jak długo wiedziała, że gdzieś tam w górze jest statek i że obserwuje planetę. Lecz kiedyś w końcu statek odleci, a koloniści będą mieli masę pracy na swoim terenie. Wtedy będzie mogła włączyć światła. Nabrała pewności, że jej nie znajdą. Słyszała, jak mówili, że kolonia w tropikach to był głupi pomysł, co powinno oznaczać, że nie będą mieli ochoty badać tych terenów. A kiedy będą mieli – za dziesięć czy dwadzieścia lat, za trzydzieści albo za czterdzieści – ona będzie już bezpieczna – martwa.

Może przeczytają wtedy dziennik kolonii – również jej dopiski. Uśmiechnęła się szeroko, leżąc w ciemnościach, na myśl o tym, jak będą czytać prawdę, historie prawdziwych ludzi, a nie wersje oficjalne, same daty i nazwiska.

– Transport szósty. Na kursie.

Tak samo, jak wszystkie pozostałe, pomyślała Ofelia. Pięć promów pasażerskich już wylądowało; słuchała teraz z mniejszym napięciem. Najwyraźniej nikt nie poświęcał uwagi miejscu porzuconej kolonii, z którego nie byłoby żadnego pożytku. Opuściła nawet Centrum, by doglądać ogrodów, ugotować i zjeść posiłek, wypaść się we własnym, wygodnym łóżku. Wprawdzie zaczęła kompletować rzeczy konieczne do przetrwania, które mogłaby zabrać do lasu, jednak przerwała tę pracę. Teraz odpoczywała na krześle w szwalni, z radiem podkręconym do maksimum, nawlekając na sznurek pomalowane wcześniej koraliki.

– Lądowanie zakończone.

Nowy głos, bez wątpienia jedna ze specjalnie szkolonych kolonistek, obudzona pierwsza i zapędzona do pracy natychmiast po lądowaniu. Ofelia spróbowała wyobrazić sobie tę kobietę. Młoda, oczywiście. Czy ma dzieci? Sądząc z głosu – solidna, traktuje swoją pracę poważnie. Jeśli ma dzieci, ich ubranka są zawsze schludne. Ofelia przyjrzała się wzorowi naszyjnika i zdecydowała umieścić jeszcze jeden niebieski koralik między zielonymi. To znaczyło, że musi ściągnąć jeden żółty i jeden zielony; mrużąc oczy, patrzyła na nie.

– Mamy kłopot – usłyszała. Głos usiłował zachować spokój, lecz bez powodzenia.

Ofelia podniosła głowę, prawie spodziewając się, że zobaczy kogoś stojącego w drzwiach i mówiącego do niej. Nie. Głos dochodził wciąż z szarego pudełka, to działo się gdzieś indziej – cokolwiek w tej chwili miało miejsce.

– Jaki? – Znudzone, rzeczowe pytanie z orbitującego statku.

– Są tu jacyś... to... tu miało nie być inteligentnych form życia, ale to jest...

– Mów do rzeczy, dobrze?

– Jest tu około setki dużych... brązowych zwierząt. Posuwają się w naszym kierunku. W szyku. Mają na sobie jasne wzory i coś w rodzaju... – Hałas, którego Ofelia nie rozpoznała, choć brzmiał groźnie, hałas, który jej ciało pojęło, zanim mózg zanalizował dźwięk. – Próbują zabić... – Niedowierzanie w głosie.

Ofelia czuła to samo. Coś – jakieś zwierzęta – próbuje ich zabić? To absurd! Burze, owszem; powodzie, susze, zarazy, ale nie zwierzęta. Żadne stworzenie zdolne do wyrządzenia prawdziwej szkody nie zaatakowały pierwszej kolonii przez czterdzieści lat; planeta została zbadana; tamci chyba oszaleli.

Odłożyła korale i poszła do pomieszczenia sterowniczego. Jeśli ci ludzie mają także nadajnik video, nie tylko audio, może uda jej się ich zobaczyć. Przeszukała kanały, ale nigdzie nie znalazła obrazu. Będzie musiała nasłuchiwać.

Nawet jej wyobraźnia nie potrafiła tego wyjaśnić. Co to za istoty, nikt najwidoczniej nie wiedział. W ciągu następnych godzin kilka głosów powtarzało, że są one duże. Niejeden z mówiących wykrzykiwał coś nagle, zdumiony ich szybkością. Jak duże jest duże? Jak szybko znaczy szybko? Ani Ofelia, ani ci, którzy widzieli przecież istoty, nie mogli odgadnąć, czy są podobne do ssaków, czy raczej do gadów, i na ile są inteligentne.

Niezależnie od poziomu inteligencji, istoty zdecydowane były zabić kolonistów. Ofelia pochyliła się nad głośnikami, słuchając teraz już rozpoznanych dźwięków: z odgłosów poznawała, że jeden był wybuchem, a inny uderzeniami kamieni miotanych przez jakąś maszynę. Niektórzy z ludzi już zginęli, zabici padającymi kamieniami, eksplozjami. Tylko nieliczni mieli broń. Część umknęła do wnętrza promu na lądowisku. Pilot poprosił o zgodę na powrót na orbitę.

– Jesteś zbyt obciążony, by wracać – zrzuć ładunek...

– ...niemożliwe. Nie wyjdą na zewnątrz... może nam się udać...

– To mniej istotne. Musisz...

– Jeśli po wybuchu zostanie dziura w pasie, nie będziemy mieli żadnych szans; musimy startować teraz... – Nie było odpowiedzi, ale Ofelia dosłyszała mamrotanie pilota. – Przekłeci idioci... dalej, Tig, startuj dopalacz, będziemy potrzebować całej mocy...

A potem eksplozja, od której Ofelię zabolęły uszy, mimo że dźwięk był osłabiony odległością i wytłumieniem w głośnikach. Kilka sekund ciszy, później wywołanie ze statku:

– ...odezwij się... Carver, odpowiedz!

– Za późno, wy sukinsyny – trafili prom i pas startowy! – To był jeden z pozostałych nadajników z lądowiska. Ofelia poczuła ucisk w piersi. Te istoty wysadziły wahadłowiec? – Zabierzcie nas stąd!

– Trzy godziny, zanim dotrze do was następny prom. – Nowy głos ze statku, starszy, obdarzony większym autorytetem. – To będzie po lokalnym zachodzie słońca... będą potrzebować światła do lądowania. Na pokładzie są wszyscy przeszkoleni ludzie...

– Za trzy godziny nie będzie kogo ratować! – odpowiedział głos. – Światła... jak możemy... Cholera, zróbcie coś teraz! One się zbliżają... nie damy rady...

Ofelia poczuła na twarzy coś mokrego i oblizała wargi. Łzy. Płakała nad nimi, nad bezradnymi, pozbawionymi nadziei kolonistami, obudzonymi z hibernacji po to tylko, by zginąć na planecie, której jeszcze nie poznali. To dużo gorsze niż jej własny los, dużo gorsze niż praca przez czterdzieści lat na próżno. Ona już wiedziała, a oni mieli się dowiedzieć, że statki Kompanii bezpiecznie zawieszono w kosmosie nigdy nie podejmują ryzyka, jakim jest opuszczenie się w brudną atmosferę, dla jakichś tam kolonistów. Taniej jest utracić kilku osadników niż transportowiec międzysystemowy.

– Nie mamy żadnej broni orbita-ziemia – odpowiedział głos ze statku. – Polecam utworzyć okrąg obronny...

– Czym? – Ofelia skrzywiła się, słysząc gorycz w głosie. – Zostawiam włączony nadajnik, będziecie mieć swój cenny zapis wydarzeń – powiedzcie temu, kto badał tę planetę, że jest głuchy, ślepy i szalony...

Ofelia prawie przestała oddychać, gdy odległe dźwięki nie pozostawiały wątpliwości, co się dzieje. Istoty zdobyły lądowisko; Ofelia słyszała krzyki, większość z nich nieczytelnych, oraz dźwięki, które, jak sądziła, wydawały same istoty.

Ostatnie dźwięki transmisji to było głuche uderzenie, a potem chrupnięcie czegoś, co przewróciło i zmiażdżyło nadajnik. Ofelia wyszła z budynku; zapadał zmierzch, zmierzch tego samego dnia. Usłyszała odległy ryk, potem grzmiący huk: szybko podchodzący do lądowania prom, na innym kursie niż pozostałe.

Wróciła do środka, by słuchać. Załoga promu meldowała do statku na orbicie:

– Widoczne światło, tak. Profil termiczny sugeruje płonące szczątki, niecywilizowane źródło światła. Na podczerwieni mrowie – tysiące, dziesiątki tysięcy tych... cokolwiek to jest. Zapis na wszystkich częstotliwościach. To jest... o Boże, spójrzcie tam! Poderwij nas, Shin, wyżej! – Następnie, ponad bełkotem pytań padających ze statku: – Nie ma żadnych wątpliwości, są inteligentni. Używają narzędzi, z całą pewnością. Nie ma szans, że uda się nam tam usiąść po ciemku. Rano...

– ...przygotuj pełny raport dla Ministerstwa – odezwał się spokojny głos ze statku. – Rekonesans za dnia, na dużej wysokości. Nie ma sensu więcej ryzykować życia. Jestem pewien, że Kompania może uzyskać zwrot funduszy z powodu fałszywego przedstawienia sytuacji przez poprzedniego właściciela koncesji, a politykierom zostawimy decyzję, czy wysłać ekspedycję dyplomatyczną. To nie nasza sprawa.

– ...wziąć pod uwagę terytorium starej kolonii?

– Nie. Jeśli istnieje autochtoniczny gatunek, obdarzony inteligencją, zasady się zmieniły.

Niczego nie ruszamy; zdajemy raport. Jeśli wasze dane okażą się wystarczająco dobre, nie będziemy sobie nawet zaprzętać głowy rekonesansem dziennym. Tak czy inaczej, mamy bezpośredni przekaz z miejsca lądowania.

– Chciałbym wiedzieć, jakim cudem przegapili te – tych – te cosie.

– Nie nasz problem.

Ofelia słyszała już przedtem ten ton głosu. Ktokolwiek tam w górze siedział w bezpiecznym, klimatyzowanym statku, nigdy nie uważał za swój problem tego, że gdzieś indziej ginęli ludzie. Zacisnęła wargi. Powiedziałyby temu komuś chętnie, co o tym myśli. Jej wzrok przyciągnął nagle przełącznik nadajnika; do tej chwili nawet o nim nie pomyślała. Ale teraz – skoro ona słyszała ich, oni usłyszą ją. Jeśli się odezwie.

Nic dobrego z tego nie wyniknie. Wpakuje się tylko w kłopoty.

Przez dzień czy dwa mogła wierzyć, że nic się nie zmieniło. Zagrożenie znikło: nowa kolonia nie istniała. Jeśli istoty nie odnalazły jej przez ponad czterdzieści lat, czemu miałyby to nastąpić teraz? Może żyć dalej tak, jak do tej pory, mieszkać spokojnie w opustoszałej wiosce, nawlekać na sznurek korale, bawić się farbami, uprawiać ten mały skrawek ziemi, potrzebny do wyhodowania sobie żywności.

Zdecydowanym krokiem wyszła na zewnątrz, pomiędzy zwierzęta, ruszyła wolno brzegiem trawiastego pastwiska. W promieniach słońca, w mgiełce pyłku unoszonego wiatrem z kwitnących traw, mogła udawać, że nic się nie wydarzyło. Słońce grzało jej plecy; owce pachniały jak owce, a krowy... krowy strzygły do niej uszami, niuchały mokrymi nozdrzami i odsuwały się. Byk sapał i fukał, podrzucając głową w przód i w tył, ale nie na nią się złościł – raczej na coś po drugiej stronie rzeki.

Zwierzęta nie były bardziej zdenerwowane niż zazwyczaj. Ofelia powtarzała to sobie, nawet kiedy jej oddech stał się krótki, a na karku poczuła mrowienie. Wróciła do owiec, tłumacząc sobie, że są spokojniejsze, lecz wtedy wszystkie naraz poderwały głowy, wpatrując się w jeden punkt w lesie, gdzie Ofelia w ogóle niczego nie widziała ani nie słyszała.

Owce są głupie. Krowy są chimeryczne. Ofelia z wściekłością spojrzała na las i wróciła do swojego ogrodu. Tylko przez przypadek zawsze w końcu trafiała w róg ogrodu najbliższej kuchni, motyką przekopując ten sam kawałek ziemi i patrząc przez płataninę powoju na płocie, którego nigdy porządnie nie naprawiła, na pastwisko i zarośla poza nim.

Może to wszystko jej się przyśniło. W szkole słyszała, że nikt nie może zbyt długo żyć samotnie, nie tracąc zmysłów, nie rojąc sobie, że widzi i słyszy innych ludzi. Nigdy w to nie wierzyła, ale tak jej mówiono. A więc, jeśli oszalała, nie zdając sobie z tego sprawy, mogła wyobrazić sobie całe to zdarzenie. Ten drugi statek nigdy nie przyleciał i nic mu się nie przytrafiło. Nie wiedziała, dlaczego w wyobraźni przeznaczyła kolonistom tak okrutny los; to

musi być jakaś zła rysa na jej charakterze, prawdopodobnie ta sama, która kazała jej podjąć decyzję o pozostaniu samotnie na planecie.

Ten pomysł, zakorzeniony w jej umyśle, przyniósł kuszący owoc: łatwo będzie odkryć prawdę. Komputery musiały nagrać transmisje, jeśli były jakieś transmisje. Pozostaje tylko odegrać zapis. Lub odegrać ciszę i przekonać się, że wszystko zmyśliła.

Ofelia wiedziała swoje; nie potrzebuje żadnego komputera, by jej mówił, co jest prawdą, a co nie. Dzień po dniu chodziła do Centrum kontrolować wskaźniki, pogodę, zapisywać dane w dzienniku. Dzień po dniu przyglądała się zapisom komputerów i nie przewinęła ich wstecz.

Aż w końcu zrobiła to przez przypadek. Miała zamiar sprawdzić, kiedy w zeszłym roku siała marchew. Coś jej przeszkodziło; palec ześlizgnął się z klawisza, którym przewijała zapiski w kalendarzu.

– ...czym? – zapytał głos pełen gniewu i przerażenia, który nie należał do niej.

Więc to prawda, to wszystko się wydarzyło. Komputery nie kłamią, nie potrafią kłamać, a to oznacza, że głos z taśmy należy do rzeczywistego człowieka, rzeczywistego w swym gniewie i strachu.

A teraz był martwy. Nie zdając sobie z tego sprawy, Ofelia zaczęła dygotać; najpierw dłonie, potem całe ręce, stopy i nogi, całe ciało, wstrząsane tym samym strachem, drżało w szoku. Byli ludźmi – mogła ich znać, mogła z nimi rozmawiać – a teraz wszyscy są martwi.

– Oni nie żyją! – powiedziała głosem, który z trudem sobie przypominała. Jej umysł rozdzielił się jak spływająca po zboczu woda: zastanawiała się, dlaczego jest wzburzona, dlaczego się bała, dlaczego się już nie boi. Nie zabiłaby ich, tych obcych, chociaż ich tutaj nie chciała.

Znowu wyszła na zewnątrz, w kolejny dzień, który uparcie chciał być taki, jak wszystkie inne. Znowu było gorąco, parno, niebo było upstrzone chmurami, sunącymi wolno na równym wietrze. Czemu to miało jakieś znaczenie, że wszyscy nie żyją? Przybyli; odeszli; znowu była sama, a przecież chciała być sama.

To już nie to samo.

Nigdy już nie będzie tak samo.

Coś – nie, ktoś, jakieś istoty – żyły na tej planecie i chciały ją zabić – zabiły ludzi – a ona dotąd nie była świadoma, że takie zagrożenie istnieje. A teraz, choć starała się z całych sił, nie mogła się tej świadomości pozbyć.

W powietrzu unosił się smród; w oddali płonęły trawy, dymny pióropusz wznosił się w żałobie po gniazdach. Choć trawa wróci i okryje nagość ziemi swym szalem, Lud na zawsze zapamięta, gdzie znaczyły ją blizny. Ten zapach pozostanie.

Porażka, bębnią praworęcy. Nie porażka, zwycięstwo: tamci odeszli, my zostaliśmy, bębnią leworęcy. Jeden za drugim praworęcy zmieniają stronę, aż bębnienie leworękich brzmi całą mocą

Ludu.

Wysoko ponad nimi kręta biała smuga, tam gdzie przeleciał potwór, znaczy blizną samo powietrze. Praworęcy przypominają, że wiele pokoleń wstecz takie smugi widziano daleko na południu. Leworęcy dalej bębnią zwycięstwo, zwycięstwo, bezpieczeństwo, przystań, powrót.

Blizna na niebie rozwiewa się i znika. Nie ma już hałasów potwora wypełniających powietrze, nie ma smrodu. Lud tańczy, wijąc się w szeregu wokół wypalanej ziemi, wysyła długi, spiralny łańcuch tancerzy na poszukiwanie żywych źdźbeł trawy, które potem przekazywane są z rąk do rąk do środka kręgu, dopóki to miejsce nie zostanie obsadzone na nowo. Tańczą dalej, bębnią i tańczą, aż odpowiedzą im bębny wiatru, aż niebieski lud zbierze się, by odtańczyć własne wiry i spirale, zawodząc nad śladami potwora, wypełniając je słodkimi łzami, które odżywią trawę.

Po deszczu znów w drogę, podążając za bębnami wiatru poprzez trawy, obładowani tykwami Stworzyciela Błyskawic, Bijącego W Bęben, najmłodszy z Ludu przerzucają się pytaniami. Czemu blizny na niebie? Czemu potwory szare i zielone? Dlaczego płaskie twarze? Czemu bez skrzydeł, a stopy bez palców...

Nie bez palców, ktoś zawoła. Palce krótkie, stopy obute w ubranie bez palców.

Ubranie, nie pancerz?

Nie pancerz, ubranie.

Bez nich – żaden... pancerze.

Nieumocowane do ciała. Ubranie.

Więc – stwory z nieba też ubrani?

Dyskutują z ożywieniem nad tym, czy śmierdzące zwłoki wielkich lataczy to zrosnięte z ciałem pancerze, czy okrycia, czy może oddzielne stwory, sprzymierzeńcy potworów. Jeden uparcie twierdzi, że to maszyny, nie więcej niż skomplikowane mechanizmy, podobne do mechanizmów miotaczy kamieni. Pozostali wyśmiewają go. To miastowa bajka, wymyślili ją mieszkańcy wybrzeża, kiedy mózgi mieli zasnuwane dymem. Maszyny nie mogą latać... kto umiałby tak silnie napinać sznurki, by trzepotać skrzydłami?

Te skrzydła się nie poruszały.

To widzieliśmy.

To mogłoby zadziałać. Ten sam zapalenie: znają jego zamięłowanie do maszyn. Lud posiada dobre maszyny; dumni są z tego entuzjasty. To może zadziałać, lecz potrzebna jest jakaś nowa koncepcja. Biegną dalej susami, teraz jednak już w ciszy. Nie należy rozpraszać kogoś, kto jest na tropie nowego pomysłu; to jakby przeszkadzać łowcy na tropie zwierzyny, co oznacza wszak rezygnację z uczyty.

Entuzjasta maszyn pozostał w tyle; wiedzieli, co to znaczy. Przez jakiś czas siedzenie bez ruchu, potem poszukiwanie innych entuzjastów, przez jakiś czas zabawa patykami, kamykami

i ścięgami zwierząt, a na końcu powstanie nowe urządzenie, coś, czego nikt dotąd nie widział. Do tego czasu cała sprawa nie zaprzętała umysłów pozostałych.

Jeśli są gdzieś inni, ktoś zawołał, gdy już można było wołać.

Inni? Gdzie?

Legendy. Blizny na niebie. Gdzieś na południu. Inni. Sprzymierzeńcy sprzymierzeńców, sprzymierzeńców potworów.

Zaalarmowani, wszyscy skupili się w krąg. Więcej potworów, więcej podpalaczy gniazd, wydrapywaczy gniazd? Więcej złodziei i ich dzieci? Minie wiele pór wylęgu, zanim zasadzone teraz gniazda będą gotowe na przyjęcie młodych; w tym czasie trzeba będzie założyć gniazda gdzieś indziej, co oznacza nieprzyjazne lata walki o graniczne tereny z innymi, wędrującymi przez łąki. I czy powrócą potem, niecierpliwie wyglądając wielkiego gąszczu gniazd, tylko po to, by napotkać jeszcze więcej potworów?

Grupa starszych dosłyszała te lamenty i zawróciła, zagarniając ich. Po tych wcześniejszych bliznach na niebie nie widziano już więcej potworów. Jest prawdopodobne, że była to tylko wyprawa zwiadowcza, nic ponadto.

Nikt nigdy nie sprawdził.

Wiele pór lęgu. Potwory są prędkie. Nie ma potrzeby. Nikt nigdy nie sprawdził. Te słowa padły z ust młodzieńca tak zapalczego w tym względzie, jak w swojej dziedzinie zapalony był entuzjasta maszyn. Wiedzieli o tym wszyscy, jako że wiedzieli o sobie nawzajem wszystko.

Za daleko. Pustynia. Cierniowe zarośla. Potem za mokro, a drzewa za wysokie. Gorzej niż w miastach. To najgorsza obraza, dość mocna, by zniechęcić każdego, lecz nie tego młodzieńca, który miał determinację łowcy, by podążać za każdym śladem tam, dokąd go zaprowadzi.

– To śmierzący trop, powiedział w końcu jeden z najstarszych. U celu – nic dobrego. Pusty brzuch, potworów nie da się zjeść.

Próbowali tego, lecz w efekcie tylko wymiotowali spektakularnie w wypalonej trawie.

Gąszcze gniazd, powiedział jeden z nieśmiałych młodych. Na to wielu zaczęło sarkać. Skoro już nieśmiali się odzywają, cały Lud może się odwrócić, i to w momencie, gdy nowe gniazda mają pierwszeństwo.

W drogę... zabębnił leworęcy, przekazując rytm od grupy do grupy na tym skrzydle, a potem do centrum gromady. Idź, idź, idź. Szukaj, szukaj. Weź dosyć, lecz nie zbyt wielu.

Po porze gnieźdzenia? Grupa młodych nie paliła się aż tak do wędrowki przez suszę, słońce, ciernie, a potem bagna i wysokie drzewa dla niejadalnych potworów.

Teraz idź, zabębnił leworęcy. Teraz, teraz, teraz. W DROGĘ.

Grupa młodszych podzieliła się, a potem podzieliła ponownie. Entuzjaści, już nie tak zapalcywi, ale jak każdy łowca zaintrygowani nową zwierzyną. Nieśmiali młodzi, których tylko

jedna pora lęgu dzieliła od własnego gniazda. Kilkoro wrzaskliwych, których starsze grupy chętnie by się pozbyły. I ci starsi, którzy po drugim czy trzecim namyśle zdecydowali, że może to być przygoda, którzy słyszeli o połowach ryb na wybrzeżu dalej na południe, którzy mieli krewnego, który widział niebo pocięte bliznami. Wraz z nimi, w tykwach, workach i węzełkach Ludu nomadów wędrowała ich wiedza i umiejętności. Jak daleko by zaszli, jak długo by to trwało, Lud rozkoszował się podróżą, smakiem i naturą nowości i cenił możliwość zdobywania wiedzy.

Podczas marszu rozmawiali o potworach, przypominając sobie nawzajem wszystkie, najdrobniejsze szczegóły, wszystko, co widzieli, słyszeli, czuli węchem i smakiem (fe! ten obrzydliwy smak, skręcający żołądki), co przypuszczali. Żyworodni, jak trawożercy, na których Lud polował? Prawdopodobnie. Dwuforemni, jedni z pręcikami, drudzy z dziurkami. Dwu – wszystko, oprócz końcówek ramion i nóg, gdzie małe kawałki ciała wystawały im w pękach po pięć. Dziwna liczba, pięć. Dla niektórych święta – głównie dla rybożerców. Jak dokładnie widzieli tą parą oczu w płaskiej twarzy? Wystarczająco dokładnie, by celować ze strzelających rur; to dało się zauważyć. Po bokach głowy klapki: to mogą być uszy. Albo smakowce. Ci mali mają wielkie głowy, poza tym podobni do dużych. Tylko kilku małych, w większości duzi. Duzi, na czubku porośnięci ciemnym włosem, w odcieniach koloru ziemi. W przód i w tył przekazywali sobie obrazy. Tak. Każdy rozpozna teraz potwora, jeśli znów jakiegoś zobaczy.

Kwestia rozumu zajęła więcej czasu. Potwory miały na tyle rozumu, by rozpoznać zagrożenie, ale tak było z większością stworzeń, nawet bardzo głupich. Szybkie reakcje o niczym nie świadczą; Lud wiedział, że Noszący reagują szybko na wszystko, nawet na tresurę. Niektóre z tych rzeczy były maszynami, niektóre były bardzo dużymi maszynami, ale jak trudno jest zbudować maszynę do przenoszenia ziemi? Każde dziecko to potrafi. Poruszały się same. Nieprawda. Rzucono na nie zakłęcie. Nieprawda. Potwór nimi kierował.

Kto widział? Odpowiedź na to pytanie zdusiła wszystkie wątpliwości; potwór kierował maszyną, która spychała ziemię (i gniazda! wstrętni złodzieje!) i choć nikt nie zauważył skreconego ścięgna czy sznura, musiał tam być gdzieś w środku.

Powinniśmy byli lepiej się przyjrzeć.

Na maszyny, patrz! miłośnicy maszyn.

Oni też.

Tę dygresję skwitowano wzruszeniem ramion i gromada wróciła do rozważań, czy potwory mają rozum. Czy wiedziały, że rabują gniazda? Jakże mogły nie wiedzieć, gdy przed oczami miały znak Ludu, sploty i spirale z trawy, które ostrzegały o istnieniu gniazda i podawały imię opiekuna? Jeśli nie były ślepe, musiały zobaczyć. Jeśli miały rozum, musiały zrozumieć.

Tam i z powrotem ponad otwartą przestrzenią łąki przekazywano sobie argumenty, aż ktoś

zwietrzył zwierzynę i wybębnił krótki sygnał.

ROZDZIAŁ 6

Samotność ciążyła Ofelii jak kamień. Przez każdy dzień przedzierała się z wysiłkiem, zmuszała się do pracy w ogrodach, do opieki nad bydłem. Wielokrotnie łapała się na tym, że oto przerwała pracę i stoi z otwartymi ustami, sztywna, nasłuchując dźwięków, których – wiedziała – nie mogła słyszeć.

Nie rozumiała tego. Nie było tak, gdy odeszli inni koloniści, jej własny syn i synowa, ludzie, których знаła przez większość swojego życia. Wtedy poczuła się wolna. Wtedy puste ulice i ciche domy otwierały przed nią możliwości, jakich wcześniej nie miała. Wtedy nie życzyła sobie słyszeć żadnych głosów, a z upływem dni nawet ich wspomnienie zatarło się w jej pamięci, pozostawiając umysł w spokoju.

Teraz czuła się jak w pułapce. Puste ulice mogły być pełne wrogów, ciche domostwa mogły dać schronienie jej lękom. Nie potrafiła wymazać z pamięci tych dziwnych głosów, głosów ludzi, których nigdy nie widziała na oczy, wołających o pomoc, krzyczących w strachu i bólu. I śmierci.

Nie płakała długo kiedy umarł Humberto ani gdy umierały jej dzieci. Nie płakała na myśl o własnej śmierci; śmierć to śmierć, przychodzi po wszystkich i nie ma na to rady. Lecz teraz łkała, czując drżenie twarzy, wilgoć łez, ciekący nos, ślinę spływającą po podbródku – szloch staruszki pozbawiony wdzięku – oplakując ludzi, których nawet nie widziała i nie pragnęła widzieć. Przybyli z tak daleka, by umrzeć, a ona ich nie chciała.

Powoli, tak wolno, jak wolno ustępuje ból po głębokiej ranie, poczucie osamotnienia zanikało. Pozostał lęk. Coś zabiło tych wszystkich ludzi i zabije ją, jeśli ją znajdzie. Była nawet przygotowana, by umrzeć samotnie w tym świecie, kiedy zdecydowała, że tu zostanie. Ale trwała w przekonaniu, że umrze ze starości albo w wypadku. Nie zabiła z premedytacją.

Czuła się krucha, niechroniona i bezradna. W magazynie była jakaś broń, ale Ofelia wiedziała, że to jej nie uratuje. Nikt nie potrafi czuć bez przerwy; przecież jest człowiekiem, musi jeść, spać i korzystać z łazienki. Jeśli te istoty ją znajdą, z łatwością będą mogły ją zabić. Ofelia nie miała wątpliwości, że to zrobią, tak samo szybko, jak zabiły dziesiątki ludzi młodszych i silniejszych od niej.

Ale lęk także mijał, choć wolniej niż poczucie samotności. Czasem na kilka dni udawało jej się zapomnieć – nie na siłę, lecz po prostu gdy pogrążała się w niesystematycznych czynnościach swego życia. Jak dotąd, tamci nie znaleźli jej. Jeszcze jej nie zabili. Więc wciąż cieszyła się z różnych rzeczy i wciąż ich pragnęła. Pozbierała spod stołów w szwalni koraliki, które tam upuściła, i ponownie nawlokła je na sznurek. Zrobiła i pomalowała więcej koraliki, dodała wysuszone skorupki rurkośliza, strączki nasienne jednej rośliny, kępki długich włosów z krowich ogonów, które znalazła zaczepione o krzaki... nie była pewna, co właściwie robi, ale podobał jej

się wzór z klockowatych i cienkich kawałków, ich kolory, faktura i kształt. Gdy całą konstrukcję przymierzyła do ciała, okazało się, że trzeba coś dołożyć tu – jeszcze jeden sznurek koralu – i coś innego tam, żeby zachować równowagę, żeby całość nie zsuwała się z ramion. Przejrzała się w lustrze. Dziwne, jak rzadko to robiła: po raz ostatni chyba jeszcze przed tamtym lądowaniem. Nie chciała oglądać wyrazu swojej twarzy; obawiała się, że może się przestraszyć. Ale teraz – postać w lustrze prawie nie przypominała człowieka.

Gapiała się na siebie dalej. Czuła się tak samo – w zasadzie tak samo – a w lustrze jej własna twarz patrzyła nachmurzona, tym znajomym posępnym spojrzeniem, jakim zawsze witała swoje odbicie. Brwi były cieńsze i bielsze; siwe włosy stały się rozczochranym gąszczem srebra. Lecz wewnętrzne „ja” Ofelii, które z taką determinacją kazało jej nawlekać koraliki i pióra, wędnę i krowie włosie, i nasiona, które z taką pewnością potrafiło spleść ten sznurek z tamtym i przywiesić frędzle – to wewnętrzne „ja” nie miało pojęcia, jak Ofelia będzie wyglądała w czymś innym niż stare, szmatławe koszule robocze, spódnice i czepki sprzed lat.

„Nieprzyzwoicie”, odezwał się stary. „Zdumiewająco”, z aprobatą powiedział nowy głos. Jej ciało było stare, pomarszczone, obwisłe, poznaczone śladami zużycia po prawie osiemdziesięciu latach... lecz na nim, wzorzyste niczym pajęczyna, układały się migotliwe kolory i materie, które sama stworzyła. Gdy przeniosła ciężar ciała z bolącego biodra, cała ta masa zakołysała się, jakby Ofelia była podmuchem wiatru. Wielkie koralu z tyłu toczyły się po wklęsłościach jej pleców, przynosząc ulgę. Włókna roślin, układające się na ramionach, drapały swędzące miejsca, do których nigdy nie mogła dosięgnąć.

Stała przez chwilę, potem ostrożnie zdjęła okrycie. Nie będzie wygodne przy wielu czynnościach, które musiała wykonywać, ale lubiła jego dotyk. Będzie je często wkładać, była tego pewna. Tymczasem zawiązała kawałek materiału, którym przez większość czasu była owinięta, i uśmiechnęła się krzywo do lustra. Rosara nie byłaby zadowolona – to okrycie nie zasłaniało nóg, poza tym pod spodem była tylko własna, zużyta skóra Ofelii. Czując wyzwanie na myśl o Rosarze, zanurzyła palec w słoiku z czerwoną farbą, której używała do koralu, i w poprzek na piersiach namalowała czerwony pas. Czarna farba: kropki na policzkach, na czole, z boku ud. Niebieska: wąska linia na nosie. Zaczęła chichotać; nie miała pojęcia, jaka to świetna zabawa, traktować własne ciało jak materiał na dzieło sztuki. Zanurzoną w zielonej farbie dłoń odbiła na brzuchu, z przodu na udach, na obu pośladkach. Dłonie i stopy ochlapała na żółto. Potem, zostawiając żółte ślady, wyszła na ulicę, po raz pierwszy nie bojąc się, nie myśląc.

Padał lekki deszcz, ciepła mżawka, o której równie dobrze można by powiedzieć, że wisi w powietrzu. Ofelia chodziła tam i z powrotem po ulicy, dotykała drzwi mijanych domów, zostawiając łąciate, żółte i zielone odciski dłoni. Nagle zapragnęła wszystkie je naznaczyć; pobiegła z powrotem do Centrum, porwała słoik żółtej farby i krocząc od domu do domu, dotykała każdych drzwi. Z chwilą, gdy dotarła do połowy domów, przestała to już być tylko

zabawa; lęk powrócił w pośpiechu, wymagając dokończenia, przekonując, że stanie się coś okropnego, jeśli z jakiegoś powodu Ofelia przerwie, jeśli coś jej przeszkodzi, jeśli farba skończy się, zanim ostatnie drzwi zostaną naznaczone jej pieczęcią. Bez tchu, na bolących nogach, biegła Ofelia od drzwi do drzwi, od domu do domu, znacząc nawet szopy na narzędzia, składziki, przetwórnię odpadów, a potem znowu Centrum, wszystkie drzwi w budynku...

Panika ustępowała. Z zewnątrz dobiegł Ofelię pomruk gromu, mżawka uderzyła grubszymi kroplami i przeszła w deszcz. Ofelia pamiętała inne przypadki dziwnego samopoczucia przed burzą: złe przecucia, szalone myśli, dzikie zachowania. To tylko burza. Kiedy minie, ona poczuje się lepiej.

Wiatr uderzał grubymi kroplami o szyby w Centrum. Ofelia spojrzała na swoje ozdobione ciało i zaśmiała się. Co za wariactwo. Nie może w takim stanie położyć się do łóżka. Deszcz powinien zmyć farbę. Wyszła na zewnątrz i pozwoliła ciepłej ulewie spływać po swoim ciele, ścierała kropki i paski żółtymi dłońmi, aż stanęła w tęczowej kałuży. Dziwne, że kolory nie zlały się w jedną błotnistą plamę... Przez moment jej myśli zatrzymały się na tej zagadce, podczas gdy barwy omijały się nawzajem i tworzyły na ziemi kółka i kleksy. Potem bliższa salwa gromu posłała Ofelię biegiem do własnych naznaczonych dłońią drzwi. Może deszcz był ciepły, ale teraz poczuła chłód.

Wewnątrz wytarła się i zaczęła nucić pod nosem. Wspomnienia dziecięcych psot pędziły przez jej myśli. Placki z błota, bałagan w kuchni, to, jak kolorową kredą ucharakteryzowała nogę siostry na spuchniętą i zainfekowaną... Obie uważały, że to śmieszne, ale matka najpierw się przestraszyła, a potem wpadła w furję. Ofelia nawet teraz czuła płomień na policzkach, wspominając bicie, które za to dostała. Głupia, głupia, głupia... Była głupim dzieckiem, a teraz głupią starą kobietą, ale zabawa jest przednia. Pomalowanie siebie to świetna rzecz, i robi to jeszcze raz. Czemu nie? Skoro ma zginąć zabita przez jakieś nieznane zwierzęta albo istoty, może najpierw zabawić się, ile sił.

Po burzy bydło było zaniepokojone. Jedna z krów spłoszyła się i podrygującym kłusem oddalała się od rzeki; za nią pobiegły dwie inne, poruszając się jeszcze szybciej. Pomiędzy nimi Ofelia złowiła widok głowy cielaka, potem reszta małego stada z pomrukiem rzuciła się do ucieczki. Byk toczył dookoła wzrokiem, chcąc zmierzyć się z tym, co wystraszyło stado. Ofelia niczego nie dostrzegła. W połowie drogi do zabudowań krowy zwolniły i przemieszczały się niespokojnie. Ofelia minęła zagrodę dla cieląt, zbaczając w górę rzeki, gdzie nie było tyle pyłu. Krowy obserwowały ją z szeroko rozstawionymi uszami; byk odsunął się od rzeki, by dołączyć do stada. Policzyła znowu: czerwona z czarnym pyskiem, przysadzista ruda, rdzawo-czarna, podpalana z białą plamką, czysto podpalana, rudo-biała, rdzawo-czarna z białą plamką... czternaście krów, jeden byk, co najmniej jedno cielę. Z oddali słyszała inne, prawdopodobnie młode byczki, które biegały razem w grupie.

Naprawdę musiała wiedzieć, ile jest cieląt. Skręciła, zbliżając się do stada, ale nie wprost w jego kierunku. Ciemnoczerwony cielak koło czerwonej krowy z czarnym pyskiem. A tam jeszcze jeden, podpalany z białymi nogami, obok jednej z podpalanych. Krowy potrząsnęły łbami: Ofelia utrzymywała odległość, usiłując patrzeć pomiędzy krowimi ciałami, nogami i rozstawionymi uszami. Czyżby jeszcze jeden? Tak – jaśniejsze, czerwone ciele, wciśnięte w środek stada. Ofelia wróciła do wioski, mając krowy na oku, chcąc być pewna, że żadna nie ruszy na nią. Ta czerwona z czarnym pyskiem ma zły charakter.

Wróciwszy pomiędzy zabudowania, Ofelia zauważyła, że deszcz wcale nie zatarł jej szalonych znaków na drzwiach. Niektóre wciąż były jasne, nierozmyte, inne na wpół spływały, rozpuszczone przez wodę. Jeden wyglądał na rozmazany. Ofelia zapatrzyła się na niego – jak to się stało? Jakim cudem coś przesunęło się po znaku, prawie tak, jakby jakaś inna dłoń próbowała go zetrzeć?...

Jej peleryna falowała z tyłu w porywach wiatru. Ofelia śmiała się z siebie. Zachowywała się przecież jak szalona, dzika, tańczyła wkoło; było mokro. Z pewnością sama to zrobiła w pośpiechu. Poślizgnęła się i wyciągnęła rękę... Powoli uniosła dłoń do rozmazanego znaku. Tak, to mogło być na tej wysokości, jeśli się poślizgnęła na błocie. Jeżeli podparła się tu ręką, to mogło się zdarzyć. Nie pamiętała samego faktu, ale pamiętała, że często ślizgała się i obsuwała, pędząc od domu do domu, zdesperowana, chcąc oznaczyć wszystkie drzwi.

Na drzwiach jej domu żółty odcisk dłoni spłynął tylko odrobinę. Ofelia pchnęła drzwi i weszła do środka, pozostawiając je otwarte. Blade światło sączyło się przez okiennice; poczuła lekki zapach stęchlizny. Naprawdę powinnam częściej wietrzyć domy, pomyślała. Otworzyła okiennice w sypialni i pomacała materac. W ogóle nie był wilgotny. To musi być coś innego, zapewne ubrania pozostawione w szafie. Próbowała przypomnieć sobie, czyj to był dom, ale nie mogła. Po tej stronie osiedla dwie wielkie powodzie zniszczyły niektóre domy; ci, którzy przeżyli, zdecydowanie chcieli przenieść się na wyżej położone tereny, a do odbudowanych domostw wprowadzili się młodszy ludzie.

Nie żeby to teraz miało znaczenie. Ofelia położyła się na łóżku i przeciągnęła. Lubiła znajome zagłębienia i wypukłości własnego materaca, czasami jednak miło było przespać się na innym. Biodra leżały odrobinę za wysoko, a ramiona ciut za nisko, ale czuła się na tyle zmęczona, by mimo to natychmiast zapaść w sen. Gdy się obudziła, światło z zewnątrz było perłowe – słońce musiało się już obniżyć. Miała świadomość tego, że śniła jakiś żywy sen, w którym mieszały się kolory, muzyka i ruch, lecz zniknął on tak szybko, że nie mogła przywołać nic z tego marzenia. Znowu się przeciągnęła i powoli wstała. Znowu ten stęchły zapach; zmarszczyła nos. Może powinna zostawić zapalone światła, żeby dom wysechł.

Aktualna data znowu ją zaskoczyła. Czy już tyle dni minęło, odkąd przybyli... zginęli ci inni koloniści? Przez dłuższą chwilę siedziała, zastanawiając się, co napisać. Była samotna; była

przeżazona; wciąż nie chciała nawet myśleć o tym, co się wtedy zdarzyło.

Nie byli mi bliscy, napisała nareszcie. Ale żałuję, żałuję nawet bardziej, ponieważ nie chciałam, by tu przybyli. Ich rodziny myślą, że umarli samotnie; nie wiedzą, że jest tutaj ktoś, kto ich oplakuje.

Potem przewinęła cały kalendarz, robiąc krótkie notatki tam, gdzie coś zwróciło jej uwagę. Rozbolały ją plecy, a biodro zeszywniało. Wyłączyła w końcu komputer i dźwignęła się z krzesła. Jakże bolał każdy ruch po tak długim siedzeniu w jednej pozycji! Wydawało jej się to niemożliwe, że może się postarzeć, czuć się staro, lecz zdecydowanie była teraz sztywniejsza niż w chwili odjazdu Barta.

W szwalni obrzuciła koraliki niechętnym spojrzeniem. Jeśli znowu usiądzie, zeszywnieje na dobre. Ale nie była jeszcze śpiąca. Oparła się na stole, leniwie przetaczając koraliki. Kiedy była młoda, miała naszyjnik z lśniących niebieskich paciorków, obramowanych srebrem i miedzią. Zostawiła go w domu, dla siostry, gdy poślubiła Humberta. Nigdy nie lubił tego naszyjnika; podejrzewał, że był to prezent od Caitana. Miał słusność, choć Ofelia nigdy tego nie przyznała. Żałowała, że nie wie, jak uzyskać taki piękny kolor. Fabrykator miał opcję ustawiania kolorów, ale jego wersja ciemnego błękitu była matowym, błotnistym odcieniem, w niczym niepodobnym do barwy, którą Ofelia zapamiętała.

Dotknęła suchych kłosów; szeleściły pod jej palcami. Skręcone w grube, sztywne sznury, mogą służyć jako obramowanie potrzebne do nowego okrycia. Mogłaby je zafarbować... znieruchomiła, skóra ścierpła jej ze strachu. Co?... Żadnego dźwięku, choć uszy z wysiłkiem próbują usłyszeć coś ponad walącej głośnym rytmem jej własnej krwi. Nic nie widać, choć obróciła się powoli, bacznie obserwując wszystko dookoła. Nic. Nic, a jednak – wciąż stoi zaalarmowana, przekonana o niebezpieczeństwie.

Ten zapach. Taki sam, jak w tamtym domu. Stęchły, tak myślała, a jednak, gdy się nad tym zastanowiła, nie taki sam jak zapach pleśni. Ten zapach jest gęstszy od zapachu pleśni. Serce niby młotem wali w piersi: przyłożywszy pięść do boku, nie była zaskoczona, gdy poczuła gwałtowne tętnienie pod żebrami. Musiała przełknąć ślinę, choć w ustach nagle jej zaschło.

– Ja jestem tutaj – przemówiła do ciemności na zewnątrz, do ciszy, do pustki. Jej głos zabrzmiał dziwnie, chrapliwie, jak zakłócona transmisja. – Wyjdź, jeśli tam jesteś.

Wstrzymała oddech, potem wciągnęła powietrze. Tak, cokolwiek to było, miało zapach, i to inny zapach. Nowy. Najprawdopodobniej zwierzę, chyba z lasu, na tyle odważne, by zapuścić się do miasta, choć leśne stworzenia nigdy tego nie robiły.

Z całą pewnością siebie, na jaką udało jej się zdobyć, Ofelia wyszła ze szwalni i zbliżyła się do głównego wejścia Centrum. Światło wylewało się na zewnątrz z sieni za plecami kobiety i cień Ofelii rozciągał się daleko od jej stóp. Nie widziała niczego prócz plam światła po obu

stronach własnego cienia. W środku Centrum były wyłączniki lamp znajdujących się na zewnątrz budynku, używane rzadko, nawet gdy kolonia jeszcze istniała. Teraz Ofelia je przekreśliła. Zaświeciły tylko dwie żarówki; pozostałe musiały zostać uszkodzone przez burze. Lecz w tym ukośnie padającym świetle dostrzegła, że coś się porusza niżej, na drodze.

Potwór. Zwierzę. Obcy.

Śmiercionośny Obcy, który zabijał już ludzi.

Ofelia nie potrafiła zmusić się do wyjścia na ulicę ani do powrotu do Centrum. Nie mogła nawet wyłączyć światła. Spojrzała w drugą stronę. Coś innego poruszało się tam, ciemny kształt na tle jeszcze ciemniejszej nocy. Zbliżało się niewyraźną masą o tysiącu nóg i oczu jarzących się w świetle...

Krowy. Ofelia zwiśla oparta o framugę, podczas gdy kilka krów powoli przechodziło drogą. Pomiędzy nimi brykało cielątko. Jedna machnięciem ogona plasnęła w odciśnięty na drzwiach znak dłoni. A więc to były krowy. A ten zapach – czy to też krowy? Trudno powiedzieć, ale zwierzęta dodały dojrzały, złożony ślad do zapachów ulicy.

– Krowy – powiedziała Ofelia głośno. Zwierzęta drgnęły, nadstawiły szeroko uszu, zdając się prawie odsuwać od jej głosu. Chciało jej się śmiać; chciała zarżnąć krowy za to, że tak ją nastraszyły. – Aaou! – zawyla, nie wiedząc nawet, że ten wrzask rodzi się w głębi jej trzewi i wydostając się z niej, rani gardło. Krowy odskoczyły, zakreśliły się w miejscu i uciekły galopem z głośnym łoskotem kopyt na drodze.

– Głupie krowy! – zawołała za nimi Ofelia.

Pełna słusznego oburzenia, pstryknęła w wyłączniki światła w Centrum i krocząc z godnością, pomaszerowała do domu. Teraz, gdy przemówiła, odkryła, że ma ochotę mówić dalej, czuć znowu słowa w gardle, słyszeć swój głos w uszach, nie tylko w głowie.

– Ależ byłam głupia, tak się przestraszyć krów. Powinnam wiedzieć, że nocami wchodzi na ulice – w końcu nie ma żadnej bramy. – Lecz nawet wypowiadając te słowa, zastanawiała się... nigdy nie znajdowała gnoju między domami, no i dlaczego miałyby tu przychodzić? Jeśli regularnie plądrowały ogrody, musiałyby zauważyć szkody, jakie czyniły.

Jej głos zamarł nagle, jakby tylko tyle słów miała do wypowiedzenia, i teraz już się skończyły. Krowy weszły do miasteczka. Krowy przyszły tu, a krowy zazwyczaj tu nie przychodzą, przyszły jednak ponieważ... ponieważ chciały przyjść, ponieważ coś odstraszało je od rzeki.

To boli, być tak przerażonym dwa razy tej samej nocy. Ofelię bolały żebra od uderzeń serca, od bolesnego ściskania i wstrzymywania oddechu. Stała w kuchni, niezdolna do ruchu w jakimkolwiek kierunku, dopiero skurcz w stopie dźgnął ją takim bólem, że zwykły strach odszedł w zapomnienie. Przeniosła ciężar ciała na bolącą nogę, ze szlochaniem wdychała i wydychała powietrze, aż w końcu skurcz ustąpił. Była zmęczona i wszystko ją bolało. Jeśli

Obcy chcą ją zabić, mogą to zrobić, kiedy będzie spała.

W ciemności słyszała dalekie odgłosy pasącego się bydła, rytmiczny dźwięk rwania trawy. Lekka bryza poruszała powietrzem pomiędzy domami i owiewała jej ciało. Ofelia nie widziała niczego, absolutnie niczego oprócz rozbłysków, o których wiedziała, że są wewnątrz jej oczu. Zamknęła drzwi, starannie założyła sztabę i wróciła do łóżka.

Spała do późna; słońce przeświecające przez drzwi do ogrodu malowało kuchenną podłogę w pasy. Ofelia zasepiła się. Drzwi do ogrodu? Czyżby błędziła po omacku, by zamknąć na sztabę drzwi od frontu, a zapomniała o kuchennych drzwiach do ogrodu? Powinny przecież być zamknięte przez cały czas.

Nie mogła sobie przypomnieć. To już jej się zdarzało – myśleć, że zamknęła coś, co później okazywało się otwarte, czy że otwarła coś, co potem znajdowała zamknięte. Nie był to nowy objaw; zaczęło się, jeszcze zanim odjechał Barto. Nienawidziła tego swojego zapomnienia; czuła się przez nie jak idiotka. Wstała i zaczęła szukać tego czegoś, o co się uderzyła poprzedniego wieczoru; to przynajmniej usunie z drogi, póki pamięta.

Nie mogła jednak znaleźć nic pomiędzy frontowym wejściem (wciąż ze sztabą; przynajmniej tego nie spartaczyła) a drzwiami sypialni, co mogłoby dać jej stopie takiego podłego prztyczka. Krzesła były porządnie wsunięte pod kuchenny stół. Nic... chyba że całkiem się pogubiła w ciemności i uderzyła palcem o framugę drzwi do swojej dawnej sypialni. Ale gdyby tak było, pewnie by wyczuła rękami ścianę.

Obejrzała dokładnie pokój od otwartych kuchennych drzwi do drzwi sypialni, od okna do okna, sprawdziła ponownie krzesła i stół. Wszystko na swoim miejscu. W jaskrawym porannym słońcu, gdy bogate aromaty dojrzewającego ogrodu wpływały, niesione bryzą, do domu, z trudem przychodziło uwierzyć, że w nocy w ogóle coś było nie tak. Wciągnęła powietrze nosem. Żadnych dziwnych zapachów, choć zapach krów czuła wyraźnie. Gdy otworzyła drzwi frontowe, spostrzegła krowie placki, znaczące drogę jak kamienie w strumieniu.

Poszła po ogrodowy wózek i lekką łopatę i pozostałą część poranka spędziła, zbierając nawóz do dołu z kompostem. Krowy wróciły na łąkę, pasąc się spokojnie, jakby nigdy nic ich nie zaniepokoiło. Dużo łatwiej było zbierać gnój z ulic niż spomiędzy trawy. Ofelia powiedziała sobie, że jeśli tylko krowy będą przychodzić do miasta co noc, mogłaby roztrząsać nawóz na każdej grządce o każdej porze roku, a zbiornik przetwórci odpadów byłby pełen po brzegi. Oczywiście, nie chciała spędzać każdego dnia na zbieraniu gnoju; nie lubiła jego zapachu. Kiedy dół kompostowy był już pełny, wrzuciła resztę nawozu do zbiornika przetwórci, a potem wzięła prysznic, by pozbyć się zapachu. W Centrum zanotowała w dzienniku, że tej nocy krowy weszły do miasta. Zapewne nie znaczyło to nic, ale było nowością. Gdy sprawdzała ekran pogodowy, zauważyła jeden z morskich sztormów – pierwszy tego roku – daleko nad oceanem. To było niebezpieczniejsze od jakichkolwiek wyimaginowanych Obcych. Wynotowała listę zadań do

ukończenia, zanim nadejdzie huragan – jeśli nadejdzie. Naprawić okiennice, drzwi, upewnić się, że nic nie będzie luźno powiewać na wietrze. Mogłabym tym razem przeczekać burzę w Centrum, pomyślała. Mogłaby przenieść materac do jednej ze szwalni. Materac z mojej starej sypialni wystarczy, i jest niedaleko.

Ale okazał się zbyt ciężki, by sama go udźwignęła, droga zaś była mokra, poplamiona resztkami krowich placzków. Ofelia ze złością spojrzała na te plamy. Nie miała zamiaru ciągnąć swojego posłania przez krowi gnój, a potem spać na nim, nawet wiele dni później. Wózek także czuć było jeszcze gnojem. W magazynach przetwórci odpadów stały większe, cięższe wózki, używane dawniej do transportu; Ofelia poszła po jeden z nich. Nie mieścił się w drzwiach frontowych. Przeciągnęła materac do drzwi, mocując się z nim, wepchnęła go na wózek i pociągnęła do Centrum. Drzwi Centrum były szersze; wózek akurat się w nich mieścił... ale nie zmieścił się w drzwiach do szwalni. Ofelia ściągnęła materac z wózka i zostawiła go tam, gdzie upadł. Była zbyt zmęczona, by go jeszcze zawlec do szwalni.

Kiedy odstawiła wózek do magazynu, zapadał już mrok, a czuła się poirytowana i wykorzystana. Głupi sztorm, głupie krowy, głupi materac, głupi wózek. A już najgłupszy – ludzie, którzy zbudowali drzwi zbyt wąskie, żeby zmieścił się w nich wózek. I głupia Ofelia, która nie dogładnęła dziś ogrodu i rurkoślizy pewnie pocięły już połowę pomidorowych krzaków.

Wyszła w pośpiechu na zewnątrz, ale nie zauważyła żadnych szkód, jedynie rozgniecioną skorupkę rurkośliza między pomidorami. I jedną świeżą, wciąż błyszczącą. Zebrała wszystkie dojrzałe pomidory, jakie mogła odszukać w gęstniejącym mroku, i zabrała je do domu. Nie chciała teraz myśleć o tym rurkoślizie. Może rozdeptała go krowa. Może owca. Może morderczy Obcy, zamierzający ściąć jej głowę... ale w tej chwili nie chciała się tym martwić.

Wzięła prysznic; spływająca po ciele woda łagodziła jej irytację, tak jak kołła ból mięśni. Kiedy Ofelia wyszła spod prysznica i wytarła się do sucha, nabrała ochoty, żeby włożyć któreś ze swoich koralików. Białe, czerwone, brązowe. Potem przypomniała sobie, że nie zagniotła dziś ciasta: będzie musiała przygotować kolację od podstaw. Wzięła garść mąki, tłuszczu na palec, sypnęła soli i dodała odrobinę wody. Pod jej rękami ciasto uformowało się w pulchną, twardą kulę, z której odrywała mniejsze kawałki. Wyciągnęła rękę w stronę kuchenki i ustawiła płytę na grzanie. Potem kawałki ciasta rozwałkowała na okrągłe placki swoim prawie najlepszym wałkiem (Rosara zabrała ten najlepszy i Ofelia wciąż miała jej to za złe, chociaż synowa prawdopodobnie była wciąż w kriogenie, w drodze do miejsca, które jej się nie spodoba – kara gorsza, niż Ofelia komukolwiek by wymierzyła).

Rozkruszyła na patelni kielbasę, posiekała cebulę i zaczęła je smażyć. Już na niedługo wystarczy jej wieprzowej kielbasy; w końcu zjadła prawie całą wieprzowinę z zamrażarek Centrum. Ostatecznie będzie musiała zarznąć krowę albo owcę. Powinnam to zrobić, póki jeszcze mam dosyć siły, powiedziała sobie. Mówiła to także zeszej zimy, ale potem dalej jadła

zamrożone mięso, tłumacząc sobie, że mogłoby się zepsuć, a szkoda. Prawda była taka, że Ofelia lubiła wieprzowinę. Gdybyż tylko świnie nie zniknęły... Koloniści zarżnęli w końcu te, które zostały, gdy stało się jasne, że świnie, w przeciwieństwie do owiec i krów, nie pozostaną na terraformowanym obszarze wokół osiedla.

Kiedy kielbasa i cebula były na wpół usmażone, Ofelia wrzuciła placki na gorącą płytę, obróciła je widelcem i przerzuciła na swój talerz. Jeszcze parę minut na dosmażenie kielbasy i cebuli; pokroiła w plasterki świeże pomidory, pozwalając mięsu skwierczeć na patelni, potem dodała gałązki mięty i bazylii.

Nigdy nie znudziło jej się dobre jedzenie. Czasem starzy ludzie nie lubili jeść; pamiętała, jak narzekali na brak smaku albo po prostu nie jedli, ale ona miała więcej szczęścia. Kęs ciepłego pomidora, potem gorącej kielbasy z cebulą na podpłomyku, szczyptę mięty... tak. A jutro skończy plany na czas huraganu, jeśli ten w ogóle nadejdzie. Wróci do regularnych kontroli maszyn; minęło już kilka dni, odkąd sprawdzała pompy. Upewni się, że wszystko jest przygotowane na sztorm. A nawet podejmie walkę z tym materacem porzuconym przed szwalnią – niech go szlag.

ROZDZIAŁ 7

Rano huragan nad morzem przesunął się bliżej. Ekran pogodowy wyświetlał jego przewidywany kurs; jeśli nie zboczy gdzieś po drodze, rozszaleje się dokładnie nad osiedlem za cztery lub pięć dni. Nie był tak duży, jak sztorm sprzed dwóch lat, ale urośnie, zanim dosięgnie wybrzeża.

Krowy tego ranka metodycznie pochłaniały trawę, jakby przewidując konieczność zrobienia zapasów żywności przed burzą. Ofelia przypomniała sobie, że w ostatniej powodzi zginęło kilka krów. Czy powinna spróbować zagnać je do miasta, może nawet przeznaczyć jeden z budynków na schronienie dla nich? Czy wytrzymają drzwi i bramy ogrodów, gdyby zagnała zwierzęta do jednego z niewielu podwórek otoczonych murem?

Nie. Będzie się trzymać listy.

Wszystkie urządzenia działały poprawnie, ale Ofelia wiedziała, że przepaliło się kilka żarówek. Ich jednak nie mogła wymienić, odkąd zabrano zapasy z magazynu. Usiłowania, by zmusić fabrykator do produkcji żarówek – były w menu maszyny – zawsze spełzały na niczym, a nie знаła urządzenia na tyle dobrze, by odkryć dlaczego. Zamiast więc wymieniać żarówki, wykręciła te, które mogłyby zostać uszkodzone przez nadciągający huragan. To pozostawiło ją bez świateł przed Centrum i przetwórnią odpadów, ale i tak przecież rzadko tego oświetlenia używała.

Zjadłszy szybki obiad, wzięła narzędzia i zaczęła naprawiać te okiennice i drzwi, które mogłyby się urwać na silnym wietrze, a także przeciekające dachy i zwisające okapy. Znalazła ich więcej, niż się spodziewała. Próbowwała przypomnieć sobie, kiedy ostatnio je naprawiała, zwalczając w sobie poczucie winy, że nie sprawdza każdego domu, drzwi i okiennic codziennie. To byłoby niemożliwe, zdawała sobie z tego sprawę. Nie miałyby czasu na pracę w ogrodzie, na szycie czy cokolwiek innego. A jednak w taką dokuczliwą pogodę poprzedzającą główne uderzenie huraganu jej stary głos nękał ją, przypominając o obowiązkach i wytykając jej, że tak naprawdę nie musiała tracić czasu na robienie tych wszystkich ślicznych naszyjników.

Ale tak, musiała. Potrzebowała tego przez całe życie, nie wiedząc, że właśnie tego potrzebuje. Radość stwarzania, zabawy, była pustym miejscem, którego nie mogły wypełnić rodzina i obowiązki społeczne. Bardziej kochałabym swoje dzieci, myślała teraz, gdybym zdawała sobie sprawę z tego, jak ogromnie sama potrzebuję zabawy, gdybym uległa temu dziecinnemu pragnieniu obcowania z pięknymi przedmiotami i tworzenia piękna.

Tak rozmyślając, spędziła popołudnie, naprawiając z pół tuzina obluzowanych okiennic i mocując na nowo zamknięcie w drzwiach, w których urwał się haczyk. Dopiero przy tych drzwiach zatrzymała się, uświadamiając sobie, jak wiele z rzeczy, które naprawiała, wyglądało na uszkodzone raczej niż na zużyte. Ten haczyk, na przykład. Koloniści odkryli miejscowe drzewa,

z których uzyskiwali twarde drewno o zwartych i prostych włóknach. Trzymały się w nim tak gwoździe, jak i śruby; do obróbki potrzebne były ostre narzędzia. W ciągu czterdziestu lat większość oryginalnych umocowań nie oblużowała się. W jej własnym domu zawiasy i haczyki wciąż mocno się trzymały. To, co zazwyczaj się psuło, to żaluzje, złamane uderzeniem czegoś ciężkiego, albo zmęczony materiał w samych metalowych mocowaniach.

A tutaj... tutaj coś wyrwało zamknięcie. Przyjrząwszy się z bliska, mogła dostrzec drobne rysy w twardym drewnie, ukazujące czystą powierzchnię obok zniszczonego przez pogodę drzewa. Wstrząsnął nią zimny dreszcz. Próbowwała wyperswadować sobie tę panikę. Zrobiło to jakieś zwierzę. Jakieś zwierzę z lasu, jeden z tych sprytnych wspinaczy. Widziała, jak potrafią chwytać, ciągnąć, poszturchiwać przedmioty palcami o długich pazurach. Nie spieszo im było wejść do wioski po odejściu kolonistów, ale w końcu przyszły. To by wyjaśniało wszystkie te drobne niezwykłości kilku minionych dni.

Gdyby to te stworzenia zabiły tamtych kolonistów, już dawno zabiłyby ją także. Więc nie było tu tamtych, byli tylko ci drzewni wspinacze. Nie widziała ich, bo są nieśmiali. Nie są tak nieśmiali w lesie, ale to ich naturalne środowisko. Oczywiście, tutaj są nieśmiali, mają pewnie lepszy słuch niż ona, no i może lepszy wzrok. Z łatwością mogą usunąć się z drogi.

Dokręciła śrubę mocującą haczyk i sprawdziła, czy działa. Zaskoczył swobodnie. Potem zapuściła się w głąb domu. Pusty, jak tego oczekiwała. Zdmuchnięty kurz na podłodze pasował do jej teorii o leśnych zwierzętach; sama nawet mogła go poruszyć, gdy po raz ostatni tędy przechodziła. Wyszła z domu, zamknęła drzwi na haczyk i na sztabę i zapowiedziała sobie, że nie ulegnie pokusie przyjścia tu jeszcze raz tego wieczoru i sprawdzenia, czy sztaba jest na miejscu. Będzie dość czasu jutro, gdy zajmie się okiennicami w sąsiednim domu. Jedna część całkiem się oderwała: Ofelia zauważyła, że dotyka jej konar drzewa owocowego, nawet bez wiatru.

Rano, mimo gęstego, dusznego powietrza, lekki wiatr, który nie przynosił orzeźwienia, wskazywał na obecność burzy trochę dalej na południowy wschód. Ofelia ostrożnie ustawiła drabinę i wspięła się na nią, by obejrzeć dach swojego domu. Fabrykator wyprodukował dachówki z jakiegoś złożonego materiału: były lżejsze od ceramicznych, za to twardsze i wytrzymalsze. Koloniści pokryli dachy na nowo zaledwie pięć lat przed ewakuacją kolonii, kierowani zarówno koniecznością, jak i przezornością. Zgodnie z przewidywaniami Ofelii dachówki były całe, bez pęknięć. Kilka się oblużowało: te przybiła na miejscu nowymi szpilami.

Zeszła z drabiny, zaciągnęła ją do Centrum i weszła na nią ponownie. Dach Centrum miał bardziej skomplikowaną budowę, jako że pokrywał większy budynek, a przy tym zaprojektowany był w taki sposób, żeby gromadzić deszczówkę. Na początku koloniści nie wiedzieli, że tak łatwo jest oczyścić wodę z rzeki, i polegali na deszczówce trzymanej w cysternach.

Ofelia nie cierpiała chodzić po dachu Centrum, miejscami stromym; wgłębienia, gdzie

zbiegały się kąty, były śliskie i trudne do pokonania. Dach nie przeciekał w czasie poprzednich burz; zapewne mogłaby go zostawić w spokoju i tym razem. Uparte poczucie obowiązku zawiodło ją jednak aż do pierwszego szczytu. Było jej ciężej, niż kiedy wspinała – się po raz ostatni. Przedostała się przez zwieńczenie i usiadła, by odpocząć. Serce tłukło jej się głucho w piersi; straciła oddech; nie widziała też tak wyraźnie, jakby sobie tego życzyła.

Kiedy spojrzała w tył, ponad dachem własnego domu, na pastwisko owiec, dostrzegła w zaroślach jakiś ruch. Sama natychmiast zastygła w bezruchu: nie ruszyłaby się teraz, choćby ją ktoś dźgnął. Spomiędzy zarośli wyszło troje rudawych zwierząt, mniejszych niż owce. Z wysoko uniesionymi ogonami zwierzęta biegły przez trawy, aż zniknęły za domem Ofelii.

Leśni wspinacze, tak jak myślała. Jeden pojawił się na dachu jej domu, jego długie ramiona były zajęte... czyżby zrywał dachówki? Długa, wysmukła łapa uniosła się do pyska – zjadał coś, co miało na dachu gniazdo. Oblał ją pot, poczuła ulgę. Wspinacze nigdy nie stanowili groźby. Nie ma się czym martwić, chyba że zwierzęta pozrywają dachówki, a i to nie było poważnym zagrożeniem.

Zamachała ramionami i wspinacz znieruchomiał ze sztywno wzniesionymi ogonami.

– Siooo! – krzyknęła.

Wspinacz szarpnął się, jak trafiony kulą, przemknął po dachu i zniknął. Po chwili cała trójka pojawiła się ponownie, pędząc przez trawę w stronę zarośli. Dostrzegła krótkie przebłyski czerwonych ciał, poruszających się w krzakach, potem stworzenia zniknęły.

A więc jest coś dobrego, co można powiedzieć o wspinaniu się na dachy. Ofelii było lekko na sercu, czuła się znowu jak dziecko, i musiała sobie stanowczo przypomnieć, że nie powinna tutaj brykać. Rozejrzała się, lecz nie zauważyła nic ciekawego. Wszystkie dachówki przylegały, żadna nie była pęknięta. Jedyne realne zagrożenie mogłyby stanowić zapchane rury odpływowe, odprowadzające nadmiar wody w cysternach. Powoli, ostrożnie zeszła z dachu i w dół po drabinie. Odpływ zbiorników może sprawdzić już z ziemi.

Monitor pogodowy wyświetlał drogę huraganu i przewidywany kurs. Pierwszy szkwał powinien uderzyć następnego dnia, a główny atak huraganu miał nastąpić dzień później. Ofelia przeciągnęła materac przez resztę korytarza do szwalni i ułożyła go pod jednym ze stołów. Czuła niepokój: nie potrafiła zabrać się do pracy nad koralikami czy jakiegokolwiek innej. Wewnątrz budynku zgromadziła żywność – robi jeszcze kilka rund po ogrodach, zanim huragan się przybliży, bo warzywa będą dalej dojrzewać. Ale poza tym – obserwowała czapę chmur rozciągniętą na niebie, wielki łuk, który z godziny na godzinę okrywał jej świat jak pokrywą, z początku białą, potem szarą i coraz ciemniejszą.

Przez cały dzień wichura nie ustawała, przerwy między jej atakami były krótsze i wiatr nigdy nie milkł całkowicie. Ofelia zrobiła nowy projekt, nad którym chciała pracować, i w przerwie

między atakami wichury wróciła do domu po zapomniane rzeczy: zebrane nasiona, końcówki materiałów z dawniejszych jej projektów, ulubioną igłę do włóczki i najlepszy naparstek.

Miała zamiar wykonać kolejne plecione okrycie, weselsze niż poprzednie. Włożyła je, żeby przypomnieć sobie, gdzie pragnęła dokonać zmian. Chciała czegoś, w czym będzie jak burza: to miało być coś, co wzbudza wiatr i deszcz, błyskawice i grzmoty.

Najwięcej czasu zajęło wykucie dzwonek z kawałków metalu. Wprawdzie fabrykator mógł za nią zrobić dzwonki, ale wtedy nie mogłaby ich posłuchać, wybierając kształt pasujący do dźwięku, jakiego chciała. Głęboko w pamięci ukrywała wspomnienie wycieczki do muzeum kostiumów; przewodnik – adiunkt, wypowiedział jej umysł, dorzucając stare słowo razem ze wspomnieniem dźwięku – potrząsał kostiumami karnawałowymi, a ona myślała wtedy, jak bardzo dźwięk niektórych z nich przypomina deszcz. Teraz miała małe, wąskie cylindry, żeby falowały na frędzlach... i dźwięczały chłodno. Tak. Większe, okrągłejsze kształty z miedzi dawały głębszy dźwięk, jak mały strumyk, wpadający do szerszej strugi.

System kontroli pogody wypiszczwał swoje ostrzeżenie przed głównym uderzeniem huraganu, kiedy wciąż jeszcze bawiła się dźwiękami, wciąż mocowała brzęczące frędzle i dźwięczące łańcuszki, by zwisały z jej ramion. Weszła do pokoju i wyłączyła sygnał. Huragan uderzy z całą siłą jutro rano. Powinna się wyspać, póki jeszcze może.

Zadziwiająco trudno było jej zasnąć. Choć w kilku domach zwykła ucinąć sobie drzemkę, nie spędziła całej nocy w żadnym, prócz własnego, poza kilkoma pierwszymi miesiącami. Przyzwyczała się do większego łóżka i szerszego materaca. Centrum miało własny zestaw nocnych hałasów, na zewnątrz zaś przetaczały się hałaśliwe i gwałtowne wichury. Zasnęła w końcu, wbrew sobie, i obudziła się późno w niezmiennym, równym ryku burzy. Na zewnątrz wciąż było ciemno; sprawdziła stan pogody i odkryła, że huragan przyspieszył nieco, nadciągając nad ląd o kilka godzin wcześniej, niż przewidywała prognoza.

Świt nadszedł powoli pod pierzyną chmur i unoszącej się w powietrzu wody. Tak naprawdę Ofelia nie miała ochoty na śniadanie; wróciła do swojej pracy, usiłując nie słyszeć hałasu z zewnątrz. Ale ryk wiatru wzrastał się coraz bardziej; nawet budynek Centrum drżał od czasu do czasu w porywach wichury. Czy z domem wszystko w porządku? Kusiło ją, żeby otworzyć drzwi i wyrzeć, ale rozsądek odradzał jej to. Przerwała pracę nad metalowymi wisiorami – nie słyszała ich różnorodnych tonów – i wróciła do malowania koralików i nawlekania ich na nitki.

Czuła lekki ból w uszach, gdy ciśnienie obniżało się nieprzerwanie. Ogarnęło ją zmęczenie, aż w końcu położyła się z powrotem późnym rankiem. Zbudziła Ofelię cisza. Poszła otworzyć drzwi. Oto znowu znajdowała się w pełnym grozy oku cyklonu, pod jasnym słońcem na ciemnobłękitnym niebie; było popołudnie. Ofelia poszła do swojego domu. Deszcz niesiony wiatrem przecisnął się przez uszczelnienia drzwi frontowych i pozostawił na podłodze mokrą plamę, ale nie było innych szkód.

Wyszła z powrotem na zewnątrz. Na wschodzie blask słońca przemienił cały zwał chmur w rzeźbę ze śniegu, srebra i lazuru, ozdobną jak wielka beza. Ofelia, człapiąc po kałużach, szła drogą, mając cały czas baczenie na ten wschodni bastion. Ta burza wydała jej się nieco silniejsza niż inne. To by znaczyło, że Ofelia ma trochę więcej czasu na spacer, ale chciała być bezpieczna pod dachem, zanim huragan uderzy na nowo.

Przy drodze po prawej stronie dostrzegła stertę szczątków, brunatną i błotnisto-szarą płataninę z nitkami wyblakłej bieli. Skąd ją przywiało? Ofelia ostrożnie wybierała sobie drogę w tym kierunku, z przyjemnością czując mlaskające pomiędzy palcami stóp błoto.

Na jej wzrok odpowiedziało spojrzenie wpatrzonych w nią oczu, wielkich złotobrazowych oczu, których źrenice rozszerzyły się do granic możliwości. Sterta poruszyła się; dobiegł z niej odgłos podobny do gruchania całego stada gołębi. Ofelia patrzyła znieruchomiła, ledwo mogąc oddychać. Ta rozmokła masa czegoś – nie umiała powiedzieć, czego – miała oczy – była duża – była...

Usłyszała w oddali rytmiczne bębnienie, które musiało być zamierzone. Sterta czegoś wydała z siebie własny, słabszy bębniący dźwięk. Komunikacja. Ofelia wiedziała, czym to musi być. Obcy, potwory, które pozabijały tamtych ludzi. W końcu i ją znaleźli; tylko huragan ją ocalił, i to jedynie gdyby okazało się, że ich pozabijał. Od tego tu potrafiłaby chyba biec szybciej i zdążyłaby do Centrum. Miała taką nadzieję. Może wszyscy Obcy zginą w huraganie. Odwróciła się. Na odległym krańcu drogi poruszały się kształty. Wyprostowane, wyższe niż ona sama, tańczyły coraz bliżej, podnosząc wysoko nogi, jak krowy idące przez głęboką wodę. Nie mogła ich porównać do niczego, co widziała w życiu, czy co sobie wyobrażała. Istoty były w kolorze ziemi, w beżowe, brązowe, bladoszare i mieniące się pręgi. Ofelia nie umiała powiedzieć, czy to ich skóra, czy krótkowłose futro. Twarze – jeśli to były twarze – mieli tamci wyciągnięte jak dzioby ptaków, ale nie widziała piór ani skrzydeł. Tak jak ona, posiadali po dwie kończyny górne i dolne, ale – ale to nie było w porządku. Ofelia wycofała się pod ścianę. Tych nie prześcignie. Jej wnętrznościami targnął pierwotny strach; nagle poczuła niesmak w ustach i straciła ostrość widzenia.

Kimkolwiek byli, patrzyli na nią, prosto na nią, tak jak ludzie, nie jak zwierzęta. Mieli duże oczy, okolone sztywnymi rzęsami. Troje z nich zatrzymało się, by się jej przyjrzeć. Czworo pozostałych podeszło do tego, który upadł i, gadając dużo i hałaśliwie, po ptasiemu, pomogło mu wstać. Zdawał się słaby; opierał się na nich. Posiadał coś, co można by nazwać palcami, jak teraz dostrzegła, choć tworzyły raczej dziwnie wyglądającą dłoń.

Odwzajemniła spojrzenia tych, którzy się w nią wpatrywali. W niczym nie byli podobni do leśnych stworzeń, które widziała. Wyżsi, o dłuższych nogach i długich palcach u stóp, zakończonych twardymi, niebiesko-czarnymi paznokciami. Ich ciała obwieszane były wiszącymi na sznurach paciorków sakwami i tykwami w taki sposób, że Ofelii przywiodło to na myśl

żołnierzy. Wokół tego, co musiało być biodrami, nosili krótkie, postrzępione spódniczki ze skóry, lecz oprócz długich noży, ukrytych w pochwach, nie mieli niczego, co rozpoznałaby jako broń.

Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę; jeden z obserwujących ją wydał ochryply dźwięk, który zwrócił uwagę pozostałych. Wszyscy się w nią wpatrzyli; poczuła, że mogłaby się stopić pod spojrzeniami tak wielu oczu.

Światło zgasło nagle, gdy nadciągająca chmura zasłoniła słońce. Ofelia rzuciła okiem na niebo. Zbliża się – powinna już wracać do Centrum. Tamci także spojrzeli w górę, słysząc przetaczający się grzmot. Ofelia zrobiła jeden krok w bok. Ich głowy natychmiast podskoczyły, by znowu się w nią zapatrzeć, a kilku z nich wydało znajomy chrapliwy dźwięk. Zastanowiła się, czy rozumieli huragan, czy wiedzieli, że wraca, że kiedy nadejdzie, uderzy z całą mocą. Gdyby tylko udało jej się skryć pod dachem, a tych tam zostawić na zewnątrz, wichura mogłaby jeszcze zabrać ich wszystkich.

Ten ranny zakaszłał, wydając odgłos tak podobny do ludzkiego, że Ofelia musiała się odwrócić. Wspierający go pokleпали go po plecach, dokładnie tak, jak to robią ludzie. Tamten chrząkał i pluł grudkowatą plwociną. Ofelia rozejrzała się na boki. Raczej nie zdążyłaby do Centrum, nawet ruszając w tym momencie – ale zaledwie kilka metrów stąd były drzwi jednego z domostw. Gdyby udało jej się dotrzeć aż tam... Zrobiła jeszcze jeden ostrożny krok. I znów usłyszała szybką odpowiedź, ale stworzenia nie poruszyły się. Było to tak, jakby tylko wymieniały uwagi na temat jej poczynań.

Ośmielona tym, zrobiła jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Pomruk gromu rozległ się głośniejsz; jedna z istot znowu zabębniła. Odpowiedziało jej bębnienie dwóch innych, a potem całej grupy. Ich źrenice zwięzały się, gdy rozlegał się ten dźwięk. Ofelia przesuwiała się bokiem, jak krab, obserwując tamtych uważnie: zdawali się ją teraz ignorować. Delikatna mgielka poszarpanych wiatrem kropli deszczu schłodziła jej skórę – huragan uderzy w nich za kilka sekund. Była już przy drzwiach: mocowała się ze sztabą, potem z drzwiami, by je otworzyć i wciągnąć sztabę za sobą do środka. Po raz ostatni ogarnęła spojrzeniem małą grupkę na drodze. Wszyscy wpatrywali się w niebo, jakby zatroskani. Głupcy. Jeśli będą tam stać, wiatr porwie ich w dół drogi i roztrzaska o jakąś przeszkodę.

Zabójcy. Obcy. Intryganci. Nie chciała ich tu, tak jak nie chciała tej drugiej kolonii. Ale będzie się czuła winna, jeśli zginą, ponieważ zagroziła im drogę do schronienia – a gdyby mimo to przeżyli, będą rozwścieczeni.

– Hej! – zawołała. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. – Nadchodzi. – Wiedziała, że nie rozumieją ani słowa, nie bardziej, niż ona zrozumiałaby wydawane przez nich dźwięki. Wskazała na niebo. – Wiuuuu. Buuum. – Ręką kreśliła w powietrzu okręgi, wir. Stworzenia spojrzwały po sobie, potem znowu na nią. – No, chodźcie – powiedziała. Machnęła ręką wskazując wewnątrz budynku. Dwóch podpierających rannego przysunęło się do niej; inni wydawali

gardłowe odgłosy. – Szybciej – rzuciła Ofelia, gdyż zrobiło się ciemniej, a po drugiej stronie wioski słyszała już wycie wiatru.

W pośpiechu wpadli do budynku. Akurat miała czas odskoczyć, gdy przebiegli przez sień, wszyscy ośmioro, ten ranny kulejąc. Wichur i deszcz z rykiem przetaczały się ulicą; drzwi wyrwały jej się z rąk i tłukły się o ścianę jak oszalałe. Wilgotny wiatr zawirował wewnątrz. Ofelia ponownie chwyciła drzwi i zaczęła pchać; obok siebie poczuła ciepło, gdy jedna z istot przyłączyła się do niej. A gdy nareszcie drzwi odgrodziły ich od huraganu, inna istota podniosła sztabę i założyła ją na uchwytych.

Ofelia była więc z nimi sama w półmroku, w ogłuszającej furii burzy za drzwiami. Wyciągnęła rękę w stronę przełącznika światła, lecz natrafiła palcami na coś obcego: powierzchnia tego czegoś była lekko ciepła i szpeciniasta, jak łodygi pomidorów. Istota obok niej mruknęła i złapała rękę Ofelii swoją pazurzystą dłonią. Ofelia szarpnęła się w tył; poczuła, jak skóra na jej ręce napina się, ale istota nie zwolniła uścisku.

Panika na nic się nie zda. Ostrożnie, omijając istotę, wyciągnęła drugą rękę i odnalazła przełącznik. W tym nagłym rozbłysku światła dostrzegła, że oczy tamtych zmieniają się, rozszerzone źrenice zmniejszają się gwałtownie. Ten, który ją trzymał, zbliżył swoją twarz do jej twarzy, a potem puścił jej rękę. Ofelia strzepnęła dłonią i przyjrzała się jej: uścisk pozostawił zaczerwienienie, lecz nie uszkodził skóry.

Tu, w pomieszczeniu, poczuła ich zapach. To był ten zapach, który czuła już wcześniej, ten, którego nie umiała nazwać. Stłoczeni, w sztucznym świetle, wyglądali na większych i groźniejszych. Zwężone oczy i wyciągnięte twarze nadawały im kłótlawy wygląd; długie członki o palcach z twardymi paznokciami przywodziły na myśl zarówno szybkość, jak i okrucieństwo.

Musiała iść do toalety. Nie zhańbi się tutaj, na ich oczach. Postąpiła krok w kierunku centrum pomieszczenia, lecz ten, który złapał jej rękę, teraz schwycił ją za ramię. Znowu cichy pomruk.

– Puść – powiedziała Ofelia bez gniewu. – Idę tylko do drugiego pokoju. – Głębszy pomruk – to ten ze sznurem jasnoniebieskich kamieni – i uścisk zelżał.

Powoli, usiłując wyglądać niegroźnie, Ofelia przedostała się pomiędzy nimi (nie usunęli się z drogi) do drzwi łazienki. Może się tam ukryć, pomyślała nagle, póki huragan się nie skończy. A jeśli w tym domu jest okno w łazience, będzie nawet mogła uciec.

Drzwi łazienki miały tylko prostą zasuwkę i otwierały się do środka. Wichura deła w okiennice – okno drżało we framudze. Ofelia usiadła na muszli, krótkotrwały spokój minął. Jeśli istoty będą chciały wejść do środka, zrobią to z łatwością, godziny zaś miną, zanim ona będzie mogła wydostać się stąd przez okno. Jeśli w ogóle potrafi: okno było wysoko, a Ofelii nie

uśmiechała się myśl o gramoleniu się na muszlę, żeby do niego dosięgnąć.

Załatwiła się i siedziała na klapie, aż usłyszała walenie w drzwi. Znowu sparaliżował ją strach. Ale lepiej już wyjść niż być przez nich wyciąganą; tak było zawsze z Humberto. Otworzyła drzwi. Jedno ze stworzeń stało tam z wysuniętą głową. Czyżby chciało skorzystać z łazienki? Na pewno nie – nie wiedzą przecież, co to jest. Ofelia podniosła klapę... a co, jeśli pomyśla, że to woda do picia? Może nie stanie im się krzywda, a może ich to zabije. Spróbuje im jasno pokazać, że jest inne źródło wody.

Bokiem przesunęła się koło tamtych i weszła do wnęki kuchennej głównego pomieszczenia. Odkręciła wodę nad zlewem. Wszystkie głowy podniosły się: czuła się jak przyszpilona ich intensywnymi spojrzeniami. Ten, który zaglądał do łazienki, teraz stanął obok Ofelii. Pokazała mu, jak przekreślać kurki, puszczając i zamykając wodę.

Wyciągnął rękę do kurków: twarde paznokcie ślizgały się po metalu. Ofelia zrobiła to samo, żeby mu pomóc, ale uderzył ją w rękę. W oczach Ofelii błysnęła złość, jednak lata małżeństwa z Humbertem podpowiadały, że najlepiej stać obok i wyglądać na uległą. Zapulsował w niej gniew. Nie chciała znów znaleźć się w tej sytuacji, kiedy ktoś może odgonić ją biciem.

Stworzenie nadal walczyło z kurkiem; jedno z pozostałych wydało dźwięk, głośny akurat na tyle, by przebić się przez wycie huraganu. Ten majstrujący przy kurkach przerwał, otrząsnął się i z jednej z sakw wyłowił kawałek materiału, który wyglądał jak zamsz. Owinąwszy materiał wokół nurka, by znaleźć punkt zaczepienia, przekreślił go z łatwością.

Popłynęła woda. Teraz gardłowy dźwięk wydało kilka istot. Ta przy zlewie pogmerła przy sznurze z tykwą, odwiązała ją i podstawiła pod strumień wody. Gdy woda się przelała, stworzenie wręczyło tykwę jednemu z towarzyszy, który ostrożnie powąchał i spróbował.

Przez cały ten czas woda płynęła z kranu. Ryzykując następne uderzenie, Ofelia wyciągnęła rękę i zakręciła kurek. Znowu wszyscy popatrzyli na nią. Potem jeden z nich spojrział na żarówkę ponad głową i wskazał ją ruchem pyska – trudno było nie zrozumieć. Ofelia przeszła do wyłącznika światła i zademonstrowała jego działanie. Kolejne głośne mruknięcia... dyskusja, Ofelia była tego pewna. Jedno ze stworzeń, ale nie to, które testowało kurki, podeszło, by samemu wypróbować przełącznik. Tutaj długie pazury nie miały trudnego zadania. Jasno – ciemno – jasno. I jeszcze więcej pomrukiwania.

Nagle coś uderzyło w dom od zewnątrz, zadając cios, od którego zadrżały ściany i wyleciały okiennice w którejś sypialni. W pokoju zawył wiatr, wiatr niosący krople deszczu, chłoszczący policzki jak mokry ręcznik. Istoty rozproszyły się po kątach głównego pomieszczenia, uciekając przed bezpośrednimi uderzeniami wichury. Ofelia skuliła się przy drzwiach wejściowych i zastanawiała się, co trafiło w dom. Kiedy odważyła się zajrzeć do sypialni, zobaczyła, że podłoga jest już śliska od wody, a okno wypełnione gałęziami jakiegoś drzewa.

Może być tylko jeszcze gorzej. Ofelia widziała podstawę łóżka, zalany wodą materac,

dziecinne łóżeczko. Rozchlapując wodę, przesuwała się po podłodze, walczyła z wiatrem, aż doszła do zewnętrznej ściany. Woda spływała strumieniami po gałęziach drzewa i po murze, ale sama ściana wytrzymała. Na dworze błysnęło. Usłyszała przerażone skomlenie z sieni. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że obserwują ją dwie istoty. Jedna z nich uniosła stopę z kałuży przy drzwiach, a na jej twarzy malowała się oczywista i łatwa do odgadnięcia niechęć do przemoczenia nóg.

Typowe. Całą robotę zostawia jej. Ofelia nie miała na to ochoty. Przedostała się z powrotem przez pokój, zamknęła drzwi sypialni i zasunęła zasuwkę. Skoro wiatr popychał je z tamtej strony, nawet słaba zasuwka powinna wystarczyć. Szparą pod drzwiami wiał nieznośny przeciąg. Niedługo zacznie się przelewać woda. Ofelia rozejrzała się, szukając czegoś, czym można by uszczelnić drzwi. Stworzenia obserwowały ją w ciszy. Znalazła w końcu w szufladzie jakąś ścierkę do naczyń i zwinęła ją, by wepchnąć w szparę na progu.

Utknęła z – policzyła szybko – ośmioma Obcymi, mordercami, bez jedzenia, bez wygodnego łóżka. W domu jest druga sypialnia, ale... Przyszło jej do głowy, żeby obejrzeć tego rannego, tego, przez którego nieszczęśliwy wypadek wpadła w to całe zamieszanie.

Nie miała pewności, który to. Trzech rozłożyło się wspólnie na zniszczonej ławie, ale żaden z nich nie był tak sponiewierany jak ta przemoknięta sterta nieszczęścia, którą widziała na ulicy. Kiedy znaleźli te ręczniki, które leżały teraz brudnymi kupkami na podłodze? Była zbyt zmęczona, by się zastanawiać, ile czasu minęło albo co dokładnie zrobili. Mimo iż panika podpowiadała Ofelii, że mogą ją zabić we śnie, że nie wolno jej zasnąć, wyczerpanie zwałało kobietę z nóg. Umrze albo i nie umrze – w każdym razie prześpi się trochę.

ROZDZIAŁ 8

Ofelia zerwała się ze snu ogarnięta paniką, przekonana, że się dusi. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, odkryła, że może oddychać, i gdy uczucie panicznego strachu opuszczało ją, przypomniała sobie, że zasnęła w domu pełnym Obcych. Zasnęła przy zapalonych światłach. Zmusiła się do leżenia bez ruchu. Czuła coś za plecami, coś cieplejszego od powietrza, coś, co było... żywe. Zamrugała oczami, ale widziała tylko błędzące jasne plamki, które męczyły jej oczy także podczas innych nocy. Co się stało ze światłem?

Z oddali dobiegł ją pomruk grzmotu, ale ryk huraganu ustał. Słyszała monotonne kapanie deszczu spływającego z dachu. Główny atak sztormu musiał już minąć. Ale gdzie ona jest? I jaka to pora? Bolały ją plecy i ramiona; chore biodro przeszywał ból, gdy usiłowała się poruszyć – musiała stłumić jęk.

Stworzenie koło niej poruszyło się; zdała sobie sprawę z tego, że ono też czuwa. Istota wydała dźwięk podobny do bulgotania wody gotującej się w czajniku; Ofelia poczuła, że się przybliża. Zesztywniała... Istota dotknęła jej lekko, obmacała jej ciało i zatrzymała się na piersiach, gdzie serce waliło mocno, jakby chciało się wyrwać na wolność. Potem Ofelia przestała czuć dotyk. Zamrugała zdziwiona. Czego istota szukała?

Leżąc zaczęła wyodrębniać z ciemności niewyraźne kształty. Światło sączyło się przez okiennice: słońce już pewnie weszło. Zaburczało jej w brzuchu; znów musiała iść do toalety. Będzie potrzebowała światła, bo inaczej stanie na którymś ze stworzeń, a tego nie chciała. Spróbowała się przeciągnąć i biodro znów przeszył ból. Głupia noga. Musi przecież Ofelii służyć do ucieczki, jeśli tylko nadarzy się okazja. Powoli poruszała nogą w tył i w przód, dopóki ból nie zelżał.

Gdy obróciła się na bok, by podeprzeć się na rękach i wstać, istota obok niej znowu się podniosła. Ofelia dostrzegła wynurzający się z ciemności niewyraźny kształt, wyższy od niej nawet na siedząco. Ale istota nie dotknęła jej. Powoli, bo tylko tak mogła to zrobić rano, po nocy spędzonej na podłodze, Ofelia, gramoląc się, stanęła na nogi.. Widziała teraz kształty innych, którzy padli tam, gdzie stali, w kątach pokoju, skuleni obok siebie... Mogła przejść pomiędzy nimi.

Oczywiście szli za nią. Zapaliła światło, a gdy oni mrugali, podczas gdy ich źrenice zwięzały się, zdjęła sztabę z drzwi i otworzyła je. Lekki, ciepły deszcz padał równomiernie z wysoko płynących chmur. Ofelia czuła zapach gnijących roślin, krowiego nawozu, nawet mokrej wełny. Postąpiła krok na zewnątrz. Deszcz był tak ciepły, że czuło się go raczej jak dodatkową warstwę potu niż jak orzeźwiająca kąpiel. Ofelia spojrzała za siebie. Dwie istoty stały w sieni, patrząc na nią.

– Wróć tu – powiedziała. I poszła.

Znów ten chrapliwy dźwięk, wydany przez kilku z nich. Ofelia spojrzała przez ramię. Jeden wyszedł na deszcz, otrząsnął się i szedł za nią. Nie biegł, po prostu szedł, wysoko podnosząc nogi przy przestępowaniu kałuż. Ofelia szła naprzód, ignorując go. Była głodna, zmęczona, bolało ją biodro i chciała wrócić na własny teren. Nawet gdyby mieli ją zabić.

W Centrum przez drzwi wejściowe wypływała woda. Czyżby zapomniała je zamknąć, wychodząc? Czy może te stworzenia znalazły je i otworzyły? Ofelia weszła wprost w wielki bałagan. Wiatr musiał zagnać deszcz aż do samego końca głównego korytarza; woda wpływała do sąsiednich pomieszczeń, materac, który Ofelia zostawiła na podłodze szwalni, był nią przesiąknięty. Najwyraźniej wiatr zatrzęsął wewnętrzne drzwi i to zapobiegło poważniejszym szkodom.

Będzie musiała wymieść płynącą wodę, zanim będzie mogła tu gotować. Może jej dom nie jest tak zalany. Wróciła na zewnątrz, prawie zderzając się ze stworzeniem, które za nią podążało, i przeszła na drugą stronę drogi, do domu. Wewnątrz budynku było sucho... dopóki ona i to mokre stworzenie nie weszli i nie nakapali wody na podłogę. Ofelia wytarła się ręcznikiem i wręczyła suche ręczniki istotcie. Ta wzięła ręcznik i trzymała go z boku, patrząc na Ofelię wielkimi oczami.

Gderając, Ofelia odebrała stworzeniu ręcznik. Gorzej niż z dzieckiem. Na pewno wie, że jest mokre; na pewno widziało, jak ona się wyciera. Bardzo powoli wyciągnęła ręce i przesunęła ręcznikiem po górnej kończynie stworzenia. Zadrzało, ale nie ruszyło się z miejsca. Ofelia spróbowała jeszcze raz oddać mu ręcznik, ale nie wzięło go. I ciągle kapalo na jej podłogę! Głupek. Skąd więc mieli dość inteligencji, by pozabijać tamtych kolonistów? Osuszyła ręcznikiem jego drugą rękę, a gdy nie opierało się, wytarła także plecy i przód, a na końcu nogi. Potem owinęła wilgotnym ręcznikiem jego stopy, żeby wsiąkła w materiał kałuża wody, która została na podłodze.

Stworzenie mruknęło. Co to oznacza? Poruszyło gwałtownie kończynami i zamruczało ponownie. Ofelia spojrzała na nie ze złością. Czy jest za głupie, czy za leniwe, by samodzielnie wydostać stopy z ręcznika?

– Zrzuć go – poleciła.

Stworzenie znowu chrząknęło i szarpnęło się.

– Głupi dzieciak – powiedziała Ofelia i schyliła się, by zabrać ręcznik. – Głupi, leniwy, bezmyślny... – Na szczęście stworzenie nie rozumiało jej. Odzwyczała się od trzymania języka za zębami.

Przynajmniej było teraz suche i nie kapalo wodą na jej podłogę. Przeszła do kuchni, włączyła kuchenkę i wyjęła puszki. Potrzebowała chleba, mięsa i warzyw. Najpierw zrobi podplomyki. Nabrała pełną garść mąki, kiedy coś twardego dotknęło jej pleców; podskoczyła ze strachu,

rozsypując mąkę.

– Idiota! – rzuciła.

Stworzenie chrząknęło i puściło ją.

– Gotuję – wyjaśniła, tak jakby mogło ją zrozumieć. – Jestem głodna, więc gotuję.

Nabrała jeszcze jedną garść mąki, trochę tłuszczu, soli, wody i wymieszała składniki. Ciasto w dłoniach dawało poczucie spokoju, czegoś znajomego, co rozumiała lepiej niż większość rzeczy. Zagnieść, zagnieść, rozpląszczyć, zagnieść, zagnieść, rozpląszczyć. Odkubać mniejsze kawałki, rozpląszczyć, utoczyć krążki, na blachę. Ofelia czuła, że już cieknie jej ślinka: wystarczył sam zapach ciasta. Stworzenie wycofało się do drzwi frontowych z oczami utkwionymi w gorącej płycie, na której parowały placki. Czyżby bało się ognia? Można to wykorzystać, ale dopiero po jedzeniu. Otworzyła lodówkę i wyjęła kawałek kiełbasy. Pierwszy placek był gotowy: zawinęła go i zjadła z... własnym głodem. Placek był tak gorący, że poparzył jej język. Pamiętała, żeby na drugim placku rozsmarować trochę dżemu, który zrobiła tej wiosny. Już lepiej. Kiełbasa skwierczała; Ofelia pokroiła ziemniaki na plasterki, by usmażyć je w tłuszczu po kiełbasie. Poszukała stworzenia i znalazła je na środku pokoju, wpatrzone z widoczną fascynacją w drzwi lodówki. Otworzyła ją znów, obserwując stworzenie; odpowiedziało spojrzeniem i zamruczało.

– Nie można jej na długo zostawiać otwartej – powiedziała Ofelia i zamknęła drzwiczki. Zastanawiała się, czy stworzenie też jest głodne i pomyślała, czyby nie dać mu czegoś do jedzenia, ale kiedy się odwróciła, zniknęło. Tylko mokry ręcznik na podłodze dowodził, że w ogóle tam było.

Ofelia skończyła posiłek i wróciła do Centrum, by wymieść wodę, a wtedy stworzenia wróciły. Deszcz był drobniejszy, ale wciąż padał równo. Ofelia miotłą spychała wodę na drogę, po której już i tak płynęły strumienie, a rowy odwadniające były pełne. Nie zauważyła tamtych, dopóki nie stanęli w sieni, kiedy spychała właśnie wodę ku drzwiom. Było ich trzech czy czterech i nie poruszali się. Ofelia pchała miotłę w ich kierunku.

– Cofnijcie się.

Ani drgnęli. Niewychowani. Mocniej pchnęła miotłę i fala brudnej wody przetoczyła się po ich stopach. Jeden zaskrzeczał i wycofał się, ale pozostali dwaj stali w miejscu.

– Zrobię to jeszcze raz – ostrzegła ich Ofelia.

I gdy tak stali, głupi jak krowy, pomyślała, chlusnęła na ich stopy kolejną falą wody. Jeszcze dwa skrzekliwe odgłosy i wszyscy wycofali się, patrząc po sobie. Wróciła na koniec korytarza. Kiedy znowu dotarła do drzwi, byli z powrotem, ale usunęli się na boki, zanim wypchnęła wodę na zewnątrz.

Tym razem podążyli za nią do środka. Nie zważała na mokre cmokanie stóp na podłodze. Co

prawda wolałaby, żeby się wysuszyli, zamiast stawać jej na drodze, kapiąc wodą, ale nie miała zamiaru przerywać pracy i szukać ręczników. Usuwali jej się z drogi, gdy przechodziła z miotłą, ale poza tym po prostu stali i patrzyli, jak pracuje.

Leniwi i zepsuci, zdecydowała Ofelia. Niewychowani, leniwi i zepsuci. Jeśli nawet mieli matki, te matki nigdy nie nauczyły ich pomagać w domu. Jeżeli mieli domy. Na tę myśl przystanęła i spojrzała na nich. Na pewno mają domy. Inteligentne zwierzęta budują schronienia, po tym między innymi poznaje się, czy są inteligentne. Któż by chciał tkwić pod gołym niebem w czasie burzy, szarpany wiatrem i mokry od deszczu? Na pewno nie te stworzenia: widziała jedno sponiewierane przez huragan. A więc muszą mieć domy, a skoro mają domy, ktoś musi w nich sprzątać. Czyli powinni to umieć.

To stwierdziwszy, Ofelia podeszła do schowka i wyciągnęła miotłę i mop. Jeśli mają zamiar ją zabić, mogą równie dobrze zapracować na ten przywilej. Wróciła korytarzem, ciągnąc za sobą obie miotły i mop; stworzenia stały nadal kompletnie bierne.

– Proszę – powiedziała Ofelia, wyciągając przed siebie miotłę.

Jedno ze stworzeń wysunęło rękę i wzięło ją. Innemu podała mop i także go wzięło, trzymając go w taki sposób, jak dziecko, które nie jest pewne, czemu służy jakiś przedmiot. Ale ona nauczy tych tutaj. Nauczyła własne dzieci. I nie ma zamiaru stać się niepłatną gospodynią domową dla bandy Obcych.

– W ten sposób – powiedziała, demonstrując, jak należy pchać miotłę.

Stworzenie trzymające drugą miotłę patrzyło i patrzyło tymi swoimi wielkimi oczami, a potem spojrzało na towarzyszy i zagadało, wydając serię pochrząkiwań zakończonych ciekim skrzekiem. Inni odpowiedzieli, skrzecząc. Ofelia miała swoje przypuszczenia co do treści wymienionych informacji.

– Tak, naprawdę oczekuję, że tego użyjesz – odezwała się surowo. – Podłoga jest mokra. Ty jesteś większy ode mnie i silniejszy. Pchaj miotłę.

Stworzenie ściskające miotłę na próbę przejechało nią po podłodze, kiwając sprzętem na boki, zupełnie jak dziecko.

– Mocniej – upomniała Ofelia. – Przyciskaj mocniej do podłogi. – Pokazała znowu.

Stworzenie pchnęło nieco mocniej, nie dość mocno, ale jak na początek całkiem nieźle.

– No, dalej – zachęcała Ofelia, machając ręką w stronę kałuży wody stojącej tam, gdzie podłoga była nierówna.

Stworzenie spojrzało na nią, na swych towarzyszy, a potem pchnęło miotłę przez kałużę – bez większych efektów.

– A ty – zwróciła się Ofelia do tego z mopem – rób w ten sposób. – Jako że nie miała drugiego mopa, położyła dłonie na rękach tamtego trzymających kij i siłą ustawiła przyrząd w odpowiedniej pozycji. – Sznurki wchłaniają wodę – wyjaśniła. Chociaż stworzenia nie mogły

jej zrozumieć, czuła się lepiej, tłumacząc wszystko na głos. Skoro otaczają cię ludzie, mów do nich. Pod swoimi dłońmi czuła dłonie stworzenia, duże i kościste, twardsze od ludzkich i dziwnie zbudowane. – Kiedy mop nasiąknie wodą, wyciskasz go – mówiła. Kiedy spróbowała unieść kij na taką wysokość, by móc wykręcić sznurki, stworzenie zeszywniało, stawiając opór ruchowi w tym kierunku. Wydało terkoczący głos, a pozostałe dwa zaczęły pochrząkiwać w odpowiedzi.

Ofelia popatrzyła na jego twarz i zobaczyła, że powieki ma prawie całkowicie zamknięte. Coś było nie tak. Puściła dłonie stworzenia zaciśnięte na kiju – od razu uniosło powieki. Zamruczało. No cóż. Może uda jej się znaleźć jeszcze jedną miotłę. Swoją wręczyła trzeciemu stworzeniu i wskazała kałużę, którą jego towarzysze bardziej beltali niż zmiatali. Potem poszła z powrotem do schowka po miotłę.

Gestami i popychaniem nakłoniła ich, żeby spychali wodę mniej więcej w kierunku drzwi, a w tym czasie sama używała mopa. Nie lubiła tego, ale nie lubiła też mokrych podłóg. Na zewnątrz wciąż padał równy, poburzowy deszcz.

Zdążyła zgłodnieć, kiedy pojawiły się pozostałe stworzenia i hałaśliwie przeszkadzały „jej” stworzeniom w pracy. Tak to przynajmniej wyglądało. Nowo przybyli chrząkali, skrzeczeli i mamrotali; ci z miotłami upuścili je na podłogę i wszyscy zaczęli się w nią wpatrywać. Znowu poczuła presję ich wyteżonej uwagi. Nie podobało jej się to. Wołałaby, żeby ją zabili albo poszli sobie, żeby zrobili cokolwiek, tylko żeby nie męczyli jej, patrząc na nią w ten sposób.

Podłoga była już tylko wilgotna; Ofelia nie potrzebowała więcej pomocy.

– Idźcie – powiedziała, machając w ich stronę ręką. – Zostawcie mnie samą, no już.

Zamiast jednak odejść, ci nowo przybyli weszli na dobre do środka i kapali; wokół nich zaczęły się tworzyć nowe kałuże.

– Idioci! – zawołała Ofelia. – Jak dzieci!

Podniosła mop i na nowo zaczęła zbierać wodę wokół ich stóp. Za jej plecami ci, którzy sprząтали, mamrotali coś do tych, którzy dopiero przyszli, oni zaś odpowiadali mamrotaniem. Nowi goście stali na swoich miejscach: Ofelia musiała wpychać mop pod ich długiej ciemne palce o grubych, czarnych paznokciach, a potem musiała przepychać się między nimi, żeby wykręcić sznurki na zewnątrz. Nie uczynili żadnego ruchu, by jej pomóc czy usunąć się z drogi.

Cali oni. Tacy właśnie są. Nie kłopotowała się zgłębianiem dokładnego znaczenia tego zaimka – przyczyny tego, czego doświadczała. Gdy starła już nowe kałuże, wykręciła mop po raz ostatni i oparła go o ścianę przy drzwiach. Stworzenia dyskutowały jakiś problem – zapewne, jak będę smakować, pomyślała Ofelia – i nie zwracały na nią uwagi. Wciąż czuła głód. Dalej, w głębi głównego korytarza, za pomieszczeniami maszynowymi, była kuchnia i spiżarnia. Ofelia poszła stworzeniom ostatnie, pełne obrzydzenia spojrzenie i odeszła. Za plecami usłyszała zaalarmowane głosy i klekot pazurów na twardej podłodze. Po jakimś czasie dopiero uświadomiła sobie, dlaczego wcześniej nie zwróciła uwagi na te dźwięki: w czasie burzy było

zbyt głośno, a rozmawiała ze stworzeniami tylko w tym pomieszczeniu. Spizarnie Centrum mieściły podstawowe produkty: mąkę, cukier, sól, suszone drożdże, proszek do pieczenia i sodę spożywczą, suchą fasolę i groch oraz zamrażarki, już nie tak pełne mięsa i innych produktów o krótkiej trwałości. Ofelia zapaliła już światła w kuchni, kiedy wchodziła; teraz włączyła światło w spizarni po lewej. Była zbyt głodna, by czekać, aż ugotuje się fasola. Zajrzała do zamrażarki. Z każdego gospodarstwa przynoszono jakieś gotowe dania, na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń: gulasze, potrawki, zupy. W ciągu tych lat niewiele z tego zjadła, ponieważ wołała własną kuchnię. Teraz wyjęła paczkę przyniesioną przez Ariane; na pudełku było jej imię i nazwisko oraz zawartość: gulasz z baraniny. Ofelia włożyła paczkę do kuchennej odmrażarki i szperała po szafkach, szukając rondelka, żeby podgrzać potrawę. Zanim jakiś znalazła, paczka była już miękka. Otworzyła ją i włożyła zimną bryłę do rondelka.

Kiedy podgrzewała gulasz, do kuchni weszli tamci. Byli jak dzieci, wszędzie węszyli i zaglądali. Wypróbowali kurki nad zlewem – zapamiętali więc, czego ich nauczyła w domu. Otwierali szafki, podnosili i odstawiali wszystko, co mogli ruszyć z miejsca, a nawet włączyli światło w drugiej spizarni. Jeden z nich podszedł do niej i bardzo powoli dotknął jej ręki, w której trzymała łyżkę i mieszała potrawę. Zamruczał cicho.

Jak długo nie zabierają się do zabijania jej, może być wobec nich uprzejma.

– Gotuję gulasz – wyjaśniła. – To jest łyżka, to garnek, a to kuchenka. – Stworzenie pochyliło głowę nisko nad rondlem i odskoczyło, gdy gulasz zabulgotał.

– Gorące – powiedziała Ofelia, tak jak zwróciłaby się do małego dziecka. – Uważaj, to gorące.

Aż podskoczyła, słysząc za plecami trzask, i obróciła się szybko. Jedno ze stworzeń próbowało wyjąć z szafki talerze i kilka upuściło.

Wróciła do swojego gulaszu, który już był dostatecznie gorący, i wyłączyła kuchenkę. Potrzeba jej teraz miski. Jeśli dobrze zapamiętała, małe miski stały po tej stronie szafek z porcelaną. Otworzyła jedną i znalazła wazy; w następnej były małe miski. Stworzenia patrzyły, jak Ofelia wyjmuje miskę, a potem łyżkę z szuflady poniżej. Przełożyła swój gulasz – tak naprawdę gulasz Ariane – do miski.

Spróbowała. Ariane była dobrą kucharką, ale przy tym daniu okazała się bardziej konserwatywna, niż gotując dla rodziny, jako że potrawa przeznaczona została dla całej społeczności. Ofelia dodałaby więcej majeranku i pieprzu. Ale jedzenie było dobre, a ona głodna.

Wracała korytarzem, słysząc za sobą stukanie wielu pazurów. Do diaska. Nie może zostawić tych istot samych tutaj, w Centrum. A jeśli dostaną się do pomieszczeń sterowniczych i zaczną naciskać guziki? Albo jeśli zepsują maszyny, od których zależy jej życie? Odwróciła się, i oto tamci stali za nią, trzymając się blisko, z jaśniejącymi oczami, tryskający energią.

Będzie musiała czuwać. Zastanowiła się, czy umiałyby zrobić zamki do tych drzwi, na

których otwieranie nie chciała im pozwolić. Ich dłonie nie były tak zręczne, jak jej; nie radziły sobie nawet z kurkami. Przypuszczała, że jej przeszkodzą, kiedy zobaczą, że blokuje im gdzieś drogę. Ta myśl na dobre jeszcze nie przemknęła Ofelii przez głowę, a już jedno ze stworzeń otwierało drzwi do sterowni i skrzeczało głośno.

O nie. Ofelia przepchnęła się obok tamtych, używając łokci, chociaż skrzeczeli i chrząpali. Potem stanęła przodem do nich, rozłożywszy ręce.

– Wyoście się stąd!

Miało to taki skutek, jak rozmowa z małym szczeniaczkiem albo cudzym dzieckiem: omijając ją wzrokiem, patrzyli na kolorowe światła, wskaźniki, ekrany monitorów migające raportami o bieżącym stanie urządzeń. Chrząpali do siebie i pchali się naprzód.

– Nie! – Ofelia tupnęła nogą; stanęli, jakby uderzyła ich czymś ciężkim, i zapatrzili się na nią. – To nie dla was – powiedziała. – Zepsujecie to. Zniszczycie.

Stworzenie na przedzie wydało z siebie długi, wibrujący świergot i machnęło ręką w stronę pomieszczenia. Ofelia pokręciła głową.

– Nie. Nie. Dla. Was. Niebezpieczne. – Zastanowiła się, jak im pokazać niebezpieczeństwo. Czy znają elektryczność? – Zzzzt! – wyrzuciła z siebie, udając, że dotyka czegoś, a potem odskoczyła, potrząsając dłonią.

– Zzzzt... – To był pierwszy dźwięk wydany przez nią i powtórzony przez jedno ze stworzeń.

Co znaczyło zzzzt w ich języku? A co ważniejsze, czy to powstrzyma stworzenia przed węszeniem tu i niszczeniem rzeczy? Ofelia próbowała sobie przypomnieć z dzieciństwa lekcje na temat elektryczności. Piorun to też elektryczność; pioruny muszą znać. Czy uda jej się to przekazać?

Ten na przedzie powoli wyciągnął swoje długie ciemne pazury w stronę jednego z pulpity sterowniczych.

– Zzzt... – Wypowiedział ten dźwięk nie tak twardo, jak Ofelia, i poderwał rękę z powrotem, jakby coś go ukłuło.

Ofelia skinęła głową; przynajmniej to zrozumieli.

– Tak, zzzt. Boli. Wielkie ajaj.

Czuła się głupio, mówiąc do nich, jakby byli dziećmi pakującymi się w kłopoty, ale to działało.

Stworzenie wyciągnęło górną kończynę do Ofelii, prawie jej dotykając. Przechyliło głowę na bok, ukazując jedno oko bardziej niż drugie.

– Zzzt... – powiedziało znowu i dopiero wtedy bardzo delikatnie dotknęło jej piersi.

Ofelia zmarszczyła brwi. To coś znaczyło, była tego pewna. Stworzenie chciało jej coś powiedzieć... ale nie mogła odgadnąć, o co chodzi. W myślach odtworzyła całą scenę raz jeszcze.

Usiłowała przekazać stworzeniom, że przedmioty w tym pokoju mogą wyrządzić krzywdę, jeśli się ich dotknie – a stworzenie powtórzyło jej gesty, co mogło oznaczać, że zrozumiało ich znaczenie, choć Ofelia знаła mnóstwo dzieci, które nie wyciągały wniosków z takich symulacji i musiały dopiero same poczuć ból, zanim zrozumiały, że ogień parzy. Potem stworzenie wydało dźwięk, prawie jej dotykając, a dopiero potem dotknęło.

Czy to miało znaczyć, że ona może je zranić, tak jak maszyny? Że sprawiła im ból? Nie – przecież dotykali jej już wcześniej i o ile mogła stwierdzić, nie bolało ich to. Nie szarpali się ani nie odskakiwali, nie okazywali żadnych oznak bólu. Jeżeli w ogóle okazywali ból tak samo, jak ludzie.

– Zzzt... – powiedziało znów stworzenie, powtarzając poprzednią sekwencję gestów. Potem zdawało się wskazywać maszyny za jej plecami, podkreślając gest dobitnym pchnięciem. – Zzzt. – A potem jeszcze raz wskazało na Ofelię.

Ach... Ofelia znów roześmiała się głośno. Wszystko jasne. Stworzenie chce wiedzieć, czy maszyny jej też zrobią „zzzt”. Albo zobaczyć, jak to robię. Albo coś, co łączy ją z maszynami i zachowaniem, które im przypisuje.

Ofelia podniosła do góry jeden palec; stworzenia wpatrzyły się w niego.

– W złym miejscu będzie zzzt – powiedziała. Podeszła do rozdzielacza, gdzie kable podłączone były do systemu zasilania. – Tutaj każdy dostanie zzzt. – Ponownie udała, że dotyka kabli, wydała dźwięk i szarpnęła się w tył. – Ale tu – jeśli się wie, co robić, można dotykać. – Mówiąc te słowa, Ofelia pokazywała na migi: palcem stukam się w głowę... wiem... ostrożnie podchodzę, oglądam cały pulpit sterowniczy, zanim zdecyduję, który guzik nacisnąć... ostrożnie dotykam przycisku jednym palcem. Nie ma zzzt. Światła zamigotały: włączyła system ostrzegawczy, który przestawił wszystkie światła w budynku na powolną pulsację.

Skrzeczenie, pochrząkiwania i mamrotanie, wielkie poruszenie wśród stworzeń stojących z tyłu, w korytarzu. Ofelia jeszcze raz wcisnęła guzik i światła przestały migać. Stojąc przy pulpicie, dotykała też innych przycisków, zachowując raporty urządzeń kontrolnych do późniejszej analizy, wyłączając wszystko, oprócz pulpitu, którego używała, wybierając najodporniejsze systemy i uruchamiając różne programy. Na wypadek, gdyby stworzenia rozochociły się i usiłowały tu węszyć, umiałyby już zapobiec większości problemów, jakie mogły spowodować. To raczej nieprawdopodobne, żeby udało im się wpisać kody uruchamiające przez przypadek, gdyby na chybił trafił próbowały uzyskać jakieś działanie maszyn. A gdy skończy demonstrację, wyłączy ten pulpit. Najpierw jednak niech się ponownie przestraszą.

– Jeśli nie będziecie bardzo ostrożni – oświadczyła – jeśli będziecie po prostu tłuc w przyciski, staną się straszne rzeczy.

Położyła dłoń na pulpicie, ostrożnie, na panelu sygnałów alarmowych. Na zewnątrz rozległo się wycie syren, coraz wyższe, w każdym pomieszczeniu Centrum rozdzwoniły się dzwonki;

światła zaczęły migać według sekwencji rozbłysków od normalnych do jaśniejszych i z powrotem. Ofelia wyłączyła alarm i zablokowała pulpit.

– I dlatego właśnie nie wolno wam bałaganić...

Ale było już po fakcie. Przynajmniej połowa z nich zostawiła na podłodze, którą przed chwilą wyczyścili, cuchnące kupki. Wszyscy wpatrywali się w nią. Nie musiała znać ich języka, żeby wiedzieć, że są źli. Odpowiedziała im rozzłoszczonym spojrzeniem. To nie jej wina. Nie chciała ich aż tak przestraszyć – chciała ich tylko przekonać, żeby zostawili w spokoju przyciski. A oni napaskudzili na podłogę.

– Ja tego nie będę sprzątać – oświadczyła. – Łapcie miotły.

– Potrzeba będzie raczej mopów. Potrzeba będzie... ale nie było potrzeba.

Jedno ze stworzeń chrząknęło coś wyjątkowo dobitnie i winni – tak to rozumiała Ofelia – błyskawicznie zniknęli w podskokach, by po chwili wrócić z szufelkami, w których Ofelia rozpoznała duże szpatułki z kuchni. Ech, trudno. Można je wysterylizować. Nie obchodziło jej to, że biochemia nie jest ta sama: nie będzie używać szpatułki, którą zbierano odchody Obcych, dopóki nie zostanie porządnie zdezynfekowana.

Stworzenia uprzątnęły podłogę i skierowały się korytarzem w stronę drzwi wyjściowych. Może powinna im była powiedzieć o toaletach. Spojrzała na Obcych, którzy wciąż się na nią gapili. Może nie powinna ich już więcej denerwować. Doświadczenie życiowe przypomniało jej, że denerwowanie istot, które przewyższają cię liczebnie i mają broń, nie jest najlepszym pomysłem. To dlatego, że – jak dotąd – jej nie skrzywdzili... zaczęła ich uważać za niegroźnych, a przynajmniej za niestanowiących bezpośredniego zagrożenia.

Zespół sprzątaczy wrócił: Ofelia dostrzegła, że szpatułki wyglądają na czyste, jakby zostały wyszorowane na deszczu. Ale wygląd to nie wszystko, włoży je jeszcze do wygotowania. Przesunęła się w kierunku drzwi i stworzenia cofnęły się. Poszły za nią korytarzem aż do szwalni, gdzie pod długim stołem do szycia leżał jej mokry materac. Przeliczyła je – były wszystkie. Żadne nie przyczało się w sterowni, by kombinować z przełącznikami.

Tak samo jak w kuchni, przybysze kręcili się po pomieszczeniu i zaglądali wszędzie, wydając miękkie odgłosy, dla których Ofelia nie znalazła innego wytłumaczenia niż to, że jest to jakiś język. Przykucnęła, stękając po swojemu, i próbowała wyciągnąć mokry materac spod stołu. Wchłonął tyle wody, że był cięższy o wiele kilogramów, a na dodatek przykleił się do wilgotnej podłogi pod spodem. Ofelia szarpnęła mocniej, żałując, że nie miała na tyle rozsądku, żeby go o coś oprzeć zamiast zostawić płasko leżący. Oczywiście nie mogła przewidzieć otwartych drzwi i wwiewanego do środka deszczu. Wciąż nie potrafiła sobie przypomnieć, czy to ona sama zostawiła drzwi otwarte, kiedy wyszła się przejść w czasie ciszy pomiędzy uderzeniami huraganu. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, naprawdę.

Ciągnęła i ciągnęła, ale materac ani drgnął. Niespodziewanie pochwyciły go cztery kościste,

dziwnie zbudowane dłonie o długich, ciemnych paznokciach. Materac pojechał nagle w jej stronę i zatrzymał się na jej stopach, a ona sama upadła do tyłu. Obejrzała się; dwa stworzenia przyglądały się jej, wciąż trzymając materac.

– Dziękuję wam – powiedziała. Ważne jest, żeby podziękować dzieciom, kiedy starają się pomóc, nawet jeśli robią to źle. Dzięki temu nie przestaną próbować.

Wyciągnęła stopy spod materaca, podniosła się, kucnęła i szarpnęła znowu. Oni też. Pod jej kierownictwem wydostali go spod stołu i, postawiwszy uginający się materac na jednym boku, oparli go o ścianę.

Ofelia przyłożyła ręce do krzyża i westchnęła. Dziś będzie spać we własnym łóżku – jeśli tego dożyje – i odpoczywać. Rozejrzała się. Jedno ze stworzeń poszturchiwało luźne koraliki; drugie uniosło jej pleciony strój z koralikami i frędzlami i potrząsało nim ostrożnie, nasłuchując wydawanych przez nie dźwięków. Jak dzieci! Ciągłe coś oglądają, przesuwają, bałaganą.

– To moje – powiedziała.

Głowy odwróciły się, oczy wpatrzyły w nią. Teraz nie było to już takie straszne; wiedziała, że mogą się tak wpatrywać, nic ponadto nie robiąc. Wzięła strój od stworzenia, które go znalazło – oddało ubiór bez oporu – i wtedy uświadomiła sobie, że ci tutaj mogą nie mieć pojęcia, czemu on służy.

– To ubranie – wyjaśniła. Może im też pokazać, co się z tym robi; nie są przecież ludźmi, którzy krytykowałiby jej pracę.

Wślizgnęła się w strój, tak jak poprzednio ciesząc się jego dotykiem na skórze – nareszcie ten wzór z koraliki znalazł się tam, gdzie miał być, i swędzące miejsce tuż pod łopatką otrzymało teraz automatyczną skrobaczkę, działającą przy każdym ruchu. Jej dłonie poruszały się bezwiednie, dotykając koraliki, kawałków tkaniny w jasnych kolorach, miękkich, gładkich i szorstkich.

– Tak jest lepiej – wyjaśniła.

– Zzzt... – powiedziało jedno stworzenie, wskazując na nią swym długim, twardym pazurem.

– Nie. Nie zzzt. Ja to zrobiłam. – Rozłożyła ręce, potem podniosła luźny koralik i nawlokła go na jeden ze sznurków zrobionych ze splecionych traw. – Lubię robić różne rzeczy. – Podniosła kolejny koralik, mniejszy, tylko taki, żeby wypełnił miejsce na sznurku, potem jeszcze jeden duży, i pokazała im efekt. Zbliżyli się wszyscy; Ofelia wyczuła w nich autentyczne zaciekawienie.

ROZDZIAŁ 9

Ofelia w końcu zdecydowała się spać w pomieszczeniu sterowniczym. Zamknęła im drzwi przed nosem. Słyszała, jak hałasują, ale zignorowała to. Rozłożyła materiał koło wejścia i położyła się, stękając ze zmęczenia i bólu w stawach. Naprawdę jest już na to za stara. Nie potrafiła przywołać takiego okresu swego życia, kiedy to wszystko byłoby łatwiejsze, ale teraz sprzeciwiała się temu z dodatkową energią. Od ewakuacji kolonii żyła dokładnie tak, jak jej się podobało, ograniczona jedynie przez to, co uważała za prawdziwe: pogodę, konieczność zbioru plonów, zwierzęta.

A teraz spała – a raczej nie spała – na twardej podłodze zamiast we własnym łóżku, tylko dlatego, że kilku przeklętym Obcym, zbyt przypominającym wymagające dzieci, nie można było zaufać, jeśli chodzi o trzymanie się z dala od sterowni. Jak dzieci, mogli spowodować ogromne szkody, nie zdając sobie z tego sprawy, ale, w przeciwieństwie do dzieci, nie oferowali żadnego zadośćuczynienia: Ofelia nie miała najmniejszej ochoty ich przytulać. Jeśli zaśnie, obudzi się zeszywniała i obolała. Jeśli nie uda jej się zasnąć, będzie rano wyczerpana, a oni już będą czekać, z błyszczącymi oczami, jak dzieci, które zawsze mogą spać tyle, ile potrzebują, bez względu na to, co się dzieje z dorosłymi.

Przysnęła na chwilę, po czym obudziła się tak skrzywiona, jak to przewidziała, ale niewytłumaczalnie szczęśliwa. Z zewnątrz przez drzwi dochodziły delikatne dźwięki... rytmiczne, harmonijne dźwięki. Muzyka? Czy ci Obcy tworzą muzykę?

A jeśli tak, to w jaki sposób? Próbowwała przypomnieć sobie przedmioty, które Obcy nosili na przewieszonych przez tors pasach. Były to przeważnie woreczki i tykwy, i długie noże w pochwach. Do tych kształtów nie pasował żaden instrument, jaki widziała na ilustracjach. Czy po prostu śpiewali i uderzali pięściami o podłogę?

Otworzyła drzwi i wystawiła głowę na korytarz. Nic nie widać, ujrzała tylko światło wylewające się z jednej ze szwalni. Słaby podmuch nieprzyjemnego zapachu od podłogi, z miejsca, gdzie sprząтали po sobie. I ten dźwięk.

Powoli czołgała się korytarzem, w kierunku światła. Teraz słyszała skomplikowane dodatkowe rytmy, drobne odgłosy, bardzo podobne do grzechotania nasion w strączku albo koralików w dłoni. Natrętny, szumiący jak oddech dźwięk niósł melodię, dźwięk, którego nie umiała przypisać żadnemu znanemu sobie instrumentowi. I jeszcze coś, coś, co łaskotało uszy.

Kiedy zerknęła za drzwi, wszyscy siedzieli w kręgu; długie stoły zepchnęły pod ścianę. Nie zobaczyła wiele, ale dostrzegła, że jeden z nich trzyma przy ustach zestaw rurek. Chyba w nie dmucha. Inny, siedzący tyłem do Ofelii, poruszył łokciami i ponad melodią rozdzwoniły się chaotyczne nutki. Ofelia poczuła, że piekące łzy napływają jej do oczu. Cóż to jest? Nagle pozostali zaczęli nucić, powtarzając mniej więcej melodię instrumentów. Jeden podniósł dłoń

i pozostali gwałtownie ściszyli głosy; kilku spojrzło w kierunku, gdzie leżałaby Ofelia, gdyby pozostała w sterowni. Jeżeli by byli ludźmi, ich gesty wyrażałyby troskę o kogoś, kto śpi, komu nie należy przeszkadzać. Ale byli Obcymi. O czym pomyśleli? Ofelia przycupnęła przy ścianie korytarza, nie patrząc, tylko słuchając. Chór ich głosów brzmiał grubo i szorstko, Ofelii kojarzył się z grubą dzianiną zrobioną na drutach albo szydełkiem, nie z delikatnym płótnem. Odpowiadało to jej uszom, tak samo, jak jej dłoniom odpowiadała bardziej grubsza, miękka włóczka niż cienka nić.

Nie zdawała sobie sprawy, że ich muzyka kołysze ją do snu; kiedy się budziła, oni stali nad nią.

Jeden wciąż trzymał w garści rurki. Teraz zaczął w nie dmuchać, wydobywając miękkie, szumiące dźwięki, nuty, które mogłyby być niczym więcej, niż podmuchem wiatru zza rogu, gdyby nie były tak czyste. Potem stworzenie przechyliło głowę w jedną stronę.

Pytało ją, czy słyszała? A może, czy muzyka ją obudziła? Może, czyją uspiła? Ofelia nie miała pojęcia. Podobało jej się to brzmienie. Wyciągnęła dłoń, chcąc pokazać, by tamci grali dalej, ale stworzenie podało jej swój instrument.

Składał się z siedmiu rurek, wypolerowanych i związanych razem skręconymi włóknami traw, prawie tak mocnymi, jak nić. Ofelia pochyliła głowę, by lepiej przyjrzeć się wykonaniu. Ktoś przygotował wąskie pasma, potem splótł je razem – równo, jak zauważyła – i tak uzyskane nitki splótł ze sobą jeszcze raz, a następnie oplótł nimi rurki. One same wydawały się bardzo lekkie, jak kości ptaków czy łodygi dużych trzcin. Pokryto je cynobrowymi plamami, nie umiała więc powiedzieć, jaki był ich pierwotny kolor. Chyba że to właśnie był ich kolor. Pachniały tak samo, jak stworzenia, przenikliwym, lecz nieopisywalnym zapachem.

Dłoń stworzenia pojawiła się przed jej oczami, wskazując na jeden koniec rurek. Ofelia zobaczyła małe nacięcia na powierzchni. Na próbę dmuchnęła w koniec jednej rurki, ale dźwięk, który wydobyła, nie był tonem, lecz tylko podmuchem i szumem. Wypróbowała inną rurkę z takim samym rezultatem.

– Przykro mi – powiedziała, oddając instrument stworzeniu. – Nie umiem na tym grać.

Czy ujrzała wyraz satysfakcji na jego twarzy? Stworzenie tryumfalnie odegrało wibrujący ozdobnik, potem spojrzło na nią. Ofelia uśmiechnęła się sztucznie.

– Urocze – powiedziała. – Szkoda, że ja tak nie potrafię.

Popatrzyła na innych. Jeden trzymał tykwę pokrytą koronkową siateczką z nanizanymi na nitki paciorkami. Potrząsnął tykwą i wydobył lekki, grzechoczący rytm, który już słyszała. Potem wyciągnął rękę z instrumentem. Ofelia wzięła go i poruszyła nim, przypomniała sobie pewien rytm z dzieciństwa, piosenkę, przy której tańczyła z Caitanem. Poczwała, że porusza palcami u stóp, usiłując dopasować wspomnienie do powstającego dźwięku. Do jej grania dołączyło się głębsze bębnienie; przestraszona spojrzła w górę. Jedno ze stworzeń uderzało patykiem – bardzo

podobnym do kości – o swój tors. Ofelia zgubiła rytm, odnalazła go na nowo. Teraz inne stworzenie zaczęło stukać o podłogę długimi, czarnymi pazurami u stóp. To z rurkami znowu zaczęło w nie dmuchać.

Ofelia skupiła się na rytmie, ale wciąż go gubiła. Przestała w końcu próbować i tylko poruszała tykwą w przód i w tył. Dookoła niej stworzenia wydobywały przeróżne dźwięki, które splatały się w taki sposób, że Ofelii podobała się ta muzyka, choć jej nie rozumiała. Kiedy rozboliła ją ręka, przestała potrząsać tykwą i tylko słuchała. Nigdy sobie nawet nie wyobrażała, jak to jest, tworzyć muzykę w zespole... niezła zabawa, uznała, ale byłaby jeszcze lepsza, gdyby ona sama wiedziała, co właściwie stworzenia robią.

Kiedy tamci przestali grać, Ofelia uśmiechnęła się szeroko i wręczyła tykwę pierwszemu, który wyciągnął rękę. Potem potrząsnęła dłonią, pokazując, dlaczego przestała grać. Przyszło jej na myśl, że mogłaby poszukać starych kostek, tych, z których koloniści odtwarzali muzykę na wieczornych zabawach, i dać stworzeniom posłuchać, na czym polega ludzka muzyka. Większość kostek oczywiście zniknęła: po przybyciu do kolonii ludzie połączyli swoje kolekcje, ale przy odlocie chcieli odzyskać ulubione nagrania.

Jutro. Dziś zbyt już jest zmęczona, zbyt chętnie wróciłaby do łóżka. Podniosła się z lekkim stęknieniem i szurając nogami, wróciła korytarzem do pomieszczenia sterowniczego. Tamci obserwowali ją, ale nie poszli jej śladem. Zamknęła się w pokoju, położyła na cienkim legowisku i zastanowiła, czy będą grać dalej. Jeśli nawet grali, to Ofelia ich nie słyszała. Zbudziła się, kiedy jedno ze stworzeń uderzyło w drzwi; obudziła się natychmiast, ze strachem, z bijącym w zawrotnym tempie sercem. Ale Obcy nie próbowali na siłę dostać się do pomieszczenia. Tym razem nie było tak, jak kiedyś, gdy zerwała się na odgłos uderzenia o drzwi; teraz cień pośród cieni próbował dostać się do środka, wyciągał po nią rękę, pragnął jej, choć się sprzeciwiała. Ofelia siedziała, póki nie wyrównał się jej oddech. Tym razem wcale tak nie było – teraz, kiedy słyszała coś więcej niż tylko szum krwi w uszach, kiedy słyszała stworzenia hałasujące na korytarzu, ich chrząkanie i skrzeczenie.

Zanim otworzyła drzwi, spojrzała na chronometr. Już dawno po wschodzie słońca; miała dosyć snu. Gdy wyszła na korytarz, promienie słońca wpadały przez otwarte drzwi frontowe. Stworzenia zniknęły. Ofelia zamknęła za sobą drzwi sterowni i poszła rozejrzeć się w kuchni. Znowu bałagan – któryś z przybyszy rozbił słoik kilfy i pikantny zapach zielonych jagód wypełnił pomieszczenie. Ofelia, zrzędząc pod nosem, zmiotła przyprawę i kawałki szkła. Zaiste, jak dzieci – musisz za nimi chodzić i sprzątać cały czas.

Ale zdaje się, że poszli sobie. Nie było ich w szwalni, ani w korytarzu, ani w sali spotkań, gdzie Ofelia przysłuchiwała się dyskusji kolonistów na temat wyboru nowych miejsc. Gdy wyrzała na błotnistą drogę, zobaczyła ślady wiodące na wschód, ale nie widziała stworzeń.

Pewnie wrócą, a tymczasem ona sprawdzi, co słyhać w jej własnym domu i w ogrodzie.

Błoto na drodze mlaskało między palcami; w rowach czysta woda ciekła małym strumykiem na samym dnie. Był gorący, duszny dzień – typowy dla pogody następującej po morskich sztormach. Idąc do domu, czuła słońce jak wilgotny, gorący ręcznik na ramionach.

W domu na podłodze zostały zatarte ślady stworzenia, które weszło za nią do środka, i mokre ręczniki, już pleśniejące, którymi je wycierała. Ofelia nie cierpiała zapachu pleśni. Wyniosła ręczniki do ogrodu i rozwiesiła je na płocie. Tym razem huragan go nie przewrócił. Rośliny, przygięte przez wiatr i deszcz, zaczynały odżywać, podnosząc po kilka liści ponad tymi wciąż przygniecionymi do ziemi. Ofelia zerwała te pomidory, które nie zmieniły się w papkę, uzbierała garść fasoli i cztery kłosa zboża. Zdażyła podnieść i wyprostować większość łądyg, kiedy gdzieś w lesie rozległy się wrzaski.

Cóż znowu? Zauważyła, że owce nie zwracają uwagi na hałas, delikatnie skubiąc trawę na łące w pobliżu. Krzyki i nawoływania odezwały się bliżej. Ofelia nic nie widziała, ale cokolwiek wydawało te dźwięki, musiało być teraz pomiędzy niskimi zaroślami. Potem głosy zbliżyły się jeszcze bardziej – grupa drzewnych wspinaczy z wysoko zadartymi ogonami biegła susami w kierunku wioski i krzyczała. Owce podniosły głowy, nadstawiły uszu. Za wspinaczami – po obu stronach grupy – biegli Obcy; ich typowy chód, z podnoszeniem wysoko nóg, zamienił się w lekki, ale efektywny bieg. Zaganiali wspinaczy... zaganiali ich, jak stado, do wioski. Owce czmychnęły, rozpierchły się, dodając do koncertu własne przerażone głosy.

Na oczach Ofelii jeden z Obcych wydłużył krok, zrównał się z uciekającym wspinaczem i złapał zwierzę za kark. W tej samej chwili okręcił go dokoła, tak jak dziecko huśta lalką trzymaną za rękę, i drugą kończyną wyciągnął nóż. Nie! Chciała zawołać Ofelia. Nie. Ale była o wiele za daleko; nóż dokończył dzieła, które rozpoczął uchwyt za kark, i mięśnie martwego wspinacza rozluźniły się, a jego krew zaczęła spływać na trawę. Zabito jeszcze dwóch; reszta, której udało się przeżyć, skierowała się do wioski; tam na wyścigi zwierzęta pozajmowały czubki dachów i zaczęły gdakać jak oszalałe.

Ofelia rozluźniła zaciśnięte na płocie ręce. A więc stworzenia polowały. Wiedziała już, że nie mogą jeść ludzkiego pożywienia. Musiały być głodne po tylu dniach burzy. A to byli tylko drzewni wspinacze.

A jednak... z trudem pogodziła wspomnienia minionej nocy, tworzenie muzyki razem z Obcymi, z obecnym widokiem: stworzenia chłeptały krew wypływającą z karków swych ofiar, szybko i zgrabnie patroszyły zwierzęta. Czy zjedzą je na surowo? Nie zniosłaby tego, ale nie mogła odwrócić wzroku. Grupa łowców uformowała się na nowo, zwierzęta zostały umocowane za ogony do pasów tych, którzy je upolowali (pomyślała, że właśnie zaczyna dostrzegać różnice pomiędzy poszczególnymi Obcymi).

Zobaczyli ją. Jeden z nich pomachał okrwawionym nożem, jakby na powitanie. Albo grożąc jej. Ofelia przelknęła ślinę. Za ich plecami stos wnętrzości przyciągnął już rój czarnych

brzęczących istot, które, jak Ofelia wiedziała, nie były tak naprawdę muchami. Odwróciła się i weszła do domu, ale nie zamknęła drzwi. Miała nadzieję, że zostawią ją w spokoju (ten zakrwawiony nóż...), ale jeżeli nie, to nie chciała zostać zaskoczona pukaniem do drzwi. Popatrzyła na czerwone i pomarańczowe pomidory, zieloną fasolę, zielone łuski zboża, chroniące żółte ziarno. Nie była głodna.

Przez cały dzień powtarzała sobie, że to przecież naturalne. To jasne, że muszą jeść, a oczywiście nie w wiosce nie nadaje się dla nich do jedzenia; ona także nie mogłaby się żywić owocami wielkich leśnych drzew. Czemu nie mieliby polować? Ludzie polują, jeśli żyją na planetach z jadalną zwierzyną, a gdzie indziej jedzą zwierzęta hodowlane. Sama przecież lubi mięso. Nie lubi tylko zabijania, ale to dlatego, że nie nauczyła się dość wcześnie w życiu, jak to robić. Te stworzenia polują od dziecka, jak przypuszczała. Nie znaczy to, że są zabójcami, nie tak naprawdę. Zabijać inne istoty, żeby je zjeść, to nie to samo, co zabijać je po prostu dla zabijania.

Ale wspinacze są martwi, tak czy inaczej. A ona nie widziała, by Obcy jedli te zwierzęta. Co, jeśli zabijanie to tylko rozrywka, sport? Przebiegł ją dreszcz. Te długie noże... czy tak właśnie zginęli tamci koloniści? Nie, przecież słyszała wybuchy. Mówiono o innej broni.

Nie widziała innej broni oprócz noży, nie widziała żadnych narzędzi, tylko instrumenty muzyczne. Czy to ci sami Obcy, którzy zabili kolonistów, czy jacyś inni? I jak udało się ludziom mieszkać tu przez czterdzieści lat i nie spotkać Obcych wcześniej?

Po południu Ofelia wróciła do Centrum, zabezpieczyła najlepiej jak umiała drzwi do pomieszczenia sterowniczego i zamknęła na zasuwki pozostałe drzwi, również wejściowe. Potem poszła z powrotem do domu. Nie było to bezpieczne – nic nie było bezpieczne – ale chciała znowu spać we własnym łóżku. Jeśli to jej ostatnia noc, proszę bardzo; będzie jej przynajmniej wygodnie. Cokolwiek by się stało – koniec ze spaniem na podłodze.

Wyciągnęła się na łóżku, jej ciało radośnie wpasowało się znów w jego zagłębienia i wypukłości, i nagle usłyszała, że stwory wracają drogą przez mrok. Pochrząkiwania, skrzeczenie, dużo niskich świergocących dźwięków, w których brzmiało zadowolenie. Ten z zestawem rurek znów w nie dmuchał; słyszała dźwięki wznoszące się ponad zwykłe mamrotanie.

Poznała po chóralnym skrzeczeniu, że dotarli do zamkniętych drzwi Centrum. Gniew? Rozczarowanie? Któż może to wiedzieć, mając do czynienia z Obcymi? Grzmotnięcie w drzwi. Czy wytrzymają? Znowu mamrotanie. W końcu, co było nieuniknione, łupnięcie w jej własne drzwi, a po nim tryl wydobyty z dziwnego instrumentu. Ofelia poczuła, że oblewa ją rumieniec gniewu. Mają całą wioskę do dyspozycji: dlaczego muszą ją męczyć? Czemu nie dadzą jej odpocząć? Czyż nie wiedzą, że jest starą kobietą, zmęczoną, starą kobietą, która musi się wyspać?

Oczywiście, że nie wiedzą. Ofelia nie miała pojęcia, ile oni sami liczą lat. Zrzedząc, wstała z łóżka, włączyła światło i podeszła do drzwi, w nastroju niezapowiadającym chęci współpracy z Obcymi, bez względu na to, czego chcieli.

Ten z instrumentem podniósł go do góry, potrząsnął nim, a potem wskazał na Centrum. Miało to pewnie znaczyć, że pragną tam urządzić kolejną nocną sesję muzykowania. Ale ona tego nie chciała. Chciała spać we własnym łóżku przez całą noc bez przerwy. A nie zamierzała bynajmniej wpuścić ich ot tak, samych, do Centrum, bez nadzoru.

– Prześpijcie się gdzie indziej – powiedziała. – Wszystkie domy są otwarte. – Prócz jej domu; stała w progu, zdecydowana nie wpuścić ich do środka.

Ten z instrumentem ponownie nim potrząsnął, znowu wskazał Centrum i tym razem wyciągnął dwa pazurzaste palce. Dwa? Dwa co? Dwa muzyczne wieczory, dwie noce, dwa stworzenia? Teraz pokazywał na instrument, i znów na drzwi Centrum, potem jeszcze raz wyciągnął dwa palce.

– Nie chcę, żebyście byli w środku sami – wyjaśniła Ofelia.

– Narobicie jeszcze gorszego bałaganu.

Wpatrzona w nią oczy zamrugwały. Stworzenia nie odeszły, nie poruszyły się nawet. Wiedziała, że jeśli zamknie drzwi, znowu zaczną w nie tłuc. Wiedziała, że nie będzie się mogła wyspać, póki ci tu nie będą zadowoleni. To było prawie tak beznadziejne, jak znowu mieć rodzinę. Ofelia zdała sobie sprawę, że poddała się dużo wcześniej, niż gotowa była się przed nimi przyznać.

– No dobrze – powiedziała. – Ale nie spędzicie tam nocy. – Spędzą i nie może ich powstrzymać. Będzie musiała zdecydować, gdzie sama położy się do snu, a jej ciało już wybrało: potrzebuje łóżka.

Kiedy otworzyła drzwi do Centrum, dwóch prześlizgnęło się obok niej i wpadło do szwalni po prawej stronie. Reszta została na ulicy. W świetle padającym z korytarza Ofelia zobaczyła, że u pasów nie mieli już ciał zabitych wspinaczy: musieli je zatem zjeść. Przeszył ją dreszcz. Dwóch Obcych pojawiło się znów w korytarzu, jeden z kolejną wiązką rurek, drugi z tykwą obwieszoną sznurkami i paciorkami. Pomachali instrumentami do innych i przy wtórze krótkich pochrząkiwań całe towarzystwo wycofało się na drogę i skierowało na wschód, skąd przyszło.

A więc chcieli tylko odzyskać instrumenty. Ofelia ledwo mogła w to uwierzyć. Wyłączyła światła, znów zamknęła drzwi na zasuwki i patrzyła, jak cieniste postacie wtapiają się w ciemność daleko na drodze. Wróciwszy do domu, leżała długo w łóżku, nie śpiąc. Któż by mógł przewidzieć, jak rozumują Obcy? Któż wyobrazi sobie przyczyny, dla których robią to, co robią? Muzyka jej się podobała, ale zabijanie... tak szybkie, tak łatwe, tak zwyczajne... choć widywała ludzi zabijających w ten sposób: dla kurczaków mieli szybkie skrócenie karku, dla owiec i cieląt – szybkie pchnięcie noża. Ale wtedy nie było pościgu, sadzenia susami poprzez

trawy.

Poranek. Wciąż duszny, ale już odrobinę mniej. Od morza silniejsza bryza, wilgotna, lecz bardziej odświeżająca. Ofelia zbudziła się, uspokojona snem we własnym łóżku, znajomymi kształtami i zapachami własnego pokoju. Strachy ze snów szybko przekształciły się w poczucie wygody na znajomej przestrzeni, posiadania czasu dla siebie.

Wyszła do ogrodu, zanim słońce podniosło się wysoko, po raz pierwszy od zbyt wielu dni. Nie przeszkadzały jej ślady stworzeń; przechodząc, zmiażdżyły tylko dwie łądy fasoli i jedną z zielonych dyń. Ofelia zajęła się podwiązywaniem pomidorów, grabieniem gnijących liści, poruszaniem gleby. Znalazła małego, żółtego pomidorka, z gatunku tych słodkich, którego nie zauważyła minionego wieczoru, i włożyła go sobie prosto do ust. Był smaczny i soczysty. Zza płotu dobiegło chrząknięcie: Ofelia podniosła wzrok i zobaczyła jedno ze stworzeń. Obserwowało ją. Jak udało mu się podejść tak niepostrzeżenie? Dalej odwracała liście, szukając pełzaczy, rurkoślizów, mszyc, kolejnego dojrzałego żółtego pomidorka. W połowie łądygi zauważyła rurkośliza: zdjęła go i rozgniotła.

Stworzenie zaskrzeczało. Ofelia spojrzała na nie. Wyciągało palce.

– Chcesz rurkośliza? – Trudno było w to uwierzyć. Rurkoślizy były małym, obślizgłym, swędzącym draństwem. Ale podeszła do płotu i upuściła robaka w wyciągniętą dłoń. Stworzenie mruknęło do niej i wrzuciło sobie rurkośliza prosto do ust.

Ofelia poczuła w gardle smak żółci. Obcy zjadł rurkośliza.

– To było obrzydliwe – powiedziała, choć nie oczekiwała zrozumienia.

Wyraz twarzy stworzenia nie zmienił się. I tak nie była pewna, co on oznacza. Wróciła do swojej pracy. Kiedy znalazła kolejnego robaka, popatrzyła przez ramię. Stworzenie nadal stało przy płocie, obserwując ją. Podniosła rurkośliza. Stworzenie wyciągnęło rękę. Tym razem dała mu nierozgniecionego robaka. I znów ruch ręki, krótkie chrupnięcie i odgłos przełykania. Absolutnie obrzydliwe. No, ale przecież rurkoślizy to lokalny gatunek, więc coś musi je zjadać, czemuż by nie te właśnie stworzenia?

Owce, kiedy je znalazła, skupiły się na zachodnim skraju swojej długiej łąki, strzygąc nerwowo uszami. Gdy spróbowała do nich podejść, rzuciły się do panicznej ucieczki, jakby była wilkiem. Nie usiłowała ich ścigać; wiedziała lepiej. Zamiast tego przeliczyła je... naprawdę było ich tak dużo? Tak jej się zdawało, choć nie mogła być pewna tej falującej masy szarych grzbietów i drepczących kopyt. Czy Obcy męczyli owce? To prawdopodobne, ale nie miała żadnego dowodu. Poszła dalej, wokół zachodniego krańca wioski, na łąki nad rzeką. Woda wezbrała, występując z brzegów. Bydło, w przeciwieństwie do owiec, zdawało się spokojne, krowy pasły się, rozrzucone na przestrzeni pomiędzy stacją pomp a starą zagrodą dla cieląt. Ofelia policzyła je: żadnej nie brakowało.

Weszła do Centrum, by sprawdzić system kontroli pogody. Nie nadchodził żaden sztorm,

choć daleko na wschodzie jakieś zawirowanie chmur mogło się w niego przekształcić. Dwa huragany w ciągu jednego sezonu – to było bardzo rzadkie zjawisko. Zdarzyło się tylko dwa razy w ciągu czterdziestu kilku lat. Prawdopodobnie ten sztorm zakreśli i przesunie się gdzieś indziej. Taką miała nadzieję.

Odblokowała klawiatury, by wpisać krótki raport o minionych kilku dniach. Jakby to ująć? Nawet wiedząc, że nikt tego nigdy nie przeczyta, nie chciała, aby to wyglądało na szaleństwo, którym naprawdę było. „W środku huraganu wyszłam na ulicę i spotkałam tam Obcego”. To brzmi jak z kostki z rozrywką, jak wymysł szaleńców. Ona nie oszalała. Obcy istnieją naprawdę. Jak sprawić, by to brzmiało prawdziwie?

W korytarzu usłyszała stukanie. Oczywiście weszli, przecież nie zamknęła drzwi. Rozejrzała się. Jeden obserwował ją z błyszczącymi z ciekawości oczami. Jasne, że byli prawdziwi. Stwór trzymał tykwę oplecioną sznurami paciorków; gdy spotkały się ich spojrzenia, potrząsnął nią.

Co to było? Zaproszenie? Wyjaśnienie? Nie wiedziała. Naprawdę nie chciała o tym myśleć; chciała wpisać to wszystko do dziennika w taki sposób, żeby miało sens dla niej i dla innego człowieka, nawet gdyby inny człowiek miał tego nie zobaczyć.

– „W środku huraganu...” – przeczytała to, co napisała. Naprawdę, „obcy” było złym słowem. Ci tutaj są miejscowymi zwierzętami, jak drzewni wspinacze. Jakim to słowem się ich określa? Nie wiedziała, a nie chciała pytać teraz słownika. Na razie wystarczą Obcy, albo miejscowe istoty. Stworzenia.

„Myślałam, że to kupa śmieci, a wtem ona na mnie popatrzyła” – te słowa brzmiały też wystarczająco po wariacku. Ale to przecież widziała, stertę śmieci z oczami. Niech się z niej śmieją, ci, którzy to może przeczytają, jeśli ktoś kiedyś tu przybędzie, by odkryć prawdę o tych, co zginęli.

Powoli, często dokonując poprawek, próbowała wszystko spisać. Zadanie okazało się trudniejsze niż przypuszczała. Żeby opowiadanie miało w ogóle sens, musi zawrzeć w nim swoje odczucia, wnioski, przypuszczenia. Musi zawrzeć w nim wszystko, co zrobiła, i wszystko, co oni robili. Musi spróbować odtworzyć na piśmie dźwięki, które tamci wydają... nie, nie musi. Automatyczny mikrofon na pewno uwiecznił ich trochę. Ona może włączyć nagranie do swojego raportu, jeśli uda jej się odzyskać odpowiedni fragment.

Kiedy przechyliła się w bok, do drugiego pulpitu sterowniczego, żeby wpisać kryteria wyszukiwania fragmentu nagrania, który był jej potrzebny, strzyknęło jej w plecach. Zasyczała z bólu, a skrzeczenie z zewnątrz uświadomiło jej, że stworzenia wciąż ją obserwują, w takim samym stopniu, jak ona obserwuje swych gości.

Było już późno. Było bardzo, bardzo późno, będzie długo spała rano i będzie się czuła nieszczęśliwa, jak po przepiciu, przez pół dnia, jeśli w tej chwili nie pójdzie do domu i nie położy się do łóżka. Wyłączyła pulpity, ustawiła alarmy i podniosła się z krzesła ze skrzypieniem

i strzelaniem w stawach. Kiedy wyszła ze sterowni, w korytarzu siedziały trzy stworzenia. Zamknęła za sobą drzwi, zasunęła zaimprovizowaną zasuwkę i powiedziała stanowczo:

– Zostawcie to w spokoju. To nie dla was.

Stwory nie odpowiedziały, tylko patrzyły, jak oddala się korytarzem.

Czy za nią pójda? Nie. Obcy chcieli zostać w Centrum sami, a ona nie była na tyle silna, by ich stąd wyrzucić. W tej chwili nic jej to nie obchodziło. Chciała spać, we własnym łóżku, a jeśli zniszczą wszystkie maszyny, które pomagają jej przetrwać, wtedy umrze. Ale nie będzie się tym teraz trapić.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia rano Ofelia obudziła się z przekonaniem, że przez wiele dni żyła z klapkami na oczach, nie dostrzegając tego, co powinna była widzieć. Obcy, owszem. Inteligentni Obcy, jak najbardziej. I jeszcze jej nie zabili. Przecież oni ją... badają. Przybyli przed nadejściem huraganu, nie mogła wiedzieć, o ile wcześniej. Te domy, które znajdowała otwarte, przesunięte przedmioty... to oni je przesuwali. Nie myśleli o niej jak o ofierze czy wrogu, ale jak o ciekawostce.

Nie musiała obawiać się pościgu i długich noży.

Chyba że Obcy są tacy, jak niektórzy ludzie, których знаła.

Tego się nie dowie. Nie dowie się niczego, póki też nie zacznie ich badać. Nie miała pojęcia, jak to robić, ale mogłaby spróbować, tak jak próbowała zrozumieć trzecie dziecko Sary; które urodziło się bez daru języka, tylko miauczało i krzyczało.

Ci tutaj nie krzyczeli. Kiedy wyszła do ogrodu, jeden z nich czekał już, uważnie przeglądając rośliny. Ofelia pomyślała, że szuka następnych rurkoślizów i że nie znajdzie ich pomiędzy kukurydzą. Znalazła jednego pod pomidorami, w ulubionym przez szkodniki miejscu, i zawołała do tamtego:

– Tu jest jeden!

Stwór rozejrzał się dookoła; Ofelia wskazała robaka. Stwór podszedł, zręcznie podniósł rurkośliza i wrzucił go sobie do ust. Ofelii udało się opanować dreszcz obrzydzenia.

– Nazywamy je rurkoślizami – wyjaśniła.

Uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie patrzyła na stworzenia częściej, niż musiała. Opierała się identyfikowaniu chwytnych szponów jako palców, a ich zbioru jako dłoni. A jednak funkcjonowały tak, jak funkcjonują dłonie.

Przyjrzała się teraz. Cztery palce, nie pięć. Jeden, tak jak u jej własnej dłoni, szerszy i grubszy, przeciwstawny wobec pozostałych. To nadawało dłoni wygląd dłuższej i węższej, niż była w rzeczywistości. Także nadgarstek mieli inny, choć Ofelia nie potrafiła tego sprecyzować. Czy Obcy posiadają dwie kości przedramienia, czy tylko jedną? A w ramieniu jedną czy więcej? I czy ich kości są kośćmi, czy czymś innym?

Cztery palce, powtarzała sobie. Czteropalczaste dłonie. Patrzyła, jak stworzenie samo odwraca liście pomidorów. Długie, twarde pazury nie utrudniały precyzyjnych, delikatnych ruchów dłoni. Stwór nie targał liści; nie ominął też ani jednego.

Ofelia opuściła wzrok na nogi stworzenia. Na początku widziała tylko długie stopy z rozstawionymi palcami. Potem, dostrzegła cztery palce, trzy z nich prawie równoległe, czwarty zaś odstający w bok, wszystkie zakończone ciężkimi pazurami, stępionymi na końcu. Nie... odstający pazur, kończył się wąskim czubkiem, prawie szpicem. To stworzenie, kucające w jej

ogrodzie i łagodnie oczyszczające liście, miało stopy ustawione płasko na ziemi, ale ślady, które Ofelia widziała, nie ukazywały pięty. Jak więc te istoty chodzą? Na palcach? Odwróciła się i spojrzała ponad ogrodzeniem na drogę. Daleko w dole poruszały się dwa stworzenia; nic nie mogła stwierdzić.

Nie jest przecież... kimś, kto bada zwierzęta czy Obcych, jak się taki człowiek nazywa... nieważne. Ofelia nie umie się do tego zabrać.

Stworzenie chrząknęło i Ofelia zwróciła się w jego stronę. W uchwycie pazurów trzymało dojrzewającego pomidora; nie zgniotło owocu ani nie złamało łodyżki.

– Nie jest jeszcze dojrzały – powiedziała Ofelia, kręcąc głową. Gesty mogą być prostsze niż słowa; z całą pewnością nie przyswoiła sobie jeszcze żadnego z ich słów. Zakładając, że słowami były te pochrząkiwania i skrzeczenie, a to musiała teraz założyć. Wypatrzyła dojrzałego pomidora na sąsiednim krzaku i dotknęła go palcem. – Ten jest dobry. Dojrzały. – Pokiwała głową, a następnie zerwała owoc.

Stworzenie patrzyło na nią przez dłuższą chwilę, a potem puściło pomidora, którego jej najpierw pokazywało. Ofelia włożyła swojego pomidora do koszyka i zerwała garść fasoli. Stwór dotknął fasoli, potem pomidora. Różne. Oczywiście, że są różne, fasola i pomidor. Zielona fasola, pomarańczowy pomidor. Długa, chuda fasola, okrągły, grubiotki pomidor.

– Fasola – powiedziała Ofelia, dotykając strączków. – Fasola. – Potem dotknęła pomidora. – Pomidor.

Stworzenie mruknęło, w ogóle nie próbując powtórzyć jej słów.

– Fasola – powtórzyła Ofelia. – To jest fasola. To pomidor.

Ciąg pochrząkiwań, żadne nie przypominające wypowiedzianych przez nią słów. Czemuż by miała oczekiwać słów? To Obcy; mogą nie być w stanie wyprodukować takich samych dźwięków. Ziemskie zwierzęta tego nie potrafią. Poza tym, ona ma teraz dużo pracy. Zebrała jeszcze więcej fasoli, świadoma, że stworzenie uważnie ją obserwuje. Kiedy już miała tyle, ile potrzeba, podniosła się, stękając. Czy stworzenie myślało, że jej bezwiedne postępowania i pojękiwania to próba komunikacji? Nie umiała tego stwierdzić. Nie zareagowało w żaden widoczny dla niej sposób na wydawane przez nią dźwięki.

Obcy poszedł za nią do drzwi domu, ale nie wszedł do środka. Ofelia wytarła stopy o próg, zdrapując z nich kawałki mierzwy, które przyłgnęły do skóry. Stworzenie obserwowało to z przekrzywioną głową. Nie zamknęła drzwi, ale często zerknęła w ich kierunku. Włożyła fasolę do szuflady w lodówce: ugotuję ją wieczorem. Pomidory znalazły się w misie na stole.

Kiedy otwierała pojemniki z mąką, solą i cukrem, stworzenie pochyliło się i zajrzało do środka. Ofelia postanowiła upiec chleb drożdżowy, nie podpłomyki. Drożdżowy chleb był zawsze świątecznym pożywieniem, robiło się go tylko raz czy dwa razy w roku. Wprawdzie przetwórnia odpadów mogła hodować drożdże, ale do podpłomyków wszyscy byli

przyzwyczajeni, no i robiło się je szybciej. Ofelia nie piekła chleba, odkąd ewakuowano kolonię. Czy dobrze pamięta ile trzeba cukru? Chyba jednak powinna to sprawdzić.

Zdjąwszy z półki małą, poplamioną książeczkę, która należała do jej matki, spojrzała ponownie na stworzenie. Czy zrozumie, co to jest czytanie? Czy posiada jakiś podobny system utrwalania słów? Przekartkowała książkę. Niektórzy uważali, że nie potrzeba drukowanych książek kucharskich, ale Ofelia lubiła tę, ponieważ przypominała jej matkę.

Włożyła kawałek drożdży z lodówki do ciepłej wody, dodając szczyptę cukru i mąki. Cukier, sól, tłuszcz – może użyć tłuszczu, który został po smażeniu kiełbasy. Rosara nie pochwałała używania takiego tłuszczu, ale Ofelia nie widziała powodu, dla którego przetwórnica miałaby go oczyszczać. Stopiła tłuszcz i przecedziła go do dużej misy przez kawałek czystego płótna, odcięty z jednej ze starych koszul Barta. Potem wymieszała tłuszcz, cukier i sól z ciepłą wodą i sprawdziła temperaturę nadgarstkiem. W sam raz, uznała.

Rzuciła okiem w stronę drzwi. Stały tam już dwa stwory, oba obserwowały ją uważnie. Ofelia szufelką nałożyła mąki do dużej misy i zamieszała ciasto drewnianą łopatką. Nie odmierzała mąki: miała miarę w ręce. Kawałek drożdży zmiękł i zaczął bulgotać w małej misce z wodą i cukrem. Wlała drożdże do dużej misy i dalej mieszała. Kiedy ciasto było już gładkie, wyrabiając je, dodawała mąki, aż odrywało się od brzegów naczynia. Teraz sypnęła sporą jej garść na stół, dosyć dużo – matka mówiła, że nie ma sensu robić drożdżowego ciasta, jeśli człowiek się martwi zmarnowaniem odrobiny mąki – i opróżniła misę.

Stworzenia zaświergotały. Ofelia spojrzała na nie. Jedno z nich zadarło głowę, a teraz unosiło stopę, jakby chciało zrobić krok. Czy pytało o pozwolenie? Postanowiła, że tak to zrozumie.

– Tak, wejdz – powiedziała, machając zachęcająco jedną ręką, przyprószoną mąką.

Stwór podszedł do stołu i pochylił się nad nim, z bliska przyglądając się ciastu. Jeden szponiasty palec wyciągnął się nad masą. Ofelia wyraźnie widziała brud wokół długiego ciemnego pazura, a kto wie, co jeszcze było pod nim?

– Musisz się umyć – oznajmiła. Wskazała głową zlew, a kiedy stwór nie poruszył się, westchnęła. Zupełnie, jak dzieci, które nigdy nie wierzą, że naprawdę są aż tak brudne. Otrzeпаła ręce z mąki i powoli wyciągnęła dłoń, ujmując stworzenie za ramię. – Umyć – powiedziała – tutaj. – Podprowadziła stworzenie do zlewu i jeszcze raz skinęła głową.

Stwór popatrzył na swoje dłonie, potem na dłonie Ofelii. Z małymi tylko trudnościami odkręcił kurek i trzymał ręce pod strumieniem wody. Bacznie patrzył na Ofelię. Ona sama nie chciała zmoczyć rąk, gdyż czekało ją jeszcze wyrabianie ciasta, więc tylko zademonstrowała ruchy dłoni myjących się nawzajem. Stworzenie zamrugało oczami, ale usłuchało; Ofelia wyraźnie widziała brud spływający z pazurów. Kiedy uznała, że są już czyste, zakręciła wodę i podała stworzeniu ścierkę.

– Wytrzymaj – poleciła.

Stworzenie, jakby wszystko rozumiało, zacisnęło ręce na płótnie, dość skutecznie osuszając dłonie. Potem poszło za Ofelią z powrotem do stołu. Ponownie wyciągnęło na próbę palec. Tym razem Ofelia skinęła przyzwalająco i stwór dotknął ciasta, wydając ostre „eep”, kiedy jego palec zagłębił się w masę i wyszedł z niej lepki. Ofelia uśmiechnęła się szeroko i wróciła do wyrabiania.

Stworzenie znów dotknęło ciasta, tym razem lekko, a potem powolnym ruchem niosło palec do twarzy. Co? Ofelia zorientowała się, że marszczy czoło. Jeszcze raz, bardzo powoli, stwór dotknął ciasta, a potem jej ust. Nie mogła tego rozwikłać. Sama położyła palec na chlebie, uniosła go do ust – ach... oczywiście. Jedzenie. Stworzenie chciało wiedzieć, czy ciasto to pożywienie.

– Tak, ale jeszcze nie teraz – wyjaśniła.

Jak wytłumaczyć, co to takiego chleb? Uczyniła jednak próbę, rękami pokazała, jak ciasto rośnie, następnie zamarkowała ponowne wyrabianie, znów wyrastanie, formowanie bochenków, pieczenie. Wyraz twarzy stworzenia nie zmienił się. Cóż, będzie musiało patrzeć i tyle. Ciasto było już gładkie, tak jak powinno, twarde i sprężyste pod rękami. Nakryła je płótnem, wymyła ręce i przypomniała sobie, że chciała ugotować fasolę. Otworzyła kolejny pojemnik, wsypała fasolę do garnka i zalała ją wodą.

Stwór obserwował uważnie jej ruchy, a potem wyciągnął rękę w stronę przykrytego płótnem ciasta.

– Zostaw to – powstrzymała go Ofelia ostro. – Musi wyrosnąć.

Znów pokazała rękami, jak ciasto rośnie.

Stworzenie cofnęło rękę.

Ofelia miała jeszcze dużo pracy. Musi wywietrzyć dom, zamieść podłogę. Popatrzyła na gościa, ale nie odchodził. A niech tam, niech sobie patrzy. Ofelia zabrała się do roboty, a stwór ją obserwował. Odsunął się, kiedy podeszła do niego z miotłą, ustępując jej z drogi, ale nie odchodząc. Kiedy ciasto na chleb podniosło się i Ofelia zrobiła w nim dziurkę, żeby opadło, stworzenie stało tuż przy niej. Odskoczyło w tył, kiedy ciasto wydmuchało zgromadzone powietrze, potem wróciło do stołu, gdy Ofelia wyrabiała i formowała ciasto w dwa okrągłe bochenki. Ponownie przykryła ciasto płótnem i spróbowała fasoli – właśnie zaczynała mięknąć.

Do czasu, kiedy ciasto wyrosło po raz drugi, Ofelia wysprzątała już dom tak, że mógł ją zadowolić. Teraz włączyła piekarnik, a gdy się nagrzał, włożyła do środka bochenki. Kiedy otworzyła drzwiczki piekarnika, stwór zdawał się zafascynowany gorącym podmuchem powietrza ze środka. Ofelia musiała go odgonić – nie wiedział, które części pieca są niebezpiecznie gorące. Potem pokazała mu lodówkę. Jak małe dziecko stał w strumieniu zimnego powietrza wypływającego przez otwarte drzwi, aż Ofelia przepchnęła się obok niego i zamknęła

lodówkę.

– Nie można tego marnować – powiedziała.

Istota manipulowała przy drzwiach lodówki, otworzyła je i wskazała ręką w dół, skąd sphywało zimne powietrze. Słowo, które wypowiedziało, nie przypominało ani wyrazu „zamrażarka” ani „zimno”, ale zaczynało się od szumiącego dźwięku, co, jak się Ofelii zdawało, mogło oznaczać próbę „ziaam”. Poniekąd ją zaskakując, stwór zamknął drzwi lodówki.

– Zamrażać – powtórzyła Ofelia. – Zimno.

– Ziaam.

Cóż, niech i tak będzie. Zawsze to jakiś początek. Niemowlęta też tak zaczynają, jedna sylaba naraz. Stworzenie podeszło do piecyka i trzymało rękę na bezpiecznej wysokości nad płytą. I co teraz? Ma powiedzieć „piecyk” czy „gorąco”? Dzieciom zawsze mówiła „gorąco”, ale to nie były dzieci. Stwór chrząknął, wyraźnie zniecierpliwiony. Ofelia może i nie zna wielu słów, ale ma za sobą doświadczenie całego życia, spędzonego z niecierpliwymi.

– Gorząco – powiedziała, podkreślając środkową sylabę.

– Ziaam. – Stworzenie poklepało lodówkę.

Nic nie wiedzieli. Nie wiedzieli, że mąka powstaje z ziarna, a ziarno ze zboża, z nasion pszenicy hodowanej na małych, ogrodzonych zagonach, by chronić ją przed owcami i bydłem. Nie wiedzieli, że zboże się kosi, że zebrane kłosy się młóci, by uwolnić ziarno, że ziarno się przewiewa, by oddzielić plewy. A może wiedzieli to wszystko, może sami zbierali plony tutejszych odpowiedników zboża w podobny sposób. Ofelia zastanawiała się, ile wiedzą i jak ona ma się tego dowiedzieć. Czy któreś z tych przedmiotów wiszących na pasach i sznurach były odpowiednikami sierpa lub nożyc?

Przypomniała sobie, że w ciągu pierwszych lat, dawno temu, koloniści musieli wszystko robić ręcznie. Maszyny były zbyt zajęte produkcją części do innych maszyn, materiałów budowlanych, płótna i naczyń kuchennych. Ona i inni karczowali, plewili i zbierali plony ręcznymi narzędziami, od których wyskakiwały pęcherze na dłoniach i bolały plecy. Potem fabrykator wyprodukował niewielkie żniwiarki, które mieściły się nawet w najmniejszych zagrodach i zbierały zboże szybciej niż kobiety z sierpami. Fabrykator mógł przemleć ziarno na razową albo białą mąkę, a odpadki przetwarzano na różne sposoby. Choć Ofelia dorastała w mieście, kupując żywność w sklepach, te małe maszyny napelniły ją wciąż po pierwszych żniwach, podczas których nie musiała wszystkiego robić własnymi rękami.

Czy te stworzenia też to odczują? Czy wierzą w czary? A może przyjmą wszystko jako oczywiste?

Dyskusja, którą rozpoczęli wtedy, kiedy Lud odkrył miasto, toczyła się równolegle z dziesięcioma innymi. Czy to ten sam rodzaj potwora? Ten nie ma okrycia na stopach i w ogóle niewiele okrycia na sobie. A jednak posiada takie same krótkie, miękkie palce u nóg, jak najeźdźcy, złodzieje, niszczyciele gniazd. Ma po pięć takich palców u nóg i po pięć przy górnych kończynach. Na głowie białe, nie ciemne włosy, ale identyczny układ otworów i wypukłości.

To taki sam potwór. Jest bliźna w miejscu, gdzie wylądowały latające potwory.

Nie taki sam. Jest tylko jeden; biały na czubku.

Ciekawy. Robi dziwne rzeczy.

To potwór, czego się spodziewałeś?

Nie jest łowcą. Czy jest ofiarą?

Nie możemy go zjeść. Możemy obserwować.

Miękka skóra. Zmarszczki. Rzeczy zwisają.

Rzeczy! Ozdoby, ziarnożerco!

Ozdoby. Potwór nosi na sobie ozdoby, które zmienia z dnia na dzień. Co to znaczy? Sposób rachuby, reakcja na pogodę?

Któż to może wiedzieć? Warto popatrzeć, warto się czegoś nauczyć. Jeśli przybędą następne potwory, będziemy o nich więcej wiedzieć.

A tyle tego do uczenia się. Te wszystkie narzędzia, pojemniki, umocowania, pudełka dźwiękowe, pudełka obrazkowe. Zabębnili na zgodę, że nikt nie dotknie i nie będzie manipulował przy widocznych urządzeniach oprócz tych, które potwór im zademonstrował i zaproponował: światło i woda. Gorące pudełka i zimne pudełka.

Gdyby nie to, że potwór nosił ozdoby, pomyśleliby, że potworom zależy tylko na pudełkach; w pudłach mieszkają, przechowują rzeczy, gotowały pożywienie w gorących pudełkach, trzymały żywność w zimnych pudełkach, w pudełkach miały dźwięki i obrazy. Niektórzy z Ludu rzeźbili pudełka w kości lub drewnie, albo robili je ze skór trawożerców. Ale worki i tykwy są wygodniejsze w podróży. Tylko ci, którzy wybrali życie w stałych gniazdach, posiadali wielkie pudła.

To obrazkowe pudełko. Pokazuje wzrok ptaka.

???

Ptak, wysoko – coraz wyżej. Wszystko zdaje się małe, lecz ptak widzi daleko.

Tak wysoko?

Latające potwory wystraszyły niebo. A co, jeśli naprawdę je przebiły? Z takiej wysokości mogłyby zobaczyć naraz cały świat.

Zalew argumentów w dyskusji o kształcie świata, podsumowujący każdą teorię znaną Ludowi. Świat jest płaski. Świat nie jest płaski, lecz okrągły jak tykwa. Nie okrągły jak tykwa,

lecz nieregularny jak blok, jak kamień. Nie, jak ten korzeń, który lubią ryjący: bogowie tam ukryli kształt, aby pokazać, że jest on święty. Argumenty przycichły, kiedy najstarszy, ignorując wszystkich, zamiótł przed sobą ziemię. Wszyscy zrozumieli gest i zgromadzili się dookoła.

Żdźbła trawy ułożone w staranne wzory przedstawiały wąwozy pomiędzy pudłami; cały schemat nie był szerszy niż rozłożona dłoń. Najstarszy przykucnął, jednym okiem przyglądając się wzorom, potem powoli wstał. Patrzyli, nic nie mówiąc. Tyle na razie było oczywiste: wzrok ptaka, widzenie z wysoka, pomniejsza, widać daleko. No więc?

Teraz najstarszy zamiótł dookoła ręką, pstryknął palcami, jeszcze raz zatoczył ręką koło. Ocenić! Podniosły się wszystkie głowy. Młody łowca przykucnął, wypróbując samemu schemat. Tutaj gniazda-pudła potworów. Tutaj wąwozy. A więc – na szerokość kolanka żdźbła trawy, a jeśli na palcach u stóp, to o tyle mniej – i potem... – już wiedzieli, jak przeliczać odległość z dużej skali na znane im wielkości. Tyle a tyle kroków, taka moc wyrzutu, by trafić kopacza. Taka prędkość biegu, jeśli trawożercy mają taki czas startu. Brak określeń na takie duże odległości, ale przeliczanie... to dosyć łatwa sprawa.

Mniej niż jeden dzień biegu przez łąki, więcej niż jeden dzień podróży przez drzewa zbyt wysokie. Oczy rozszerzają się w zdumieniu. Jeden dzień biegu w górę? Zerkają na błękitne niebo, na kłębiaste obłoki. Jak więc daleko jest do nich? Jak są duże? Oszacowanie odległości nie sprawia im więcej kłopotu niż oddychanie: jeśli taka jest prędkość najszybszego biegu, to chmura jest większa od pięciu trawożerców, ale jeśli zajmuje on czas przesunięcia się słońca o dłoń, to chmura jest... jest tak duża, jak pagórek. Ktoś wymienia nazwę konkretnego wzgórza, ktoś inny proponuje inne wzgórze.

Jakaś rzecz należąca do potworów jest tam w górze i patrzy, potworny ptak z ogromnymi oczami. Musiałby mieć olbrzymie oczy, by widzieć tak dużo, i do tego w ciemności. Widzieli, że obraz przesunął się także w nocy. Sam obraz nigdy nie był ciemny.

Obraz, przypomniał najstarszy, to rzecz stworzona. To wybór twórcy, uczynić go jasnym lub ciemnym.

Twórca tam w górze? Wciąż czekający potwór?

Patrzy, co zrobimy z tym potworem. Będzie się uczył od nas, jak my uczymy się od niego.

Wie, że zabiliśmy potwory.

Dreszcz przeniknął ich wszystkich. Tamte potwory były złe – złodziejscy podpalacze gniazd – ale... jeśli potwory umieją wędrować tak daleko w górę, zostać tam i patrzeć, to być może...

Przede wszystkim gniazda! To odezwał się zawzięty młody, który już wkrótce będzie szukał pola do gnieźdzenia się. Jeśli stracimy gniazda, zgubimy Lud.

Uspokajające pomruki. Będą gniazda. Znajdziemy gniazda. Gniazdo dla ciebie, dla małych. Zawsze gniazda. Gniazda...

Gniazda tutaj. Najzuchwalszy w grupie patrzy dookoła na pudła potworów. Praworękie

bębnie, nie ma zgody. Najzuchwalszy gwałtownie wykręca szyję, nagle nie mieszcząca się w pasach podróżnej uprząży, i odwraca wzrok.

Przepraszam. Bez urazy. Przepraszam.

Najstarszy prostuje się, najpierw jedno, potem drugie długie ramię. Dosyć na razie. Spokojnie. Tu bezpieczni. Odpoczynek.

Sadowią się jeden po drugim. Najstarszy wyjął korek z tykwy i gwizdawkę. Najzuchwalszy rozprostował palce. Kilka powolnych nut, tam i z powrotem. Ktoś potrząsnął tykwą, ziarna i paciorki zadrżały, zatańczyły, podały rytm. Długie palce u stóp, podkurzone, wystukały rytm o ziemię. Kolejna gwizdawka, z początku niepewna, aż w końcu melodie spotkały się, złączyły dłonie i zatańczyły razem. Teraz głosy.

Dobre łowy, dobre łowy. Nowe łowy, nowe łowy. Muzyka wirowała wokół znajomych motywów, porywając nowości, których Lud się nauczył, i kształtując je w łuk i sprężynę poznanego. Potwór, potwór, tańczmy, tańczmy. Potwór, potwór, pudła, pudełka.

– Ziaam – powiedział stwór, wchodząc do kuchni.

Ofelia uśmiechnęła się szeroko. A więc potrafił to zapamiętać. Tak myślała. Jednak nie okazali się głupi. Podeszła do lodówki i otworzyła ją. Stworzenie zbliżyło się i stanęło obok. Ofelia paznokciem zeskrobała trochę szronu z wnętrza zamrażarki i pokazała go stworzeniu. Powąchało go, lecz jego oczy utkwione były w Ofelii, burząc jej spokój.

Nagle poczuła na palcu dotknięcie języka, nim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje – wpatrywała się w oczy stworzenia, nie w swój palec. Uczucie suchej szorstkości przstraszyło ją; poczuła, jak uchodzi z niej powietrze, i gwałtownie cofnęła rękę. Stworzenie zamrugało oczami i również cofnęło się z gwałtownym wydechem, którego ciepło Ofelia poczuła na dłoni.

Ciepło. Ciepłokrwisci. Wiedziała o tym. Czowała ciepło ich ciał tuż obok w tamtą noc, w czasie huraganu. Ale nie była tak świadoma ciepła ich oddechu. Nieświadomie uniosła dłoń do ust; mogła myśleć tylko o własnym oddechu, jaki jest nieświeży. Ten oddech, oddech Obcego, miał dziwny zapach, ale nie był nieprzyjemny.

Stwór patrzył teraz na nią, na jej palec. Ponownie wysunął język i oblizał to, co Ofelia uważała za usta. Nie tak miękkie i ruchliwe jak usta ludzkie, ale inne niż skóra na twarzy stworzeń. Bardziej brązowe... u tego akurat purpurowo brązowe. Także język był ciemniejszy niż różowe języki ludzi. W dotyku bardziej suchy, nie tak miękki, jak język dziecka.

Teraz, kiedy Ofelia patrzyła na niego, stwór sięgnął do lodówki i sam zdrapał trochę szronu pazurem. Zlizał go szybkimi, drobnymi liźnięciami. Potem zeskrobał następny kawałek lodu i wyciągnął w kierunku Ofelii, trzymając dłoń na wprost jej ust.

O co chodzi? Ofelia przeniosła wzrok z twardego, ciemnego paznokcia, pokrytego topniejącym szronem, na złotobrązowe oczy i z powrotem. Czy on spodziewa się, że ona obliże

jego palec? Stwór przysunął palec bliżej jej ust. Przełknęła ślinę, patrząc, jak pierwsza kropla wody ścieka z topniejącego lodu.

Uprzejmość zwyciężyła nad przezornością. Ofelia wystawiła język i ostrożnie dotknęła nim szronu. Zimny, oczywiście. Pod warstwą szronu wyczuła językiem twardą, gładką powierzchnię paznokcia – pazura – wszystko jedno czego. Taki sam, jak jej własny paznokieć; język Ofelii nie wyczuł nic obrzydliwego, tylko twardą, gładką powierzchnię, pokrytą chłodem.

– Ziaam – powiedział stwór.

– Ziaam – zgodziła się Ofelia.

Jej dzieci lubiły jeść szron z zamrażarki; w gorące dni większość dzieci tak robiła. Odwróciła się, znalazła płytką miskę i drewnianą łyżkę i wyskrobała więcej szronu do naczynia. Wręczyła je stworzeniu, które wzięło miskę i stało bez ruchu, jakby nie wiedząc, co z nią zrobić. Nie może przynajmniej oczekiwać, że ona będzie oblizywać mu palce, jeśli wszystkie będą zajęte trzymaniem miski. Może stwór nie wie nawet, że szron zamieni się w wodę.

Cały czas zimne powietrze mroziło jej stopy i kostki, a otwarte drzwi lodówki zużywały niepotrzebnie prąd.

– Nie stój przy drzwiach – powiedziała Ofelia i delikatnie popchnęła stworzenie, przesuwając je tak, by mogła zamknąć drzwi.

Stwór cofnął się, trzymając miskę, ale nie patrząc na szron. Wpatrywał się w Ofelię. Chciałaby, żeby tego nie robił. Jak na razie miała dosyć. Pokazała palcem miskę.

– Zimne – oznajmiła. – Możesz zjeść wszystko, jeśli masz ochotę.

Stworzenie odwróciło się, odstawiło miskę na stół, a następnie znowu nabrało nieco szronu na palec. Ofelia patrzyła, jak wysuwa język – ciemny, tak, bardziej szorstki niż ludzki i bardziej suchy – i zlizuje szron. Potem stworzenie spojrzało na Ofelię. Z westchnieniem nabrała na palec szronu, na który nie miała szczególnie ochoty, ale nie chciała być niegrzeczna. Jeśli to o uprzejmość chodziło. Stworzenie zanurzyło palec w misce i oblizało go do czysta, a potem znieruchomiało. O to właśnie musi chodzić. O kolejność. Czy stwór myśli, że Ofelia pragnie go otruć, czy też chce być uprzejmy? Nie miała pojęcia. Uczucie chłodu na języku było bardzo przyjemne, przyjemniejsze, niż jej się przedtem zdawało. Pozwoliła kawałkom lodu stopnieć i rozpuścić się strumyczkami po wnętrzu ust.

Zanim zdążyli powtórzyć to więcej razy, resztki lodu w misce stopniały. Stworzenie zanurzyło palec w wodzie i dotknęło nim wydłużonej części twarzy nad ustami, którą Ofelia uznała teraz za nos. Potem znów zamoczyło palec i dotknęło po kolei powiek. Lekko pchnęło miskę w stronę Ofelii. Krzywiąc się, włożyła palec do zimnej wody. Nie wiedziała, co ma oznaczać ten gest; bała się trochę naśladować go, ale bała się też odmówić naśladowania. Co powie, jeśli dotknie wodą nosa i powiek? To będzie coś o czuciu, o widzeniu... ale co? Przyłożyła mokry palec do nosa, a potem do powiek.

Stwór zamruczał i wyszedł z kuchni, nie oglądając się za siebie. I co teraz? Obraziła go, czy tylko poszedł opowiedzieć towarzyszom o tym, co zrobiła? Podeszła do drzwi, żeby zobaczyć: gość przeskoczył przez ogrodzenie i szedł drogą w dół.

Spostrzegła teraz, że kiedy kroczy wysoko podnosząc nogi, idzie w zasadzie cały czas na palcach, tylko czasami dotykając piętą ziemi.

Ofelia wzruszyła ramionami. Ma dziś na kolację chleb; nie musi się cały czas martwić o stworzenia. Ukroiła sobie kilka kromek z jednego bochenka i zjadła je. Chleb był dobry, od chrupiącej skórki po miękkie wnętrze.

ROZDZIAŁ 11

Archiwa konsorcjum: raport na temat próby rekolonizacji planety 3245,12 po niepowodzeniu przedsięwzięcia kolonizatorskiego kompanii Sims Bancorp Ltd. i wynikającej z niego utraty licencji

Przestudiowanie dokumentów przedłożonych przez Sims Bancorp jako dowód rzeczowy w trakcie przesłuchań wskazuje na to, że fiasko ich planów kolonizacyjnych mogło być spowodowane między innymi nietrafnym wyborem lokalizacji. Następstwa tego kroku z pewnością stanowiły jeden z czynników składających się na niepowodzenie kolonii, jako że, choć straty w ludziach spowodowane warunkami klimatycznymi nie były rekompensowane, gdyby kolonia została osadzona w odpowiednim miejscu, mogłaby zapewne poczynić przeciętne przynajmniej postępy. Jak wynika z zapisów warunków meteorologicznych, okresowe cyklony znad morza oraz związane z nimi powodzie spowodowały straty w ludziach, inwentarzu, wyposażeniu (łodzi i inne pojazdy) oraz niszczenie plonów.

Z tych powodów Zeoteka O.S. po otrzymaniu licencji zdecydowała się umieścić nową kolonię w strefie umiarkowanej północnej, nie na równinie zalewowej rzeki, ale w jej pobliżu (zob. załączone mapy i wyniki skanowania terenu). Uważano, że dane z satelity pogodowego wskazują, iż miejsce obrane na lądowisko przyszłej kolonii nie zostało zalane ani razu na przestrzeni 42 lat obserwacji.

Osadzenie kolonii odbyło się zgodnie ze standardową procedurą zawartą w „Znormalizowanym polowym zbiorze instrukcji”, wyd. XIV.

„Kapitan Gian Vasoni, dowodzący jednostką transportową na Jun Vi, wpisał do dziennika raporty z kilkudniowej obserwacji. Ewakuacja tropikalnej kolonii Sims Bancorp została zakończona w terminie; miejsce tej kolonii było wyraźnie widoczne na skanerze pracującym w szerokim paśmie. Spektrum podczerwone wykazało, że elektrownia nie została poprawnie wyłączona, lecz nie wykryto aktywności wskazującej na obecność ludności pozostającej po ewakuacji.

Kompania Sims Bancorp utrzymuje, że według ich zapisów, elektrownia została wyłączona, lecz że w tym rejonie żyły miejscowe zwierzęta, które w okresie po ewakuacji kolonii mogły przypadkowo włączyć urządzenia: porzucone maszyny nie zostały zniszczone, ponieważ kompania była przekonana, że na planecie nie powstały inteligentne formy życia (zob. dane z wywiadu wstępnego).

Kapitan Vasoni wydał polecenie przeprowadzenia wywiadowczych lotów wahadłowców w celu zebrania aktualnych danych o proponowanym miejscu założenia kolonii. Loty te dostarczyły danych zgodnych z danymi z wywiadu wstępnego. Temperatura, wilgotność oraz skład atmosfery mieściły się w granicach norm. W pobliżu zaobserwowano przemieszczające się

małe stada czy też grupki dzikich zwierząt, lecz żadna z nich nie znajdowała się w promieniu pięciu kilometrów od planowanego miejsca lądowania. Nie zaobserwowano również żadnych oznak celowej działalności, która sugerowałaby obecność inteligentnych form życia, nie mówiąc już o wrogich, w sposób oczywisty dla niewyspecjalizowanego personelu. Konsultacja z ksenotechnologiem lub osobą o podobnych kwalifikacjach nie była możliwa.

Po zakończeniu lotów zwiadowczych kapitan Vasoni polecił otwarcie kapsuł kriogenicznych i rewitalizację kolonistów oraz wydał polecenie pierwszego lądowania na planecie bezzałogowego promu, zawierającego ciężki sprzęt robotyczny. Przygotowania lądowiska przebiegały normalnie i pierwsze promy przewożące kolonistów wylądowały bez przeszkód. Podczas gdy rozbudowywano urządzenia naziemne i rozpoczęto składanie prowizorycznych domów z prefabrykatów, kontroler naziemny zgłosił nagłe pojawienie się wielkiej gromady dzikich zwierząt na wschodzie (od strony wschodu słońca).

Początkowo gromada zwierząt wydawała się poruszać w panicznej ucieczce, zapewne spłoszona hałasem lądujących promów. Kontroler naziemny wystrzelił petardy dymne, by powstrzymać dzikie zwierzęta. Stało się jasne, że zwierzęta są wrogo nastawione i że atakują ekipę naziemną. Nie jest pewne, jaka broń została użyta (zob. załączona analiza militarystyczna), ale niektóre z typów broni z całą pewnością należały do balistycznych i wybuchowych. Stracono jeden z promów, stojący na podkładzie ładowniczym i uderzony bronią balistyczną, która wybuchła przy zderzeniu z siłą wystarczającą, by uszkodzić zbiorniki i zdetonować paliwo. Przyjmuje się, że nie było to celowe trafienie; czymkolwiek są te istoty, nie mogły mieć żadnego wcześniejszego doświadczenia z wahadłowcami.

Kapitan Vasoni bardzo słusznie odmówił wysłania posiłków dla ekipy naziemnej. Protokół sądowy wykazuje, że kapitan Vasoni nie dysponował ani środkami koniecznymi do przeprowadzenia naziemnej akcji militarnej, ani doświadczonym personelem, który mógłby przeprowadzić taką akcję. Ponadto kapitan Vasoni zdawał sobie sprawę, że działalność domniemanych dzikich zwierząt jest przejawem potencjalnej inteligencji według definicji zawartej w sekcji XXXII, podsekcji 14, „Paktu generalnego o eksploracji i rozwoju przestrzeni kosmicznej”, i że przepisy dotyczące Kontakt z Obcą Cywilizacją zastępują teraz wszystkie inne. Niestety, grupa kolonistów znajdująca się na powierzchni planety została zaatakowana przez istoty i poniosła ogromne straty w ludziach. Kapitan Vasoni napotkał zdecydowany opór załogi na pokładzie statku przeciw pozostawieniu na planecie personelu znajdującego się na powierzchni; konieczne stało się użycie siły, aby zapobiec wybuchowi buntu.

Z powodu opóźnień będących wynikiem utraty personelu, zarówno podczas próby lądowania, jak i w czasie buntu, oraz opóźnień wynikłych z przedłużającego się orzekania winy, pełny opis tych tragicznych wydarzeń dopiero teraz zwrócił uwagę Biura Spraw Pozaziemskich. Staje się

jasnym, że niezbędna jest ekspedycja doświadczonego Zespołu Kontaktowego w celu oszacowania lokalnej (?) kultury i poziomu zaawansowania technologicznego. Ponieważ kolonia Sims Bancorp pozostawiła na planecie pewną liczbę zaawansowanych urządzeń, niedozwolonych na światach nienależących do paktu, musimy zatroszczyć się o los tego wyposażenia. Ta skąpa ilość danych, jakie posiadamy, sugeruje, że lokalna (?), rozumna (?) cywilizacja, odpowiedzialna za ostatnią klęskę, jest kulturą nomadyczną, żyjącą w jednym tylko rejonie, hodującą miejscowy odpowiednik trawożetnego bydła. Jako że żaden z tych gatunków nie występuje w strefie tropikalnej, nomadzi mogli jeszcze nie natrafić na pozostałości kolonii Sims Bancorp. Jeśli jednak to już się stało i jeśli ta elektrownia faktycznie funkcjonuje (jak by wynikało z danych dostarczonych przez kapitana Vasoni), mamy sytuację kryzysową. Tak agresywny, wrogo nastawiony gatunek nie może poznać zaawansowanych technologii zbyt wcześnie.

Autoryzacja 86.2110. Kontakt z Obcą Cywilizacją drugiego stopnia. Dowódca Zespołu: Vasil Likisi. Cel misji: Oszacowanie:

1) inteligencji

2) organizacji społeczeństwa

3) poziomu zaawansowania technologicznego

4) wskaźnika wrogości Jeśli wynik będzie zatwierdzający, starać się o uzyskanie zgody pierwszego stopnia na podpisanie Paktu Generalnego. Niezależnie od wszelkich wydarzeń zabezpieczyć elektrownię kolonii Sims Bancorp oraz inne zabronione technologie.

– To była głupota, od początku do końca. Nieważne, co powiedzieli, założę się, że Sims wiedział o wszystkim – byli już dosyć wkurzeni, że stracili licencję.

– Nigdzie w ich wewnętrznym przepływie danych nie ma o tym mowy. Mówię ci, nic nie wiedzieli, a stworki po prostu się zawstydzili i pochowały w czasie pierwszego zwiadu.

– Głupstwa gadasz. Musieli wiedzieć. No, chyba że nikt nie przeglądał zapisów z satelity pogodowego, popatrz – tutaj – nie nazwiesz chyba tego nienaruszonym terenem.

Kira Stavi siedziała wygodnie rozparta i przysłuchiwała się sprzeczce. Vasil Likisi, doświadczony dowódca zespołu całuj psa w nos. Vasil Likisi, oficjalnie mianowany lizus – to już pasuje lepiej. Vasil nawijający o Sims... a czy on przypadkiem nie pracował kiedyś dla Consol Varis, jednego z pomniejszych nabytków Simsa? Popatrzyła na monitor, zamiast wdawać się w spór, który Vasil wyraźnie chciał prowadzić z Orim... Ori da sobie radę. A monitor też był ciekawy. Choć obraz nie miał legendy, Kira z doświadczenia wiedziała, że te purpurowe i żółte smugi są spektrami emisji termicznej o wzmocnionym kontraście. Regularne pasy i kleksy, aż zbyt regularne. Vasil miał rację, przynajmniej co do tej jednej rzeczy.

Ori poruszył kwestię, którą ona sama by podniosła, kwestię, którą już wcześniej próbował

poruszyć:

– Czy to możliwe, że obserwujemy powstawanie gatunku?

– Niemożliwe – fuknął Vasil. – To te głąby z Sims...

– Nie widzę powodu, dla którego to nie miałyby być możliwe. – Ori nie podniósł głosu, ale nie onieśmieliło go stwierdzenie Vasila, i jasno to okazał. – Tylko dlatego, że nigdy wcześniej tego nie widzieliśmy, nie znaczy, że to nie może się zdarzyć. Teoretycznie to musi się czasem zdarzać.

– Szanse...

– Są teraz bez znaczenia. Ważne jest to, co jest. – Ori tradycyjnie nie mógł się powstrzymać od prawienia komunałów. Vasil poczerwieniał jeszcze mocniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Kira zdecydowała, że nadszedł czas, by ostudzić dyskutantów.

– A co ze źródłem ciepła na terenie starej kolonii Simsa? Czy mamy stuprocentową pewność, że nie oznacza ona nielegalnego zajęcia obiektu?

Vasil jęknął, ale opanował się, tymczasem Ori odwrócił się do Kiry.

– Powiedzieli, że nie. – Ori potarł grzbiet nosa. – Zaskoczyło to kapitana Yasoniego, ale nie zaobserwowano zorganizowanych ruchów. Kapitan szukał tego. W tym miejscu... – Dotknął ekranu i zmienił lokację, a potem skalę.

Pierwotne zarysy lądowiska już się zatarły – roślinność tropikalna, przypominała sobie Kira, może to szybko załatwić. Budynki wciąż wznosiły się, wyraźne – no cóż, przede wszystkim budynki postawili solidne. Skupisko gorących plamek podpisane jako owce, a tam, bliżej rzeki, drugie skupisko, podpisane jako krowy. Te były odpowiednich rozmiarów i temperatury, być może zwierzęta potrafiły przetrwać tak długo bez ludzkiego dozoru.

– Czy ktoś pytał weterynarzy?

– Ależ tak. Także i o początkową liczebność stad. Wszystko mieści się w granicach prawdopodobieństwa. Nie przeżyją następnych dziesięciu lat bez dozoru, ale jest ich dużo mniej, niż pastwiska potrafią wykarmić, poza tym mogą się żywić roślinami z przydomowych ogródków.

– W samej wiosce mamy jedną ciepłą kropkę – powiedział Vasil, ale już spokojniej. – Vasoni nie skanował jej przez cały czas, więc nie mamy pewności, czy to ten sam obiekt, ale cokolwiek on jest, na pewno nie jest człowiekiem. Inne wzory. Koloniści Simsa zgłaszali istnienie gatunku o sprawnych rękach, wspinającego się na drzewa, żyjącego w pobliskim lesie, którego osobniki początkowo podchodziły do wioski. Gdyby to było na Ziemi, byłyby to małpy. Eksperci twierdzą, że obiekt to jedno z tych zwierząt. Jest mniejszy niż te duże stwory z północy.

– Mhm... – mruknęła Kira bez przekonania. – Czy ktoś sprawdzał listę ewakuowanych członków kolonii Simsa?

– W miarę możliwości. Baza danych kolonii, którą przywieźli, mogła oczywiście być sfałszowana, ale twierdzili, że wszystkich mają pod kontrolą. Kilkoro starszych zmarło w czasie transportu, tak jak przypuszczałaś. Mielibyśmy potwierdzenie, gdyby Vasoni miał na tyle rozsądku, żeby najpierw zrobić wyraźne zdjęcie kolonii, ale kiedy uświadomił sobie, że będzie go potrzebował, musiał się zająć buntem.

– No dobra. – Kira miała nadzieję, że naprowadzi ich z powrotem na prawdziwy problem, Obcych. – Jakies sugestie, gdzie mamy wpasować tych ludków na skali Varinge’a?

To ich całkiem ostudziło. Obaj jęknęli, westchnęli, jednym słowem, zrobili to, co Kirę skłaniało do rozważań, dlaczego jeszcze nie porzuciła służby. Praca zespołowa, ha!

– Brak wytworów rzemiosła – powiedział Vasil. – Nie wiemy nawet, czy mają metale.

– A nasz statek odlatuje za mniej niż dziesięć dni i nie dowiemy się niczego więcej, póki nie wyjdziemy z zakłóceń FTL przy boi nawigacyjnej i nie weźmiemy się do tego. Vasoni był przynajmniej na tyle rozsądny, żeby stale obserwować ten teren.

Kira popatrzyła na resztę swojej listy. Specjalista od językoznawstwa, naturalnie, choć, jak dotąd, dokonania językoznawstwa pozaziemskiego były mniej niż zachęcające. Wybierając zastępców o nieco innych specjalizacjach, udało się zebrać ekspertów w szerokim zakresie nauk: biologii, szacowania technologii, językoznawstwa, antropologii... ale do czegoś tak ważnego naprawdę potrzeba większego zespołu. Zwłaszcza wtedy, gdy dowódca zespołu jest wyznaczony z politycznego klucza i gdy używa on swojego stopnia naukowego – jakikolwiek by on był – w służbie korporacji i rządu. Na przeszkodzie stała pojemność transportowca. Nikt nie chciał tracić czasu, a zwykły statek czołgałby się ślamazarnie od punktu skoku do wybranej planety... co oznaczało, że będą musieli gnieść się w wojskowym transportowcu, który pokona tę drogę w ciągu dni, nie miesięcy.

A to z kolei oznaczało przybranie wojskowych pozorów. Kira zastanawiała się, co inni o tym myślą. Przecież w końcu te stworzenia zabiły kolonistów, i to wszystkich, były więc z pewnością niebezpieczne. Wojsko może ich ochraniać, ale z drugiej strony, wojskowi są skłonni myśleć, że to oni wszystkim dowodzą, nawet kiedy to nieprawda. A to ma być przecież misja naukowa i dyplomatyczna.

Ofelia stwierdziła, że wszyscy uwielbiają lodówkę, a zwłaszcza szron, który tworzył się na ściankach zamrażarki. Dwa razy po wejściu do kuchni znajdowała drzwi lodówki otwarte i jednego z nich, drapiącego zamrażarkę rogowym pazurem, podczas gdy drugi trzymał miskę. Za pierwszym razem, kiedy weszła, ten z miską upuścił ją na podłogę, dokładnie tak, jak dziecko, które zawiniło; oba stwory wykonały coś w rodzaju dygu i wymknęły się bokiem. Za drugim razem – czy to byli ci sami dwaj? – obaj, wpatrzeni w nią spokojnie, natychmiast zaczęli jeść szron, póki nie odepchnęła ich i nie zamknęła lodówki. Ta różnica w zachowaniu uderzyła ją jako

bardzo ludzka: jedni uznawali konieczność istnienia reguł, nawet kiedy je łamali, a inni mieli je za nic.

Cieszyła się teraz, że wyłączyła lodówki z sieci w prawie wszystkich domach. Musiałaby cały dzień spędzać na sprawdzaniu, czy są zamknięte. Nie chodziło tylko o marnotrawstwo prądu; także silniki chłodziarek prędzej się zużywały. Przynajmniej stworzenia nie grzebały w silnikach. Udało jej się przekonać je – sama nie była pewna, w jaki sposób – że nie wolno rozkładać sprzętów na części. Przybysze cały czas włączali i wyłączali światła, odkręcali i zakręcali wodę, ale to było nieszkodliwe. Ofelia obawiała się, że mogą uruchomić niektóre z pojazdów stojących obok lądowiska, ale nie zrobili tego. Może te maszyny i tak by już nie działały, skoro przez cały ten czas podczas sztormów stały na dworze. Nie próbowała ich uruchomić od... nie pamiętała już dokładnie. Na pewno od czasu jeszcze przed przybyciem Obcych. Może to właśnie dlatego nie eksperymentowali z pojazdami.

Naprawdę jednak nie byli aż tak nieznośni, jak dzieci. Tak jak dzieci, byli niestrudzenie ciekawi wszystkiego, ale w przeciwieństwie do dzieci potrafili zrozumieć, że istnieją granice. Najgorsze było to, że Ofelia nie mogła się zabrać do żadnej pracy, nie mając świadomości, że stanowi centrum ich uwagi i zainteresowania. Gdy usiłowała malować korale, jeden z nich maczał pazur w słoikach z różnymi farbami; kiedy nawlekała korale na sznurki, wielka ptasia głowa pochylała się nad nią, obserwując. Kiedy robiła na szydełku, jeden z nich wyciągał rękę, by pomacać włóczkę, a potem „pomagał” jej, rozwijając kłębek i trzymając nić luźno. Nie umiała wyjaśnić im, że musi czuć lekkie napięcie nici, żeby dobrze wymierzyć stopień ściągnięcia oczek. Kiedy usiłowała popracować nad wpisem do dziennika, cisnęli się przy drzwiach, patrząc, jak słowa przesuwają się na ekranie.

Czuła się tak, jakby miała koło siebie dzieci, do żadnej pracy nie mogła się zabrać w spokoju. Kiedy wiedziała, że ktoś ją obserwuje, przygląda się, jakie ona wybiera kolory, materiały, kształty, jakie ścięgi czy słowa, nie mogła się skoncentrować. Nawet kiedy nie przeszkadzali Ofelii celowo, przeszkadzało jej samo zainteresowanie gości.

Usiłowała zatrudnić ich przy realizacji swoich projektów, tak jakby to zrobiła z dziećmi. Gdyby tylko czymś się zajęli, mogłaby spokojnie wrócić do swoich prac. Dawała im do pomalowania matowe beżowe koraliki z fabrykatora, skrawki materiału i kawałki kolorowej włóczki. Ale choć spletywali włóczkę w warkocze i spirale, a nawet zanurzali koraliki w farbach, żadna czynność nie absorbowała ich na długo. Kiedy Ofelia już-już myślała, że praca ich pochłoneła i że może teraz mamrotać do siebie nad własną robotą, planując, co zrobić dalej, znowu pojawiali się przy niej. Tłoczyli się dookoła, pochylali, zawisając nad nią. Patrzyli.

Na zewnątrz nie było tak źle. Na otwartej przestrzeni nie wydawali się tacy ogromni, nie czuła się przytłoczona ich obecnością. Przyzwyczała się już, że jeden z nich jest z nią zawsze w ogrodzie, chętnie przyjmując rurkoślizy, które mu rzucała. Nie łamali już łodyg kukurydzy ani

nie trawili gofrowanych liści tykw i dyń. Podążali za nią w czasie jej regularnych obchodów pastwisk, kiedy doglądała owiec i krów. Zwierzęta także w końcu do nich przywykły i przestały się płoszyć. Ale w budynkach zawsze byli utrapieniem: odrobinę za duzi, by wygodnie przebywać razem z nią w jednym miejscu pracy, ale zdecydowani dowiedzieć się, co i w jaki sposób robi. Czują się ograniczana, uwięziona w tłumie. Nie próbowali wchodzić, gdy zamykała przed nimi drzwi, ale nie potrafiła się odprężyć, bo wciąż się zastanawiała, co mogą zbroić na zewnątrz. Także to przypominało zajmowanie się dziećmi. Kiedy jej własne dzieci były małe, nieraz jak do azylu uciekała do łazienki, ale nigdy nie zostawała tam długo. Zbyt dobrze wiedziała, co może się w tym czasie przydarzyć... a przynajmniej wiedziała, jeśli chodzi o dzieci. Przy tych stworach nie wiedziała, czego się spodziewać; pozostawało jej tylko martwienie się.

Wchodzący w okres gnieźdzenia pierwszy podjął decyzję. To strażnik. Strażnik gniazd.

Praworękie bębnienie rozbrzmiało niepewnie, utrzymało rytm. Niemożliwe; to nie są gniazda.

Były gniazda. Szybkie gesty przywołują istnienie maszyny obrazkowej i tego, co pokazała. Gniazda były... został strażnik.

Leworękie bębnienie. Tak jest, to były gniazda, i tak jest, to może być strażnik... jedyny pozostały strażnik.

Stary... musi być bardzo stary. Drżenie ramion, uprzejme spojrzenia kierowane na ich najstarszego, o tyle młodszego od najstarszego całego Ludu, a jednak starszego od nich.

Poza tym, dodał zbliżający się do okresu gnieźdzenia, istota wie tak wiele o tych wszystkich pudełkach i rzeczach, które świecą, poruszają się i mówią...

Jeśli to jest mowa.

To jest mowa. Rzeczy odpowiadały.

Rzeczy, które mówią.

Ostatniej wypowiedzi towarzyszył ton lepiej wyrażający głód niż słowa, warkot prosto z trzewi. Wszyscy wyprostowali się odrobinę, oddychali szybciej: nadchodzą łowy. Rzeczy, które mówią, robią coś, rzeczy, które można uznać za pożyteczne, te poruszające wodę, dające ciepło i zimno, rysujące obrazki i wydające dźwięki. I bardziej niebezpieczne rzeczy, jak te, których użyły potwory-najeźdźcy do zniszczenia gąszczu gniazd. Mogliby spróbować tej jasnej krwi, tej wymykającej się inteligencji.

Mogłaby wykarmić młode, powiedział ten przed gnieźdzeniem. To było oczywiste, ale ci przed gnieźdzeniem powtarzają oczywiste stwierdzenia, i to wielokrotnie; po tym poznaje się, jak blisko są gnieźdzenia. Ta wiedza w głowie potwora, te rzeczy, wykarmią młode, jeśli tylko...

Nie można tego jeść, przypomniał im najstarszy. To potwór, nie jest pożywny. Krótkie

poruszenie, praworękie bębny, potem leworękie, potem zmieszane rytmy, w czasie gdy grupa szuka rozwiązania. Oczywiście, że nie można go zjeść; strażnicy to strażnicy, nie ofiary.

Nie zjeść. Nie zjeść, ale może... spróbować? Nie. Nagłe zachwianie rytmu na wspomnienie mdłości, jakie ich ogarnęły po skosztowaniu martwych potworów na terenach gnieźdzenia. Można wdychać, powiedział ktoś nareszcie. Głębokie westchnienie – wszyscy wypróbują nowy pomysł. Wdychać. Oczywiście. Tak jak przekazują sobie nowe wiadomości, wydychając je w powietrze i chwytając z powrotem, tak będą mogli wdychać wiedzę potwora.

Jego mowa. Kto się nauczy ją wdychać?

Wszyscy hałaśliwie wypuszczają powietrze z gardeł. Z otwartymi ustami miękko bębnią palcami po brzuchach i piersiach, wypróbują dźwięki.

Trudna sprawa. To stwierdzenie najmłodszego – wywraca oczami.

To potwór; nauka nie będzie łatwa.

Śpiewający lepiej sobie poradzą. Toczą wzrokiem w tę stronę. Nie przyszedł z nimi żaden prawdziwy śpiewający; żaden nie był na tyle zaciekawiony, nie w momencie, gdy mieli przed sobą układanie pieśni o inwazji i walce.

Kto pójdzie?

Cisza. Nie potrzebują bębnień, by wiedzieć, kto co wybrał, i decyzje zapadają w milczeniu. Wstaje jeden, potem drugi. Po chwili podnosi się trzeci.

To zbyt ważne. Stołek musi mieć trzy nogi.

Leworękie bębnienie, powolne i smutne, ale bez trzepoczącego rytmu słabości.

Powiedzieć potworowi?

Pokazać potworowi. Będziemy się uczyć.

Rano cała grupa – jeśli to naprawdę byli wszyscy – czekała przed domem Ofelii. Przyglądała się im, zaintrygowana, co będzie dalej. Trzech z nich podeszło bliżej i każdy po kolei zgiał przed nią grzbiet, tak że jego głowa znajdowała się na wysokości jej talii. Co to może być?

– Czy czegoś wam potrzeba? – zapytała. Ukłony, to muszą być ukłony, ale co oznaczają? Nie odpowiadali, nie wydali nawet chrząknięcia, jakim teraz regularnie odpowiadali na jej wypowiedzi. – Chcecie zimno? – szerzej otworzyła drzwi i ręką zaprosiła ich do środka.

Nie weszli. Zamiast tego stojący z tyłu rozstąpili się i pozwolili tym trzem odmaszerować drogą.

Zaintrygowana Ofelia podążyła za nimi. Czy próbują zaprowadzić ją do czegoś, co wymaga naprawy? Kiedy skręcili w uliczkę prowadzącą do części osiedla bliżej rzeki, była już tego pewna. Musi chodzić o pompy – chociaż woda tego ranka tryskała normalnie i z kranu, i z prysznica. Może chcą, żeby pokazała im, jak działają przełączniki pomp. Spodziewała się, że to ich zainteresuje.

Trzech Obcych minęło stację pomp, prowadząc za sobą Ofelię, a za nią w luźnej grupie pozostałe stworzenia. Skojarzyło jej się to z procesją, z uroczystą ceremonią, w której nie знаła swojej roli. Przeszli obok stacji pomp, przez łąkę, aż do wysokich traw na brzegu rzeki; wąskie żdźbła cięły ją po nogach i pozostawiały na nagiej skórze cieniutkie, piekące linie.

Teraz trójka prowadzących zatrzymała się i wszyscy zwrócili się przodem do niej. Skłonili się znowu; jeden z nich zbliżył się i, wydając cichy trył, dotknął pazurem jednego z naszyjników Ofelii. Szerokim gestem ogarnął jakby całą przestrzeń, a potem szarpnięciem głowy wskazał rzekę. W tej chwili pewność rozbłysła w głowie Ofelii: odchodzą. Czy wszyscy? Odwróciła się, by spojrzeć na tych z tyłu. Stali bez ruchu w nierównym szeregu. Czy będą próbowali nakłonić ją do odejścia? Nie będzie mogła iść z nimi. Nie może jeść ich pożywienia – muszą o tym wiedzieć.

Ten, który dotknął jej naszyjnika, powtórzył ów gest, tym razem wsuwając pazur pod korale, delikatnie, ledwo musnąwszy jej skórę. Co? Czyżby chciał zabrać naszyjnik? Ale po co? Ofelia podniosła rękę do naszyjnika i powoli zdjęła go przez głowę. To był ten ze skorupkami rurkoślizów pośród koralu, które sama zrobiła i pomalowała; zielonożółty, z kilkoma błękitnymi koralikami. Nie był to jej ulubiony naszyjnik; jeśli o to chodzi, mogła go oddać bez żalu.

Trzymała go w wyciągniętej ręce; stworzenie wzięło ozdobę, patrząc Ofelii głęboko w oczy, jak gdyby chciało nauczyć się jej twarzy na pamięć. Jeśli mają odejść, być może to właśnie robi. Odwróciwszy w końcu wzrok, stworzenie schowało naszyjnik do jednej z zakorkowanych tykw, wiszących przy ukośnym pasie, i mocno wcisnął zatyczkę na miejsce. Kolejny ukłon i troje Obcych odwróciło się od niej.

Nigdy przedtem nie widziała ich nad rzeką, nie wiedziała, czy potrafią pływać... Poczula ukłucie lęku o nich, jakby mimo wszystko byli jej dziećmi. W rzece żyły istoty, które zjadały inne wodne stworzenia; kolonia straciła raz dziecko, porwane przez coś o dużych zębach i pokryte łuską. Po chwili dostrzegła smukłą łódź, wysuwającą się z trzcin i wypływającą na rzekę, i jeszcze raz uzmysłowiła sobie, jak bardzo są obcy, jak dobrze przystosowani do swojego świata. Zbudowali długie, wąskie czółno z jakiegoś materiału – ze skór? – naciągniętych na szkielet z giętego drewna. Szwy tworzyły wzór podobny do cegiełek; Ofelia była ciekawa, czym są zaimpregnowane. A wiosła – długie, o podwójnych piórach, z których dłuższe miały zaostrome końce – zanurzały się i wynurzały z wody tak szybko i łatwo, jak nogi brodzących ptaków.

Popatrzyła w tył na tych, którzy zostali; patrzyli w napięciu, aż łódź dobiła do odległego brzegu rzeki – zdawała się maleńką łupinką – a ich towarzysze, po raz ostatni unosząc dłonie, zanurzyli się w las. Budowniczości łodzi. Projektanci łodzi. Musieli zrobić tę łódź już po tym, jak dotarli nad brzeg rzeki; nie wyobrażała sobie, by nieśli takie łodzie poprzez łąki i stopy, które zamieszkiwali.

Nawet gdyby знаła ich język, nie potrzebowałaby pytać, dlaczego odchodzą. Chcą

opowiedzieć o niej innym. Nie zabili jej (na razie, próbowała sobie powtarzać), a dowiedzieli się już dosyć, by zanieść wieści pozostałym. Czy ci inni tu przyjdą? Czy też może w końcu wszyscy tutaj obecni odejdą? To niezła myśl – może by tak poszli i zostawili ją w spokoju, by znowu mogła zająć się własnym życiem, tak jak tego chce, by nie musiała już na nich uważać.

Przez chwilę oddała się rozmyślaniom nad tą możliwością, tym stanem szczęśliwości, ale nie uwierzyła weń. Jej spokój zrujnowało pojawienie się nowej kolonii, a potem stworzeń, i wiedziała już z taką pewnością, jakby zasiadała w komisjach podejmujących te decyzje, że prędzej czy później ktoś przybędzie zbadać, jakie to istoty pozabijały ludzi.

Następnego ranka goście Ofelii wciąż jeszcze byli w miasteczku. Myślała, że teraz, kiedy już wysłali wiadomość do swoich, opuszczą ją, powędrują dalej, może polując w lasach. Ale pozostali i trzymali się blisko niej, prawie tak samo natrętni, jak poprzednio cała grupa. Zauważyła, że stopniowo, powoli, zaczyna naśladować ich skrzeczenie i pochrząkiwanie, ostrożnie, dopasowując układ warg do obcych dźwięków. Patrzyli na nią i odpowiadali chrząkaniem czy skrzekiem, a ona nic nie rozumiała. Po prostu wydawało jej się, że wygodniej będzie wydawać takie same dźwięki, tak jak się to robiło przy niemowlętach.

Zacząła ich postrzegać indywidualnie, choć nie wiedziała, w czym zawarta jest ta indywidualność. Nie umiała rozróżnić ich płci, wieku, czy ról społecznych. Wymyśliła dla nich imiona; pochodziły z jej obserwacji: Grajek, którego dmuchanie w rurkowy instrument najbardziej lubiła; Zabójca, który wyciągnął nóż na wspinacza drzewnego... żałowała, że nie odszedł razem z tamtymi – niestety, pozostał; Ogrodnik, który nie pracował w ogrodzie, ale towarzyszył jej często, wysoko ceniąc rurkoślizy jako przysmak.

Dni mijały. Grajek zrobił naszyjnik z własnoręcznie pomalowanych koralików... głównie w tonie błękitnym, z kilkoma zielonymi i żółtymi paciorkami. Nie mógł utrzymać pędzla w twardych, śliskich pazurach, ale zamiast tego odłupał kawałek gałązki, umieścił koralik w takim trzymadle i zanurzył cały w farbie. Ofelia w zdumieniu patrzyła, jak stworzenie czeka, aż spłynie nadmiar farby, a następnie odwraca gałązkę do góry nogami (ostrożnie trzymając pokryty farbą koniec w samych czubkach pazurów), tak żeby koralik mógł stoczyć się na przygotowany wcześniej stojak, zrobiony z większej gałęzi, umocowanej gałązkami do góry na podstawce. Koraliki kolejno były zanurzane w farbie, a potem lądowały na kolejnych rozgałęzieniach... aż w końcu ten kawałek drzewa zaczął przypominać świąteczne choinki – Ofelia przypominała je sobie mgliście, stojące w różnych instytucjach z jej dzieciństwa. Ku jej dalszemu zaskoczeniu stworzenie przygotowało osobne uchwyty dla każdego koloru farby. Dzieci trzeba było uczyć, żeby czyściły pędzel przy zmianie farby... ci tutaj nie byli dziećmi. Nie byli też ludźmi, choć w miarę płynących dni Ofelii coraz trudniej było o tym pamiętać.

Kiedy koraliki obeschły, stworzenie nawlokło je na skręcone źdźbła trawy, odrzucając nitkę,

podsuniętą przez Ofelię. A po skończeniu pracy uniosło gotowy naszyjnik zawieszony na pazurze i wyciągnęło go do niej. Czy to prezent, mający zastąpić naszyjnik, który podarowała odchodzącym? Była pewna jedynie intencji. Wzięła naszyjnik i włożyła go. Stworzenie dygnęło przed nią i wydało jeden ze swoich odgłosów; w tym akurat pobrzmiwało zadowolenie, zdecydowała Ofelia. Uśmiechnęła się i podziękowała głośno, tak jak podziękowałyby człowiekowi.

Obcy, którego w myślach nazywała Zabójcą, buszował po łąkach; Ofelia początkowo obawiała się o zwierzęta, ale dni mijały, a żadnego nie brakowało. Kiedy wybrała się na obchód stad, Zabójca poszedł razem z nią, od czasu do czasu przystając, by poczochnąć swoje stopy zakończone długimi pazurami o co wyższe kępy trawy. Raz nawet rzucił się na ziemię w wysokich trawach koło rzeki i przetoczył na grzbiet, niczym kura kąpiąca się w piachu. Ofelia zaśmiała się instynktownie. Wyglądał śmiesznie, kiedy tak się tarzał w trawie, nie był przecież opierzony i nie mógł się nastroszyć. Nie potrafiła znaleźć żadnego wytłumaczenia takiego zachowania – chyba że trawa łagodziła jakieś swędzące podrażnienia.

Ogrodnik nadal pomagał jej w wyszukiwaniu i eliminacji rurkoślizów. Zdawał się nie mieć innych zainteresowań.

Często brakowało go w grupie, która oblegała Ofelię pracującą w Centrum, snując się i przeszkadzając, kiedy chciała zabrać się do czegoś konkretnego. Kilka razy Ofelia zauważyła ślady pazurów w ziemi wokół roślin, tak jakby Ogrodnik plewił albo poruszał ziemię, kiedy jej nie było w ogrodzie. Być może tylko szukał rurkoślizów, a może rozumiał, do czego Ofelia używa motyki i grabi.

Usłyszała hałas z zewnątrz, kiedy wycierała się po wyjściu spod prysznica: przeciągły krzyk kilku głosów. Jej serce nagle zawahało się, a potem przyspieszyło. Z drogi przed budynkiem dobiegł ją bliższy głos, odpowiedź, a potem szybkie tupanie i stukanie biegnących stworzeń.

Ich przyjaciele – rodziny? – musieli właśnie przybyć. Ofelia bardzo powoli kończyła wycierać stopy i palce u nóg, żeby mieć czas na myślenie. Znów nastąpią zmiany. Była już znużona ciągłymi zmianami, ale przecież świat nigdy dotąd nie dostosowywał się do jej woli. Ilu ich przybyło tym razem? I czy ci nowi pozwolą jej, tak jak już znane stwory (prawie pozwoliła sobie nazwać ich przyjaciółmi), robić to, na co ma ochotę?

Włożyła naszyjnik, który zostawiła na stole w kuchni. Czowała, że nie jest to wystarczające ubranie. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że na drodze nie ma nikogo. W dole, na brzegu rzeki, usłyszała podniecone głosy, a potem ryk bydła. Zastanowiła się. Ten strój, nad którym pracowała, zrobiony z wąskich niczym wstążki pasów materiału w błyszczących barwach... czy ten jak burza morską, czy może peleryna, na której wyhaftowała kwiaty i twarze? Głosy odezwały się bliżej. Peleryna: tę najszybciej włoży, poza tym ma ją tutaj, w domu. Z okryciem na ramionach i ułożonym na wierzchu naszyjnikiem Ofelia wciąż czowała, że czegoś jej brakuje.

Bransolety na ręce, dobrze, i siatka zrobiona szydełkiem, którą kiedyś przytrzymała włosy: przypomniała sobie, że na ten widok stworzenia aż pootwierały oczy ze zdumienia.

Wyszła z domu i ruszyła drogą do zakrętu, a potem w stronę rzeki. Wyjdzie im na spotkanie, nie będzie czekała na nich w domu. To jest w końcu jej miasto. Lekka bryza unosiła pelerynę; Ofelia spojrzała w dół, na odwrócone do góry nogami haftowane twarze z wytrzeszczonymi oczami. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego jedna twarz miała troje oczu ani czemu wyhaftowała podwójny pionowy rząd oczu po bokach peleryny, pomiędzy twarzami z przodu i kwiatami z tyłu.

Przed sobą zobaczyła grupę Obcych, zbliżających się od strony rzeki. Na jednym z nich rozpoznała swój naszyjnik – czyżby wróciła tamta trójka? I nowo przybyli, jeden dużo ciemniejszy od pozostałych, inny ubrany w niebieskie okrycie, zakrywające górną połowę ciała. Zatrzymała się przy ostatnim domu. Poruszali się teraz, podchodzili do niej, niosąc w rękach worki. Jedzenie? Narzędzia? A nowi – przynajmniej ten w niebieskim płaszczu – poruszał się o wiele wolniej niż ci, których zazwyczaj obserwowała.

Z bliska wyraźnie wyglądali na ten sam rodzaj stworzeń, ale wyczuwała w nich inną inteligencję. Nigdy nie dostrzegła cech organizacji pomiędzy swoimi stworami, nigdy nie była pewna, który z nich dowodzi. Oprócz tych chwil, kiedy Obcy wyruszali na polowanie, zdawali się dryfować poprzez mijające dni, nie skupiając uwagi na niczym, prócz śledzenia jej, badania. Teraz zauważyła, że ci znajomi przesunęli się na koniec grupy; stworzenie w płaszczu kroczyło na przedzie, tak jakby miało do tego prawo.

Ofelia poczuła walenie pulsu i szum krwi w uszach. Czy to strach, czy inne emocje? Wpatrywała się w Obcego w płaszczu, usiłując odnaleźć podpowiedź w jego wyglądzie. Zauważyła, że pod okryciem ma tak samo skrzyżowane pasy i rzemienie, na których wiszą takie same tykwy i woreczki, do jakich była przyzwyczajona.

Stwór zatrzymał się jakieś pięć metrów przed nią. Pozostałe stanęły za jego plecami. Wiatr szarpał jej pelerynę i marszczył okrycie stworzenia. Obcy wyciągnął powoli rękę, odwrócił je dłońmi na zewnątrz, rozłożył palce. To zrozumiała: puste dłonie, nie ma zagrożenia. Nie musiała koniecznie mu wierzyć, żeby móc odpowiedzieć. Ona także odwróciła dłonie do góry. Stworzenie złożyło teraz rękę, pazur do pazura, układając je starannie – tak samo jak figurki świętych, które Ofelia pamiętała z dzieciństwa. Ponownie powtórzyła gest za stworzeniem. Cokolwiek znaczył, na pewno nie było to to samo, co rozumiał przez taki gest jej własny lud. Nigdy zresztą sama w to nie wierzyła. Przez chwilę miała poczucie winy, ale odgoniła je szybko. Te stworzenia nie wiedzą przecież, że nigdy nie wierzyła...

Obcy w płaszczu rozłożył teraz ramiona w powolnym geście, który przywoływał całą wioskę rozpostartą za jej plecami, a potem jakby zwinął przestrzeń w ciasny pakunek, który wręczył Ofelii. O ile ona w ogóle coś z tego rozumiała, znaczyło to: „Całe wskazane miejsce jest twoje”.

Albo Obcy zadawał jej jakieś pytanie. Przypominając sobie dzieciinną piosenkę, Ofelia narysowała w powietrzu koło, wskazała przestrzeń od koła po horyzont, a następnie powtórzyła gest pakowania, który przedtem wykonało stworzenie. Wręczyła niewidzialną paczkę Obcemu w płaszczu, jakby darując mu coś wielkiego i zarazem bardzo cennego. Chciała przez to powiedzieć: „Cały ten świat jest wasz”.

Za plecami nowo przybyłych jej stwory podskoczyły lekko, choć ten w błękitnym okryciu przez dłuższą chwilę nie reagował. Potem rozejrzał się i gestem przywołał resztę. Dwójka – jej własny Grajek i jeden z nowych – wyjęła instrumenty i zaintonowała cichutką na tle wiatru melodię. Potem odezwały się bębny.

Oczywiście, już wcześniej wiedziała, że mają bębny. Już wcześniej słyszała bębnienie, noc w noc. Ale nie wyobrażała sobie, że odbywa się to w ten sposób i że będzie na nią tak działać.

ROZDZIAŁ 12

Ich gardła napuchły, wydeły się w groteskowe torby; ich ramiona zadrżały; całe ciała zdawały się wibrować. I z tych nadętych gardeł wydobył się ostry, pulsujący rytm. Ofelia czuła, jak to drganie wstrząsa powietrzem, przetacza się w jej ciele, jakby była jedną z nich, rozbrzmiewa dużo głośniej niż przedtem, kiedy słyszała bębnienie swoich stworów. W podeszwach stóp poczuła drżenie innego, niedopasowanego rytmu, jak gdyby cała armia maszerowała równym krokiem, ale nie w takt muzyki. Rozejrzawszy się dokoła, zauważyła, że stworzenia tupią nogami we wspólnym rytmie, niezgodnym jednak z rytmem bębnienia.

Uderzenie, uderzenie, tupnięcie i znów tupnięcie. Teraz przecinające się rytmy ustabilizowały się; Ofelia poczuła, że zaznacza akcentowane uderzenia i że rytm jej stóp i stóp stworów pokrywają się. Który się zmienił? Nie miała pewności. Brakowało jej tchu, a jednocześnie czuła się zwinna i lekka, gotowa tańczyć jeszcze długi czas.

Jej stwory przesunęły się z tyłu grupy na boki, oskrzydlając całą gromadę. Ofelia patrzyła od jednego do drugiego. Grajek, Łowca, Zabójca, Ogrodnik, pozostali, dla których nie wymyśliła imion. Tańczyli teraz o krok bliżej. Ofelia cofnęła się; oni posunęli się w przód. Z przyspieszającym rytmem nadeszło olśnienie, ze zrównującym się rytmem ich i jej stóp. Nie wejda do wioski bez jej przewodnictwa, bez jej... pozwolenia?

Chwilowy bunt: po co jej te wszystkie stworzenia, które będą jeszcze dokuczliwsze od tych, które już знаła? Ale muzyka powstrzymała ją, uspokoiła. Nie może ich zatrzymać, jeśli zechcą wejść, a w ten sposób przybędą w jej tempie, podług jej woli. Zatoczyła pełne koło, prostując jedno ramię, co znaczyło: i to także może być wasze.

Potem w takt skomplikowanego rytmu worków głosowych i stóp wprowadziła ich do wioski. Za jej plecami bębnienie zredukowało się do równego pulsowania, które czuła w całym ciele, jakby to sama ziemia pulsowała pod jej stopami. Prowadziła ich drogą obok pozamykanych domów, obok miejsca, gdzie zobaczyła pierwszego z nich, poturbowanego przez wiatr, obok domu, w którym wtedy razem się schronili. Doszła do zakrętu, do drogi prowadzącej koło jej własnego domu i dalej do Centrum. Tutaj dopadł Ofelię jej własny oddech: stanęła pochylona, z ręką przyciśniętą do boku.

Bębnienie zwolniło, przycichło i nabrało melodii, prawie jak piosenka, prawie jak słowa. Stwory zbliżyły się. Czy martwią się o nią, czy tylko są głodne? Ofelia wyciągnęła rękę i oparła się o ścianę. To pewnie jest zabawne... oto stoi tu, w centrum uwagi, jako atrakcja, która przyciągnęła Obcych z odległości tysięcy kilometrów, a ponieważ jest tylko staruszką, może po prostu umrzeć z nadmiaru emocji i zmarnować cały czas, jaki jej poświęcili. Na tę myśl zaczęła chichotać mimo bólu, a od chichotu zaczęła kaszleć.

Kiedy w końcu znów mogła spokojnie oddychać, zobaczyła, że wszystkie stworzenia czekają

w ciszy, rozstawione w równym kręgu dookoła niej. Obcy w płaszczu stanął przed nią, przekrzywiwszy głowę w jedną stronę.

– Już mi lepiej – wyjaśniła Ofelia. – To dlatego, że jestem już stara.

Stwór zamrugął. Potem powoli pochylił się, tak jak ona przed chwilą, przycisnął rękę do boku i zakaszłał. Ten kaszel brzmiał nieco sztucznie, jakby kaszłało dziecko, które właśnie dowiedziało się, że istnieje kaszel o znaczeniu towarzyskim. Potem stwór wyciągnął rękę nad ziemię i podnosił ją stopniowo, schodkami, aż na wysokość głowy Ofelii... i zatrzepotał pazurzystą dłonią, unosząc ją i opuszczając, jakby chciał zaznaczyć jakieś odstępy. W końcu ręka znieruchomiła. Uniósł drugą dłoń, aż złączyła się z tamtą, powtórzył trzepotanie nieco wyżej, a następnie nagle opuścił dłoń. Potem opuścił obie ręce i pochylił głowę.

Ofelia stała w zamyśleniu. Gdyby sama pokazała te gesty, co miałyby na myśli? Wyciągnęła rękę nad ziemię i rozpoczęła ciąg gestów. Wzrost, naturalnie. Potem trzepotanie na jednym poziomie, to pewnie dorosłe życie, i nagły spadek, śmierć. Nagle serce zabiło Ofelii szybciej i zakręciło jej się w głowie. Czy to było pytanie, czy spostrzeżenie, że już zbliża się do śmierci? Ona nie potrafiłaby powiedzieć, w jakim wieku są stworzenia... po czym one miałyby poznać, że jest stara?

Powtarzała kolejne gesty, zastanawiając się, co mogły oznaczać drobne obniżenia dłoni w czasie poziomego trzepotania – nie miała pojęcia, czy zaznaczały upływ czasu porami roku, latami, czy inną miarą – ale trzepotała dłonią dłużej niż stworzenie. Chciała, by doceniono każdy rok, który przeżyła. Krótki okres czasu od teraz – nieruchoma dłoń – do ostatecznego spadku pokazała inaczej, przez szersze falowanie dłoni. Nie wiedziała, jak to zrozumie stworzenie, ale w jej zamyśle gest miał oznaczać niepewność. Może umrzeć dzisiaj, a może za rok albo za trzy lata; nie da się tego przewidzieć.

Stwory czekały w milczeniu, aż skończy, a wtedy te, które znała, zaczęły mówić. Ten odziany w błękit uciszył je krótkim gestem. Postąpił krok w stronę Ofelii, powoli wyciągnął pazur i wskazał jej pelerynę, twarz o trojgu oczu, a potem, bardzo powoli, jej oczy, i jeszcze raz twarz na płaszczu.

Nie, tego nie potrafiła wyjaśnić. Sama nie wiedziała, dlaczego na tej twarzy umieściła troje oczu. Wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce. Nie rozumieją tego gestu, ale cóż innego mogła zrobić? Po dłuższym milczeniu Grajek zaskrzeczał coś do stworzenia w płaszczu, które odpowiedziało chrząknięciem. Wtedy Grajek delikatnie dotknął ramienia Ofelii i popchnął ją lekko w stronę wejścia do Centrum.

Chciała im powiedzieć, że to jej drzwi i że sama zdecyduje o tym, kiedy zechce ich wpuścić. Chciała, żeby sobie poszli, wszyscy, mogła bowiem przewidzieć, że ich obecność oznacza więcej pracy, więcej przeszkadzania i mniej prywatności. Ze złością spojrzała na Grajka, który wymieniał spojrzenia z Błękitnym Płaszczem, jak go już w myślach nazwała. Błękitny Płaszcz

mruknął coś do Grajka, który natychmiast się cofnął. Błękitny Płaszcz skłonił się.

Równie dobrze może to mieć już za sobą. Ofelia otworzyła drzwi Centrum i gestem zaprosiła stworzenia do środka.

Ruszył za nią tylko Błękitny Płaszcz. Tutaj, w ograniczonej przestrzeni korytarza, Ofelia słyszała jego oddech, stukanie pazurów o podłogę; czuła jego zapach. Poszła wolno naprzód, otwierając drzwi po obu stronach korytarza i kierując się na tyły budynku. Szwalnie, pomieszczenie sterownicze, magazyn, wielka wspólna kuchnia. Przy każdych drzwiach Błękitny Płaszcz zatrzymywał się i zaglądał do środka. Ofelia wymieniała nazwy pomieszczeń, ale do żadnego nie wchodziła; Błękitny Płaszcz także nie wchodził do środka, tylko podążał za nią.

W kuchni odkręciła i zakręciła wodę, pamiętając, jak bardzo to fascynowało pierwszych jej gości. Błękitny Płaszcz zasyczał, ale poza tym nie zareagował gwałtowniej. Być może jej stwory już mu opowiedziały o wodzie płynącej ze ścian. Potem otworzyła wielkie lodówki w spiżarni; Błękitny nachylił się, przywołał dłonią zimne powietrze na twarz. Potem długim pazurem zeszkrobał trochę szronu i spróbował, dokładnie tak, jak robiły to jej stwory.

– Ziaam...

Ofelia wpatrywała się w niego. Czyżby jedno z jej stworzeń nauczyło go tego słowa? Czyżby zrozumieli, że jej słowa to język?

– Zimno – powiedziała. Potem poklepała bok zamrażarki. – Chłodnia. Chłodnia daje zimno.

– Houunia – ten drugi dźwięk, wyraźnie różny od pierwszego, nie brzmiał jak żadne ze słów wypowiedzianych przez Ofelię. Spróbowała przypomnieć sobie, jakich dokładnie wyrazów użyła. Chłodnia. Chłodnia daje zimno. Czy to była próba powiedzenia „chłodnia”?

– Chłodnia – powtórzyła, rozciągając sylaby. – Chłodnia daje zimno. – Powoli, wyraźnie.

– Houunia eji ziaam – powiedział Błękitny Płaszcz, oddzielając słowa, tak jak ona to robiła. Czy to znaczy, że on próbuje powtarzać to, co ona mówi? Chciała tak myśleć. Gdy miała do czynienia z dziećmi, tak właśnie myślała.

– Chłodnia – powtórzyła jeszcze raz. Jeszcze raz otworzyła drzwi, sięgnęła do środka i wyjęła paczkę z jedzeniem. Podniosła paczkę do góry. – Jedzenie w chłodni.

– Jeenije houuni – powtórzył. Wyciągnął rękę i wyjął kolejną paczkę. – Jeenije... – To wyraźnie było zapytanie, choć jego intonacja była dokładnie odwrotna, opadająca zamiast wznoszącej.

– Jedzenie – potwierdziła Ofelia. Oczywiście niemożliwe, żeby już wiedział, co to znaczy. Ale Błękitny zdawał się o wiele bardziej komunikatywny niż stworzenia, które przybyły pierwsze. Czy to dlatego go przyprowadzono? Jeśli stwory choć trochę były podobne do ludzi, jeśli pierwsi goście byli pewnego rodzaju zwiadem, to Błękitny Płaszcz jest zapewne swego rodzaju specjalistą. Specjalistą od języków?

Błękitny odłożył paczkę z powrotem do chłodni i odwrócił się. Ofelia odłożyła swoją

i zamknęła chłodnię. Błękitny podszedł teraz do rzędu zlewów. Dotknął kurków. To jasne, że będzie chciał poznać więcej słów; dzieci uczące się mówić też były takie. Nie chciały ćwiczyć jednego wyrazu, do chwili aż zaczną go wymawiać poprawnie; pragnęły znać nazwy wszystkich rzeczy, które widziały.

Ofelia odkręciła kurek.

– Woda – powiedziała, wkładając rękę pod strumień. Błękitny zanurzył pazur w wodzie.

– Zooda – powtórzył, wydając coś w rodzaju bulgoczącego warknięcia przy pierwszej sylabie.

– Wwoo-da – uczyła Ofelia, znowu rozciągając dźwięki.

Błękitny Płaszcz wyjął pazur z wody i wskazał nim kurki.

– Eji zooda – rzekł z opadającą intonacją, która, jak Ofelia przypuszczała, oznaczała pytanie.

Spróbowała prześledzić tok rozmowy w pamięci: jeśli „houunia eji ziaam” znaczyło „chłodnia daje zimno”, to może samo „eji” ma znaczenie „daje”, „dawać”. W takim wypadku ostatnia wypowiedź stworza znaczyłaby po prostu „daj wody”. Ofelia była zadowolona z siebie. To nie takie trudne dla kogoś, kto poradził sobie z pokoleniami dzieci uczących się mówić. Ona jest za stara, by nauczyć się ich języka, ale Obcy mogą uczyć się jej mowy.

– Włączyć wodę – powiedziała, odkręcając kurek, by zwiększyć strumień. – Woda włączona.

– Zakręciła kurek. – Wyłączyć wodę. Woda wyłączona.

– Zuuocit zooda; zooda zuuoczona.

Ofelia była zaskoczona: końcówka słowa „włączona” brzmiała prawie identycznie jak u niej. Potrafił wymówić „ona”, a nie potrafił powiedzieć „zimno”? Błękitny postukał w kurek.

– Zuuocit zooda.

Ofelia ponownie odkręciła kurek. Błękitny skinął głową. Co to było, pochwała? Zgoda? Podziękowanie? Nie wiedziała.

– Zyyuocit zooda.

Co z wodą... zyyocit? Aha. Wyłączyć. Ofelia zakręciła kurek.

– Woda wyłączona – oznajmiła.

I znów skinienie głowy, a potem stwór odwrócił się, najwyraźniej szukając w pomieszczeniu czegoś, co spodziewał się tu znaleźć. Bez wątpienia chodziło o coś, o czym powiedzieli mu tamci, tylko o co konkretnie? Ofelia wybrała najprostsze rozwiązanie i podeszła do drzwi. Kiedy Błękitny poszedł za nią, wskazała na wyłączniki światła, a potem na sufit i lampy.

– Światło – powiedziała, a następnie, demonstrując: – Światło włączone. Światło wyłączone.

Pierwszy dźwięk w wykonaniu Błękitnego przedłużał się w nieskończoność z dziwnym poszumem, jakiego Ofelia nigdy w życiu nie słyszała.

– Szżśżjatuoo. – Pierwsza sylaba kończyła się wybuchowym „tt”. – Szżśżjatuoo

zuooczne. Eji szźśśjatfuuo zyyuoczne.

Ofelia wyłączyła światło. Błękitny sięgnął do przełącznika i zapalił je z powrotem, powtarzając nowe wyrażenia: światło wyłączone, światło włączone. Potem dotknął lekko przełącznika, ale za słabo, żeby zadziałał.

– Pstryk – powiedziała Ofelia. – Pstryczek światła. Pstryk włącza i wyłącza światło.

Stworzenie usiłowało wydać jakiś dźwięk. Ofelia rozpoznała tylko końcówkę słowa, „ykk”; ale bez względu na to, co usłyszało stworzenie i co próbowało powiedzieć, na pewno nie przypominało to „pstryk”. Stwór wskazał głową na Ofelię, więc spróbowała jeszcze raz. Słowa „pstryk” nie dało się podzielić na sylaby, tak jak to robiła z poprzednimi wyrazami; kiedy próbowała wymówić je wolniej, jej własna wymowa przestawała być poprawna.

Tym razem Błękitny wymówił „ssrrtykk”. Pewnie to wszystko, na co go stać. Ofelia uznała, że na razie wystarczy.. I tak było to dużo dokładniejsze odwzorowanie tego, co mówiła, niż jej naśladownictwo większości dźwięków ich mowy.

– Ssrrtykk eji szźśśjatfuuo.

Ofelia przetłumaczyła to sobie na język małego dziecka. Pstryk daje światło? No i jak teraz wyjaśni mu, że pstryk nie daje światła, tylko kontroluje jego przepływ? Czy powinna to wyjaśnić już teraz? Jeśli tego nie zrobi od razu, później będzie miała więcej trudności – wiedziała o tym z doświadczenia. Już i tak minęła się trochę z prawdą, kiedy zgodziła się, że kurek daje wodę.

Nagle zadanie nauczenia stworów jej języka wydało się Ofelii znów zbyt trudne. Brakowało kobiecie najprostszych słów, które ludzkie dzieci wychwytywały same, brakowało jej „tak” i „nie” mowy każdej matki.

– Pstryk włącza światło – zaczęła. – Pstryk wyłącza światło. – Zademonstrowała znowu działanie przełącznika. Błękitny spojrział na nią nieco szerzej rozwartymi oczyma. Teraz mówiła naprawdę bardzo powoli. – Pstryk nie daje światła. – Błękitny zamrugął oczami. – Nie daje światła – powtórzyła. – Włącza światło. Wyłącza światło.

– Niia. – Ruch głowy w górę. Potem Błękitny Płaszcz ponownie dotyka pazurem wyłącznika i gasi światło. – Szźśśjatfuuo zyyuoczne. Niia szźśśjatfuuo.

– Nie światło – potwierdziła Ofelia w ciemnościach. Włączyła światło z powrotem. – Pstryk włącza światło. Pstryk włącza światło.

– Zuoocza szźśśjatfuuo. Zyyuocza szźśśjatfuuo. Niia eji szźśśjatfuuo...

– O właśnie – pochwaliła Ofelia.

Może jednak się uda. Stwór był bystrzejszy od dziecka, szybciej odgadł, co oznacza „nie”. Ale oto podszedł z powrotem do zamrażarki. Ofelia za nim.

– Houunia eji ziaam.

– Chłodnia daje zimno, tak.

Błękitny skierował się do zlewów i poklepał kurki.

– Eji zooda.

Ofelia pokręciła głową.

– Włącza wodę. Wyłącza wodę. Błękitny pomachał ręką pod kranem.

– Niia zooda.

– Bardzo dobrze – powiedziała Ofelia. – Teraz nie woda. – Dotknęła kurka. – To włącza wodę.

– Niia eji zooda.

– O właśnie. Nie produkuje... – Zorientowała się, że na razie trudno mu będzie nadażyć za takim objaśnieniem. – Nie daje wody, włącza wodę. Tak jak ze światłem. – Była zaskoczona bystrością umysłu stworzenia, tym, jak upewniało się, czy dobrze wszystko pojmuje.

Stwór wykonał gest, jakby odrzucał coś na zewnątrz.

– Eji szżśżjatfuuo.

Ach. Chce się dowiedzieć, co produkuje światło. Ofelia była zbyt zmęczona, by teraz się tym zajmować; objaśnienie działania elektrowni, elektryczności, przewodów, prostowników zajęłoby kilka dni... nawet gdyby wszystko pamiętała. Nie, to nie wchodzi w rachubę.

Może stwór zrozumie obrazki w sterowni, choć inne stworzenia zdawały się nic nie pojmować. Ofelia ruszyła przodem do pomieszczeń sterowniczych. Za sobą usłyszała pstryknięcie. Odwróciła się i zobaczyła, że Błękitny wyłączył światła. Zdziwiałające.

Na widok sterowni pełnej rzędów przełączników, klawiatur, ekranów monitorów i paneli świetlnych Błękitny Płaszcz zareagował syczeniem. Ofelia wywołała instrukcję obsługi sieci elektrycznej i aż jęknęła na widok ilustracji, które przesuwały się na ekranie. Wszystkie zbyt skomplikowane. Sama wiedziała, co oznaczają, ale tylko zamieszałyby w głowie innemu człowiekowi, a co dopiero jednemu z tych stworów. Odwróciła się, by powiedzieć coś do Błękitnego, i zobaczyła, że ten wpatruje się w ekran.

– Eji... – Uniósł rękę w górę, obracając ją, w miarę jak przewijał się ekran komputera.

Co powoduje ruch? Na to pytanie Ofelia nie była przygotowana. Nie potrafiła wyjaśnić dzieciom, dlaczego można przewijać ekran, a co dopiero Obcemu, który nie mówi jej językiem. Wyszła nareszcie z programu instrukcji obsługi, ignorując dźwięki wydawane przez Błękitnego, i odnalazła pliki edukacyjne. Tutaj, na najprostszym poziomie, między najprostszymi ilustracjami, może znajdzie coś, co Błękitny będzie mógł zrozumieć.

Był tu taki szkic, który zapamiętała, ukazujący wnętrze elektrowni i połączenia z innymi budynkami.

– Elektrownia – powiedziała, wskazując na rysunek. – Daje elektryczność. – Nie, to zbyt trudne. – Daje zzzzt. Zzzzt w kablach. – Poprowadziła palec wzdłuż linii na rysunku. – Zzzzt daje światło.

Niezglębiony wyraz twarzy Błękitnego mógł wyrażać wszystko, od całkowitego zrozumienia po kompletną dezorientację. Sięgnął pazurem do ekranu, wskazując zwałiste kształty elektrowni.

– Elletouunia. – Wystarczająco dokładnie. Elektrownia. Potem Błękitny cofnął się do drzwi i zakreślił ręką w powietrzu okrąg.

– Aha... gdzie to jest? Pokażę ci. – Ofelia dźwignęła się z krzesła, zablokowała klawiatury, pozostawiając rysunek na ekranie i ruszyła ku drzwiom.

Błękitny, w przeciwieństwie do pierwszych przybyszy, chętnie usunął jej się z drogi. Wyprowadziła go na zewnątrz. Pozostałe stworzenia stały w ciasnej grupce na drodze, dyskutując o czymś zawzięcie; w ogóle zachowywały się dużo głośniejsze niż kiedykolwiek. Na widok Błękitnego Płaszcz wszystkie zamilkły. On sam wydał jeden skomplikowany skrzek i dwa stworzy ustawiły się za jego plecami.

Ofelia nie spieszyła się. Już to знаła; trzeszczało jej w kolanach. Poza tym nie była przekonana, czy powinna pokazywać Błękitnemu elektrownię. Jak dotąd, stworzenia szanowały ustanowione przez nią granice. Darzyły ją szacunkiem, ponieważ potrafiła włączyć światło i sprawić, by płynęła woda. Nigdy nie prosiły, by pokazała im elektrownię; nie rozumiały, w jaki sposób wszystko działa. Na pewno Błękitny nie potrafi tego pojąć tak po prostu, jedynie przyglądając się... a co, jeśli potrafi? Co, jeśli te stworzenia umieją posługiwać się narzędziami, maszynami? Jeśli nauczą się kontrolować wszystko same, jeśli nie będzie im już potrzebna, co się z nią stanie?

Błękitny także zdawał się nie spieszyć. Przystanął przed progiem pierwszego domu i zaświergotał. Odpowiedziało mu jedno ze stworzeń. Błękitny kiwnął głową w stronę Ofelii. To musiało być pytanie. Logicznym zapytaniem byłoby, czy to jej dom. Ale swojacy mogli mu już o tym powiedzieć. Może chciał wiedzieć, co to w ogóle jest.

– Dom – powiedziała Ofelia. Do kogo należał? Ze zdumieniem odkryła, że zatępiły jej wspomnienia o tym, kto gdzie mieszkał. Nie minęło przecież chyba tyle czasu. Tomas i Serafina? Luis i Ysabel? Odsunęła zasuwkę zewnętrznych drzwi i otworzyła je na oścież. Wewnątrz domu panowały ciemności i unosił się zapach stęchlizny. Ofelia zanurzyła się w chłodny cień, dotarła do okien i otworzyła okiennice. Kiedy znów się odwróciła, Błękitny stał przy drzwiach z podniesioną głową. – Wejdz do środka – zachęciła, kiwając na niego ręką.

Błękitny postąpił krok do wewnątrz, stukając pazurami u stóp po wyłożonej płytkami podłodze. Ofelia otwierała kolejne drzwi, pokazując Błękitnemu sypialnię, szafy – tu kawałek zbutwiałego płótna pobudził jej wspomnienia i przypomniał, że to była szafa Ysabel, tam dostrzegła ścinek, fragment starej narzuty, którą właścicielka pocięła na szmaty przed ewakuacją kolonii. Łazienka z prysznicem – Ofelia odkręciła i zakręciła kurek, by zademonstrować płynącą wodę – drzwi kuchenne, wychodzące do ogrodu. Błękitny Płaszcz szedł za nią krok w krok. Jedno z pozostałych stworzeń dotknęło lodówki – jednej z tych, które Ofelia dawno temu

odłączyła z sieci – i powiedziało „ziaam”, a potem chrząknęło. Otworzyło drzwiczki. Błękitny wydał ostry skrzek i stwór zamknął lodówkę, jakby drzwiczki sparzyły go w palce.

Albo jakby Błękitny był jego rodzicem, a on nieposłusznym dzieckiem. Ofelia zamyśliła się nad taką teorią. Czy Błękitny jest dorosły, a pozostali naprawdę dziećmi? Spodobał jej się pomysł, że Zabójca mógłby być jedynie niezdyscyplinowanym dzieckiem, ale nie umknęło jej uwagi, że nowo przybyli także nosili długie noże, nawet Błękitny Płaszcz.

Błękitny delikatnie dotknął lodówki i spojrzał na Ofelię. Prosił o pozwolenie? Skinęła głową i sama wyciągnęła rękę, by otworzyć lodówkę.

– Teraz nie ma zimna – wyjaśniła. – Zimno wyłączone.

– Ziaam zyyoczone – powiedział Błękitny. Zimno wyłączzone.

Obejrzał lodówkę. Ofelia wstrzymała oddech. Nie może przecież wiedzieć, co sprawia, że lodówka działa albo nie. Nie miał dość czasu, żeby zbadać lodówkę w Centrum. Nie może... Pochyliwszy się, Błękitny zaglądał za urządzenie. Zerkając na Ofelię, pochylił się jeszcze niżej i wydobyl stamtąd kabel zasilający z wtyczką.

– Eji ziaam – powiedział z opadającą intonacją, co według Ofelii oznaczało pytanie.

Oblał ją zimny pot – zimniejszy niż szron z lodówki. Jak stwór mógł tak szybko to zrozumieć? Małe dzieci uczyły się... ale widziały przecież ludzi włączających i odłączających urządzenia od prądu. Te stwory nie znały elektryczności... chyba nie znały? Niemożliwe, żeby rozumiały, jak działa, nie mając wspólnego z Ofelią języka. A jednak pytania Błękitnego były tak bezpośrednie... Chyba jest mądrzejszy, niż myślała. Mądrzejszy niż ludzie? Nie chciała rozstrzygać tej kwestii.

– Bzzz daje zimno – powiedziała. Czy powinna podać nazwę przewodu? Właściwie czemu nie? Łatwiej jej będzie o wszystkim mówić. – To jest kabel – wyjaśniła, dotykając przewodu. – Kabel. Bzzz w kablu daje zimno.

– Zzzz... – powtórzył Błękitny. – Ellelouunia eji zzzzt. – Przerwał, zostawiając Ofelii czas na odtworzenie w myślach zdania: „Elektrownia daje prąd”. – Zzzz pf kab’llu, zzzz eji ziaam.

Tak, prąd w kablu daje zimno w lodówce, ale jak on wykombinował, że prąd płynie przez kabel? To nie powinno być jeszcze jasne. Nie mógł widzieć kabli za lodówkami w Centrum: były ukryte za rzędem urządzeń. Ofelia skinęła głową, znów zapominając, że stwory nie rozumieją tego gestu.

Błękitny Płaszcz odrzucił do tyłu okrycie i otworzył siatkową torbę, wiszącą na jednym z pasów oplatających jego ciało. Z torby wyjął cienki cylinder, długości ręki Ofelii. Pomyślała, że wygląda na zrobiony z drewna, a może to gruba łodyga jakiejś trawy. Błękitny uniósł go jedną ręką i dmuchnął do środka, trzymając drugą rękę nad otworem. Potem, bardzo delikatnie, wziął dłoń Ofelii i umieścił przed otworem. Poczwała strumień powietrza. Ale dlaczego?

Błękitny przemówił, wyrzucając z siebie gwałtowne mamrotanie, którego nie rozumiała.

Potem zwolnił. Wydał szumiący dźwięk, jak oddech, potem przerwał, powiedział „pf” i pazurem postukał w cylinder. Powietrze w cylindrze? Ofelia pokiwała głową, mając nadzieję, że prawidłowo odgadła.

– Zooda pf... – Gardłowy skrzek.

Ofelia zamrugała oczami. Woda w... czymś. Powietrze w cylindrze, woda w cylindrze? W czymś podobnym do cylindra? W rurze, powiedziałyby... czy to było ich określenie na rury?

– Rura – powiedziała. – Woda w rurach. – Aż straciła oddech: nie wierzyła własnym uszom, że stworzenie potrafi to wszystko skojarzyć.

Błękitny przekrzywił głowę. Czy to było skinienie? Powtórzył całą sekwencję: szszsz, „pf”, gest w stronę cylindra.

– Zooda pf ghku... kkh... – Pewno próbuje wymówić „rurach”. Ofelia powtórzyła:

– Rura.

– Ghkura. – Stwór znów postukał w cylinder, powstrzymując Ofelię przed poprawianiem go.
– Zooda pf khura... zzzz pfkab’llu.

Miał już pełen obraz. Tak jak powietrze w tubusie, tak jak woda w rurach, tak prąd płynie w kablach, sznurach, przewodach. Ofelia знаła dzieci, które miały problemy z pojęciem tego, które upierały się, że prąd nie może płynąć, bo druty nie są puste w środku. A stworzenie samo to wymyśliło po zaledwie kilku spojrzeniach na urządzenia, kable i podstawowe schematy z programu edukacyjnego.

Ofelię zmroził strach. To niebezpieczne stworzenia: zabiły ludzi. A ona ujawnia im ludzką technologię... Przy takim tempie pojmowania jakie ten tutaj prezentuje, już niedługo zaczną budować własne statki kosmiczne.

Ale też nie mogła ich powstrzymać. Nawet zanim odkryła, że istnieją, musieli zdobyć dosyć informacji, by stać się groźni. A w chwili, kiedy się zorientowała, że dowiadują się zbyt wiele, już było za późno.

Jej myśli biegły tym torem, spierając się ze starym głosem, czy to jej wina, czy nie. Stary głos, jak zawsze, oskarżał; nowy głos bronił. Stary głos był już wytarty i słaby, nareszcie słyszalny jako odrębne pasma, z których się składał: głosy jej matki, jej ojca, nauczyciela z podstawówki, który się złościł, kiedy zbyt szybko opanowała materiał, nauczyciela ze szkoły średniej, który wściekł się, gdy nie przyjęła stypendium; głosy Humberta, Barta... nawet Rosary.

Nowy głos... Pomyślała, że brzmi jak jej własny, ale młodszy. Skąd jednak ma mieć pewność? Głos upierał się, że nie jest winna. Następnie zaczął dowodzić, jakie to podniecające, co to za szansa.

Ofelia wybuchnęła śmiechem i Błękitny spłoszył się.

– Wybacz – przeprosiła, przywołując na twarz normalny wyraz.

Błękitny nie wiedział, z czego się śmiała; może nie wiedział nawet, że jej śmiech to śmiech. Czy potrafiłaby wytłumaczyć, nawet samej sobie, dlaczego się roześmiała? Po prostu dlatego, że ten wewnętrzny dyskurs był tak głupi; zarówno jej troska o to, że naraża całą rasę ludzką, jak i entuzjazm nowego głosu wobec poznawania rasy Obcych.

Obrzuciła wzrokiem kuchnię, spojrzała na zewnątrz przez drzwi kuchenne, które przedtem otworzyła. To był jeden z tych ogrodów, którymi się nie zajmowała, oprócz dorzucenia tu czasem szufli zbędnej terraformującej hodowli bakteryjnej z przetwórni. Fasola szparagowa o kremowych kwiatach wybujała za wysoko, rozkrzewiła się na wszystkie strony, wyciągając falujące wąsy w poszukiwaniu oparcia, którego Ofelia jej nie dostarczyła. Powiew wiatru wprawiał pnącza w jeszcze dziwszy taniec i wysyłał przez otwarte drzwi zapach fasoli.

Kiedy zwróciła się ku drzwiom, Błękitny zaświergotał. Spojrzała za siebie. Trzymał rękę na klamce drzwi do ogrodu i przytknął je lekko, a potem przekrzywił głowę. Oczywiście, jakby wyraził to słowami, pomyślała. Chcesz, żebym zamknął te drzwi? Ofelia skinęła głową i wykonała rękami gest zamykania – jedna dłoń była drzwiami, druga framugą. Błękitny zamknął drzwi, a Ofelia przyglądała się, jak zamyka potem także okiennice. Kiedy wyszli z domu, zamknął za nimi obojgiem drzwi wejściowe i zasunął zasuwkę.

Czułaby się zaskoczona, gdyby nie to, że tego dnia doznała zaskoczenia już tyle razy. Jesteś stara, napomniała się w duchu. Nie pozostało ci zbyt wiele okazji do zdziwienia.

ROZDZIAŁ 13

W budynku elektrowni Błękitny Płaszcz przyglądał się ekranom i znakom ostrzegawczym tak samo, jak robiłby to człowiek, który zawędrował w to dziwne miejsce. Wielkie zielonkawo-szare pudła i cylindry, błyszczące czarne izolatory, nieprzerwane brzęczenie...

– Zzzzt – powiedział Błękitny. Ostrożnie podszedł do jednego z zielonkawych okrągłych garbów; Ofelia stanęła mu na drodze.

– Nie! – zawołała. – Zaboli. – Pokazała dotknięcie maszyny i gwałtowne cofnięcie ręki.

Błękitny ponownie rozejrzał się dokoła. Jego podgardle pulsowało. Powoli, ostrożnie, przeszedł do innych urządzeń, pozostając jednak od nich w odległości, jaką wskazała mu Ofelia. Zadrzał nagle i przechylił się w bok. Ofelia patrzyła, zbита z tropu. Przechylił się w drugą stronę i z powrotem wyprostował. Wyciągnął jedną rękę z otwartą dłonią w stronę urządzenia, ale nie zamierzał go dotykać. Wyglądał prawie jak ktoś, kto chce ogrzać dłonie przy ogniu i szuka miejsca, w którym temperatura będzie odpowiednia.

Ofelia stała spokojnie, aż ból w biodrze zmusił ją do przeniesienia ciężaru ciała na drugą nogę, a potem przespacerowała się dookoła. Błękitny wciąż stał przy maszynie, wyciągając na przemian obie ręce. Ofelia nudziła się. Co on robi? Zachciało jej się pić, a pewnie też i jeść; poza tym musiała iść do toalety.

Z każdą mijającą chwilą jej irytacja rosła; przedtem czuła się zobowiązana traktować to stworzenie jak gościa, była też zafascynowana jego szybkim przyswajaniem wiedzy. Ale jeżeli Błękitny zamierza stać tak i nic nie robić, to ona ma swoje, ważniejsze sprawy do załatwienia. Z dramatycznym westchnieniem Ofelia skierowała się do toalety głębiej w korytarzu.

– Wrócę za kilka minut – powiedziała.

Błękitny nie poruszył się ani nie odpowiedział. Dobrze. Niech sobie będzie niegrzeczny; ona potrafi o siebie zadbać. Czekające w korytarzu stworzenia usunęły jej się z drogi. Żadne nie próbowało wejść za nią do małego pomieszczenia; zrozumiały już, że w takich miejscach chce być sama.

Siedząc na sedesie, Ofelia uspokoiła się i wytłumaczyła sobie, że Błękitny Płaszcz może nie chciał być nieuprzejmy. Może zafascynowało go słabe brzęczenie, które ona: ledwo słyszała. Pamiętała, że jako młoda kobieta też tak stała i słuchała – wtedy dźwięk brzmiał wyraźniej, nawet głośno, w jej młodych uszach – urzeczona tym równym, niezmiennym odgłosem.

Wyszła z toalety i wróciła do centralnego pomieszczenia, gdzie znalazła Błękitnego w tym samym miejscu, nadal wolno wysuwając ręce w stronę urządzenia i cofającego je z powrotem. To nie może być dobre dla zdrowia. Uszy stworzenia są pewnie wrażliwsze niż jej, może ma ono jakiś zwierzęcy zmysł, który każe mu silniej reagować na te odgłosy; podobnie owce i krowy

reagowały na dźwięki, których Ofelia w ogóle nie słyszała. Spojrzała w tył, gdzie stłoczone w progu stały pozostałe stworzenia. Czy się martwiły? Ona tak.

Podeszła do Błękitnego. Jego oczy zdawały się błyszczeć, nie patrzył w jej stronę. Delikatnie dotknęła jego ramienia. Odskoczył, jakby go kopnął prąd, i zamruczał. Potem spojrzął na nią.

– Martwiłam się – powiedziała. – Tak długo to trwało. – Pomyślała, że nieważne, co powie, ważne, żeby mówiła cicho. – Jestem głodna – ciągnęła dalej, pokazując wkładanie jedzenia do ust. – Pora coś zjeść.

Znów miękki pomruk; stwór spojrzął ponad Ofelią na inne stwory i zaczął do nich coś mówić we własnym języku. Kiedy skończył, zwrócił się do Ofelii, pochylił nieco i powiedział:

– Zzzzt... kruz.

Kruz? Ofelia nie miała pojęcia, co to znaczy.

– Jestem głodna – powtórzyła i jeszcze raz podniosła dłoń do ust. Tym razem, kiedy się odwróciła, stworzenie poszło za nią.

Nie chciała zabierać go do swojego domu, ale Błękitny poszedł za nią, zaś jego towarzysze już byli w środku. Postępowali tak od pewnego czasu: jeśli nie zamknęła im drzwi przed nosem albo nie wypchnęła ich z domu, wchodzili i wychodzili, jakby byli u siebie. Błękitny patrzył, jak Ofelia wyjmuje z lodówki ser, jak wychodzi do ogrodu po świeże warzywa, jak zagniata ciasto i piecze podplomyk, jak zawija weń starty ser i plasterki pomidora. Przywykła już jeść przy innych, którzy nie jedli – najwyraźniej stwory nie trawiły jej pożywienia – ale obecność Błękitnego peszyła ją.

– Szkoda, że nie mogę cię poczęstować – powiedziała, zanim ugryzła pierwszy kęs. Potem przyszło jej do głowy, że pewnie nie zaszkodziłoby mu, gdyby skosztował soli... sól jest nieorganicznym, prostym związkiem. Zdjęła pokrywkę z naczynia z solą i wysypała szczyptę na dłoń. Wyciągnęła rękę ponad stołem. Błękitny pochylił się, potem dotknął pazurem soli na jej dłoni i włożył do ust.

– Sól – powiedziała Ofelia. – Jeśli możesz to jeść...

Tym razem stwór poślinił pazur przed ponownym dotknięciem jej dłoni. Kryształki soli lśniły na tle ciemnego, błyszczącego szponu. Ofelia widziała, jak język Błękitnego dotyka pazura, jak szybkim liźnięciem zgarnia sól, nie marnując ani ziarenka. Zrobiło jej się głupio, że wcześniej nie wpadła na to, żeby podzielić się solą ze stworzeniami.

Błękitny ujął delikatnie jej rękę; Ofelia czekała. Otworzył usta i wysunął język, potem szybko pochylił głowę do dłoni kobiety i podniósł z powrotem, wpatrując się w nią. Chciał zlizać sól bezpośrednio z jej ręki, to było oczywiste. Ofelia wahała się. Wolałaby raczej dać mu więcej soli na łyżce albo spodeczku... z drugiej zaś strony ciekawiło ją, jakie to uczucie. Jest stara: może nie mieć następnej okazji, żeby się przekonać.

Wysunęła lekko rękę w stronę Błękitnego i skinęła głową. Natychmiast pochylił się i zlizął

sól z jej dłoni. Najpierw załaskotało, potem bardziej drapało niż łaskotało, i w końcu załaskotało znowu. Następnie Błękitny schował język i zanim uwolnił rękę Ofelii, przycisnął na moment swoje twarde wargi do jej dłoni.

Zjadła resztę posiłku w przesadną starannością. Pod koniec była już tak zmęczona, że czuła, iż mogłaby położyć głowę na stole i spać aż do rana. Chciała się zdrzemnąć; musiała się zdrzemnąć. Jak ma to przekazać temu stworzeniu, nawet jeśli jest ono dość bystre, by wpaść na to, że prąd płynie w przewodach, tak jak woda w rurach?

Błękitny Płaszcz wstał i pokazał ręką na sufit. O co teraz chodzi? Poprowadził ramieniem łuk, w którym Ofelia rozpoznała drogę, jaką przebywa Słońce. Potem powtórzył gest, zatrzymał ramię w najwyższym punkcie i zamknął oczy. Powoli, z zamkniętymi oczami, kontynuował ruch ramienia aż do punktu, który, według Ofelii, oznaczał późne popołudnie, po czym otworzył oczy.

A więc Obcy również zażywają drzemki, pomyślała. No i przecież Błękitny odbył dziś długą podróż. To jasne, że też jest zmęczony. Ofelia pokiwała głową i na dłuższą chwilę zamknęła oczy; gdy je otworzyła, Błękitny Płaszcz wychodził właśnie na drogę, pozostawiając ją samą. Pozostałe stworzenia otoczyły go, paplając niczym dzieci wypuszczone ze szkoły. Ofelia przyglądała się, jak idą w stronę Centrum; miała nadzieję, że pamiętała o zamknięciu na haczyk drzwi do sterowni. Była zbyt wyczerpana, by iść tam i sprawdzić.

Obudziła się z umysłem pełnym wspomnień tego dnia i ze świadomością, że istnieje wiele rzeczy, na których przekazanie musi znaleźć sposób. Stworzenie zapytało, ile ona ma lat, ona zaś nie spytała, ile lat ma ono. Stwór pytał o tak wiele, zadawał tyle inteligentnych pytań, ona zaś do tej pory nie pomyślała o swoich pytaniach, nawet tych, które chciała zadać już dawno.

To tylko starość. Nie można od Ofelii wymagać, żeby o wszystkim pamiętała, o wszystkim myślała, wszystko robiła.

Te stare argumenty nie brzmiały przekonująco. Nie chodziło o żadnego nadzorcę, dla którego stara, trzęsąca się kobieta to tylko utrapienie, który może uzyskać odpowiedź na pytanie gdzie indziej lub kiedy indziej. Jest jedyną dostępną osobą; musi myśleć jasno, albo... Nie była pewna co „albo”, ale na pewno coś gorszego. O ile gorszego, czy też w jaki sposób, tego również nie wiedziała.

Znalazła stworzenia tam, gdzie się tego spodziewała – w korytarzu Centrum. Błękitny skłonił się przed nią; Ofelia w odpowiedzi pochyliła głowę. Stwór wskazał na drzwi do sterowni. Ofelia pokręciła głową – jej stwory nauczyły się rozpoznawać ten gest jako „nie”, a sądziła teraz, że przekazały Błękitnemu wszystkie informacje o niej. Zamiast do sterowni, podeszła do drzwi, których nie otwierała, odkąd odlecieli koloniści. To była klasa szkolna i Ofelia pomyślała, że może zostały w niej jakieś pomoce naukowe.

Tak jak tego oczekiwała, Błękitny podążył za nią. Poszedł też za nimi jeden z pozostałych

Obcych. Ofelia przeszukiwała szafki stojące wzdłuż ścian i znalazła w końcu model, o który jej chodziło. Kiedy kręciło się korbką, część urządzenia obracała się na trzonku i w jakiś sposób, którego Ofelia nigdy do końca nie pojęła, produkowała słaby prąd, który zapalał małą żarówkę. Tylko czy żaróweczka nie jest przepalona? Ofelia знаła nazwy wszystkich elementów; wiedziała, jak naprawić urządzenie, gdyby się rozregulowało, ale nigdy nie rozumiała, dlaczego obracanie małych magnesów obok kłębów drutu, nazywanych szczotkami, wytwarza prąd w kabelku podłączonym do żarówki. Potrafiła wyrecytować tekst z taśm edukacyjnych, ale nie pojmowała jego sensu.

Mimo wszystko była to najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić. Wyjęła model i zdjęła z niego osłonę. Urządzenie trudno było odkurzyć, Ofelia dobrze to pamiętała, a gdyby osiadło na nim zbyt dużo kurzu, przestałoby sprawnie funkcjonować. Pchnęła korbę – ta ani drgnęła. Zawsze potrzeba było dużo siły, żeby obracać ją z odpowiednią prędkością. Ofelia pchnęła mocniej i sztyft obrócił się z oporem, wydając dźwięk, jakby zgrzytał w nim piach.

Nie zawsze szło tak ciężko. Czy naprawdę ona sama jest już tak słaba, że nie może kręcić korbką dziecięcej zabawki? Obejrzała urządzenie i nagle przypomniała sobie o zamknięciu zabezpieczającym. Gdzie jest dźwignia? Aha, tutaj. Popchnęła ją i wreszcie korba miała luz. Teraz sztyft obracał się coraz prędzej i prędzej, kiedy kręciła korbą. Dawniej wydawał cichy, charakterystyczny odgłos, ale Ofelia nie słyszała go teraz. Nie spuszczała z oka żaróweczki... która chyba rozbłysła słabiutko.

– Wyłącz światło – poleciła Błękitnemu, jakby mógł ją zrozumieć.

Wyciągnął rękę do przełącznika i światło zgasło. Teraz oboje widzieli słaby pomarańczowy blask. Ofelia mocniej nacisnęła na korbę i żaróweczka rozbłysła, stała się blado-żółta.

– Eji śszsjattfuuo – powiedział Błękitny.

Dotknął pazurem jej dłoni i Ofelia puściła korbę. Chwycił ją Błękitny i zaczął kręcić szybciej i mocniej, niżby się to udało kobiecie. Czyżby używał już kiedyś korby? Zazwyczaj małe dzieci miały kłopot z nauczeniem się tego okrężnego ruchu, zamiast poruszania korbą w przód i w tył, co było naturalniejsze. Światło rozbłysło, z pomarańczowego stało się żółte, a następnie prawie białe. W tym świetle Ofelia zobaczyła drugą rękę Błękitnego – trzymał ją blisko dynama, przybliżał i oddalał, tak jak to robił w elektrowni. Może go mocno kopnąć... ale nie próbował dotykać urządzenia. Zachowywał się tak, jakby ręką wyczuwał i badał jakąś powierzchnię, której Ofelia nie mogła dostrzec.

Postanowiła, że nadszedł czas, by wyjaśnić zagadnienie nieco dokładniej. Podeszła do ściany i włączyła światła w pokoju. Wydało jej się, że wielkie oczy Błękitnego rozbłysły złotem, podczas gdy jego źrenice zwężyły się. Puścił korbę i maszyna zwolniła, a światelko przygasło z wolna, aż w końcu nie można go już było dostrzec w blasku górnych lamp. Obie ręce stworzenia krążyły teraz wokół dynama, to zbliżając się, to oddalając. Wiedziona ciekawością,

Ofelia podeszła i umieściła dłoń tuż obok ręki Błękitnego. Nie poczuła nic. Oczywiście – nie było tam nic do wycucia.

Strażnik gniazd, oznajmił w końcu śpiewający do obcych. Nosi święte symbole, oczy cielesne i oczy ducha; to ten, z którego rodzą się umysły piskląt.

Mam nadzieję, że okazaliście szacunek, dodał po chwili śpiewający do obcych. Nikt mu nie przeszkodził: nikt nie ośmieliłby się przeszkadzać śpiewającemu, gdy zajęty był delikatną sprawą stworzenia harmonii pomiędzy obcymi. Jedynie strażnicy gniazd byli bardziej uświęceni. Śpiewający czekał, dopóki niecierpliwość młodych tuż przed gnieźdzeniem nie eksplodowała lawiną uderzających o ziemię palców u stóp, na którą odpowiedziały kojące rytmy pozostałych.

Naturalnie, że okazaliśmy szacunek. Oczywiście wiedzieliśmy.

Nie od razu.

Ja wiedziałem.

Na tę nieuprzejmość nikt nie zwrócił uwagi. Młodzi zbliżający się do pierwszego gnieźdzenia powinni być gwałtowni i pospieszni. Śpiewający do obcych zabębnił skomplikowany bardziej od innych rytm i młody cofnął się na swoje miejsce z lekko otwartymi ustami. Tak... już niedługo i ten młodzik poczuje się lepiej.

Strażnik gniazd, zaśpiewał śpiewający. A gdzie pisklaki?

Odeszły, zaryzykował jeden z łowców. Potwór – strażnik gniazd – porusza się tak. Łowca poruszał się, naśladując gesty starej kobiety: machnięcie ręką, które wskazywało wioskę, palce chodzące jak nogi, które musiały oznaczać innych do niej podobnych, potem ramię wyrzucone w górę i wskazujący w niebo palec.

Wysoko w górze ma uskrzydłonego łowcę, powiedział inny. Uskrzydłonego łowcę z dobrym wzrokiem, który mówi potworowi, jak wygląda świat – uprzedza go o burzach nadciągających z dalekich stron.

Jakże może chodzić w powietrzu bez skrzydeł?

Nie widzieliśmy, by to robił. Ale widzieliśmy latające potwory, niedaleko gąszczu gniazd... i małe potwory zostały połknięte, wciągnięte do ich wnętrza.

Jego lud podróżuje daleko, zadumał się śpiewający. A gdy powrócą, ociążali, gotowi do gnieźdzenia, będą o nas wiedzieć. Śpiewający zadrżał i zatętnił pojedynczym, dźwięcznym sygnałem. Także pozostałych przebiegł dreszcz. Ci, którzy wrócili ze śpiewającym, opowiadali o długich i trzeźwiejszych dyskusjach, które nastąpiły po skutecznej eliminacji grabieżców gniazd i niszczycieli gniazdowego gąszczu. Bardziej to było szczęście niż umiejętność walki, uznali przywódcy; potwory z nieba nie spodziewały się kłopotów, a to już samo w sobie stanowi miarę ich potęgi.

Jesteśmy tłustymi kaskami, skoczkami z dala od norki, powiedział jeden z myśliwych. Już

znani, widoczni, odsłonięci, nie możemy się ukryć. Polują na nas ci, co widzą z wysoka, a w pobliżu nie ma nawet wzgórz; polują na nas ci, co przechodząc po niebie, zostawiają na nim szramy szybkością i mocą swego ruchu. Skoczki mają jeszcze zęby, przypomniał ktoś.

Lecz i tak przegrywają z nożem, odparł inny. Jak zęby wobec noży, tak słabe są nasze noże wobec broni, którą mogą nosić takie niebiańskie potwory.

Lud strażnika gniazd powróci, powiedział śpiewający. Jeśli należą do tego samego ludu, co ci, których zabiliśmy, to... trudno będzie zabębnić z nimi w harmonii.

Długa droga bez odpoczynku i obozowiska po drodze, powiedział jeden z najmłodszych. To była ciężka podróż w obie strony, a on miał cierń wbity w lewą stopę i nawet po wyjęciu go rana przysparzała bólu w trakcie marszu. Może to wcale nie są takie same istoty.

W niektórych sprawach takie same, odparł śpiewający.

Nikt nie zaprotestował. Śpiewający razem z tymi strażnikami gniazd, którzy ocaleli, zbadał dokładnie ciała martwych potworów; śpiewający zauważyłby szczegóły, które umknęły łowcy w czasie bitwy. Główną różnicą, ciągnął śpiewający, jest wiek i ubiór strażnika gniazd. Te stworzenia zmieniają się z wiekiem, jak wszystkie istoty. Długa trawa porastająca ich głowy blaknie jak liście po nadejściu zimy; skóra staje się luźniejsza i pokrywają ją cętki. Jeśli są podobni do nas, na starość muszą się też wolniej poruszać.

Skóra tego potwora jest taka gorąca, zauważył jeden z łowców.

Nie wiem nic o innych: wszyscy byli martwi. Ale z pewnością potwór jest stworzeniem ciepłokrwistym, bardziej podobnym do nas niż do zrzucających skórę. Czy ktoś widział, jak potwór pływa?

Nie. On nie pływa, ale opryskuje się codziennie wodą. Czasem kilka razy dziennie, gdy jest naprawdę gorąco.

Bez okrycia, dodał ktoś inny, tutaj ma przymocowane woreczki – łowca potarł ręką pierś – a jednak nigdy niczego w nich nie widzieliśmy ani żadnego otworu.

Śpiewający zastukał palcami lewej stopy. Tak, tak samo wyglądało kilka martwych potworów, ale ich woreczki nie były puste. Widziałem jeden rozcięty nożem: w środku było samo stworzenie, jego ciało. Któryś ze strażników gniazd obejrzał więcej takich stworzeń i zauważył, że te większe należały do tych z dodatkowym otworem między nogami.

Gotowe do gnieźdzenia, wykrzyknął: ten, który właśnie był gotowy.

Być może. To w końcu są potwory. Strażnik gniazd myślał, że może to jest sposób gromadzenia tłuszczu dla produkcji młodych.

Moglibyśmy zapytać tego potwora, powiedział jeden łowca.

Śpiewający ponownie zabębnił, tym razem palcami prawej stopy: nie zgadzał się. Byłoby nietaktem zauważyć, że strażnik gniazd nie dokończył przemiany. A co, jeśli się rozgniewa? Jeśli

odmówi rozmowy z nami?

Może rozmawia z nami tylko dlatego, że nie ma pisklaków, które mógłby nauczać?

Jest zbyt bystry na to, by wziąć nas za pisklęta.

Jest samotny, powiedział drżącym głosem ten zbliżający się do gnieźdzenia. Jest sam, a jego lud opuścił go.

Pozostali przybliżyli się, miękko bębniąc palcami lewych stóp, palcami lewych rąk, kojąco, uspokajająco... ty nie jesteś sam; jesteśmy z tobą, twój lud...

Ale nie ma strażnika dla moich pisklaków! To zawrodozenie wywołało nieświadome popiskiwanie kilku najmłodszych; podgardla napęczniały i rozbłysły jasnym pomarańczem groźby.

Śpiewający przejął prowadzenie, bębniąc mocniejszy rytm i przechodząc do tradycyjnego kontrapunktu pieśni gnieźdzenia. Oto bezpieczny gąszcz gniazd, oto bezpieczne miejsce, tu twoje pisklęta będą dobrze chronione. Jest tu potężny strażnik gniazd, ciągnął śpiewający, on ma moc przeciw nowym groźbom, zdaje się potężniejszy od tych, których znałeś. Młodziak gotowy do gnieźdzenia wzdrygnął się jeszcze raz, a potem powoli rozluźnił i osunął w pocieszające ręce pozostałych.

On będzie strzegł mych małych? Na wpół pytanie, na wpół twierdzenie.

Śpiewający nie kłamia, ale tworzą nowe prawdy swymi pieśniami, nowe drogi dla ludu, by zabębnić zgodę.

Strażnicy są mądrzy, powiedział śpiewający. Ten strażnik jest bardzo stary; ten strażnik odżywia nasze umysły, tak jak umysły małych. Ten strażnik będzie strzegł twoich małych; tak będę śpiewał.

Gotów do gnieźdzenia zasnął w nagły sposób, tak typowy dla noszących małe, więc śpiewający gestem nakazał pozostałym ciszę.

Nie wiedzieli, jak potwór się nazywa. Śpiewający uważał, że tak mądre i stare stworzenie z pewnością ma ulubione imię. Nie ujawnił go przez uprzejmość, nie z chciwości; ten strażnik, jak wszyscy, szczerze odpowiadał na wszelkie potrzeby. Śpiewający był pewien, że strażnik zgodzi się ochraniać ich małe. Prawie pewien. Chyba że powróci jego własny lud, wtedy obowiązki własnych młodych mogą mieć priorytet.

Śpiewający oparł się o ścianę, wspominając dotyk kamienia-przewodnika. Kamienie-przewodnicy! Tak mocne, w tym budynku, z którego pochodzi zzzzt. Pomiędzy Ludem byli tacy, którzy wiele by dali, żeby takie odnaleźć... choć wątpił, żeby strażnik wyznał, skąd pochodzą. Taki skarb. I te mniejsze kamienie-przewodnicy, w tej małej maszynie! Ci, którzy tworzą nowe maszyny, mogliby ją skopiować, gdyby mieli okazję. Śpiewający był przekonany, że samo zzzzt nie da Ludowi zdolności posługiwania się wszystkimi narzędziami potworów, ale gdyby potrafili sami zrobić zzzzt – czymkolwiek ono jest – wtedy mogliby wyprodukować własne narzędzia.

Myśli śpiewającego odpłynęły, jak to się często zdarzało, na senne ścieżki nocy, gdzie bębnienie przechodziło ze strony na stronę tak często, jak i same sny. Zdziwiający dzień, zaiste; zobaczyć żywego potwora, usłyszeć, jak mówi, przekonać się, że to naprawdę strażnik gniazd, najświętsza pośród śmiertelnych istot. Szedł poprzez sny śpiewającego, dużo mniej niezgrabnie niż w rzeczywistości; poruszał się szybko i sprawnie, płynniej niż członkowie Ludu swoim płaskostopym chodem. Nosił strój strażnika, cały pokryty oczami na znak, że ten, kto go nosi, widzi wszystkimi oczami: zewnętrznymi, wewnętrznymi, wysokimi i niskimi.

W następnych dniach Ofelia odkryła, że jest przedmiotem pełnej zaciekawienia obserwacji. Błękitny Płaszcz musiał być ważną osobistością, ponieważ inne stworzenia reagowały na jego najmniejszy kaprys – a te kaprysy dotyczyły właśnie jej osoby. Kiedy Błękitny Płaszcz zobaczył, że jedno ze stworzeń wchodzi do jej kuchni jak do własnego domu i otwiera lodówkę, żeby wykrobać sobie trochę szronu – coś, co stwory robiły bez przerwy – powiedział coś w ich języku i przestraszony intruz odskoczył w tył na połowę długości swojego ciała. Błękitny dodał jeszcze coś i stworzenie rzuciło się do przodu, by zamknąć drzwi, po czym posłało Ofelii spojrzenie, którego znaczenia nie rozumiała. Następnie boczkiem wymknęło się z kuchni, mijając Błękitnego, i oddaliło się drogą.

Ofelia zorientowała się, że pozostałe stwory przestały przychodzić do jej domu, a Błękitny Płaszcz wchodził tylko wtedy, gdy zapraszała go gestem. Jeśli pragnęła spędzić parę godzin w samotności – a wciąż tego chciała – Obcy nie przeszkadzali jej. Mogła w spokoju gotować posiłki; odkryła, że potrafi wypłoszyć ich nawet ze swojego ulubionego pomieszczenia szwalni i znów pracować nad ozdobami bez dociekliwych spojrzeń na plecach.

Było to bardzo dogodne. Odprężyła się, rozkoszując tą nową prywatnością, i uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakowało w czasie, kiedy stwory wciąż z nią były. Jeszcze raz, na nowo czuła, jak – tym razem już w znajomy sposób – jej mięśnie rozluźniają się i rozluźniają się jej umysł. Nie było to dokładnie to samo, co mieć dla siebie całą planetę, ale sytuacja wydawała się lepsza niż wtedy, kiedy spotkała stwory po raz pierwszy. Nie czuła się już przytłoczona ich obecnością.

Cieszyła się ich przyjaźnią. Nigdy w życiu nie doświadczyła takiego rodzaju koleżeńskiego układu, który można przerwać, gdy chce się pobyć samemu. Błękitny Płaszcz zdawał się ją rozumieć, a może te stworzenia nie niepokoiły się wzajemnie przez cały czas, tak jak to robili ludzie. Kiedy patrzyła na nie, wyglądając ze swej prywatności niczym zza zasłony, widziała, że czasami zostawiały się nawzajem w spokoju... nie tak, jak to czynili ludzie w kolonii, ze złością i obrażaniem się, ale tak, jakby naturalne było, że każdy pragnie czasem samotności. Kiedy istoty były gotowe do powrotu do towarzystwa, wracały – podobnie jak robiła to ona, z dużo większą ochotą, niżby się kiedykolwiek spodziewała.

Zdała sobie sprawę, że czyni to chętnie, ponieważ żywe zainteresowanie Błękitnego, tak dla uczenia się, jak i dla uczenia jej, przydawało temu układowi wartości. Dzień po dniu – prawie z godziny na godzinę – odkrywała, że Błękitny rozumie ją coraz lepiej, a ona coraz lepiej rozumiała jego. Przypuszczała, że Błękitny pojął już, iż ludzie noszą swe młode wewnątrz ciała i wydają na świat bezradne niemowlęta. I że te woreczki na jej klatce piersiowej to narządy służące do karmienia młodych. Domyślała się, że stworzenia budują pewnego rodzaju gniazda, ale nie mogła ustalić, czy składają jaja, czy też rodzą swoje dzieci. Zdawało się, że Błękitny nie rozumiał jej pytań na ten temat.

Bardziej by ją to martwiło, gdyby nie fakt, że rozkoszowała się swoją nową – choć ograniczoną – wolnością. Wciąż dokuczala jej obecność stworów, ponieważ wiedziała, że mogą się do niej wtrącać, choć tego nie robiły. Zachowanie jej prywatności zależało od ich dobrej woli, nie od niej samej, i w chwilach samotności najbardziej cieszyła ją niezależność od czyichkolwiek decyzji. Ale mogła w spokoju wziąć prysznic, śpiewając, jeśli chciała, i nie musiała nasłuchiwać stukania pazurów na posadzce. Mogła siedzieć, mamrocząc do siebie, nad skomplikowanym kawałkiem szydełkowej roboty, nie czując na sobie spojrzeń wielkich oczu, nie widząc dłoni naśladujących w powietrzu ruch jej palców, aż od tej natężonej uwagi gubiła oczka.

A kiedy pragnęła towarzystwa, gdy chciała posłuchać ich muzyki albo pozwolić Błękitnemu wypróbować błyskawicznie rosnący zasób słów i wyrażań, byli na miejscu. Niehałaśliwi, uprzejmi i chętni. Nie przeszkadzało jej, że pozostaje w centrum uwagi, kiedy mogła sama wybrać odpowiedni moment. Wieczorami, kiedy grali, proponowali jej któryś ze swoich instrumentów. Zazwyczaj potrząsała tykwą z nasionami, aż kiedyś, po długich zabiegach, wydobyła dźwięk – z poszumem, ale jednak dźwięk melodii – z zestawu wydrążonych trzciny. Słuchali, kiedy odgrywała dla nich muzykę zapisaną na kostkach; usiłowali nawet śpiewać razem z nagraniem dziecięce piosenki i udało im się zaskakująco dobrze podchwycić melodię. Ofelia próbowała nucić do ich muzyki, ale martwiła się, że będzie fałszować; łatwiej już było utrzymać rytm, grając na tykwie.

Zdawało jej się, że Błękitny i jeszcze jeden Obcy są stanowczo zdecydowani nauczyć się czytać; zachęcali ją, by czytała im książki dla dzieci w salach edukacyjnych Centrum. Tłumaczyła obu prawa rządzące literami i liczbami i wkrótce zauważyła, że kreślą litery w powietrzu, na ścianach, w pyłe na drodze. Wydawali się bystrzy, ale Ofelia nie miała pojęcia, jak szybko dorośli mogliby nauczyć się alfabetu, gdyby nie chodzili do szkoły w dzieciństwie. Ciekawiło ją, czy stworzenia mają jakieś własne pismo. I znów Błękitny zdawał się nie pojmować jej pytań. Nie rozumiał czy może nie chciał udzielić odpowiedzi? Tego nie wiedziała.

ROZDZIAŁ 14

Na pokładzie Mias Vir, w drodze do dawnej kolonii kompanii Sims #3245.12

Kira Stavi bardzo często przypominała sobie, że nie oczekiwała przecież przyjemnej podróży. Ta podróż nie musiała być przyjemna: stanowiła za to szansę spotkania z pierwszą inteligentną formą życia pozaziemskiego, jaką kiedykolwiek odkryto na skolonizowanej planecie. Na jakiegokolwiek planecie. Czymże jest zwykły pokładowy świat nonsensu wobec takiej perspektywy?

Jednak drażniło to Kirę. Wszyscy mieli wyższe stopnie akademickie – co było oczywiste – więc tak naprawdę niepotrzebne było skryte przepychanie się, podgryzanie, próby zaimponowania innym. Wszyscy wyjdą z tego z publikacjami; nieważne, co się okaże na końcu – i tak będą mieli dość materiału, by przez resztę życia manewrować w uczelnianej czy biurokratycznej dzungli. Nie stanowili dla siebie wzajem konkurencji.

Tylko że właśnie tak się zachowywali Drużyna pierwszego rzutu i drużyna wspierająca, dwa zespoły specjalistów dobranych parami, osiem aktywnych umysłów, a każdy zdeterminowany, by dzięki tej wyprawie zbudować lub umocnić swoją reputację. No i za dużo wolnego czasu na pokładzie statku, za to zbyt mało do roboty; prawie nic poza martwieniem się, jak pozostali mogą udaremnić owe plany i ambicje.

Kira pomyślała, że już sama drużyna pierwszego rzutu potrafi wygenerować tyle problemów, że starczyłoby na kostkę powieściową. Bilong Oliausau musiała imponować wszystkim swoją wiedzą o sztucznej inteligencji, wykorzystywanej w neolingwistyce, oraz swym seksapilem. Ori Lavin, zazwyczaj spokojny, pragmatyczny pelorysta, niemal karykatura członka tej sekty, reagował na Bilong prawie jak na zastrzyk hormonów odmładzających i gładził się po wąsach za każdym razem, kiedy przepływała koło niego. Bez końca wdawał się w zacięte kłótnie z Vasilem, a większość z nich była absolutnie niepotrzebna. Vasil z kolei rozumiał przywilej bycia „dowódcą zespołu” w ten sposób, że zarówno Bilong, jak i większa część czasu transmisji należą mu się według prawa.

Kiry nie gorszyło zachowanie Bilong – czuła nawet skrywane współczucie dla dziewczyny, która oto wyruszała na swą pierwszą dłuższą ekspedycję, a otrzymała miejsce w drużynie pierwszego rzutu tylko dlatego, że dyrektor wydziału językoznawstwa wybrał akurat tę niepomysłną chwilę, by załamać się na skutek dawno już zasłużonego krwawienia wrzodu. Kira słyszała o niemal legendarnym doktorze Lowaasim, który z równą żarłocznością pochłaniał sekretarki i dyplomowane asystentki. Plotka głosiła, że wydział językoznawstwa wiwatował, kiedy karetka odjeżdżała sprzed budynku. Tak czy inaczej, nic dziwnego, że Bilong była niedojrzała i niestabilna emocjonalnie i że podrywała Vasila, jednocześnie przez ramię flirtując

z Orim. Co naprawdę irytowało Kirę, to sposób, w jaki Vasil zagarnął czas transmisyjny.

Kira przypomniała sobie, że jej własna pozycja nie jest zagrożona. Była pracownikiem mianowanym; miała wysoki wskaźnik cytowania, który po tej wyprawie jeszcze pójdzie w górę. Ksenobiolog z drużyny wspomagającej, którego niewymawialne imię w ustach wszystkich brzmiało jak Chesva, szanował ją, nie okazując kłopotliwego uwielbienia, przysługującego bohaterom; zostawiał ją w spokoju, tak że miała czas na myślenie i mogła traktować Cheswę jak normalnego asystenta. Bez względu na to, czy stworzenia są inteligentne czy nie, ona będzie miała wyłączny dostęp do biosfery planety... co jest spełnieniem marzeń ksenobiologa. Miała już próbki – Sims Bancorp złożył je, gdyż takie były wymogi, dziesiątki lat temu w urzędzie kolonizacyjnym – ale próbki były niczym w porównaniu z możliwością obserwacji żywych organizmów w ich własnym ekosystemie. Musi tylko przetrzymać tę podróż, nie rzucając się na współczłonków zespołu.

Przypominała sobie o tym każdego nużącego dnia, w czasie skoków pośrednich i długiego powolnego lotu przez system do planety. Uprzytamniała sobie, że mogło być gorzej – wszystko mogło trwać dłużej – na większości statków. Choć kusząca zdawała się myśl, że w większym zespole nie byłoby tak trudno, wiedziała z poprzednich wypraw, że w liczniejszych grupach było tyle samo okazji do konfliktów międzyludzkich. W tym przypadku fakt, że osób jest niewiele, może po lądowaniu sprzyjać lepszej współpracy. I ona, jedyna obecnie osoba zachowująca się jak dorosły człowiek, dopilnuje tego.

Gdy byli już wystarczająco blisko, Kira dołączyła do pozostałych, zgromadzonych przed ekranem w kwaterach oficerskich. Błękit, biel, brązy, ciemna zieleń... lodowe pokrycie biegunów, łańcuchy górskie, lasy... nic dziwnego, że ktoś zapragnął skolonizować tę planetę, pomyślała. Nawet gdyby zbudowano ją specjalnie dla ludzi, nie mogłaby być bliższa ideału.

– Potrzeba jej księżycy – powiedział Ori, jakby czytając w myślach Kiry.

Czasem mu się udawało je odgadnąć; uczestniczyli razem w kilku ekspedycjach. Kira uznała to za znak, że wyleczył się już ze swego zauroczenia Bilong. Uśmiechnęła się do niego bez słowa.

– Usiądziemy sobie teraz na chwilę i poważnie rozejrzemy się w naszych sprawach – oznajmił Vasil.

To zdanie wygłaszał już przedtem, i to nieraz. Kira poczuła, jak napinają jej się mięśnie ramion. Nie lubiła być traktowana jak idiotka, która nic nie potrafi zapamiętać. Być może do tego właśnie Vasil był przyzwyczajony; w przeciwieństwie do innych, nie miał stanowiska na uczelni. Próbowwała sobie wmówić, że to tłumaczy jego podejście do załogi.

– Wystrzelimy skaner na niską orbitę – ciągnął Vasil. Kira mogła powtarzać razem z nim następne słowa; zrobiła to po cichu, starając się nie poruszać ustami. – I dopiero, gdy będziemy wiedzieli, w co się pakujemy, zdecydujemy, gdzie lądować.

Oczywiste było, że powinni wylądować obok starej kolonii, skoro do ich zadań należało również wyłączenie elektrowni. Vasil wiedział o tym. Wiedział o tym pilot wahadłowca. Kira spojrzała ze złością w ekran i powiedziała sobie, że poczułaby się lepiej, gdyby na chwilę wydostała się ze statku.

Obserwowała wystrzelenie skanera, potem poszła do laboratorium, by przepuścić pierwsze dane przez swoje własne, specjalne filtry. Nie przypuszczała, by analiza składu atmosfery różniła się od danych wstępnych, zapisanych jeszcze zanim Sims Bancorp otrzymał pierwszą licencję deweloperską, ale będzie się czuła lepiej wśród swoich przyrządów niż w atmosferze napięcia panującego w kwaterach oficerskich.

Chesva poszedł za nią.

– Chcesz, żebym się zajął atmosferą, abyś od razu mogła zabrać się do danych z powierzchni?

– Nie wydaje mi się, żeby już w tej chwili były dostępne jakieś dane z powierzchni, ale możemy sprawdzić, co nam powiedzą skanery optyczne.

– Załaduję stare dane dla porównania. – Znali je na pamięć, ale komputer mógł wyłapać subtelne różnice, które ludziom by umknęły.

– Dzięki – powiedziała Kira. Szkoda, że Chesva nie jest razem z nią w drużynie pierwszego rzutu... ale wtedy miałyby może kogoś w rodzaju Bilong jako wsparcie. Pewnie lepiej jest tak, jak jest.

Na jej ekranie zaczęły się pojawiać dane o atmosferze. Wywołała stare dane i kazała komputerowi zaznaczyć różnice. Nic się nie pokazało. Dokładnie tak, jak myślała.

– A co ze starym satelitą pogodowym? – zapytał Chesva. – Mamy do niego kod dostępu?

– Zaraz sprawdzę. – Kira przejrzała szybko zestaw instrukcji dla ekspedycji, który miał zawierać streszczenie wszystkich istotnych danych, w tym kody uruchamiające dla całego wyposażenia, jakie Sims Bancorp zostawił. – Tak. Troszkę go rozruszam...

Komputer satelity pogodowego usłuźnie wypuł długi plik danych o obserwacji pogody, razem z wykresami i całą resztą. Kira wywołała aktualny obraz. Błękitna woda, skręcone białe chmury, układające się w pasy wzdłuż kierunku wiatrów, zbita masa chmur ponad czymś w zachodniej części obrazu. Mamrocząc, Kira pokonywała kolejne poziomy drzewa wyboru, żeby dowiedzieć się, co to jest. Góry, jak się okazało. Chesva przysunął się do jej pulpitu.

– Myślisz, że ten satelita ma jakieś wolne skanery? Jeśli tak, to może moglibyśmy wcześniej zajrzeć...

– Niezły pomysł. Rozpracowywałeś już kiedyś taki system?

Chesva uśmiechnął się szeroko.

– W zasadzie tak. I przez to o mało co nie zwerbowało mnie wojsko.

– Zapowiada się na ciekawą opowieść – powiedziała Kira. – Ale w takim razie może ty

będziesz się tym bawił, a ja będę patrzeć i uczyć się.

Chesva tłumaczył wszystko, co robił, ale Kirę bardziej interesowały napływające dane, niż to, jak przekonał satelitę, by przestawił skanery i anteny, tak żeby zbierały i przesyłały tę dane, które chciał mieć Chesva. W chwili gdy satelita w końcu zaczął pracować w sposób zadowalający, jego obszar obserwacji przesunął się ku nocnej półkuli.

– To bardzo korzystne, że elektrownia wciąż działa – oznajmił Chesva. – To właśnie dzięki termicznemu wyżwiciu w tym miejscu satelita przez tyle lat nie zmienił pozycji.

– O, naprawdę?... – Kiry nie ciekawiło to tak bardzo. Sama dobrze widziała jaskrawą kropkę na podczerwieni. Otaczały ją matowe, przyciemnione plamy budynków, które wypromieniowywały zgromadzone w dzień ciepło; odróżniały się wyraźnie od ziemi jedynie w tych miejscach, gdzie cienie chłodziły glebę... wszystkie zdawały się mieć tylko jeden wyraźny brzeg, cała reszta była rozmyta.

– Gdyby tylko udało nam się uruchomić teraz powiększanie... – powiedział Chesva. – O, już jest. No i jak myślisz, co to może być?

Tym razem skanowanie optyczne ukazało im wyostrzone cienie, wywoływane ukośnymi promieniami zachodzącego słońca... Zobaczyli budynki opuszczonej kolonii, ustawione w równych rzędach, palisadę lasu i długie cienie drzew... i coś poruszającego się pomiędzy domami.

Kira poczuła na plecach zimny dreszcz. Zwierzęta. Zapewne tylko zwierzęta albo porzucone przez kolonistów bydło, któremu udało się przeżyć, lub te leśne zwierzęta, które opisywali. Obcy są tysiące kilometrów od tego miejsca; koloniści przeżyli tu czterdzieści lat i nie zauważyli nic groźnego. Ale cienie rzucane przez te zwierzęta były długie... wyprostowane.

– Źródła ciepła – oświadczył Chesva. – Cokolwiek to jest, jest ciepłokrwiste, ale nie tak gorące, jak plama elektrowni.

– Wyprostowani – powiedziała Kira. Ucieszyła się, słysząc, że głos jej nie zadrżał.

– Tak. – Jego głos brzmiał tak samo spokojnie, jak jej.

Byli zawodowcami, uczonymi, dorosłymi ludźmi... ale jej serce waliło mocno. Wiedziała, że to nie krowy ani owce, ani małpopodobni wspinacze leśni. To byli ci, którzy zniszczyli kolonię – wysadzili w powietrze prom – a teraz grasują po wiosce, dowiadując się zdecydowanie zbyt wielu rzeczy.

Z wizji zniknęło światło słoneczne i bez silnego kontrastu słońca i cienia nic już nie widziała, nawet ruchu. W podczerwieni wciąż było widać budynki promieniujące zmagazynowanym ciepłem. W niewielkiej odległości dwa skupiska cieplejszych plam mogły być bydłem albo stadem owiec. Pomiędzy rozmytymi kształtami budynków zaś widziała małe, blade, poruszające się plamki. I nagle zniknęły.

– Weszli gdzieś do środka – wyjaśnił Chesva. – Do któregoś z budynków. – Usłyszała, jak

kolega przełyka ślinę. – Oni tam są naprawdę.

– Teoretyzujemy, wyprzedzając dostępne dane – powiedziała Kira, starając się, by jej głos brzmiał profesjonalnie.

Chesva parsknął.

– Wiesz, że to nieprawda – powiedział. – Po prostu mamy więcej danych, niż miał ktokolwiek inny.

– Taa... – odparła Kira. – Tak mi się wydaje.

Nagle obraz ze skanera optycznego zmienił się. Na ciemnym ekranie rozbłysły światła.

– Nie wydaje mi się, wiemy to – poprawiła się. – Wykombinowali, jak działają światła...

– To nie takie trudne – rzekł Chesva. Wciągnął powietrze przez zęby, co było jego jedynym irytującym nawykiem, i ciągnął dalej – Nie trzeba do tego palców. Wystarczy machnięcie ręką, jeśli są tam standardowe przełączniki. Macką. Nawet dziobem.

– To dwunogi – rzuciła Kira, – Te wyprostowane cienie.

– Niekoniecznie dwu... – odparł Chesva. – Ale zgadzam się, wyprostowani. Wywołajmy któryś z wcześniejszych obrazów i naprawdę dokładnie mu się przyjrzymy.

– Ty się tym zajmij. Ja chcę popatrzeć na to... – Kira wskazała ręką ekrany. Światła. Komputer twierdził, że światła są cztery. Podświetliła ślad poruszającego się układu podczerwieni, małych kropek, które przeszły przez ulicę i weszły do wnętrza. Teraz, kiedy miała chwilę, żeby się zastanowić, wywołała mapę wioski sporządzoną przez Sims Bancorp i zdecydowała, że – autochtoni, lepiej tak o nich myśleć niż jako o Obcych – weszli do wielofunkcyjnego budynku, w którym mieściły się urządzenia sterownicze i monitorujące, cysterny magazynujące deszczówkę, pomieszczenia szkolne, wspólna sala do pracy, i tak dalej.

Komputer zapiszczał, na ekranie pojawiło się nowe światło. Spojrzała znów na plan wioski. *Falfurrias, Bartolomeo et u. et m.*, głosił napis. Przetłumaczyła archaiczny zapis: *et ux et mater* – „z żoną i matką”. Dom zbudowany i zamieszkaný przez Humberta i Ofelię Falfurriasów. Popatrzyła na raport z ewakuacji. Bartolomeo i Rosara Falfurriasowie zostali zabrani przez prom 3-F. Ofelia Falfurrias przez prom 3-H.

Kira zastanowiła się, dlaczego się rozdzielili. Zakładała zawsze, że rodziny transportuje się razem. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Żałowała, że nie dysponują manifestem przylotu transportowców kolonii Sims Bancorp, ale nie dotarły jeszcze do miejsca przeznaczenia. Zmarszczyła nos, zadowolona, że nie musi podróżować na starych, podświetlonych statkach. Hibernacja czyniła taką podróż możliwą, ale nic nie mogło uczynić jej efektywną.

– Mam następne źródło światła – powiedziała do Chesvy, który tylko coś odmruknął. Rzuciła okiem przez ramię i zobaczyła, że kolega robi coś z pojedynczą klatką, pochodzącą z wcześniejszych danych wizualnych. Jego ekran zmienił kolor, a barwy na obrazie przeszły w bardziej kontrastujące odcienie.

Kira wróciła do własnych badań. Ktoś – była pewna, że to ci sami autochtoni, których atak zmiotł drugą kolonię tuż po lądowaniu – przebywał w budynkach i posługiwał się co najmniej przełącznikami światła. Czego jeszcze mogą używać? Spojrzała na materiały Sims Bancorp, by przypomnieć sobie, co znajdowało się tam, na dole. Przetwórnia odpadów, która dostarczała paliwa najprostszej elektrowni, wytwarzającej prąd do oświetlenia lodówek, wentylatorów, pomp. Pojazdy... kilka o napędzie elektrycznym, kilka bazujących na biopaliwach. Żadnego pojazdu powietrznego, Na szczęście. Nie przetrwały też żadne łodzie...

Oczywiście, w raporcie twierdzono również, że elektrownia została wyłączona. Kira znów poczuła zimno i jednocześnie pewność, że pytanie: „Co jeszcze” należało zadać już dawno temu. Sprawdziła odczyt skanera z niskiej orbity. Był teraz po drugiej stronie planety, prawdopodobnie wciąż wykonywał swoje pierwsze, wcześniej zaprogramowane zadania.

Nie zależało jej już na tym, by poznać skład atmosfery ani częstotliwość pływów.

– Aha! – zawołał Chesva. – Chodź coś zobaczyć.

Kira przesunęła się do niego. Był to pojedynczy, nieruchomy obraz w paśmie widzialnym, ale nie ten sam, który widzieli wcześniej. Przede wszystkim słońce stało wyżej, cienie były krótsze i rzucane w przeciwną stronę.

– Późny ranek – powiedział Chesva. – Wrzuciłem kilka parametrów dla przeszukiwania, opartych na tych kilku klatkach, które mieliśmy, i oto najlepsze zdjęcie, jakie dotąd znalazłem.

– Czemu satelita prowadził skanowanie optyczne? Był przecież wyłączony, kiedy go wywołałeś?

– Pewnie jedno z tych stworzeń postawiło stopę na przełącznikach – odpowiedział Chesva. Najwyraźniej nie interesowało go, w jaki sposób satelita uzyskał te obrazy, skoro on już je od niego wydobyl.

Kira czuła to samo.

– Dwie nogi... – powiedziała, zamiast zauważyć, jak bardzo nieprawdopodobne jest, by jakieś zwierzę nastąpiło na właściwe miejsce, a potem zrobiło to jeszcze raz, żeby wyłączyć skaner.

– Tak... miałaś rację z tymi dwunogami. Teoria zawsze wskazywała to rozwiązanie jako bardziej prawdopodobne. No i dwie górne kończyny – na cieniach widać to wyraźnie. Ale spójrz tutaj... – Chesva pokazał jedną postać, niższą od innych. Niższą i o znajomych proporcjach. Ludzkich proporcjach.

Kira wepchnęła sobie z powrotem w gardło wszystkie wulgarne wyrażenia, jakie знаła, a za to powiedziała:

– Vasil nie będzie tym uszczęśliwiony.

– Nie – przytaknął Chesva. Uśmiechnął się do niej szeroko. – Ale to powinno zająć jego

umysł czymś innym niż Bilong. Nie uważasz?

Nie było mowy o lądowaniu gdziekolwiek indziej niż na starym pasie Sims Bancorp. Pożyczono im wojskowy wahadłowiec desantowy, o powłoce przypuszczalnie nieprzenikliwej dla niczego oprócz „niezwykle zaawansowanej technologii”, jak to określił ich wojskowy pilot. Pilotów dołączono do promu, razem z niewielkim kontyngentem „doradców”, którzy w czasie podróży w ogóle nie mieszały się z naukowcami i dyplomatami.

Prom wykonał kilka lotów zwiadowczych, kiedy już skaner z niskiej orbity nie wykazał obecności żadnej technologii, która mogłaby zdmuchnąć wahadłowiec z powietrza. Dowody obecności mniej zaawansowanej technologii zapełniały taśmy danych i całe kostki. Kamienne budowle – najwyraźniej stałe osadnictwo – skupione na skalistym wybrzeżu daleko na północ i na wschód od kolonii Sims Bancorp oraz grupy nomadów, którym towarzyszyły stada czteronogich trawożernych, na łąkach na zachód od osiedli.

– Nie dziwi mnie, że nie zauważyli nomadów – oświadczył Vasil. – Mogą być kolejnym gatunkiem migrujących zwierząt, nic specjalnego. Zdaje się, że nie rozpalają ognia, nie budują trwałych konstrukcji. Chodzi tylko o to, że wiemy, że mamy ich szukać. Ale jak mogli przeoczyć te miasta! – Dramatycznym gestem potrząsnął głową.

Kira nie chciała znów zaczynać dyskusji o punktach krytycznych i powstawaniu, o gradualizmie przeciw nieciągłości kulturowej... Nie mieli dość danych historycznych, by ocenić, kiedy umysłowość i kultura miejscowych stały się na tyle złożone, by osiągnąć ten poziom technologiczny, i nie mogli tych danych zebrać tu, na górze. Tam, w dole, jeśli Ori i jego wsparcie są wystarczająco sprawni, mogą odnaleźć dane, które przyniosą odpowiedź na to pytanie. Kira wolała skoncentrować się na faunie i florze: czworonożne stada, za którymi podążali koczownicy... polowali na nie? Paśli je? Roślinożerne, to pewnie: tylko bujna roślinność może być podstawą pożywienia dla takiej góry mięsa. Na pewno to zwierzęta-ofiary, z tymi oczami osadzonymi po bokach wydłużonych głów, oczami, które widzą wszystko z tyłu i dookoła. Czy autochtoni są jedynymi drapieżnikami? Poszukała wzrokiem, ale bez skutku, czegoś, co odpowiadałoby psowatym.

– Łodzie z wiosłami i żaglami – oznajmił Ori, pozerając wzrokiem zdjęcia nabrzeżnych osiedli. – Umieją obrabiać drewno – ciekawe, czy jest tak twarde, jak to, które Sims eksportował z tropików. Potrzeba do niego metalu. Jeśli mają metalowe narzędzia...

Kira przyjrzała się samym stworzeniom. Autochtonom, upomniała się. Nie umiała powiedzieć, co najbardziej przypominali, ssaki, gady czy ptaki... Nie mieli widocznego owłosienia czy upierzenia, to, co okrywało ich ciała, przypominało raczej skórę niż łuski. Ich długonogi, podskakujący chód przywodził jej na myśl pozbawione kostnego grzebienia wzdłuż mostka wielkie nietoty starej Ziemi, ale tu staw nogi skierowany był wyraźnie ku przodowi, tak

jak ludzkie kolano. Wielkie oczy, umieszczone nieco bardziej po bokach głowy niż ludzkie; Kira przypuszczała, że autochtoni mogą patrzeć i oboma oczami naraz, i osobno. Cztery palce u stóp, cztery u rąk... przeciwstawny kciuk ręki i jeden z palców stóp wyglądający na prawie przeciwstawny.

– Spójrzcie na te budynki – powiedział Ori, przerywając na chwilę koncentrację Kiry. – Przysięgnę, że to są rury – może tylko puste trzciny albo coś takiego, ale rury do transportu... tak! Coś właśnie wydostało się z tej tutaj.

Kira spojrzała o sekundę za późno: zobaczyła rury, ale nic więcej, nawet jeśli cokolwiek w nich było.

Odezwał się Memnin, antropolog z drużyny wspierającej:

– Zauważyłeś, Ori, w jaki sposób patrzyli w górę i przyglądali się promowi? Bez paniki, bez prawdziwego zaskoczenia, a jeden, o tam... – wskazał na róg obrazu – ...szkicuje coś, mogę się założyć.

Bilong i Apos, językoznawcy, stali w kącie, patrząc. Nie mieli nic do roboty, ponieważ skaner nie zebrał dźwięków. Apos spoglądał czujnie, za to Bilong wydymała tylko wargi. Kira znów pomyślała, że dobrze by było, gdyby Bilong nie została wybrana do pierwszej drużyny. Może Apos i był młodszy i mniej doświadczony, ale przynajmniej nie próbował stwarzać problemów. Kilka dni trwały przeloty nad powierzchnią planety i analiza danych – tylu danych, że starczyłoby pracy dla całego wydziału. Kira już czuła, że zaczyna w nich tonąć – w końcu wojskowi piloci uznali, że mogą zaryzykować lądowanie w starej kolonii. Nalegali, by wszyscy włożyli sprzęt ochronny, gorący, ciężki, niewygodny i nieznanym cywilom. Kira była przekonana, że wojskowi nabijają się z nich. Prawdopodobnie wyglądamy śmiesznie, mówiła sobie, usiłując dostrzec zabawne strony sytuacji, walcząc ze sprzączkami i karabinkami, które szczepiały razem grube płyty ochronne. Przynajmniej oni zobaczą w końcu prawdziwy świat: warte to było wszystkich niedogodności po drodze.

Niestety – dla Kiry – wojskowa wersja wahadłowca nie miała ekranów obserwacyjnych ani innych udogodnień, znajdujących się na promach cywilnych. Spodziewała się, że będzie mogła obserwować podejście do lądowania, widząc na własne oczy, jak atmosfera zmienia zabarwienie i przekształca wygląd krajobrazu. Zewnętrzne kamery zarejestrują to dla dalszych analiz, ale ten fakt nie rekompensuje niemożności obejrzenia wszystkiego na własne oczy. Musiała siedzieć wpatrzona w tył głowy Vasila przez całą drogę w dół, z kręgosłupem zeszywniałym od twardego fotela i uszami ogłuszonymi rykiem i warkotem. Nie miała pojęcia, jak blisko powierzchni już są, póki pilot nie oznajmił, że wylądują za dwie minuty. Prom zanurkował, zakołysał się i zadygotał niepokojąco, jak to robią wszystkie promy, a Kira świadomie nie zacisnęła rąk w pięści. Nie podobało jej się to: nie widziała nawet pasa. Potem fotel z plaśnięciem uderzył ją w plecy i poczuła nierówne dudnienie kół toczących się po pofałdowanej, zarośniętej powierzchni.

Na pierwszy rzut oka opuszczona kolonia wyglądała dokładnie jak opuszczona kolonia. Wylądowali o wschodzie słońca, na ścianach małych, niedbale zbudowanych jednopiętrowych domków kładł się zamglony różowy poblask. Nic się nie poruszało. Obok pasa lądowiska stały zaparkowane w nierównym szeregu pojazdy kolonii, porysowane rdzą, z powietrzem spuszczoneym z kół. Sztywna trawa, a nawet kilka krzewów, wdarło się na sam pas. Wilgotna, ciepła bryza poruszała źdźbłami traw i przynosiła dziwny, obcy zapach innego świata.

Powłoka promu syczała i trzeszczała; Kira z początku nie słyszała nic więcej, póki jej samej nie strzeliło w uszach. W oddali coś przeraźliwie jęczało; aż podskoczyła. Ori powiedział:

– To pewnie krowy.

Kira miała do siebie pretensję o to, że nie rozpoznała tego dźwięku. Była przecież ksenobiologiem; powinna znać się na zwierzętach. Vasil ruszył w dół po rampie, ale zatrzymał go jeden z doradców.

– Nie mamy jeszcze pewności – oświadczył.

– Pewności czego? – zaciekała się Kira. Mieli pewność, że są tu miejscowi i przynajmniej jeden człowiek. Bez końca prowadzili spekulacje na temat tego człowieka, dostrzeżonego tylko przez optyczny skaner satelity pogodowego: kto to jest, jak się tu znalazł czy znalazła i dlaczego? Czy to pijany członek załogi wahadłowca, pozostawiony po ewakuacji kolonii? Jakiś przedsiębiorczy odkrywca, który przybył, by ocalić pozostawiony tu sprzęt? Ktoś, kto chciał zawłaszczyć dla siebie planetę?

– Ktoś... – powiedział inny doradca.

Mimo sprzeciwów Vasila wzięli ze sobą broń. Mógł sobie być dowódcą zespołu, przyszłym ambasadorem, ale podróżowali na wojskowym statku, wylądowali wojskowym wahadłowcem; Vasil nie był w stanie zmienić rozkazów kapitana. „Dla obrony promu” – tłumaczył kapitan Vasilowi. Kira, stojąc za Vasilem, widziała, jak poczerwieniały mu uszy. Powiedział później pozostałym, że się tym zajmie, to znaczy, że pozbędzie się broni, ale te przechwałki na nic się nie zdały. Teraz doradcy wyciągnęli swoją broń. Kira nie była zaskoczona.

– Niczego nie róbcie – prosił Vasil.

Zignorowali go. Kira, pocąc się w swoim kombinezonie ochronnym, też go zignorowała.

– Jeden osobnik – rzekł doradca. Mówił bardziej do mikrofonu nadajnika niż do nich. – Zdaje się, że to człowiek, kobieta... – Potem ze zdziwieniem: – Stara. Stara kobieta, sama.

Kira nie widziała tego, co oni: doradcy i Vasil, wszyscy w pękatych kombinezonach, zasłaniaли jej widok aż po drogę do wioski. Mogli się odrobinę przesunąć, żeby pozwolić coś zobaczyć tym z tyłu, ale stali nieugięci, jakby chcieli zawadzać tak bardzo, jak tylko to możliwe. Kira rozglądała się więc na boki, patrzyła w tył wzdłuż pasa rozbiegowego, porośniętego nierównymi pasmami traw, potem na rzekę – powierzchnię lśniąca w porannym świetle –

i w innych kierunkach, gdzie niby odległa, zielona ściana rósł las. Nie mogła odróżnić tego drugiego już pokolenia drzew od nieścianego, dziewiczego lasu, rosnącego bardziej na zachód, choć widziała je wyraźnie z orbity na ekranach skanerów.

– Ona jest... – dłuższa pauza, doradca prawie się zadławił, nim znalazł odpowiednie oficjalne wyrażenie – ...nieodpowiednio odziana. Ubrana w...eech... tylko jakieś okrycie, coś jakby pelerynę, i trochę paciorków. Bosa. Ehem... ten osobnik może mieć zaburzenia...

Kira już dłużej nie mogła tego znieść. Była zastępcą dowódcy tej ekspedycji, a oni wszyscy ją ignorowali. Przepchnęła się do przodu, niezbyt uprzejmie, tak że Vasil zatoczył się na doradcę, który o mało nie spadł z rampy. Nie obchodziło jej to: chciała coś widzieć. I oto, powoli krocząc w stronę promu, zbliżała się do nich chuda, niewysoka kobieta ze zmierzwioną strzechą siwych włosów. Bosa, i owszem, ubrana w wyszywaną pelerynę, okrywającą jej opalone ciało... w jakieś okrycie narzucone na biodra. I w paciorki.

Stali, spływając potem w ochronnych kombinezonach, aż kobieta podeszła do podnóża rampy. Kira usiłowała rozszyfrować wzór wyhaftowany na pelerynie i nagle uzmysłowiła sobie, że to są twarze – twarze i oczy. Za dużo oczu. Stara kobieta odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na nich ze złością w błyszczących, czarnych oczach.

– To nie był dobry moment – oznajmiła. – Zdenerwowaliście ich.

Vasil pierwszy otrząsnął się i zareagował.

– Na mocy nadanej mi władzy... – zaczął.

Kobieta przerwała mu.

– Mówiłam już, że to nie był dobry moment – powtórzyła. – Mogliście mnie posłuchać, kiedy próbowałam wam coś powiedzieć.

– Nam powiedzieć? – spytała Kira, ucinając gniewny bełkot Vasila.

– Tak. – Kobieta skłoniła głowę, potem podniosła ją z powrotem. – Ale wyście zrobili coś z satelitą, więc nie mogę go zmusić do posłuchu.

– Pani zrobiła te zdjęcia? – zapytał Ori. – Pani kazała mu zrobić optyczne skanowanie tego miejsca?

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta. – Chcieli widzieć, jak wygląda, nie tylko pogoda. Pomogło im to zrozumieć.

Oni. Kira poczuła dreszcz, kiedy zdała sobie sprawę, co kobieta najprawdopodobniej ma na myśli, mówiąc „oni”. Może była szalona, skoro zdradzała im technologię. Przecież nawet osoba niewykształcona powinna wiedzieć...

– Jakim prawem... – zaczął Vasil, w tej samej chwili, w której dowódca doradców powiedział:

– Z czyjego pozwolenia?... – Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie ze złością.

– Kim pani jest? – spytała Kira, wykorzystując chwilę ciszy.

– Kim wy jesteście? – odparowała stara kobieta, nie odpowiadając na pytanie.

Jeśli była naprawdę bardzo stara, zapewne nie pamiętała własnego imienia.

– Nie zrobimy pani krzywdy – zapewniła Kira, usiłując przemawiać łagodnie i cierpliwie. – Chcemy pani pomóc... – Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to głupio i nie zdziwiła się, kiedy kobieta parsknęła pogardliwie.

– Nie potrzebuję pomocy – powiedziała. – Jeśli jesteście od tamtych, to wylądowaliście w złym miejscu.

– Tamtych? – Vasil wychwycił to słowo, uciszając doradcę kolejnym złym spojrzeniem.

– Przybyli jakiś czas temu, próbowali wylądować... musicie o nich wiedzieć.

– Tak – odpowiedział doradca, tym razem wyprzedzając Vasila. – Co pani o nich wie?

– Usłyszałam ich przez radio – odparła kobieta. – Słyszałam, jak wołają o pomoc. – Zacisnęła usta, potem powiedziała: – Słyszałam, jak umierają. – Spuściła wzrok.

– Nie próbowała im pani pomóc? – spytał Vasil.

Kira rozpromieniła się, słysząc, że ktoś mógł powiedzieć coś jeszcze głępszego niż ona. Czy Vasil naprawdę uważał, że taka wątła stara kobieta mogłaby powstrzymać masakrę, która rozegrała się tysiące kilometrów od niej? Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nich. Vasil zaczerwienił się i odchrząknął. Doradca, jak spostrzegła Kira, wyglądał na rozbawionego.

– Była tu pani cały czas? – spytała Kira, skoro nikt inny nie przerwał milczenia.

– No jasne – odrzekła kobieta. – Do teraz czterdzieści lat i jeszcze trochę.

– Ale kompania Sims Bancorp twierdziła...

Stara kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Kompania nie będzie przecież traciła czasu na szukanie jednej starej kobiety, której i tak nie potrzebuje. Już wcześniej kazali mojej rodzinie dopłacić za mnie, bo byłam za stara, myśleli, że umrę podczas hibernacji.

Kira zadrżała. Nie wyobrażała sobie takiej tępoty, nawet ze strony Sims Bancorp. Na pewno było to wbrew prawu – ale kto by egzekwował takie prawo tutaj, na terenach traperskich?

– Więc zostałam – dokończyła kobieta. Wciąż się uśmiechała. Wyglądało to groteskowo.

– Świadomie? – spytał Vasil, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Stara kobieta nachmurzyła się.

– Tak – odparła krótko.

Kira zastanawiała się, jak... jak udało jej się przeżyć całkiem samej? Czy może ktoś jeszcze z nią został? Ale nie mogła stawiać dalszych pytań, widząc rozgniewaną twarz kobiety.

– No cóż – powiedział Vasil, starając się za wszelką cenę odzyskać panowanie nad sytuacją – bez względu na motywy złamała pani rozkaz ewakuacji, a swoim postępowaniem naraziła na niebezpieczeństwo pozycję Sims Bancorp...

Stara kobieta wymamrotała coś, czego Kira nie dosłyszała, ale po wyrazie jej twarzy można

było poznać, że nie był to komplement.

– ...oraz postawiła nas pani przed dylematem – ciągnął Vasil – którego można było uniknąć.

Co mamy z panią zrobić?

Kira nie była zaskoczona, słysząc oczywistą odpowiedź.

– Zostawcie mnie w spokoju – odparła kobieta.

– Ależ... ależ musi pani zrozumieć powagę sytuacji! – wykrzyknął Vasil.

Stara kobieta odwróciła się.

– Nie jestem głupia – powiedziała. – Rozumiem, ale przybyliście w nieodpowiednim czasie.

Teraz zabierajcie się stąd.

Potem odwróciła się i odeszła; długa poła peleryny omiatała jej krzywe, opalone łydki. Z tyłu na pelerynie wyhaftowana była tylko jedna, ogromna, mieniąca się twarz; zbyt duże oczy miały długie rzęsy, sięgające niczym promienie do brzegów rysunku. Kira czuła się niezręcznie, jakby te oczy patrzyły na nią, a jeszcze bardziej niepokoił ją fakt, że tak to odbiera. Nie była człowiekiem pierwotnym: nie powinien mieć na nią wpływu tak oczywisty symbolizm.

– Proszę tu wrócić! – rozkazał Vasil, ale kobieta nie usłuchała.

Vasil zwrócił się do jednego z doradców, Kira jednak poklepała go po ramieniu.

– Może ja spróbuję. To w końcu kobieta, a jeśli była tu sama przez kilka lat, może się czuć przytłoczona obecnością nas wszystkich.

– Proszę pani, nie wydaje mi się... – zaczął któryś doradca, ale Kira już zaczęła schodzić po rampie. – Chce pani eskortę? – zapytał doradca.

– Nie – ona nie robi mi krzywdy – odparła Kira. Zdziwiająco trudno było schodzić po rampie w kombinezonie ochronnym. Pogmerała przy mocowaniach i otworzyła strój z przodu. Nie pomoże jej to za bardzo, tak jest spocona i zgrzana, ale zawsze to już coś...

Dotarła do końca rampy, nie potknąwszy się, i wtedy odkryła, że ciężar kombinezonu spowalnia ją tak bardzo, że tylko z wielkim trudem uda jej się dogonić staruszkę – a ta miała już nad nią dwadzieścia metrów przewagi. Docierała właśnie do końca drogi, wchodziła pomiędzy pierwsze zabudowania.

– Proszę nie znikać nam z oczu! – zawołał doradca. – Jeśli pani pójdzie za daleko...

Kira wykonała w tył niejasny gest ręką, chcąc przekazać tamtym, że słyszała i że robi to, co sama uzna za słuszne. Szczerze mówiąc, istotnie nie powinna znikać im z oczu, skoro wie, że Obcy – nie, autochtoni – są gdzieś w okolicy.

– Proszę!... – zawołała do kobiety. – Proszę na mnie zaczekać! Tamci zostaną na miejscu, ale ktoś z nas musi z panią porozmawiać.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła powoli, jakby całe jej ciało było sztywne. Kira usiłowała stawiać dłuższe kroki, potknęła się i prawie upadła. Teraz dobrze widziała wyraz twarzy kobiety. Ciemne oczy błyszczały rozbawieniem.

– Przepraszam – powiedziała Kira zdyszana – ale... my naprawdę...

– To zły moment – powtórzyła kobieta.

– Który z domów należy do pani? – zapytała Kira. Będzie musiała być stanowcza, wiedziała to. Z osobą niewykształconą – bo koloniści, tacy jak ta kobieta, najczęściej nie mieli wykształcenia, prawdziwego wykształcenia – a przy tym z niepewną swego staruszką należy postępować stanowczo. – Możemy tam pójść, będzie pani mogła odpocząć i wtedy porozmawiamy.

Stara kobieta tylko na nią patrzyła, jej oczy już nie błyszczały. Westchnęła. Potem podrapała się w łydkę brudnymi palcami drugiej nogi.

– Będzie dziś upał – oznajmiła.

Może to miejscowy zwyczaj zaczynać rozmowę od pogody?

– Czy to gorąca pora? – zapytała Kira w nadziei, że grzeczność zrodzi zaufanie.

Kolejne uprzejme spojrzenie.

– Spocisz się w tym – powiedziała kobieta, wskazując kombinezon ochronny.

– To prawda. – Kira zmusiła się do śmiechu. – To przez doradców. Bali się, że ktoś nas zastrzeli albo coś.

– Doradców... Doradców kompanii?

– Nie, wojskowych. – Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się; Kira poczuła się, jakby rozmawiała z komputerem o wadliwym podprogramie We/Wy. – Wyjaśnię to pani – powiedziała. – Kiedy już tamta kolonia została zaatakowana, statek krążący na orbicie wrócił i doniesiono o całej sprawie rządowi... – Można pominąć opóźnienie spowodowane buntem; Kira nie chciała przeciążać wydolności umysłowej staruszki. – Wtedy rząd zdecydował się wysłać nas, żebyśmy ocenili sytuację.

– Żebyście zabili Obcych – powiedziała staruszka, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Nie! – Kira sama była zaskoczona gwałtownością swej odpowiedzi. – Nie żeby zabijać, tylko żeby badać. Dowiedzieć się, czy mogą zostać naszymi sprzymierzeńcami. Ale chcieliśmy zdemontować elektrownię, tak by nie mieli dostępu do naszej technologii...

Teraz stara kobieta uśmiechnęła się, ale nie był to miły uśmiech.

– Są bardzo mądrzy – odezwała się. – Rozumieją wszystko. Kira miała nadzieję, że się przesłyszała. – Rozumieją?...

– Elektrownię. Elektryczność. Urządzenia. Jak to działa. Niemożliwe. Ta stara kobieta nie wie, co mówi; ona sama nigdy by tego nie pojęła. Zapewne myśli, że umieć przesunąć wyłącznik to to samo, co zrozumieć. Ale może ona i tamci koloniści wiedzieli o istnieniu miejscowych już wcześniej, tylko z jakichś powodów tego nie zgłaszali.

– Czy wiedzieliście o nich przed... przed ewakuacją?

– Nie. Nie widzieliśmy nigdy takich stworzeń, ani razu w czasie mojego tu pobytu przez tyle lat, aż do dnia, kiedy tamta kolonia próbowała wylądować. – Kobieta jedną stopą grzebała w ziemi. – Wtedy przybyli. Znaleźli mnie.

– A pani im wszystko pokazała? – W głosie Kiry zabrzmiał ton nagany, którego nie mogła powstrzymać. Nawet niewykształcona kolonistka powinna wiedzieć, że nigdy nie wolno tego robić. Kira była przekonana, że mówiono o tym wszystkim kolonistom na wykładach przed odlotem. Gdyby ktoś odkrył inteligentne formy życia, należało to natychmiast zgłosić, a nie dopuszczać je do kontaktu z ludzką technologią. Kobieta spuściła głowę i wzruszyła ramionami, prawie jak niegrzeczne dziecko, które ma nadzieję, że uniknie kary. Prawdopodobnie nie jest zbyt bystra – możliwe, że chora umyślowo, inaczej dlaczego by miała zostać tu sama? Ignorantka, z zaburzeniami, odrobinę opóźniona, zapewne postrzegająca miejscowych jako coś bardzo ciekawego. Cud, że jej nie zabili.

– No, chodźmy – ponagliła ją Kira; świadomie starała się znów być uprzejma, ujmująca, tak jakby miała do czynienia z opóźnionym w rozwoju dzieckiem. – Proszę mi pokazać, gdzie pani mieszka; pogawędzimy sobie.

Nagle czarne oczy stały się matowe niczym obsydian, a kobieta jakby zamieniła się w kamień.

– To zły moment – powiedziała. – Wróc później.

– Nie musi się pani przejmować sprzątaniami, jeśli o to chodzi – powiedziała Kira, wyobrażając sobie, jak musi wyglądać gospodarstwo tej kobiety w szmacie na biodrach i pelerynie, bez butów. Zapewne w ciągu tych lat, kiedy była tu sama, nie umyła nawet talerza; jej dom z pewnością jest zapuszczony i ohydny, ale...

– Nie o to chodzi – odparła kobieta. – Chodzi o to, że to zły moment. Proszę wrócić później. – Odwróciła się jeszcze raz. – Jutro. I proszę za mną nie iść. – Odeszła, krocząc powoli i statecznie. Poranne słońce przebiło się przez mgłę i ukazało wszystkie żyłki na łydkach starej kobiety.

Kira stała, patrząc za nią. Nikt jej tak nie zlekceważył, odkąd była dzieckiem. Miała nadzieję, że nie jest jednym z tych postrachów uczelni, co to wymagają poszanowania ponad swe prawa, ale odrobina zwykłej uprzejmości... Stłumiła narastającą irytację. Jest zgrzana i spocona, to wszystko, a staruszka ma nie po kolei w głowie. Czego w końcu można się spodziewać po kimś, kto wolał pozostać sam – choć kobieta tego nie powiedziała. Może ma jakiegoś towarzysza, jeszcze jedną starszą osobę, która też została, a teraz jest chora. To by wiele tłumaczyło.

Kira patrzyła, jak kobieta idzie w górę ulicą – nie było to nic innego, jak pusta przestrzeń pomiędzy domami, w ogóle niewybrukowana, choć po obu stronach biegły rowy ściekowe. Staruszka skręciła w końcu i weszła w coś, jakby w przerwę między domami albo ogród. Stąd Kira nie widziała dobrze. Odwróciła się i powlokła z powrotem do promu, nieprzyjemnie

odczuwając grzejące ją słońce. Ubranie pod kombinezonem przesiąkło potem; czuła już jego zapach. Do południa będzie śmierdzieć, a o południu wołała nawet nie myśleć.

– No i co osiągnęłaś, Kira? – zapytał Vasil. W jego głosie pobrzmiewała pewność, że nie osiągnęła nic.

Kira zatrzymała się u stóp rampy i świadomie rozpięła kombinezon do końca. Wygramoliła się z niego, poukładała i złożyła segmenty, potem spojrzała na wszystkich. Na mokrym ubraniu czuła lekki oddech wiatru.

– Wciąż powtarza, że to dla niej niedobry moment i że powinniśmy wrócić jutro. Myślała, że przybyliśmy zabić miejscowych, ponieważ oni zabili ludzi z tamtej kolonii.

– Czy wyjaśniłaś jej cel naszej misji? – spytał Vasil.

– Próbowałam. Nie jest zbyt mądra, niewykształcona i, jak powiedział doradca, zapewne trochę zaburzona. Bardzo stara, powiedziałabym, ale nie sędziwa w normalnym znaczeniu tego słowa. Niezbyt tego dużo, jak na początek. – Powiedziawszy to, Kira poczuła ukłucie winy. Czy staruszka naprawdę jest głupia lub szalona... czy też ona, Kira, wyładowuje po prostu swoje niezadowolenie na kimś, kto spowodował jej zakłopotanie?

– Ona nie ma prawa kazać nam czekać – powiedział Vasil.

– Jeśli chcemy, by z nami współpracowała – oświadczył Ori – rozsądniej będzie poczekać. To jej teren, w pewnym sensie. Żyła tu przez długi czas. Jako antropolog...

Vasil rzucił mu spojrzenie pełne złości. Bilong wydobyła z piersi dramatyczne westchnienie, które przyciągnęło uwagę obu mężczyzn. Choć raz, przyznała Kira, Bilong zrobiła coś, by uprzędzić kolejny pojedynek na udeptanej ziemi: Vasil nie cierpiał, kiedy Ori nazywał siebie antropologiem zamiast specjalistą od oceny zaawansowania technologicznego.

– Jest za gorąco, by nosić te kombinezony, a nikt do nas nie strzela. Chyba lepiej, żebyśmy czuli się swobodnie. – Bilong zaczęła zdejmować swój strój, świadomie czyniąc to z wdziękiem.

Kira rzuciła okiem na doradców wojskowych, którzy wyglądali na zde gustowanych, ale nie odezwali się ani słowem.

ROZDZIAŁ 15

Ofelia dowiedziała się w końcu od Błękitnego Płaszcz, co oznacza dziwne zachowanie jednego ze stworów. Jest w ciąży, potrzebuje gniazda. Przyjrzała się stworzeniu dokładnie; wciąż nie potrafiła odróżnić samicy od samca, nie mogła, skoro nosili te dziwne małe spódniczki. Przypuszczała, że pod spodem mają jakieś narządy, ale jej ciekawość nie była skierowana na te sprawy. U stworzenia, które miało już wkrótce rodzić, nie widziała ogromnego, nabrzmiałego brzucha, jaki kojarzyła z ciążą.

Stwór wydrapał tunel w wysokiej trawie na brzegu rzeki, ale pozostali odradzali mu to miejsce. Ofelia potrafiła już zrozumieć niektóre z argumentów: wielkie kęsające istoty, które żyją w rzece, mogą pożreć małe. Pastwisko owiec leżało wprawdzie wystarczająco daleko od rzeki, ale porastająca je trawa była zbyt niska. Ciężarne stworzenie drapało ją pazurami z widocznym przygnębieniem, kopiąc połamane łodygi.

Czemu by nie urodzić, w jednym z domów? Ofelia spróbowała przekazać tę myśl gestami i tymi kilkoma chrząknięciami i mruknięciami, które umiała teraz z siebie wydobyć. Błękitny Płaszcz wbił w nią wzrok, więc zastanowiła się, czy przypadkiem nie powiedziała czegoś obraźliwego. Wtedy Błękitny poprowadził ją do Centrum, do pomieszczeń szkolnych. Grzebał przez chwilę na półkach między książkami, aż w końcu znalazł tę, o którą mu chodziło. Ofelia wzięła ją do ręki. Teraz była to już rutyna. Jej było łatwiej przewracać kartki starych podręczników niż Błękitnemu, zwłaszcza kiedy wiedziała, czego szukać... a, jest. Ta książka opowiadała o dziecku, którego matka wyjechała do pracy do miasta i którym opiekowała się ciotka.

Ofelia odwracała kartki, szukając ilustracji, którą, jak się domyślała, chciał znaleźć Błękitny, którą wybierał już przedtem wiele razy: na obrazku dziewczynka machała matce na pożegnanie, a ciotka trzymała rękę na jej ramieniu. Faktycznie, kiedy otworzyła książkę na tej stronie, Błękitny pazurem wskazał obrazek i postukał w książkę.

– No, patrzę – powiedziała Ofelia.

– Tyhy – wymówił Błękitny swoją wersję słowa „ty”. Wskazał na ciotkę. Robił tak już wcześniej. Ofelia domyślała się, że oznacza to, że i ona zajmowała się innymi dziećmi niż tylko własne, co było prawdą.

– Tak – powiedziała. – Robiłam to.

Błękitny wydał teraz dźwięk, który Ofelia rozpoznawała już jako imię stwora w ciąży, choć sama nigdy nie mogła go dobrze wymówić: najbliższe oryginału były bulgot-cmok-ehem. Potem stwór wskazał na odchodzącą matkę. To było dosyć proste – Bulgot-cmok-ehem zostanie matką. Błękitny znów wskazał na ciotkę, potem na Ofelię. I ona będzie ciotką dla dziecka Bulgot-cmok-ehem? Na twarzy poczuła rumieniec. Mogło to być tylko honorowe stanowisko, ale... ale miło

z ich strony, że jej zaufali.

– G’niazzzzdo... – Błękitny Płaszcz zatoczył ręką krąg, wyraźnie pokazując wnętrze budynku. – Tyyhy czootka. – Jeśli Bulgot-cmok-ehem założy gniazdo tutaj, Ofelia będzie ciotką? To dosyć czytelne, ale... wygląda to raczej na obowiązki niż honory. – Czootka jessst... – Kolejna zbitka dźwięków nie do wymówienia; Ofelia usiłowała ją powtórzyć, lecz język tylko błędził po podniebieniu, szukając odpowiedniego miejsca. Błękitny wymówił słowo jeszcze raz, i jeszcze raz, aż Ofelia spróbowała wypowiedzieć je na głos. Wtedy Błękitny znów je powtórzył, a ona usiłowała dostosować wymowę do tego, co słyszała.

Kiedy już wypowiedziała słowo tak poprawnie, jak tylko umiała (dla niej wciąż brzmiało jak cmok-kok-kirrrr), Błękitny wezwał pozostałych i przemówił do nich krótko. Zaczęli odgrywać pantomimę, ukazującą wznoszącego się w górę łowcę, skradającego się łowcę i łowcę wyskakującego zza różnych rzeczy... Ofelia przyglądała się im w zadziwieniu, lecz z przyjemnością. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele stworzeń może polować na tych tak skutecznych myśliwych, i nie zdawała sobie sprawy, jak umiejętnie potrafią naśladować inne stworzenia. Czy ją też tak naśladują, kiedy są sami? Nie miała czasu nad tym pomyśleć, bo Błękitny chciał się upewnić, czy zrozumiała. Cmok-kok-kirrr, odpowiednik ciotki z książki, chroni małe przed różnorakimi zagrożeniami, a w wolnych chwilach tuli je, pociesza, śpiewa im.

Potem zaczęła się zastanawiać, jakie zobowiązania podjęła w chwili, gdy zaprosiła pierwszą grupę stworów, by schroniły się w budynku przed huraganem. Może to wyjaśniałoby ich poufale zachowanie i dziwnie wybierane momenty okazywania czci. A jednak... nie mogłaby znieść myśli, że ciężarne stworzenie, choćby Obcy, musi rodzić w miejscu uznanym za niebezpieczne, podczas gdy ona dysponuje miejscem, które jest ze wszech miar wygodniejsze.

Tylko które miejsce będzie najodpowiedniejsze dla tego stworzenia? Cała grupa spędzała czas w Centrum, ale pomieszczenia Centrum były duże i zagracone maszynami. Rozmiar nory-gniazda, którą stwór wydrapał w wysokiej trawie, podsunął Ofelii pomysł, że odpowiedniejsza będzie szafa w jednym z domów. Zaprowadziła Błękitnego do domu obok Centrum i wskazała szafę w największej sypialni. Czuć było trochę stęchlizną, ale wystarczy wywietrzyć pokój. Przynajmniej nie jest to pora deszczowa. Ofelia wciąż trzymała naręczce szmat; gestami pokazała układanie ich na podłodze.

Błękitny konferował przez chwilę z towarzyszami, którzy poszli za nimi, mówili zbyt szybko jednak, by Ofelia mogła coś zrozumieć. Kilka stworów odsunęło się natychmiast i zaczęło otwierać okna. Jeden wyszedł z domu: Ofelia słyszała, jak oddala się, biegnąc drogą. Poszedł zawiadomić ciężarnego? Nie była pewna. Nie była już pewna niczego oprócz faktu, że zaraz zostanie ciotką oraz cmok-kok-kirrr, i miała nadzieję, że to leży w jej możliwościach.

Stwory pozostałe w domu zaczęły go sprzątać, używając mioteł z Centrum. Kiedy poszły odnieść je z powrotem, została na chwilę sama. Przeszła do ogródka ziołowego, który

pielegnowala trzy domy dalej i wróciła z odświeżająco pachnącymi ziołami. Widziała, jak stwory pochylały się nad tymi roślinami, jakby także lubiły ich zapach. Jeden stwór był już z powrotem, niosąc świeżo ścięte źdźbła wysokiej trawy, które rozłożył na podłodze w szafie. Teraz wszedł stwór ciężarny, ostrożnie przekraczając próg. Zamruczała – Ofelia nie umiała myśleć o ciężarnym stworzeniu inaczej niż jak o samicy – ujrawszy szafę wyłożoną warstwą trawy. Przyszło jeszcze dwóch z naręczami trawy i wtedy ciężarna weszła do szafy i zaczęła udeptywać trawę, tak że powstał gęsto zbity zwój, przypominający ptasie gniazda na zdjęciach. Ofelia zauważyła, że ciężarna prawie wcale nie dotyka trawy rękoma.

Wszystko trwało dopóty, dopóki konstrukcja wzniosła się na pół metra nad podłogą. Wtedy pozostali przynieśli naręcza drobniejszej trawy i innych roślin o delikatnych listkach, które wyglądały na miększe niż wysoka szorstka trawa, używana do tej pory. Ciężarna wymościła drobną trawą wnętrze gniazda. Potem wyszła z szafy i ćwierknęła na Ofelię.

– Tyyhy g'niazzzdo – przetłumaczył Błękitny.

Dlaczego wszyscy chcą, żeby ona weszła do gniazda? Bo nie ulegało wątpliwości, że chcieli tego wszyscy: stali i wpatrywali się w nią wyczekująco. Ofelia weszła do gniazda i zdziwiła się, jak sprężynuje pod stopami. Kształt miski utrzymywał ją na środku; przyszło jej na myśl, że wygodnie byłoby się w nim zdrzemnąć. Usiadła, wtedy stwory zaczęły, mrużyć i nucić do niej cicho. A więc tego chcieli? Ma udawać, że śpi, czy tak? A może oni robią gniazda dla ciotek, a potem dla ciężarnych matek?

Zwinęła się na boku i powierciła trochę. Rzeczywiście, wyjątkowo wygodnie. Nagle coś ostrego ukłuło ją w bok. Usiadła i pomacała dokoła palcami, aż znalazła przyczynę – kamień wielkości kurzego jaja, o ostrych krawędziach. Tego nie powinno być w gnieździe, poza tym jak ciężarna mogła go nie zauważyć? Ofelia podniosła kamień w górę i spojrzała na stwory z nachmurzoną miną.

Zabębniłi palcami lewych stóp; wiedziała już teraz, że oznacza to aprobatę. Ciężarna pochwyciła kamień i uniosła go wysoko; bębnienie przybrało głębszy ton, dołączyły się uderzenia palców o klatki piersiowe, a w końcu podgardle ciężarnej.

Najwyraźniej zostawili kamień w gnieździe, żeby ona go znalazła, ale po co? Był to całkiem zwyczajny kamień. Jeden stwór wyciągnął do niej rękę i pomógł jej się wydostać z gniazda. Ciężarna ścisnęła jej nadgarstki i pochylała głowę: Ofelia poczuła suche, łaskoczące dotknięcie języka na dłoniach. Ciężarna puściła rękę Ofelii, po czym pozostali poszli w jej ślady, nawet Błękitny Płaszcz. Dłonie zaczęły ją mrowić od dotknięć tyłu języków.

Ofelia nagle poczuła skurcz żołądka. Teraz tkwi już w tym na dobre; podjęła się czegoś, czego nie rozumie. A co, jeśli popełni błąd? Jeśli zrobi jakąś krzywdę dziecku? Rozejrzała się, szukając Błękitnego. Jeżeli w ogóle dobrze odczytywała wyrazy ich twarzy, to Błękitny Płaszcz

był zadowolony, a nawet dumny z siebie. Pozostali wyglądali na spokojnych; ciężarna wyciągnęła się na podłodze w plamie słońca, a jeden stwór przykucnął obok, delikatnie przesuwając palcami po jej grzbiecie.

Potem Błękitny pospiesznie wyprowadził Ofelię z domu; inni też wyszli, pozostawiając ciężarną samą w towarzystwie jej... położnej? Przyjaciółki? Męża? Tego Ofelia nie wiedziała. Dwa stwory zajęły stanowiska przed domem; przykucnęły na drodze i wyciągnęły swe długie noże. Pozostałe poszły do Centrum, a Ofelia z nimi. Za sobą słyszała brzęczenie i zgrzytanie towarzyszące ostrzeniu noży; przebiegł ją dreszcz. Było już południe i czuła głód, lecz jeszcze większy był jej głód wiedzy. Wciąż nie dowiedziała się, czy ma się spodziewać jaja czy ruchliwego niemowlaka. Nie miała pojęcia, po co ostrzone są te noże; żeby chronić ciężarną i dziecko przed drapieżcami, a może żeby pociąć niezręczną, nieumiejącą ciotkę, jeśli popełni błąd?

Już otwierała usta, żeby zapytać o to Błękitnego, kiedy nagle w sterowni włączył się alarm. Ofelia aż podskoczyła, a potem pierwsza się tam skierowała z bijącym sercem. To nie była pora huraganów, poza tym tego ranka nie zauważyła na wskaźnikach nic, co by zwiastowało kłopoty.

Odczyty wskaźników nie zmieniły się, wciąż wszystkie funkcje były w normie. Czerwone błyski dobiegały z pulpitu sterowniczego satelity. Co oznaczało, że ktoś nawiązał z nim kontakt, a to z kolei, że przybył nowy statek.

Ofelia wiedziała, że coś takiego kiedyś nastąpi. W końcu ktoś przyjedzie, żeby zbadać okoliczności ataku na drugą kolonię oraz stworzenia, które tego dokonały. Właśnie dlatego tak ustawiła alarm, żeby wiedzieć, kiedy się ukryć. Wyjaśniła to nawet Błękitnemu najlepiej, jak umiała; wcale nie była pewna, czy stworzenia zrozumiały, co to są loty kosmiczne albo jak daleko od siebie położone są różne rzeczy. Przedtem żywiła jeszcze nadzieję, że kiedy przybędą ludzie, nie będzie jej już wśród żywych, ale jednak...

A co gorsza, ciężarna właśnie teraz się gnieździ. Ofelia nie miała pojęcia, jak długo to potrwa, zanim urodzi bądź też złoży jaja, czy co tam powinna zrobić, wiedziała tylko, że nie jest to najlepszy moment na przybycie innych ludzi.

Przekazała wiadomość Błękitnemu; inni, podobni do niej, przybywają, są w łodzi – ten termin uzgodnili już wcześniej – wysoko na niebie. Zejdą w dół – była o tym przekonana – i najprawdopodobniej zejdą w dół tutaj, na pas wahadłowców. Nie wiedziała, kiedy to nastąpi. Mogą siedzieć tam na górze całe dni, oglądając świat przez skanery na niskich orbitach, żeby najpierw upewnić się, że im samym nic nie grozi. Może są tam już od wielu dni, w takim razie nie ma sensu nakłaniać stworów, żeby się ukryły w domach, bo ludzie i tak już je zobaczyli. Poza tym, jeśli potrafią odzyskać zapisy satelity pogodowego, i tak zdobędą dosyć dowodów na to, że i Ofelia, i stwory zamieszkują kolonię.

A co będzie, jeśli ludzie zdecydują, że stwory wiedzą zbyt dużo, i zabiją je? Ofelia poczuła,

jak oblewa ją zimny pot. Nie może do tego dopuścić. Nie dopuści. Nie wiedziała, co mogłaby zrobić, ale nie dopuści, by to się stało.

Przede wszystkim czy może dowiedzieć się czegoś o tym statku, który tu przyleciał? Sama spróbowała skontaktować się z satelitą, ale nie odpowiadał. Najwyraźniej ludzie z nowo przybyłego statku zastąpili wszystkie dotychczasowe polecenia swoimi. To może oznaczać, że jeszcze nie wiedzą, że ona tu jest i że używała satelity, albo też, że ich to nie obchodzi.

Znów zwróciła się do Błękitnego Płaszczka i spróbowała zapytać, ile jeszcze czasu minie, zanim ciężarna – Ofelia utknie na Bulgot-cmok-ehem – urodzi. Błękitny w odpowiedzi wykonał szereg niezbyt pocieszających gestów. Może to być dzisiaj, może jutro, a może pojutrze. To pierwszy poród Bulgot-cmok-ehem i trudniej przewidzieć jego termin niż terminy kolejnych. Ofelia dobrze to rozumiała: ten sam problem istniał wszak u ludzi. Stosunkowo łatwo przekazała to Błękitnemu.

Dużo trudniej było przekazać wiadomość, że przybyłe istoty ludzkie mogą stanowić zagrożenie dla Bulgot-cmok-ehem i jej dziecka. Błękitny przekrzywił głowę; palce jego prawej stopy zabębniły o podłogę. Ofelia już przedtem próbowała mu wytłumaczyć, że ludzie zabici na północy to nie ci sami, którzy tu przedtem mieszkali, i że ci, którzy tu mieszkali, przemieścili się gdzie indziej, bardzo daleko stąd. Teraz usiłowała przekazać, że nowo przybyli są bardziej jak ci zabici niż jak jej lud.

– G’niazzzd’cmok-kok-kirrrr – powiedział Błękitny Płaszcz, jakby to ucinano wszelką dyskusję. – Czootka.

– To nie ma znaczenia – odparła Ofelia. – Ich to nie obchodzi.

Próbowała sobie wyobrazić, jak ma to przekazać gestami, ale kiedy spojrzała na Błękitnego, stał sztywno z przymkniętymi oczami, a jego podgardle napuchło i pulsowało. Potem zamrugał.

– G’niazzzd’cmok-kok-kirrrr nia op’chodzi? – Chwila przerwy. – Zzabicz?

– Nie chcą zabić – zaprzeczyła Ofelia, mając nadzieję, że tak właśnie jest – ale ja ich nie obchodzi. Nie liczą się ze mną. Nie jestem jedną z nich. Nie ich... – Co to było za słowo, którym Błękitny określał swój lud? Zamiast słów wybrała gesty, które obejmowały ją, Błękitnego, pozostałych mieszkających tutaj w przeciwieństwie do innych, mieszkających gdzieś indziej, – Tyyhy – powiedział Błękitny Płaszcz, dla pewności pokazując ją palcem – cmok-kok-kirrrr.

Ona jest cmok-kok-kirrrr; cokolwiek zrobią cmok-kok-kirrr-ry, ma to zrobić i ona. Poczowała niepokojącą pewność, że oznacza to, iż powinna chronić Bulgot-cmok-ehem i jej młode przed innymi ludźmi... albo zginać, próbując to zrobić.

Postanowiła uznać uczucie pustki w brzuchu za oznakę głodu i poszła z powrotem do swojego domu, żeby sobie przyrządzić posiłek.

Wdzieli białe smugi pozostawiane przez wahadłowiec; słyszeli krótkie rozmowy radiowe

między promem a orbitującym statkiem. Ofelia zastanawiała się, ile z tego wszystkiego pojmują stworzenia. Ona sama nie mogła zrozumieć większości rozmów; ludzie mówili z dziwnym akcentem, a tekst był, może celowo, niejasny. Przyszło jej na myśl, żeby użyć nadajnika kolonii, nawet włączyła go raz, ale sygnał musiałby przejść przez satelitę, a do niego wciąż nie mogła się dostać. Najwyraźniej sami używali satelity. Przyniosło jej to ulgę pomieszaną z poczuciem winy. W głębi serca wciąż jeszcze miała nadzieję, że ludzie po prostu odlecą.

Tymczasem Bulgot-cmok-ehem zadomowiła się u siebie, choć jeszcze nie w samym gnieździe, a pozostali przynosili jej jedzenie i dotrzymywali towarzystwa. Ofelii zdawało się, że chuda sylwetka stwora nabrzmiała, a pod spódniczką pojawiło się wybrzuszenie. Ciężarna rzadko opuszczała budynek i nie interesowały jej żadne wieści. Za każdą wizytą Ofelii Bulgot-cmok-ehem pochylała się i lizała jej dłonie.

Na trzeci dzień Błękitny obudził Ofelię tuż przed świtem, kiedy jak znowu odezwały się głosy. Ofelia pokuśtykała do Centrum, kompletnie zeszywniała, jak zawsze wczesnym rankiem, i w złym humorze, gdyż zerwano ją w ostatniej chwili słodkiego, głębokiego snu – moment później obudziłaby się sama.

– Tym razem będą lądować – powiedziała. – Przybędą tutaj. – Wiedziała, że tak zrobią, to była jedyna logiczna rzecz, jaką mogliby uczynić, a do tej pory musieli już zauważyć, że w kolonii jest człowiek i kilka stworów; wciąż jednak miała nadzieję, że postąpią wbrew logice i odejdą.

Błękitny nadął podgardle i zabrzączał do niej.

– Wiem – odpowiedziała – muszę coś zrobić.

Z oddali dobiegł ją narastający warkot promu. Zatoczą koło nad morzem, potem wrócą nad ląd i zejną w dół. Będzie musiała wyjść im na spotkanie i powiedzieć... co? Cóż takiego może powiedzieć, co powstrzyma ich od przeszkodzenia Bulgot-cmok-ehem? Wstała i dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że przyszła tu prosto z łóżka i ma na sobie tylko sznurki koralu, które ostatnio rzadko kiedy zdejmowała.

No i kto wie, gdzie jest jej sukienka, jedyna sukienka, którą mogliby uznać za przyzwoitą ci obcy ludzie? A buty... ostatnią parę butów wrzuciła do zbiornika przetwórci, pamiętała to dobrze.

Najszybciej, jak tylko mogła, pokuśtykała z powrotem do domu w szarym półmroku przed wschodem słońca i pochwyciła zieloną wyszywaną pelerynę, w której tak zaimponowała Błękitnemu. Przynajmniej dla jednego z obecnych tu gatunków będzie to odpowiedni strój. Ryk silników rozległ się nad jej głową; nie wyszła na zewnątrz, żeby popatrzeć na prom. Poszła do toalety, potem spryskała twarz wodą, przetarła zęby, obiema rękami przyglądziła fruujące dokoła głowy włosy. Następnie owinęła biodra kawałkiem płótna i zarzuciła na szyję jeszcze więcej paciorków. Może i pomyśla, że zmieniła się w tubylkę, ale muszą docenić jej wysiłek, by wyglądać odświeżenie.

Zajął jej to zbyt wiele czasu; znów musiała skorzystać z toalety. Słyszała teraz głośny ryk wahadłowca, który przybliżał się i schodził coraz niżej. Stała przed swoimi drzwiami i zagoniła stwory z powrotem do budynków. Nie przypuszczała, żeby ludzie strzelili pięćsi, zobaczą tylko jedną starą kobietę, a jeśli to zrobią, stwory przynajmniej będą miały okazję uciec.

Zobaczyła, że prom zawraca, lecz zignorowała go, za to weszła do sieni domu, w którym przybywała Bulgot-cmok-ehem. Dwaj strażnicy stali tuż za drzwiami i nawet w półmroku wyglądali na zdenerwowanych. Mogliby zapalić światło, pomyślała Ofelia, kiedy jednak wyciągnęła rękę do przełącznika, jeden ze strażników chwycił ją za nadgarstek. Usłyszała dobiegające z szafy chrapliwe sapanie. Westchnęła ciężko. Oczywiście, to musi stać się teraz, w najgorszym z możliwych momencie. Na dodatek ona tego nie zobaczy, bo musi zająć się swoim własnym gatunkiem. Wydało jej się to tak niesprawiedliwe, jak cała reszta życia.

– Powodzenia – powiedziała łagodnie.

– Cmok-kok-kirrrr – odparli wszyscy cichym chórem. Jakby w ogóle mogła zapomnieć o tej odpowiedzialności.

Kiedy dotarła do lądowiska, słońce właśnie wzeszło i świeciło jej prosto w twarz, tak że nie mogła dojrzeć nic, prócz olbrzymiej ciemnej plamy, która śmierdziała przypalonym plastikiem i olejem. Ofelia, mrużąc oczy, spojrzała pod słońce i ruszyła nierównym chodnikiem, gdzie trawa podwoiła wysiłki, by na powrót zawładnąć swoim dawnym terytorium. Nikt do niej nie zawołał; nikt nie wyszedł jej naprzeciw.

Kiedy weszła w cień wahadłowca, zobaczyła ich stłoczonych w górze, na rampie, ubranych w pękate kombinezony, które później, w ciągu dnia, staną się nie do wytrzymania. Mogłaby się roześmiać na ten widok, ale wtedy pomyślała, że jest szalona. I tak mogą to pomyśleć – teraz, kiedy na nią patrzyli, dużo jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, jak musi wyglądać. Poczowała, że jej samej robi się gorąco, ale może nie zauważą rumieńca pod ciemną opalenizną i w takim bladym świetle.

Dwóch z nich trzymało broń i skupionym, profesjonalnym spojrzeniem obejmowało wioskę ponad głową Ofelii. Ten nieuzbrojony mężczyzna z przodu to pewnie dowódca. Ma ów charakterystyczny wyraz twarzy osoby przywykłej do rozkazywania innym. Zapomniała już, jak bardzo nie lubiła takiej miny. Obok mężczyzny, niemal pchając się na niego, stała kobieta, która wyglądała na co najmniej tak samo niezadowoloną, jak Ofelia. Wspomnienie dawnej niechęci dało Ofelii odwagę, by przemówić pierwszej.

– To nie był dobry moment – powiedziała. Włożyła w te słowa całą siłę nagany udzielanej przez doświadczoną matkę. – Zdenerwowaliście ich. – Nie ma potrzeby precyzować, o kogo chodzi. Już ci tu będą wiedzieli.

Mężczyzna głośno wypuścił wstrzymywane powietrze; nie spodobało mu się, że odezwała się pierwsza. Ofelii to nie obchodziło, nie słuchała nawet pierwszego „...władzy...”. Przerwała

mężczyźnie, powtarzając, że to nie był dobry moment.

– Mogliście mnie posłuchać, kiedy usiłowałam wam coś powiedzieć – ciągnęła. Nie muszą wiedzieć, że tylko raz spróbowała uruchomić nadajnik.

Tym razem odezwała się kobieta. Miała dojrzały głos, lecz z pewnością była młodsza od Ofelii. Może ona będzie na tyle rozsądna, żeby wysłuchać Ofelię. Mężczyźni oczywiście nie słuchali; ledwo zaczęła rozmawiać z kobietą, a już dwóch z nich jej przerwało. Ale ich głosy starły się ze sobą i w rezultacie znów odezwała się kobieta.

– Kim pani jest? – zapytała, jakby miała prawo to wiedzieć.

Ofelia odwróciła pytanie – czy kobieta odbierze to jako zniewagę, którą takie zachowanie przecież było? Nie odpowiedziała, za to zapewniła Ofelię, że nie przybyli tu, by ją skrzywdzić, lecz aby jej pomóc.

Pomóc! Nie prosiła o pomoc; nie potrzebuje pomocy; potrzebuje tylko spokoju, niech sobie pójdą i zostawią ją samą. Prychnęła ze złością, zanim zdołała się pohamować, a kobieta zrobiła zakłopotaną minę, jakby uświadomiła sobie, jakie to absurdalne. Ofelia dała wyraz swym myślom, mówiąc:

– Nie potrzebuję pomocy. – Może im zresztą także powiedzieć, że wie o tamtej kolonii. – Jeśli przybyliście w sprawie tamtych...

Mężczyzna przerwał jej, a zaraz po nim odezwał się ten z bronią; jakby urządzili sobie zawody, który potrafi szybciej zadawać pytania. Ofelia odpowiedziała krótko. Nie jest przecież uczennicą na egzaminie; mogliby chociaż okazać tyle uprzejmości, by zejść do jej poziomu, zaproponować, żeby usiadła, nim zarzucili ją tymi wszystkimi pytaniami. Stwory, choć to Obcy, okazały jej więcej uprzejmości.

– Nie próbowała im pani pomóc? – zapytał w końcu ten nieuzbrojony.

Ofelia spojrzała na niego ze złością, życząc mu wrzodów na siedzeniu i wszy na głowach jego dzieci. Najpierw odpytuje ją, jakby była przygłupim dzieckiem, a już za chwilę myśli, że ona posiada magiczną moc i potrafi przelecieć tysiące kilometrów, by ratować zdrowych, młodych ludzi przed nieszczęściem. To śmieszne, obraźliwe... Groźnie milcząc, przebiegła w myślach zasób nieprzyjemnych epitetów, aż mężczyzna oblał się rumieńcem.

Znów przemówiła kobieta; chciała wiedzieć, jak długo Ofelia już tu jest. Ofelia udzieliła krótkich wyjaśnień: ucieszyła się, widząc zaszokowaną minę kobiety, kiedy powiedziała im prawdę o podejściu Kompanii do starych kolonistów. Ta tutaj nie wie jeszcze wszystkiego, oj, nie, choćby miała nie wiadomo jak wymyślną specjalizację. Niech poczeka, aż będzie stara i doświadczy na własnej skórze pogardy swoich pracodawców... wtedy dopiero zobaczy. Ale oto znów wtrącił się mężczyzna, tym razem besztając Ofelię za to, że tu jest. Podobnie jak dla Kompanii, tak i dla niego Ofelia była tylko utrapieniem, problemem, który musiał rozwiązać. Zawrzała w niej dawna niechęć, powodując niesmak w ustach. Ten tu nie był nawet kolonistą,

nie należał mu się szacunek, jakim darzyła mężczyzn, którzy wraz ze swymi kobietami pracowali, by zbudować tę wioskę, gdzie mieszkała. Nie wszystkich ich lubiła i nie wszystko, co robili, jej się podobało, ale próżniacy wymarli już wcześniej, w ten czy inny sposób, i mężczyźni, którzy dożyli ewakuacji, zdobyli sobie, nawet jeśli nie jej sympatię, to przynajmniej szacunek. A ten, o gładkiej, wyhodowanej pod pancerzem statków skórze, ukrywa się w ochronnym kombinezonie, jakby jedna stara kobieta zagrażała jego bezpieczeństwu... pewnie zagraża, pomyślała Ofelia.

– Zostawcie mnie w spokoju – rzekła z większą goryczą, niżby chciała.

Mężczyzna rzucił jej złe spojrzenie i zaczął ją przekonywać o powadze „sytuacji”. Mogłaby mu się roześmiać w nos: sam nawet nie wiedział, jak poważna jest ta sytuacja.

– Nie jestem głupia – powiedziała, kładąc nacisk na te słowa; otworzył szerzej oczy. Czy to coś pomoże, jeśli powie im jeszcze raz, że przybyli w złym momencie? Pewnie nie, ale ona i tak to zrobi. – Odejdźcie – zakończyła, odwróciła się i ruszyła z powrotem, czując na plecach ich spojrzenia, jakby wyhaftowane oczy zaczęły pełzać po jej skórze.

Usłyszała za plecami dyskusję i odgłos niezgrabnych kroków. Sądząc z tego, kobieta poszła za nią. To dobrze. Niech zejdzie niżej, do poziomu Ofelii, która dostała już skurczu w karku od tej rozmowy. Szła dalej, mając nadzieję, że doprowadzi kobietę aż do wioski, skąd tamci ich nie usłyszą. Oczywiście, Ofelia wiedziała, że mogą mieć mikrofony kierunkowe, ale przynajmniej nie będą tak bardzo przeszkadzać.

Kiedy kobieta zawołała ją, nawet dosyć uprzejmie, Ofelia doszła już do końca drogi. Miała nadzieję, że zajdzie jeszcze dalej, ale i tak było to lepsze niż stanie obok promu. Stąd stworzenia będą mogły ją obserwować, jeśli tego zapragną. Ofelia odwróciła się.

Skóra kobiety była jednak zniszczona słońcem i wiatrem, bardziej, niż Ofelia przypuszczała, tak jakby tamta spędziła większość życia na zewnątrz. Miała gęstą szopę włosów w kolorze karmelu, krótko ściętych, lecz starannie ułożonych. Jej szarozielone oczy usiłowały patrzeć przyjacielsko i szczerze, ale Ofelia nie ufała ich spojrzeniu. Coś w tej kobiecie sprawiało, że opromieniał ją autorytet, nie naturalny autorytet osoby doświadczonej, ale autorytet wynikający z zajmowanej pozycji. Poza tym była zdyszana, zapewne od dźwigania tego ciężkiego kombinezonu ochronnego, w którym na dodatek próbowała biec. Ofelia zaczerpnęła głęboko powietrza i uśmiechnęła się do kobiety.

Tamta zaczęła mówić, ale Ofelia przerwała jej. Kobieta musi pojąć, że ona ma do przekazania ważniejszą wiadomość.

– To zły moment – powtórzyła stanowczo. Pozwoliła, by wzrok kobiety błędził po jej postaci, by tamta obejrzała dokładnie jej włosy, twarz, ciało, jej dziwne ubranie. Czy uwierzy, że Ofelia mówi do rzeczy, choć może nieco niejasno, czy może od razu machnie na nią ręką, ze względu na jej wiek i dziwaczny wygląd?

Ofelia uchwyciła moment, w którym kobieta zmieniła swoje nastawienie do niej, kiedy uznała, że można ją zignorować, że prawdopodobnie jest szalona. Cały czas próbowała nakłonić Ofelię, by zaprowadziła ją do swego domu na miłą pogawędkę. Ale ona nie miała zamiaru znaleźć się w zamkniętym pomieszczeniu razem z tą młodą, silną kobietą, ubraną w kombinezon ochronny. Musiała w końcu zachować się niegrzecznie, żeby tamta sobie poszła. Ofelia poznała po wyrazie twarzy kobiety, że zrozumiała obelgę, że poczuła się dotknięta.

Bardzo dobrze. Niech ją to zaboli. Może następnym razem będzie ostrożniejsza. I może – tylko może – przekona tamtych, żeby trzymali się z dala od wioski aż do jutra. Jeśli przewidywania Ofelii są słuszne, do tego czasu Bulgot-cmok-ehem urodzi już swoje dziecko, a wówczas nocą, oczywiście jeśli będą mieć dużo szczęścia, uda im się przenieść matkę i dziecko w bezpieczne miejsce.

ROZDZIAŁ 16

Ofelia najpierw poszła do swojego ogrodu, na wypadek, gdyby kobieta ją śledziła. Nie miała zamiaru doprowadzić jej do domu-gniazda. Dłubała parę minut na grządkach, tak naprawdę w ogóle nie widząc roślin. Kiedy patrzyła w stronę łądowiska, z całego wahadłowca widziała tylko wysoki ogon sterczący ponad dachami. Na drodze było pusto: kobiety Ofelia nie dostrzegła, ta przypuszczalnie wracała do promu.

Ofelia weszła do domu przez drzwi kuchenne; poczuła pustkę w brzuchu, którą odebrała jako głód. Z wczorajszej kolacji został jej jeszcze jeden placek: zwinęła go i wepchnęła sobie w całości do ust, tak szybko, że prawie się nim udławiła.

Głupio byłoby udławić się w takiej chwili. Wypluła połowę tego, co miała w ustach, dokładnie zaś przeżuła i połknęła resztę. Potem zjadła placek do końca – powoli, starając się skoncentrować na smaku, nie na tym, co się wydarzyło.

Nie wyglądali zgodnie z jej oczekiwaniami, ci nowi ludzie. Przywykła już do stworów, do ich wąskich twarzy o wielkich oczach, do długich, pełnych wdzięku nóg i podrygującego chodu, do długich czteropalczastych dłoni o twardych, czarnych pazurach. Ci ludzie wyglądali blado, ich ciała były miękkie, gąbczaste jak ciasto, z małymi oczkami zatopionymi niczym rodzyнки w szerokich twarzach, z pulchnymi dłońmi, z których wyrastało zbyt dużo okrągło zakończonych palców przypominających macki.

Ofelia unikała lustra. Nie chciała sobie przypominać, jak bardzo jest do nich podobna. Gdy zjadła, wyszła z powrotem na zewnątrz przez kuchenne drzwi i wyjrzała zza rogu sąsiedniego domu na ulicę. Pusto. Co nie oznacza, że żaden z nich nie zakradł się do wioski i nie ukrył między domami. Ale ciekawość nie dawała jej spokoju, korciło ją, żeby sprawdzić, jak przebiega poród. W promieniach niskiego porannego słońca przeszła drogą do domu, który wybrali na gniazdo.

Wewnątrz, za drzwiami, dwóch strażników bębniło cichutko; Ofelia zauważyła teraz, że ich podgardla są nadęte. Nie odezwali się do niej ani nie uczynili żadnego ruchu, by ją zatrzymać, kiedy przeszła pomiędzy nimi i weszła do sypialni. Tutaj ujrzała jeszcze dwóch, jednym z nich był Błękitny Płaszcz. A gdzie inni? Ofelia miała nadzieję, że pozostali w ukryciu. Stwory zamknęły okiennice od strony wschodniej i na wpół przymknęły resztę, pozostawiając pokój w cichym, błękitnym półmroku. W szafie było jeszcze ciemniej, ale Ofelia dostrzegła skulony kształt rodzącej matki. Syki, bulgotanie, od czasu do czasu głośne „pufff”... Proces był już zaawansowany, bez względu na to, na czym polegał. Ofelia przysiadła na ramie łóżka i czekała.

Bolały ją plecy i czuła piasek pod powiekami: zbyt wcześnie ją zbudzono. Zanim się zorientowała, już drzemała, oparta o ścianę. Zbudził ją chór skrzeków i syków. Błękitny stał przy drzwiach szafy, a jego podgardle pulsowało powoli, jaskrawo-pomarańczowe w przyciemnionym

pokoju. Minęło trochę czasu, zanim się zorientowała, że ten chór głosów – wielu głosów – dobiega z wnętrza szafy. Cokolwiek to było – przyszło na świat.

Ofelia wstała, podpierając się rękami; zastanawiała się, czy powinna się usprawiedliwić. Wielkie oczy Błękitnego były w niej utkwione, a po chwili Bulgot-cmok-ehem wyglądnęła znad krawędzi gniazda. Zaproszenie czy ostrzeżenie? Ofelia wyrzała tymczasem na zewnątrz, prosto w blask południowego słońca. Ani śladu ludzi, a z tego okna i tak nie mogła zobaczyć ogona promu. Wróciła do saloniku, gdzie przy drzwiach siedzieli w kucki strażnicy z nożami w dłoniach, i wyrzała na drogę. Nic. Tamta kobieta musiała nakłonić pozostałych do pozostania na pokładzie promu, a przynajmniej do niezbliżania się do wioski.

Ofelia wróciła do sypialni. Teraz Bulgot-cmok-ehem wychyliła się z gniazda i wyciągnęła rękę do Ofelii. Ofelia podeszła bliżej. Zapach towarzyszący porodowi nigdy nie był jednoznacznie przyjemny; Ofelia nie oczekiwała, żeby ich poród miał być czystszy niż poród u ludzi. I rzeczywiście szafę czuć było teraz stworami, ich odchodami i czymś jeszcze – ten ostatni zapach nie wydawał się niemiły, lecz nowy.

Pochyliła się nad gniazdem, a Bulgot-cmok-ehem ujęła ją za rękę i poprowadziła jej dłoń. Coś wilgotnego i gorącego, delikatne ciało, wstrząsane szybkim pulsem. Zdawało się bardzo małe. I następne, i jeszcze jedno. Bulgot-cmok-ehem przesunęła się i Ofelia mogła je teraz zobaczyć. Wyrazne ciemne i jasne prążki, ogromne głowy, a w głowach – większą część zajmujące oczy; chude małe nóżki i ledwo dostrzegalne rączki, przyciśnięte do ciała. I ogony.

Kolejno zasyczały, a jedno zaskrzeczało. Bulgot-cmok-ehem wyjęła to właśnie małe, ostrożnie trzymała je na swojej długiej, wąskiej dłoni. Wyciągnęła ciało do Ofelii, a ona sięgnęła po nie obiema rękami. Czula jego ciepło, lekkość – i ryzyko. Wierciło się, tak jak wiercą się małe dzieci, mały ogonek owinał się wokół nadgarstka Ofelii. O mało co nie upuściła stworzonka, ale opanowała się i przytuliła je do siebie, tak jakby kołysała ludzkie niemowlę. Wielkie oczy otwały się – były bladozłote, z jeszcze jaśniejszą obwódką wokół źrenic – i stworzonko zaskrzeczało do Ofelii.

Skłoniła ku niemu policzek i zamruczała, tak jak wszyscy mruczą do dzieci. Tak, tak, tak, powoluśku, wszystko dobrze, wszystko pięknie, nie martw się. Małe napało twardym, małym rykiem na pierś Ofelii, aż kobieta zachichotała. Nic tam już nie ma dla nikogo, a zwłaszcza dla Obcego, który bardziej przypomina jaszczurkę niż własną mamę. Potem poczuła dotyk malutkiego szorstkiego jęczyczka. Zawsze płakała, po raz pierwszy trzymając nowo narodzone dzieci; w jakimś zakamarku jej umysłu zrodziło się zdziwienie, że odruch zadziałał też w przypadku tych stworów.

Bulgot-cmok-ehem nalegała, by Ofelia brała na ręce każde młode, pojedynczo, i wszystkie lizały jej dłoń, nadgarstek albo piersi, kiedy je trzymała. Błękitny Płaszcz wyraził zgodę; jego podgardle dudniło cicho.

– Cmok-kok-kirrr – powiedział.

– Cmok-kok-kirrr – odpowiedziała Ofelia. Oczywiście, że chce chronić te maluchy, choć takie są dziwne; nie mogłaby życzyć im niczego złego. Aż trudno uwierzyć, że wyrosną z nich tacy duzi, mądrzy dorośli, jakich znała, ale znowu ludzkie niemowlęta tuż po urodzeniu to czerwone, oślizgłe, wrzeszczące małe paskudztwa. Ofelia przypuszczała, że jakiś Obcy mógłby dokładnie tak samo uznać za nieprawdopodobne, że są to poprzednicy dorosłych. Ponownie się przyjrzała wijącym się noworodkom: nie umiała odróżnić jednego od drugiego, przynajmniej nie w tym półmroku.

Po południu, w największy upał, kiedy Ofelia stała pochylona nad własnym kuchennym zlewem i prała miękkie szmatki, których ostatecznie użyła Bulgot-cmok-ehem, jedno ze stworzeń wydało głośny skrzek i wpadło do domu.

– W porządku – uspokoiła je.

Wiedziała, co się mogło stać. Ludzie nie zczekali do jutra. Nie spodziewała się, że usłuchają, ale przynajmniej nie przeszkadzili w porodzie. Wyrzała przez okno w kuchni i zobaczyła, że nadchodzą drogą. Na przedzie kobieta, z którą Ofelia rozmawiała, ubrana w luźne kremowe spodnie i koszulę, w dużym kapeluszu na głowie, a obok niej inna kobieta i dwóch mężczyzn, wszyscy odziani mniej więcej podobnie, oraz dwóch wyraźnie niebezpiecznych mężczyzn w ciemnych kombinezonach ochronnych. Ci nieśli broń. Uzbrojeni mieli twarze jeszcze czerwieńsze niż pozostali, a spod ich hełmów spływał pot.

Ofelia wyjęła wszystkie pojemniki na lód z lodówki i opróżniła je do największego dzbanka. Wycisnęła już sok z cytryn i limonek; przelała go teraz do naczynia, dodając wody i cukru. Zgrzani ludzie to ludzie rozdrażnieni; jeśli sprawi, że poczują się lepiej, może posłuchają głosu rozsądku.

Kiedy wyszła przed drzwi, by ich zaprosić do środka, byli w połowie drogi do jej domu i zaglądali ciekawie do domów po obu stronach ulicy. Nie chciała, by już teraz znaleźli Bulgot-cmok-ehem; zawołała, a oni spojrzeli w jej kierunku.

– Chodźcie na sok – zaprosiła.

Spojrzeli po sobie niepewnie, potem podeszli bliżej; uzbrojeni mężczyźni każdym swym ruchem i wyrazem twarzy okazywali, jak mało jej ufają.

Zignorowała żołnierzy i spojrzała na pozostałych. Ta kobieta, którą już poznała, Kira. Druga, dużo młodsza – może tylko udaje młodszą – zbytnio przypominała jej Lindę. Mężczyzna, którego widziała, który powiedział, że jest przywódcą, i drugi, niższy i bardziej przysadzisty, wciąż obrzucający wzrokiem młodszą kobietę. A więc znowu te sprawy! Ofelia poczuła się zmęczona, zanim jeszcze cokolwiek zaczęła.

Dwaj uzbrojeni mężczyźni nie chcieli wejść do jej domu; obstawili drzwi wejściowe i drzwi kuchenne. Zaniósł im po szklance zimnego soku, a oni wpatrywali się w nią pustym wzrokiem,

zanim wreszcie zaczęli pić. Pozostali stłoczyli się w największym pokoju, rozglądając się dookoła i gapiąc się na jej rzeczy.

– To dom Falfurriasów – poinformowała Kira pozostałych. – Zbudowany według projektu Simsa. – Zajrzała do sypialni, wyraźnie nie przejmując się uszanowaniem prywatności Ofelii.

– Jesteś pewna? – zapytał wyższy mężczyzna. Mówił tak, jakby Ofelii w ogóle nie było, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje.

– To prawda – odezwała się Ofelia.

Odwrócił wzrok, jakby nie spodobało mu się to, co zobaczył. Przebrała się, zamieniła zieloną pelerynę na koszulę z frędzlami przy rękawach i kolorowymi pasami z przodu i z tyłu. Koszula była za gruba na tę porę dnia – w zasadzie w ogóle na tę porę roku – ale Ofelia nie czuła się dobrze z odsłoniętym ciałem w obecności tych obcych ludzi. Rozzłościło ją to, że znów czuje się zakłopotana.

– To mój dom – mówiła dalej – pomagałam go budować, Nazywam się Ofelia Falfurrias.

– Powinna pani zostać ewakuowana – odparł na to mężczyzna, nie podając własnego nazwiska. Co za gbur. – Nikogo z was nie powinno tu być, a urządzenia kolonii powinny być zostać starannie wyłączone. Gdyby nie pani...

– To nie jej wina – wtrąciła znów Kira, jakby Ofelia nie umiała mówić sama za siebie. – To tylko stara kobieta...

Tylko. A więc Kira nie jest lepsza od pozostałych, skoro uważa, że stara kobieta nic nie znaczy.

– Może powinniśmy się przedstawić – odezwał się niższy mężczyzna. Uśmiechnął się do Ofelii. – Ja jestem Orisan Al-marest, antropolog kulturowy, Sera Falfurrias. Jestem antropologiem: badam, jak pracują ludzie i ich narzędzia.

– Kira Stavi – przedstawiła się krótko starsza z kobiet – Vasil Likisi, dowódca grupy, wyznaczony przedstawiciel rządu. – oznajmił wyższy mężczyzna.

– Bilong – przedstawiła się młodsza kobieta z szerokim, sztucznym uśmiechem. – Proszę nazywać mnie Bilong, tak będzie okay.

Nie było okay. Ofelia nie chciała nazywać Bilong żadnym innym imieniem prócz tego, którym kobiety z kolonii nazywały Lindę. Jedyńm, który okazał, że w ogóle posiada jakieś maniery, był ten niższy mężczyzna, Orisan Al-marest. Skinęła mu głową, uznając, że zawarli znajomość.

– Ser Al-marest. – Wskazała na sok z lodem stojący na stole. – Czy zechciałby pan napić się czegoś chłodnego?

– Dziękuję pani, Sera Falfurrias – odpowiedział. Ofelia napełniła szklanekę, a on wziął ją i pociągnął łyk napoju. – Bardzo smaczne – pochwalił.

Ofelia odprężyła się nieznacznie: to był już znany jej rytuał.

– Owoce były gorzkie tego roku – powiedziała. – Zbyt pan łaskawy w swych podziękowaniach.

– Napój jest przepyszny w tak gorący dzień – odparł mężczyzna. Uśmiechnął się do niej ponad szklanką, pociągając solidny łyk. Inni wciąż stali dokoła, jak dzieci, których nikt nie nauczył dobrych manier. W końcu starsza z kobiet poruszyła się.

– Dziękujemy za zaproszenie nas do pani domu, Sera Falfurrias – powiedziała.

Ofelia odpowiedziała wymaganym uśmiechem.

– Jesteście mile witani w moim domu – odpowiedziała. – Niestety, nie mam nic prócz tego soku, aby was ugościć.

– Dziękujemy – rzekła kobieta z uśmiechem tak samo wymuszonym, jak uśmiech Ofelii. Pociągnęła łyk i podniosła brwi ze zdumienia. Więc naprawdę spodziewała się, że sok będzie gorzki; Ofelia prawie się roześmiała.

– Przepraszam, czyja też mogę trochę dostać? – zapytała młodsza kobieta, jak dziecko, które nie pamięta, że należy poczekać, aż zostanie się poczęstowanym.

– Oczywiście – odparła Ofelia, nalewając soku i wręczając jej szklankę bez komentarza, jakby podawała sok dziecku.

Przysadzisty mężczyzna posłał jej uśmiech.

– Bilong jest naszym językoznawcą – wyjaśnił. – Będzie badać język autochtonów.

– Autochtonów? – Ofelia znenawidziła się za zadanie tego pytania w tym samym momencie, w którym obce słowo wyszło z jej ust. Wszyscy prócz krępego mężczyzny uśmiechnęli się w sposób, który oznaczał, iż bawi ich jej ignorancja.

– To termin naukowy na określenie wszystkiego, co właściwe danemu miejscu – wytłumaczył jej niski mężczyzna. – Pani i ja nie jesteśmy tu autochtonami, ale są nimi stworzenia, które zaatakowały drugą kolonię po wylądowaniu. Przynajmniej tak myślimy. – Powiedział to normalnym tonem, jakby nie było nic dziwnego w tym, że ona o tym nie wie. Ofelia umiała docenić tę uprzejmość, nawet, jeśli mu nie ufała. Mężczyzna mówił dalej – Kira – Sera Stavi – jest ksenozoologiem; zajmuje się zwierzętami nieznanymi na światach ludzkich. Oczywiście oznacza to, że są one autochtonami, czyli miejscowymi, w swoim świecie. Będzie badać biologię zwierząt na tej planecie.

– Oni nie są po prostu zwierzętami – powiedziała Ofelia, patrząc na kobietę.

– Nie, ale tak jak my, są nimi częściowo – odparła Kira. Jej głos złagodniał – czy to zimny sok, czy po prostu usiłuje być uprzejmiej? – Moim zadaniem jest dowiedzieć się, jak działają ich organizmy, czym te istoty się odżywiają, i tak dalej.

Ofelia przeniosła wzrok na wysokiego mężczyznę, który taki był chętny do przypisywania sobie władzy. Natychmiast zrozumiał tę sugestię.

– Jak już mówiłem, jestem dowódcą grupy i przedstawicielem rządu. Jeśli bezpieczeństwo

zostanie zagwarantowane, mam również upoważnienie, by stać się oficjalnym posłańcem naszego rządu do ich rządu w sprawie ostatnich wydarzeń oraz naszej chęci zawiązania pewnego rodzaju porozumienia, na mocy którego nasi naukowcy będą mogli ich badać. Może pani nie wie, ale jest to odosobniony przypadek w całej historii ludzkiej eksploracji międzygwiazdnej.

Wyglądało na to, że gotów jest jeszcze długo tak mówić, ale Ofelia nie była w nastroju, żeby go słuchać. Nalała jeszcze jedną szklankę soku i podała mu w chwili, kiedy przerwał dla nabrania oddechu. Wyglądał na zaskoczonego. Wydukał w końcu „dziękuję” i pociągnął łyk napoju.

– Proszę, usiądźcie – powiedziała Ofelia.

Było akurat dosyć krzeseł; ona sama przycupnie na taborecie, którego zwykle używa przy gotowaniu czy obieraniu warzyw. Powoli i niezgrabnie wszyscy zajęli miejsca. Ofelia zrobiła jeszcze jeden dzbanek napoju i ponownie napełniła ich szklanki, zanim usiadła.

– Żyłam tu sama od chwili, kiedy tamci odlecieli – zaczęła. To na pewno wiedzą, ale zacząć od rzeczy oczywistych i wiadomych jest zarówno uprzejme, jak i rozsądne. Od tego oczywistego punktu poprowadzi ich własnymi ścieżkami, aż ujrzą taki obraz, jaki chce, by widzieli. – Przybyłam tu jako młoda kobieta... – Wtedy czuła się raczej osobą w średnim wieku, jako matka trójki dzieci, już nie pierwszej młodości, ale teraz wiedziała, jak młoda była w tamtych czasach. – Mój mąż i ja zbudowaliśmy ten dom i pozostałe dzieci tu przyszły na świat. Potem umarł mój mąż i wszystkie dzieci, jedno po drugim, prócz Barta. Kiedy poinformowali nas, że musimy stąd odjechać, powiedzieli też Bartowi, że nie będzie już ze mnie pożytku, że najprawdopodobniej umrę w czasie hibernacji. Kazali mu dodatkowo za mnie zapłacić. Nie chciałam, by przeze mnie syn musiał się wykosztować, no i nie chciałam opuszczać miejsca, gdzie żyli i zmarli mój mąż i dzieci.

– Biedactwo – powiedziała młodsza kobieta, a jej słowa tak ociekały fałszywą słodyczą, że Ofelia poczuła, iż można by ją zeskrobać i zrobić z niej konfitury.

– Mogła pani tu umrzeć – powiedziała starsza kobieta, jakby oskarżała ją o popełnienie przestępstwa.

– Mogłam umrzeć w kriogenie – odpowiedziała Ofelia. – Starzy ludzie umierają. Takie są prawa natury; nie boję się śmierci. – To nie była do końca prawda, ale Ofelia nie bała się w ten sposób, jak rozumiała to ta osoba.

– Niemniej jednak było to nieodpowiedzialne – ocenił dowódca. – Proszę spojrzeć na rezultaty.

Ofelia obrzuciła go pustym spojrzeniem.

– Rezultaty, Ser Likisi?

Ramieniem zatoczył szerokie koło, omal nie trafiając młodszej kobiety w twarz.

– Te... stworzenia tutaj wiedzą o ludziach, zobaczyły naszą technologię w użyciu. Rząd ma ściśle zasady co do stosowania zaawansowanej technologii w obecności prymitywnych kultur.

– I tak by wszystko znaleźli – powiedziała Ofelia.

– Ale pani była na miejscu, żeby im pokazać, jak co działa.

W pierwszych, szokujących chwilach kontaktu z Obcymi Ofelia zastanawiała się nad tym, ale później nie miała już na to czasu... tak szybko się uczyli. Uznała w końcu, że stworzenia same także odkryłyby główne przełączniki. Nauczyła je przynajmniej ostrożności i szacunku dla maszyn. Już otwierała usta, by to powiedzieć, kiedy uzbrojony mężczyzna przy drzwiach wejściowych poruszył się nagle, unosząc broń.

– Stać! – zawołał, jakby uważał, że każdy, w całym wszechświecie, zrozumie jego słowa.

– Nie! – krzyknęła Ofelia. On chce zastrzelić jedno z jej stworzeń; nie może mu na to pozwolić. To była jedyna jej myśl. Dźwignęła się z taboretu, potknęła, kiedy zablokowała ją chore biodro, i przepchnęła się między dwoma siedzącymi mężczyznami do drzwi. Ciemne, szerokie plecy żołnierza w ochronnym kombinezonie zagrażały jej drogę. – Rusz się – powiedziała, wbijając mu palec w bok.

Jego reakcja była tak szybka, że Ofelia znalazła się na podłodze, zanim się zorientowała, że żołnierz się poruszył. Dzwoniło jej w głowie. Na zewnątrz rozległ się głośny skrzek i gwałtowny tupot stóp – stworzenia...

– Nie zrób im krzywdy! – zawołała najgłośniej, jak tylko mogła. – Nie...

– Atakują – powiedział żołnierz. Ofelia, leżąc unieruchomiona między jego nogami, widziała, co się dzieje. Błękitny Płaszcz, uroczyście odziany w swój błękitny płaszcz, nadał podgardle i wydawał tętniące dźwięki. Dwa inne stworzenia stały z obnażonymi nożami, z oczyma częściowo przysłoniętymi dodatkową powieką.

– Nie atakują – odezwała się Ofelia z podłogi. Bolała ją głowa i będzie boleć jeszcze bardziej, a żadna z tych osób nie jest dość uprzejma, by pomóc starej kobiecie podnieść się z podłogi – Ofelia przetoczyła się na drugi bok, ze złością spojrzała na ludzi siedzących na krzesłach, z otwartymi ustami, jak dzieci w teatrzyku. Spróbowała usiąść prosto, poczuła, że bola ją także zebra oraz ramię, na które upadła.

– Cmok-kok-kirrr – dobiegł ją głos z zewnątrz. Podgardle Błękitnego pulsowało.

– Cmok-kok-kirrr – odpowiedziała Ofelia. Mogła przynajmniej mówić dość wyraźnie, by ich uspokoić. Podniosła się na kolana, potrząsnęła głową, by pozbyć się zawrotów, i wstała. Pokuśtykała do drzwi. – Wypuść mnie – powiedziała do mężczyzny z bronią. – Nie atakują; chcą sprawdzić, czy nic mi nie jest.

– Mogłem panią zabić – wymamrotał ze złością mężczyzna. Na jego ustach zawisło „głupia baba”. Ofelia nie odezwała się. – Przepraszam – powiedział w końcu. – Odruch.

– Wypuść mnie – powtórzyła. Powoli, z bronią wciąż wymierzoną w stworzenia, przesunął się na bok.

– Niech pani nie wchodzi pomiędzy nas – powiedział – jak będę musiał panią zastrzelić,

zrobię to.

– Więc niczego nie próbuj – odparła. – Oni nie atakują, i nigdy mnie nie skrzywdzili. – Nie tak bardzo, jak ty, dodała w myślach najgłośniej jak umiała, żeby do niego dotarło.

Kulejąc, wyszła na drogę i wyciągnęła ręce do Błękitnego. Ujął je delikatnie; jego podgardle skurczyło się. Potem dotknął jej głowy i boku ostrożnie, jednym palcem. Ofelia zasyczała; już ją bolało, mogła sobie wyobrazić ciemne sińce, wzbierające na głowie.

Za plecami słyszała dowódcę drużyny mówiącego coś do żołnierza; nie rozróżniała dokładnie słów, ale ton jego głosu był gniewny. Tak samo, jak odpowiedź żołnierza. Niech się kłóć, będzie miała więcej czasu. Czasu na co, nie była pewna. Bardzo bolała ją głowa i Ofelia wciąż czuła zawroty, chciała się położyć w chłodnym, zaciemnionym pokoju i żeby ktoś podawał jej zimne napoje.

Błękitny dotknął własnej głowy, uderzył w nią pięścią, potem szarpnął w tył ręką, tak jak Ofelia, kiedy pokazywała ból od porażenia prądem.

– Tak – powiedziała Ofelia. – Uderzyłam głową o podłogę i teraz boli, ale nic mi nie jest.

Błękitny wskazał uzbrojonego człowieka i zrobił ruch, jakby cofał łokieć, by kogoś uderzyć.

– Tak – odpowiedziała Ofelia – ale ja go przestraszyłam. Błękitny powiedział:

– Cmok-kok-kirrr.

Ofelia skrzywiła się z bólu, który wciąż odzywał się w jej głowie. Cóż ma jej bycie cmok-kok-kirrr do tego, że uderzył ją mężczyzna przy drzwiach? Czy Błękitny myśli, że ten człowiek nie powinien bić cmok-kok-kirrr? Jeśli tak, to czym jest cmok-kok-kirrr? Czy stworzy nigdy nie uderzyłyby swojej?

– On nie wiedział – powiedziała. – Nie miałam czasu powiedzieć im o dzieciach. – Nie była pewna, czy tego chciała; pamiętała, jak dawniej rodziła dzieci w szpitalu, gdzie niektóre osoby z personelu traktowały je, jakby to były lalki albo zwierzęta. Pomyślała, że właśnie tak Kira Stavi potraktowałyby te małe; była pewna, że ta kobieta nigdy nie rodziła dzieci.

– Niia wiie tyhy cmok-kok-kirrr?– zapytał Błękitny.

– Nie wie – powtórzyła Ofelia. – On nie wiedział.

Błękitny powiedział coś do dwóch pozostałych, którzy wsunęli swe długie noże z powrotem za pasy. Ofelia wciąż jeszcze nie rozumiała ich, kiedy mówili tak szybko, ale wychwyciła słowo „cmok-kok-kirrr” w środku wypowiedzi.

– Bulgot-cmok-ehem? – zapytała. – I maluchy?

Błękitny wydał jedno chrząknięcie i jego powieki opadły.

Czyli śpi, tak? To naturalne po porodzie. Ofelia zastanawiała się, czy matka będzie karmić małe sama, czy może odżywiają się czym innym. A jeśli tak, to kto przynosi pożywienie?

– Czy to ich przywódca? – zapytał z za jej pleców Vasil. – Czy to dlatego nosi to niebieskie coś?

Ofelia odwróciła się, usiłując nie skrzywić się z bólu w stłuczonych żebrach i w nodze.

– To jest Błękitny Płaszcz – powiedziała. – Nazwałam go tak, ponieważ nosi to okrycie; nie potrafię wymówić jego prawdziwego imienia. – Zwróciła się do Błękitnego. – To jest Ser Vasil Likisi – wyjaśniła. – Jest przywódcą. – Inni ludzie stali już w sieni; w miarę jak wychodzili na zewnątrz, Ofelia podawała ich imiona: Kira, Ori, Bilong. Błękitny nie odzywał się, stał po prostu w słonecznym skwarze z lekko przechyloną głową.

– Rozmawiała pani z nim – odezwała się młodsza kobieta. – Słyszałam. Czy może pani sprawić, żeby coś powiedział?

Ofelia przedstawiła ją Błękitnemu:

– Ona jest lingwistką, będzie badać to, jak mówicie. – Z błysku w jego oku Ofelia domyśliła się, że rozumie dużo więcej, niż to po sobie daje poznać.

Błękitny spojrział ponad nią na Bilong.

– Tyyhy Pihlog.

Ofelia prawie się roześmiała, widząc minę dziewczyny.

– On wymówił moje imię – powiedziała kobieta prawie tańcząc ze szczęścia.

Błękitny wygrzechotał z siebie długi ciąg skrzeków, chrząknięć, cmoknięć i innych dźwięków, które zdawały się zachwycać Bilong. Ofelia podejrzewała, że jest to coś tak pozbawionego prawdziwego sensu, jak na przykład alfabet.

– Czy z panią wszystko dobrze? – spytała druga kobieta. Wyglądała na szczerze zatroskaną.

– Boli mnie głowa – odparła Ofelia.

– Nic dziwnego. Byłam tak zaszokowana, że nie mogłam się ruszyć... tak mi przykro, przepraszam, ale po prostu mnie zmroziło...

– Nic nie szkodzi – powiedziała Ofelia. Kobieta musi być naprawdę zawstydzona, żeby aż tyle mówić. Może jednak ma w sobie odrobinę przyzwoitości.

– Tyyhy Kirraaa – powiedział Błękitny. Wyciągnął dłoń, którą kobieta ostrożnie ujęła.

– Cztery palce... – Wciągnęła powietrze.

– Także u stóp – powiedziała Ofelia.

– Dwupłciowe? – zapytała kobieta, jakby Błękitny nie pokazał przed chwilą, że rozumie sporo z tego, co się mówi.

– Nie patrzyłam – odrzekła Ofelia wstydliwie. Nie miała zamiaru przyznać, że wciąż nie potrafi rozróżnić ich płci. Zgadzało się to zresztą z prawdą, że nie patrzyła: byłoby to bardzo niegrzeczne.

– Oczywiście, to nie pana dziedzina – powiedziała kobieta, jakby Ofelia była idiotką, że tego nie wie.

Chwilowa sympatia Ofelii do Kiry ulotniła się.

Cały zespół stłoczył się teraz dookoła nich, czwórka cywili gapiała się, pokazywała palcami

i rozmawiała między sobą, jakby stworzenia były rzeźbami w galerii sztuki albo zwierzętami w zoo. Dwaj żołnierze stali sztywno przed domem, patrząc na nich ze złością. Głupotą jest tak stać na zewnątrz w palącym słońcu. Ofelii krew tętniła w skroniach; chciała znaleźć się w cieniu. W jej domu nie było dosyć krzeseł dla wszystkich, ale jest ich dużo w Centrum.

– Moglibyście pójść do Centrum, zejść ze słońca – powiedziała. – W Centrum jest dużo krzeseł.

– To bardzo uprzejme z pani strony – podziękował jej przysadzisty mężczyzna, rozglądając się dokoła. Oczywiście, nie mogą wiedzieć, gdzie to jest.

– To tam – powiedziała starsza kobieta, ta, która знаła nazwisko mieszkańców domu Ofelii.

Ruszyła w stronę, którą wskazała, a Ofelia stłumiła pragnienie, by ją uderzyć. Kira powinna była pozwolić jej wskazać drogę; to nie jej Centrum.

Błękitny dotknął jej ramienia.

– Ziaam?

Tak, pomyślała Ofelia, zimno to właśnie to, czego mi potrzeba. Zimny lód na głowę, zimne napoje do gardła. Błękitny szedł obok niej, pozostali wciąż gadali; na przedzie kroczyła Kira Stavi. Nagle Kira zatrzymała się. W sieni Centrum stały na baczność trzy dalsze stwory, wpatrując się tym swoim intensywnym spojrzeniem w całą grupę. Ofelia poczuła, że w gardle wzbiera jej złośliwy chichot, i uniosła dłoń, by zakryć usta.

– Proszę im wyjaśnić – zażądał wysoki mężczyzna. – Proszę im wyjaśnić, że można nas wpuścić do środka.

Ofelia razem z Błękitnym minęli Kirę i pozostałych. Stworzenia w drzwiach cofnęły się i Ofelia gestem nakazała ludziom wejść.

– Naprawdę nie powinniście... – usłyszała za plecami. Jak przypuszczała, dwaj żołnierze obawiali się stracić swoich podopiecznych z oczu, i to jeszcze otoczonych przez morderczych Obcych. Ona także nie chciała ludzi w Centrum, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Wszystko w porządku! – zawołał do nich wysoki mężczyzna. – Skoro nie zrobili krzywdy starej kobiecie, nie skrzywdzą i nas.

Podczas gdy Kira prowadziła ich do szwalni po lewej stronie, Ofelia zadumała się nad wszystkimi błędami w tym założeniu. Dlaczego mieliby zrobić krzywdę starej kobiecie, która nigdy im nie zagroziła, kiedy już odkryli, że tego nie uczyni? I dlaczego mieliby nie krzywdzić tych, którzy stanowili zagrożenie? Ale nie zamierzała wdawać się w dyskusję. Przede wszystkim nie umiałaby tego, poza tym zbyt bolą ją głowa.

Błękitny Płaszcz powiedział coś do pozostałych stworzeń; jedno z nich wyszło i szybko skierowało się do kuchni.

– Zauważyłeś – zwróciła się Kira do niskiego mężczyzny – że nie stąpają przez cały czas płasko na stopie? Tak bym chciała zobaczyć układ kostny...

Mężczyzna skinął głową, potem zmrużył oczy i spojrzał na Ofelię.

– Nie czuje się pani dobrze, prawda, Sera Falfurrias? Może chciałyby pani się na chwilę położyć?

Niczego nie pragnęła bardziej, ale nie teraz, kiedy ci ludzie wszędzie wścibiają nosy. Równie dobrze mogłaby zostawić całe przedszkole szkrabów, żeby bawiły się w kuchni bez opieki.

– Nic mi nie jest – zapewniła, ale usiadła na krześle, które jej przysunął. Potem wróciło stworzenie, niosąc miskę pełną kruszonego lodu – kiedy nauczyli się obsługiwać kruszarkę do lodu? – i zawinęło garść kruszywa w ręcznik tak zręcznie, jak każda pielęgniarka. Przyłożyło zimny okład do sińca; Ofelia aż syknęła przez zęby, ale po chwili lód jednak pomógł. Uniosła dłoń, by przytrzymać kompres na miejscu, ale nie musiała: stworzenie stało obok niej i trzymało go.

– Cóż... – zaczął wysoki mężczyzna. Ofelia z trudem spróbowała sobie przypomnieć jego imię. Vasil Likisi. – Jak widać, zaprzyjaźniła się pani z nimi. Jak ich pani tego nauczyła?

– Czootka – powiedział Błękitny. Wszyscy wbili w niego wzrok. Wskazał Ofelię. – Czootka.

– Ciotka? – To ta młoda kobieta, Bilong. – To znaczy... chodzi o ciotkę? Siostrę matki?

Błękitny wziął książkę, którą inne stworzenie przyniosło mu z pomieszczeń szkolnych, opowieść o dziewczynce mieszkającej ze swoją ciotką. Stwór pokazał książkę Bilong.

– Czootka. – Wertował kartki, aż znalazł obrazek, którego szukał, potem pokazał Ofelię i obrazek przedstawiający dziewczynkę z ciotką.

– Niemożliwe, by to rozumiał – powiedziała Kira, zniecierpliwiona. – Książka? Niezależnie od tego, co on rozumie przez „ciotkę”, to nie to samo, co my rozumiemy pod tym słowem. – Spojrzała na Ofelię. – Pani wie, o co mu chodzi?

Ofelia wiedziała, ale jak miała to wytłumaczyć tej kobiecie, która na swój sposób była jej równie obca, jak Błękitny? Tej kobiecie, tak zniecierpliwionej, że już nerwowo poruszała rękami, już nie chciała słuchać dłużej, więcej niż kilka słów? Nie. Zbyt bolą Ofelię głowa. Grzeczność wymaga jakiejś odpowiedzi, ale niekoniecznie pełnej.

– Zajmowałam się cudzymi dziećmi – powiedziała. – Myślę, że Błękitny to właśnie ma na myśli.

– O... – Kobieta odchyliła się w tył, nie wyglądała jednak na przekonaną.

– Jak mu pani o tym powiedziała? – zapytała młodsza kobieta.

Ofelii dudniło w głowie. Poruszyła się i poczuła ból w miejscach pozostałych stłuczeń.

– Powiedziałam... używając gestów – wyjaśniła. – Ale teraz naprawdę jestem bardzo zmęczona. – Zamknęła oczy.

– Myślicie, że naprawdę jest poważnie ranna? – zapytał wysoki mężczyzna. Teraz, kiedy nie

musiała go słuchać, jego głos wciąż brzmiał wyniośle i zarozumiale, jakby mówił, trzymając śliwkę w ustach. Gotów był rozzłościć się na nią za to, że jest ranna.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział drugi mężczyzna. – Jest dla nas najlepszym źródłem zrozumienia tej obcej kultury, żyje z autochtonami...

– Ale jest taka... – Ofelia wyobraziła sobie gest towarzyszący tym słowom, i zapewne także rzut oka w bok, żeby sprawdzić, czy ona naprawdę śpi, czy tylko udaje. – Nie ma odpowiedniej przeszłości. – Widać mężczyzna wolał nie ryzykować.

– Vasil, jesteś najbardziej...

– Ale to zdanie urwało się.

Ofelia usłyszała ukradkowe dźwięki, wydawane przez ludzi, kiedy wstali z krzeseł i próbowali po cichu wyjść. Niech idą. Nie zależy jej. Przysnęła na chwilę, a kiedy się obudziła, poczuła, że ktoś podstawił jej pod nogi rząd krzeseł i wyłożył je kocem. Głowa jeszcze bolała, ale już nie tak bardzo.

Błękitny Płaszcz stał obok niej.

– D’uuupki – powiedział.

Ofelia nie była pewna. Dłupki? Po chwili zorientowała się: powiedział „głupki”. I nie musiała pytać, kogo miał na myśli. Miał na myśli tamtych ludzi.

Ofelia nie uczyniła żadnego ruchu, by się podnieść; nie chciała się ruszać. Ale mrugnęła do Błękitnego.

– Tak, to głupki – zgodziła się. I dupki też, dodała już w myślach.

– Tyyhy niia... – Błękitny pokazał coś szerokim gestem; Ofelia była przekonana, że ma na myśli tamtych. – Niia... cmok-kok-kirrr?

– Nie – jeszcze raz upewniła Błękitnego. – To nie mój lud, nie jestem ich cmok-kok-kirrr, nie jestem ich ciotką.

Błękitny podał Ofelii rękę i udało jej się usiąść, choć zagryzła wargi, by nie jęczeć z bólu, który czuła w boku i w nodze. Inne stworzenie stanęło z drugiej strony i we dwóch pomogli jej przejść korytarzem. Na zewnątrz było już ciemno, a w wilgotnym ciepłym wietrze lśniły łagodnie gwiazdy.

– Gdzie oni są? – spytała Ofelia. Błękitny pokazał na drogę; Ofelia dojrzała jasny blask światła z lądowiska. Czy wrócili na prom? Błękitny i inni pomogli Ofelii dojść do domu i wejść do środka, zaświecili jej światło. Błękitny Płaszcz otworzył lodówkę i zagdakał nad zawartością. Ofelia nie była głodna i próbowała to powiedzieć, ale Błękitny nie zrażał się. Szperał w lodówce, aż natrafił na jakiś suchy placek i podał go Ofelii, posypawszy wprzód solą. Ten posiłek był zaskakująco smaczny, a jej żołądek nie odrzucił pożywienia. Błękitny Płaszcz nalał szklanek soku i stał nad Ofelią, kiedy piła. Czuła jego determinację, żeby nakłonić ją do jedzenia. Potem chciała już tylko znaleźć się we własnym łóżku. Po raz pierwszy, odkąd Błękitny przybył do

wioski, stworzenia weszły do jej łazienki. Nie czuła skrepowania; wchodziły tu już wcześniej, a ona była wyczerpana. Przypadkiem spojrzała w lustro i zatrzymała się, patrząc na purpurowy guz na czole. Spojrzała w dół, na ramię, gdzie skóra na sińcu była rozcięta i powstał ciemny strup. Wyraz twarzy Błękitnego, kiedy na to patrzył, był ponury. Ofelia wyczuła gniew i dezaprobatę, ale nieskierowane przeciw niej.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Naprawdę nic mi nie jest.

Stworzenia zaofiarowały jej pomoc – z zadowoleniem oparła się na ich ramionach – i odprowadziły ją do łóżka, a kiedy usiadła, jedno ze stworzeń pochyliło się i uniosło delikatnie jej nogi. Błękitny Płaszcz przeszedł na drugą stronę łóżka i odchylił kołdrę, potem zastygł, patrząc na Ofelię.

Była taka zmęczona... ale zdołała się przewrócić na bok, wtaczając się na prześcieradło, a Błękitny okrył ją kołdrą delikatnie i starannie, jak robi to każda mama.

Przerażali ją w sposób, w jaki nigdy dotąd się ich nie bała – nie miała pojęcia, co myśleli o ostatnich wydarzeniach, ile z nich zrozumieli, czego się spodziewali jutro. Była zbyt zmęczona, by cokolwiek powiedzieć; Błękitny Płaszcz zgasił światło. Ofelia czekała na odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych, ale się nie doczekała – zasnęła.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Ofelia obudziła się w perłowym świetle wczesnego poranka, z sąsiedniego pokoju usłyszała ciche głosy. Przeciągnęła się i aż się skrzywiła, kiedy przypomniały jej o sobie sińce po wczorajszym ciosie i upadku. Bolało ją całe ciało, także w miejscach, w które, mogłaby przysiąc, nie uderzyła się. A kto to siedzi w jej salonie?

Kiedy spróbowała usiąść, przeszył ją taki ból, że aż wstrzymała oddech, a pod powiekami zapiekły łzy. Zganiła się: stary głos z satysfakcją podsunął jej określenia, których nie używała od kilku lat. Tchórz. Słabeusz. Działdzia. Ledwo kilka siniaków i już zachowujesz się jak dziecko.

Usiłowała nie wydawać żadnych dźwięków, ale kiedy stanęła wreszcie na nogach, z bólu była całkiem słaba i cała się trzęsła. Ramię znów zaczęło krwawić w nocy i przylepiło się do prześcieradła, więc kiedy oderwała materiał od rany i przeszył ją ostry ból, poddała się. Z gardła wyrwało jej się łkanie.

Otworzyły się drzwi. To Błękitny Płaszcz, z nadętym podgardlem. Zasyczał. Kiedy ją zobaczył, szybko do niej podszedł i podał ramię. Ofelia oparła się na nim, zła na siebie, że jest taka słaba. Błękitny przyłożył palec do cienkiego strumyka krwi na jej ramieniu, potem powąchał go i zabębnił – Ofelia nie wiedziała, którą częścią ciała, ale dźwięk rozbrzmiał w pomieszczeniu.

– Nic mi nie jest – zapewniła Ofelia, z całych sił pragnąc, by głos jej nie drżał. – Poczuję się lepiej, jak wezmę gorący prysznic.

Miała trudności ze znalezieniem czegoś do ubrania. Okrycia, które przygotowała na tę porę roku i które normalnie by włożyła, nie przykrywały siniaków, pozostawiając je niechronione i wyraźnie widoczne. Stary głos mówił jej, że to haniebne, że wywoła zakłopotanie gości, że musi im się pokazać tak, jakby wczorajszy cios nie wyrządził jej żadnej krzywdy. W końcu stara skóra drze się tak łatwo, że najlżejsze zadrapanie już powoduje krwawienie. To nie ich wina; nie można od nich oczekiwać, że będą sobie zdawać sprawę z tego, jaka jest wrażliwa.

Nowy głos w ogóle się nie odezwał. Ofelia zastanawiała się, gdzie się podział. Przekopła szafę w poszukiwaniu koszuli z długimi rękawami, która zakryłaby całkowicie jej ramiona i tors. Wszystkie koszule z długimi rękawami były grube, przeznaczone na nieliczne chłodne dni pory deszczowej. Mimo to Ofelia włożyła jedną z nich, choć na jej twarzy pojawił się grymas bólu, kiedy szorstki materiał uraził wrażliwe miejsca. Wciągnęła też najdłuższe spodnie, jakie miała: sięgały ledwo poniżej kolan.

Było jej gorąco i duszno, ale czuła się bezpieczna. Spojrzała na swoje bose stopy. Inni ludzie mieli buty. W zasadzie nie deptali jej po palcach, ale teraz te bose stopy wydawały jej się bezbronne i wystawione na niebezpieczeństwo, jak naga skóra, bezbronna tak, że nawet samo spojrzenie stanowiło zagrożenie. Nie miała butów: ostatnią parę wrzuciła do przetwórnicy odpadów, przypomniała sobie. Przez chwilę poczuła się szczęśliwa, wspominając krótki taniec,

celebrujący wyrzucenie butów oraz ohydnej sukienki, w której Rosara i Barto chcieli ją najczęściej oglądać.

Błękitny Płaszcz zaćwierkał miękko. Ofelia spróbowała się do niego uśmiechnąć.

– Już mi dużo lepiej – powiedziała. – Dziękuję za pomoc.

Błękitny rozumiał słowo „dziękuję” – Ofelia wymieniała z nim wszystkie zwyczajowe uprzejmości, a inne stworzenia też w miarę możliwości starały się je odwzajemniać.

Z niesmakiem spojrzała na łóżko. Nigdy nie zostawiała niezaścielonych łóżek czy zakrwawionych prześcieradeł, ale nie czuła się na siłach, ściągnąć dzisiaj pościel. Błękitny Płaszcz podążył za jej wzrokiem, wskazał plamy krwi i dotknął ramienia Ofelii.

– Tyhy kh'rreff?

– Tak, to moja krew. Ale nie bardzo. Tylko trochę. – Miała nadzieję, że Błękitny zrozumie, co ona mówi.

Stwór powiedział coś w swoim języku i do pokoju weszło inne stworzenie. Błękitny wskazał na łóżko; stworzenie zasyczało, a jego podgardle nadeło się na moment. Potem stwór chwycił prześcieradła i ściągnął je z łóżka, składając na podłodze. Błękitny znów coś powiedział i stwór podniósł stosik.

– Dokąd... – zaczęła Ofelia.

– Rrracz! – odpowiedział Błękitny. A potem z satysfakcją dodał, podkreślając wszystkie spółgłoski – Brrrud'ne! To jesssst brrrud'ne! Rrracz!

Ofelia ocknęła się z osłupienia w ostatniej chwili, nim stworzenie wyszło, niosąc pościel i zdążyła zawołać:

– W zimnej! Wypierzcie to w zimnej wodzie.

Błękitny szeroko otworzył oczy.

– Ziaam? – pokazał na siebie. – Ija kh'rreff, ija rracz f zia-am... takh... sze.

– Wy także zmywacie krew zimną wodą? – Ofelia nie zdawała sobie sprawy, że oni w ogóle piorą swoje odzienie, choć nie śmierdzili przecież jak ludzie, którzy zaniedbują higienę.

– Rrracz ff g'rronce, kh'rreff pszTierra. – Gdy się pierze w gorącej wodzie, krew przywiera, przetłumaczyła sobie Ofelia. – Stajie bron-ssowa. – Ofelii sprawiło to niejaki kłopot. Nigdy dotąd nie słyszała, by Błękitny wymawiał dźwięcznie „w”; nie przypuszczała, by chodziło o „bronę” czy „sowę”. „Bron-ssowa” znaczy pewnie brą... brązowa. Staje się brązowa. Właśnie tak.

– Nasza też – odpowiedziała.

Poczuła głód. Kiedy przeszła do kuchni, odkryła, że ktoś – Błękitny Płaszcz? – usiłował zagnieść ciasto na podkłomyki, a zamiast tego narobił bałaganu. Kiedy Błękitny to zobaczył, zatrzepotał powiekami.

– Ffiibacz – przeprosił.

– Dziękuję – powiedziała Ofelia. – Jak miło, że o tym pomyślałeś.

Pokroiła pomidory, zobaczyła, że Błękitny Płaszcz przyniósł jej cebulę z koszyka, więc i ją posiekała. Od zapachu cebuli zawsze łzawiły jej oczy, ale nie potrafiła już nic przyrządzać bez cebuli – tak jak cebula nie potrafi wyrosnąć bez podlewania. I znów Błękitny przewidział, czego będzie teraz potrzebowała, i wręczył jej po łydźce pietruszki, cilantro i rozmarynu. Poszatkowała świeże zioła, dodała je do pomidorów i cebuli, i napełniła tym farszem pierwszy podplomyk.

Po posiłku poczuła się lepiej. Głowa z boku wciąż była obolała, a ciało Ofelii zeszywniałe, jednak nie czuła się chora. Jak gdyby potrafili to wyczuć, Błękitny i drugie stworzenie zostawili ją samą, kiedy myła naczynia, szciotkowała zęby i bandażowała krwawiącą ranę na ramieniu kawałkiem miękkiego płótna.

Słońce stało już dosyć wysoko, gdy wrócili ludzie. Tym razem tylko dwójka, przysadzisty mężczyzna (Ori jakiś tam) i starsza z kobiet, Kira. Ofelia wróciła do pracy w ogrodzie, ponieważ było to kojące zajęcie, ale także ponieważ nie zajmowała się roślinami już od kilku dni. Towarzyszyło jej jedno ze stworzeń, zjadając znalezione przez nią rurkoślizy; inne stworzenie uparło się, że będzie miotłą sprzątać jej dom. Gorące słońce łagodziło ból sińców, choć pot szczypał zadrapania... Nagle stworzenie ćwierknęło i Ofelia podniosła wzrok.

– D’ffa – powiedział stwór. Na wypadek, gdyby nie zrozumiała, podniósł dwa palce.

– Czy Błękitny Płaszcz cię tego nauczył? – zapytała. Stworzenie przechyliło głowę w bok i powiedziało:

– Tyyhy.

Ofelia nie mogła w to uwierzyć; nie spędzała z żadnym z nich zbyt wiele czasu, usiłując uczyć ich swojego języka, przynajmniej nie po kilku pierwszych dniach. Ale jeśli stwór chciał jej przypisać zasługę, to bardzo miłe z jego strony.

– Dzień dobry – powitał ją przysadzisty mężczyzna, kiedy już zbliżył się wystarczająco. – Jak się pani dzisiaj czuje?

– Doskonale – odpowiedziała Ofelia. Jej kosz był prawie po brzegi wypełniony pomidorami; dojrzwały dużo szybciej niż była w stanie je zjadać. – Czy zechciałby się pan poczęstować? Pomidory nie są jeszcze zbyt duże...

– Są przepiękne – odrzekł mężczyzna. – Na statku nieczęsto mamy okazję spróbować świeżej żywności, rozumie pani.

Ofelia nie rozumiała; cały czas pobytu na statku spędziła w kriogenicie. Ale mógł o tym nie wiedzieć.

– Pani ramię... – odezwała się kobieta.

Ofelia spojrzała w dół: rękaw nie do końca zasłaniał siniak i strup.

– To nic takiego – powiedziała, odwracając wzrok. Nie chciała o tym rozmawiać.

– To jest... – zaczęła kobieta.

Ofelia zobaczyła, że mężczyzna uciska ją gestem. To tyle, jeśli chodzi o arogancję Kiry: kobieta musi zamilknąć, kiedy mężczyzna ją uciszy. Ofelia znalazła następnego rurkośliza i cmoknęła, by zwrócić uwagę stworzenia. Podeszło do niej chętnie i zjadło rurkośliza, głośno przełykając. Ofelia spojrzała na ludzi. Rozwarli oczy ze zdumienia. Mężczyzna otrząsnął się pierwszy.

– Pani... żyje z nimi na przyjacielskiej stopie – zauważył.

Ofelia wzruszyła ramionami i natychmiast tego pożałowała. Ramię wciąż bolało, a mężczyzna może uznać, że jej gest był niegrzeczny.

– Są dobrymi sąsiadami – wyjaśniła. – Nie męczą mnie.

– Umie pani z nimi rozmawiać?

– To nie tyle rozmowa – powiedziała Ofelia – co wspólne rozumienie rzeczy. – Pokazała coś ręką. – Często pomagamy sobie rękami.

– Może nam pani wskazać ich przywódcę? – zapytał mężczyzna. – Czy to ten, którego nazywa pani Błękitnym Płaszczem?

Ofelia ciekawa była, czy Błękitny Płaszcz uważa się za przywódcę w takim sensie, w jakim wyraźnie rozumiał to słowo mężczyzna. – Błękitny jest... tym, któremu najłatwiej przychodzi uczenie się nowych rzeczy – powiedziała w końcu. – Słów, na przykład. Błękitnego rozumiem najlepiej.

– Ale czy to on dowodzi? – zapytała kobieta.

Ofelia pokręciła głową – kolejny błąd. Przez moment świat wirował wokół niej, potem znów się uspokoił.

– Tylko w niektórych sprawach – odparła, kiedy już mogła mówić. Wiedziała, że nie potrafi im wytłumaczyć, jakie to sprawy; sama przecież dochodziła do zrozumienia intuicyjnie, po omacku.

– To mała grupa – mruknął mężczyzna do swej towarzyszki. – Ich rządy mogą polegać na zbiorowym konsensusie; może po prostu podejmują decyzje, chaotycznie dyskutując.

– Na pewno nie wszystkie decyzje – odparła kobieta. – Przecież zaatakowali lądującą kolonię; ta akcja musiała być zorganizowana, ktoś musiał dowodzić. A te miasta na wybrzeżu...

– Miasta? – spytała Ofelia. – Oni mają miasta? – Poczuli się zdradzeni; Błękitny Płaszcz nic jej nie wspominał o miastach, a przecież wiele razy widział w jej książkach obrazki miast.

– Widzieliśmy je w czasie przelotów promem – wyjaśniła kobieta. – Niektórzy z nich żyją na północnym wybrzeżu tego kontynentu w czymś, co wygląda jak miasta zbudowane z kamienia i drewna. Mają łodzie...

Ofelia przywołała na pamięć łodzie, które widziała. Tak, mieli je. Ale nie mogła sobie wyobrazić stworzeń, tych, które znała, mieszkających w mieście. Coś w ich nastawieniu do tej wioski sugerowało, że nie mieli domów na stałe. Oprócz gąszczu gniazd.

– Nie będziemy pani przeszkadzać – powiedział mężczyzna, w chwili kiedy Ofelia zastanawiała się, czy powiedzieć mu o gąszczu gniazd. – Weźmy tylko kilka pani pięknych pomidorów i ruszamy w swoją drogę. Będziemy dzisiaj badać okolicę, po prostu chodzić sobie, przyglądając się wszystkiemu. Nie ruszymy niczego, co należy do pani – dodał, jakby już sama jego obecność tutaj nie była wystarczającym pogwałceniem jej spokoju.

Ofelia ponad ogrodzeniem podała im kosz i wybrali sobie po pomidorze.

– Jeśli to pani będzie na rękę – dodał jeszcze mężczyzna – to chciałbym później zadać pani kilka pytań. W końcu stała się pani pierwszym kontaktem, nawet jeśli nie była pani do tego szkolona. – Zachichotał, wyraźnie miało to brzmieć dobroduszenie. I brzmiało dobroduszenie; Ofelia nie umiała wy tłumaczyć, dlaczego tak ją rozgniewał ten chichot. Zapragnęła uderzyć mężczyznę, i to ją przeraziło. Nie należała do tych, co biją ludzi.

– Nie ruszam się stąd – odpowiedziała, nawet dość uprzejmie.

Uśmiechnął się, skinął jej głową i odwrócił się, jednocześnie wbijając zęby w pomidor. Ofelia spojrzała na drogę: ani śladu pozostałych ludzi. Może teraz mogłaby pójść do domu naprzeciwko i popatrzeć na dzieci Bulgot-cmok-ehem.

Eskortujące ją stworzenia poszły za nią i wymieniły pozdrowienia ze strażnikami przy drzwiach; Ofelia zauważyła, że dzisiaj strażnicy trzymali noże na wierzchu. W sypialni Błękitny Płaszcz w swobodnej pozie siedział na starej ramie łóżka i z przymkniętymi oczami śpiewał. Kiedy Ofelia weszła, podniósł się i wyciągnął ręce. Uniósł jej dłonie delikatnie i dotknął ich językiem.

– Cmok-kok-kirrr. – Było to jednocześnie powitanie i stwierdzenie.

Ofelia poczuła się podniesiona na duchu. Zwróciła się w stronę szafy. Bulgot-cmok-ehem wyjrzała z gniazda, czujna, lecz spokojna; Ofelię zastanowiło to, jak łatwo przychodziło jej odgadnięcie wyrazu ich twarzy. Bulgot-cmok-ehem wyciągnęła rękę i Ofelia podeszła bliżej. Małe leżały jedno na drugim w chaotycznej stercie na dnie gniazda, między nogami matki. Ofelia nie potrafiła stwierdzić, który pasiasty ogonek do której dwójki cienkich nóżek należy... ale gotowa była przysiąc, że od poprzedniego dnia dzieci zauważalnie urosły.

Błękitny Płaszcz powiedział coś; Ofelia odwróciła się, a on gestem przywołał ją do siebie. Usiadła obok niego na łóżku, trzymając dziecko na kolanach. Zdawało się zadowolone; tymczasem Bulgot-cmok-ehem karmiła następnę. Ofelia przyjrzała się maństwu dokładnie, widząc je w lepszym oświetleniu niż poprzedniego dnia. Grube pasy na grzbiecie i ogonie odcinały się ciemnym brązem na kremowym tle. W porównaniu z resztą ciała głowa była zbyt duża, ale nie tak duża, jak głowa ludzkiego niemowlęcia. Błękitny Płaszcz nucił; małe podniosło głowę na ten dźwięk. Kiedy mruczenie stało się rytmiczne, lewa stopa dziecka zaczęła drgać do taktu.

Bębnienie lewą stopą oznacza zgodę... dziecko uczy się zgadzać, albo... albo co?

– Szpieewa – powiedział Błękitny. – Cmok-kok-kirrr szpieewa.

Nie wiedziała, co ma śpiewać obcemu dziecku, pasiaSTEMU i z ogonem; jedyne piosenki, jakie znała, to były kołysanki, które nuciła kiedyś własnym dzieciom. Zaczęła śpiewać, z początku skoncentrowana na własnym głosie, dopóki intensywne spojrzenie małego nie pochłonęło jej całkowicie.

– Śpij, dziecino, oczka zmruż... – Stworzonko nie chciało zmrużyć oczek; skulone na kolanach Ofelii, wpatrywało się w jej twarz, jego spojrzenie przeskakiwało z oczu na usta i z powrotem na oczy. – Śpij, kochanie, nie płacz już... – Nie wydawało się, żeby te dzieci kiedykolwiek płakały; małe zdawało się aż drzeć z niecierpliwości, z chęci do... do samego życia?

Śpiewała, aż zachryła, przerwała więc, czując bolesny skurcz w karku, a małe wciąż wpatrywało się w nią, nie okazując żadnych oznak zmęczenia czy nudy. Ofelia podniosła się i sztywnym krokiem odniosła je do gniazda. Niemożliwe, by udało jej się to powtórzyć z każdym z maluchów... Ale Bulgot-cmok-ehem sama zasnęła, a stworzonko, które Ofelia przyniosła, nie budząc nikogo, wkręciło się pomiędzy rodzeństwo leżące na jednej stercie i zamknęło oczy.

– Cmok-kok-kirrr – powiedział Błękitny Płaszcz i wyszedł razem z Ofelią przed dom.

Na drodze w oddali zobaczyła młodszą z kobiet, rozmawiającą z jednym ze stworzeń. Ofelia poczuła węzeł zaciskający jej wnętrzności; popatrzyła na Błękitnego, ale zdawało się, że go to nie interesuje. Stworzenie przystało niezgrabnie, jak półgłówek, pomyślała Ofelia, którym przecież nie było. Przed Centrum na drodze stał wysoki mężczyzna, dowódca, i patrzył na zachód; Ofelia nie dostrzegła za nim nic, prócz samej drogi, znikającej pośród traw. Odwrócił się, zauważył Ofelię i zmarszczył brwi.

– Szukałem pani – powiedział, jakby Ofelia nie przyszła na umówione spotkanie.

Nie chciała zachować się niegrzecznie, ale nie było na to odpowiedzi. Nie szukali jej tam, gdzie była; nie wołali dość głośno, by ich usłyszała. Czy to jej wina? Uśmiechnęła się, choć napięcie i niechęć ścisnęły jej żołądek.

– Musi pani zrozumieć, w jaki sposób zamierzamy wypełnić naszą misję – powiedział po chwili mężczyzna. – Będziemy prowadzić badania i nawiążemy oficjalny kontakt z tymi... z autochtonami. Z pewnością myśli pani, że już nawiązała kontakt, ale przecież nie była pani przeszkolona do takich spraw. Była pani... ee... kim? Gospodynią domową?

Ofelia nie poprawiła go. Kimkolwiek była, według wykazu pracowników Kompanii, nie miało to teraz żadnego znaczenia. Jakikolwiek by otrzymała wykształcenie, nic by to nie znaczyło dla takiego człowieka, jak ten.

– Miałem na myśli, że to nie należy do pani obowiązków – ciągnął, jego twarz błyszczała w słońcu. – Dobrze się pani spisała, z pewnością, utrzymując z nimi pokojowe stosunki, ale teraz my tu jesteśmy i przejmujemy sprawę, uwalniając panią od ciężaru. – Wziął głęboki oddech,

jakby chciał powiedzieć coś więcej, potem powoli wypuścił powietrze. – Rozumie pani, prawda?

Nie rozumiała wszystkiego, ale rozumiała dosyć. Ona się nie liczy, nie ma znaczenia, jest niczym. Otóż to, zgodził się stary głos. Tak właśnie jest; tak zawsze było. Zaakceptuj tę sytuację, a oni zaakceptują cię taką, jaką jesteś. Starą kobietą. Niczym.

– I będziemy musieli coś wymyślić... – powiedział niejasno, nie patrząc na nią – jeśli chodzi o maszyny...

Zmroził ją strach. Potrzebowała maszyn.

– Co takiego? – zapytała, choć obawiała się, że zna odpowiedź.

Mężczyzna uczynił niecierpliwy gest.

– Zaawansowana technologia. Nie mogą dostać tych urządzeń. Nie powinni ich byli w ogóle oglądać. Jednym z zadań naszej misji jest wyłączenie wszystkiego. Przypuszczam, że moglibyśmy znaleźć pani jakieś miejsce... to wina Simsa; będą musieli zapłacić swego rodzaju odszkodowanie, a to powinno wystarczyć na opłacenie miejsca w jakimś domu...

– To znaczy... mam wyjechać? – Ofelii pociemniało w oczach; zmuszała się do oddychania. Nie zemdleje na oczach tego człowieka.

– No, przecież nie może pani zostać tutaj – powiedział, jakby to było oczywiste. – Nawet jeśli założymy tu stałą misję... nie będzie stanowiska dla kogoś... kogoś w pani wieku, rozumie pani. No i trzeba zabezpieczyć technologię, zapobiegać skażeniu kulturowemu... będzie to trudne zadanie nawet dla wyszkolonego personelu. Może się pani wprowadzić do nas, na pokład promu; wtedy będziemy mogli zamknąć elektrownię...

– Nie teraz.

– Ależ nie dzisiaj – uspokoił ją mężczyzna, tak jakby to miało jakieś znaczenie. – Przypuszczam, że są tu już od dłuższego czasu; niemożliwe, byśmy zapobiegli temu, co już zobaczyli. Sądzę, że nie mogli zrozumieć większości z tych rzeczy, ale im dłużej będą mieli do nich dostęp, tym większa szansa, że dowiedzą się zbyt wiele. Kiedy zakończymy już wstępne prace... wtedy może się pani szykować do wyjazdu. – Uśmiechnął się szerokim uśmiechem kogoś, czyje decyzje nie mogą zostać zmienione. – Niech się pani nie martwi... yy... Sera Falfurry... zaopiekujemy się panią. Nie będzie już pani sama.

Wszedł do Centrum swobodnym, rozkołysanym krokiem, zadowolony ze swojej demonstracji władzy. Ofelia nie mogłaby się teraz ruszyć, nawet gdyby ktoś ją pchnął; żałowała, że nie może jej zabrać mocniejszy podmuch wiatru. Nie miała jednak takiego szczęścia: najłżejszy wietrzyk nie poruszał liśćmi. Błękitny Płaszcz ćwierknął i Ofelia spojrzała na niego. Głową wskazał odchodzącego człowieka.

– K'ss-ehem-cmok – powiedział.

– Przemądrzały, apodyktyczny gbur – oświadczyła Ofelia; nie miała wątpliwości, że chodzi mu o to samo.

W domu, sama, ponieważ Błękitny Płaszcz nakazał innym wyjść i postawił ich na straży przed drzwiami, Ofelia oddała się bezgłośnie rozpacz; szarpiąc czyste prześcieradła, zaczęła ścielić łóżko, z rozmachem cisnęła poduszkami. Nie wyjedzie. Przedtem nie wyjechała i teraz też nie wyjedzie. Nie mogą jej zmusić.

A właśnie, że mogą, odezwał się stary głos. Zrobią tak. Wiedzą, że raz się wymigałaś; nie możesz tego zrobić powtórnie.

To niesprawiedliwe, zawodziła bezgłośnie. Tak ciężko pracowałam. Tyle tu zrobiłam; to ich wina.

To nie ma znaczenia, ciągnął stary głos. Dla nich jesteś niczym; oni mają władzę i zabiorą cię stąd. Stary głos przypominał Ofelii, jak bardzo jej protesty przypominają protesty Rosary i innych kolonistów, protesty, których słuchała z taką pogardą, wtedy, kiedy myślała, że może uciec. Na to też się teraz wściekała.

W końcu, wyczerpana, opadła na poduszki i zasnęła, budząc się dopiero w ciszy popołudnia. Słyszała głosy na zewnątrz, ludzkie głosy; kiedy wyjrzała przez okno od frontu, zobaczyła, że dwie kobiety idą obok siebie drogą, tak bardzo podobne do jej dawnych sąsiadek, że o mało co do nich nie zawołała.

Nie są jej sąsiadami. To wrogowie, którzy chcą ją stąd zabrać. To wrogowie, którzy zniszczą wszystko, dla czego pracowała, życie, które sobie ułożyła, nowych przyjaciół, których znalazła.

Następnego ranka niski mężczyzna, Ori, pojawił się koło płotu od ogrodu, by z nią porozmawiać. Chciał zadawać jej pytania i słuchać odpowiedzi, podczas gdy ona pracowała; pytał nawet całkiem inteligentnie, o gatunki fasoli, pomidorów i kukurydzy, które wybrała do uprawy. Wbrew sobie stwierdziła, że łatwo jej przychodzi opowiadać mu, jakich odmian dostarczyła im Kompania, a jakie koloniści sami wyhodowali.

– Więc byli wśród was genetycy? – zapytał mężczyzna. Gdyby miał uszy jak zwierzę, to teraz byłyby nadstawione czujnie.

– Nie... nie tacy, jak na uczelniach – odpowiedziała Ofelia. Jak mu to wytłumaczyć? – Uczono nas tego, co było uważane za przydatne – powiedziała w końcu. – Praktycznych rzeczy. Jak wybierać najlepsze egzemplarze na ziarno. Jak naprawiać pompy, elektrownię i przetwórnice odpadów. Ale w większości wypadków nie chciano nam wyjaśniać, dlaczego należy coś robić tak, a nie inaczej.

– Czy to was martwiło? – zapytał, tym razem bez większego zainteresowania.

Ofelia ku swojemu zaskoczeniu potrafiła mu odpowiedzieć.

– Nie bardzo. Mieliliśmy dużo rzeczy do nauczenia się i bardzo mało czasu. – Nie wydawało się wówczas, że to mało czasu, te wszystkie noce spędzone na zajęciach albo na nauce w domu, kiedy dzieci były małe i mogłaby zamiast tego naprawiać i czyścić ubrania albo po prostu odpoczywać. Ale – w przeliczeniu na godziny – mieli zbyt dużo praktycznego materiału do

opanowania, żeby pozwolić sobie jeszcze na teoretyczne dygresje.

Ori, zadowolony z odpowiedzi, swobodnie oparł się o płot, Ofelia nie wdawała się w dalsze wyjaśnienia.

– A teraz... kiedy po raz pierwszy zobaczyła pani stworzenia, co pani zrobiła? O czym pani myślała? Czy od razu je pani rozpoznała?

Pierwszy raz... Musiała zacząć od huraganu i swoich prób przygotowania wioski na uderzenie wichury. To go znudziło, choć nie powiedział tego głośno; jego wzrok odpłynął, patrząc na coś całkiem innego, coś poza głową Ofelii. Kiedy minutę czy dwie później w zasięg jej wzroku weszła Bilong, Ofelia wiedziała już, co to było.

Opowiedziała im o pierwszym popołudniu, spędzonym w ukryciu przed sztormem, o nocy i kilku pierwszych dniach. Z początku Ori pozwalał jej mówić i nie przerywał, tylko ponaglał ją, by kontynuowała, kiedy zamilkła. Ale potem chciał zadawać pytania. Jak po raz pierwszy zauważyła, że to istoty inteligentne? Skąd wiedziała, kto im przewodzi? Czego się dowiedziała o ich strukturze społecznej? Jakie mają zasady, jeśli chodzi o terytorium?

– Nie wiem – powtarzała. – U nich jest inaczej... We wszystkim, od dzielenia żywności, przez podejmowanie decyzji, aż do oznaczania statusu.

Im więcej mężczyzna zadawał pytań, tym bardziej Ofelia czuła, że nie wie o stworzeniach absolutnie nic. Nigdy nie przyszło jej do głowy zastanowić się, czy obie płci mogą nadymać podgardla. Usiłowała w ogóle nie myśleć o ich płci. Kiedy wyznała to nieśmiało, mężczyzna posłał jej taki uśmiech, jakim dorośli uśmiecha się do niedorozwiniętego dziecka.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Antropolodzy patrzą na te sprawy inaczej. – Czyli prawidłowo, to miał na myśli. Fakt, że był zbyt uprzejmy, by to powiedzieć głośno, wcale nie poprawiało sytuacji.

Zadawał jeszcze więcej pytań, a Ofelia mówiła mu, co wiedziała... tylko nie o dzieciach, nie o byciu cmok-kok-kirrr. Bała się, że ktoś mógłby skrzywdzić małe, i nienawidziła siebie za świadomość, że ludzie zapewne zabiliby te maluchy, gdyby uważali to za rozważne posunięcie. Temu akurat mężczyźnie o łagodnym głosie Ofelia mogła zaufać, tylko że jego wzrok zbyt często wędrował ku młodej kobiecie... a jego rywalem był wysoki dowódca o zimnym spojrzeniu, któremu Ofelia nie ufała ani trochę.

Po tej jednej długiej rozmowie Ori już do niej nie wrócił. Widziała go w oddali, jak chodzi za stworzeniami, ze swoim szkicownikiem na kolanie siada wszędzie, gdzie tylko może je obserwować. Powiedział Ofelii, że rysowanie czegoś czasami więcej go nauczyło niż najlepsze nagrania video. Pokazał jej kilka pierwszych szkiców i Ofelia podziwiała pełne wdzięku linie, poprowadzone pewnym i szybkim ruchem, które, zdawało się, uchwyciły istotę kształtu i ruchu stworzeń. Chciałaby zobaczyć jego rysunki małych, czujność, z jaką unosiły swe ryjkowate główki na giętkich szyjach, błyskawiczne ruchy pasiastych ogonów.

Dowódca zespołu ignorował ją kompletnie: ledwo kiwał głową, kiedy ją spotykał, krocząc tam i z powrotem ulicami, wchodząc do prawie wszystkich budynków. Bez końca mówił coś do dyktafonu zawieszzonego u pasa. Zdaje się, że robił inwentarz wszelkich przedmiotów ziemskiego pochodzenia w osiedlu, z dokładną ewidencją nawet liczby krzewów pomidorowych. Unikał domu, w którym gnieździła się Bul-got-cmok-ehem; Ori nalegał, żeby ludzie nie wkraczali na siłę tam, gdzie stworzenia zaznaczyły wyraźnie, że nie są mile widziani.

Wysoka kobieta odbyła kilka krótkich wypraw do lasu, zbierając próbki roślinności, zarówno ze strefy przejściowej, jak i z terenów porośniętych wyłącznie miejscowymi gatunkami. Zarzuciła wędki nad rzeką, porozstawiała pułapki na małe zwierzęta. Stworzenia obserwowały ją z minami, które Ofelia rozumiała jako mieszaninę zachłannej ciekawości i lekkiego niesmaku. Nie potrafiła zapytać ich o to, co sama chciała wiedzieć: czy nie przeszkadza im obcy łowca na ich terytorium, i to łowca, który nawet nie je tego, co schwytał?

Młodsza kobieta, Bilong, zdawała się spędzać większość czasu, wędrując ód człowieka do człowieka; miała magnetofon i rozmieściła w Centrum mikrofony – Ofelia widziała to i zakładała, że Bilong rozmieściła je także w innych miejscach – żeby rejestrować próbki mowy. O czym Ofelia wiedziała, a Bilong nie, to o tym, że stworzenia dokładnie zdają sobie sprawę z tego, gdzie umieszczone są mikrofony, zabawiają się, stając pod nimi i recytując... recytując coś, co, tak Ofelia przypuszczała, było po prostu litanią wyrazów, pozbawioną sensu. W takich chwilach ich mowa na pewno pozbawiona była tego rytmu i uczucia, które cechowało ją przez większość czasu.

Ofelia wróciła do starego trybu życia, w miarę możliwości przemykając się na drugą stronę ulicy, żeby się pobawić z szybko rosnącymi i bardzo aktywnymi dziećmi, kiedy tylko ludzi nie było w zasięgu wzroku. Dostyc często się to zdarzało. Ofelia podejrzewała, że stworzenia maczają w tym palce, że przyczyniają się do tego, by Cmok-kok-kirrr miała dużo czasu na kontakt z małymi.

W ciągu tych pierwszych dni maluchy zmieniały się w szybszym tempie niż dzieci ludzkie. W tym sensie były bardziej podobne do młodych cieląt czy jagniąt, szybko stawały się czujne i żwawe. Ofelia zawsze przypuszczała, że początkowy powolny rozwój ludzkich niemowląt idzie w parze z wysoką inteligencją – że wszystko, co rodzi się zdolne od razu stanąć na nogach i biegać, rodzi się także ograniczone, bliskie już możliwości umysłowych dorosłych osobników. Pamiętała szkołę dla rodziców, lekcje na temat wczesnego rozwoju dziecka, podczas których tego właśnie ją uczono. Dzieci potrzebują dużo czasu, by dorosnąć, ponieważ mają do pokonania długą drogę; ludzki mózg musi się zorganizować, nauczyć się, jak ma się uczyć. Małe innych zwierząt mogą rodzić się z dużą liczbą zachowań zapisaną w mózgu, ponieważ później nie muszą umieć dużo się uczyć.

Te dzieci... już teraz ich wysokie piski brzmiały jak mowa. Już teraz ich rychliwe,

czteropalcie dłonie manipulowały przy łądkach trawy i gałązkach ziół w gnieździe. Kiedy dorosły podawał im puste tykwy, wkładały do środka kamyki, potem je wyjmowały. Sprzeczały się ze sobą, popychały i szczypały, używając ogonów, by się nawzajem przytrzymać... ale te sprzeczki szybko przemieniały się we wspólną zabawę, jeśli tylko ktoś podał im zabawkę. Kiedy miały dziesięć, dwadzieścia dni, przypominały trzyletnie dzieci ludzkie.

Ofelia nie mogła tylko stać i patrzeć; spostrzegła, że jest używana jako narzędzie do zabawy, żywy tor przeszkód. Inne stworzenia, jeśli chciały, by dzieci dostały jakiś przedmiot, podawały go Ofelii: tykwy, koraliki, kamyki, kawałki sznurka. To ona syczała z dezaprobatą, kiedy jedno z małych owinęło sobie sznurek dookoła szyi. Dziecko zastygło z szeroko otwartymi oczami. Ofelia udała, że się dusi, zaskrzeczała z głębi gardła. Dziecko zamrugało; pozostałe, przysiadłszy na nogach i ogonach, zaskrzeczały miękko. Ku jej zaskoczeniu, żadne już nigdy nie próbowało zabawy ze sznurkiem.

Strumień wody zabębnił o zlew, budząc ją z zamyślenia. Jedno z małych stało na długim kranie ponad głębokim zlewem; miało pazury zahaczone o kurek z zimną wodą i ciągnęło; dwa inne stworki, przytrzymując się ściany, pchały ten sam kurek stopami. Teraz, kiedy Ofelia spojrzała, właśnie zmieniły kierunki działania: te, które pchały, zaczepiły pazury o kurek i zaczęły ciągnąć. Ten na kranie usiłował pchać... stracił oparcie dla stóp i z pluskiem wpadł do zlewu. Ofelia podniosła się i zanurzyła rękę w wodzie. Pazurki wczepiły się w jej dłoń, kiedy mały wspinał się po jej ramieniu, skrzecząc ze złością.

To tyle, jeśli chodzi o ochronę. Będą musiały się nauczyć, jak używać urządzeń bezpiecznie; nie ma sposobu, by je powstrzymać od używania technologii.

Choć codzienne sesje z małymi przepełniały Ofelię zachwytem, czuła stale ciężący jej niepokój. Pewnego dnia – jednego z tych prawie niezliczonych dni – dowódca grupy pomyśli, że zrobili już dosyć, zobaczyli dosyć, i rozkaże Ofelii przenieść się na pokład promu. Będzie musiała odejść – albo umrzeć. Tym razem nie myślała o żadnym sposobie ucieczki, to nie wchodziło w rachubę, skoro nie mogła jeść miejscowej żywności, skoro ci ludzie byli tak zdeterminowani, by ją znaleźć i przyprowadzić z powrotem. Będzie musiała odejść i pozostawić stworzenia – swoje obowiązki, dzieci – innym, którym nie ufa.

ROZDZIAŁ 18

Całymi dniami Ofelia nie miała prawie żadnego kontaktu z ludźmi – oprócz uprzejmych, lecz zdawkowych pozdrowień, świadczących jasno, że nikt nie ma czasu, żeby marnować go na rozmowę ze starą, nieuczoną kobietą; lecz nagle zauważyła, że tamci znów zaczęli ją dostrzegać. Nie była pewna, czy jej się to podoba. Podejrzewała, że to sygnał, iż zakończyli już zadania kontaktowe, jak je nazywali, i że szykują się do „ostatecznego rozwiązania” jej kwestii (słowa dowódcy zespołu) oraz kwestii kolonii i stworzeń.

Zmiana zaczęła się od lekkiego ocieplenia powitań, uprzejmych zapytań o jej zdrowie czy o urodzaj w ogrodzie. Wysoka kobieta zauważyła i skomplementowała naszyjnik zrobiony przez Ofelię. Przsadzisty mężczyzna powiedział jej, iż odkrył, że Błękitny Płaszcz jest minstrelem czy też grajkiem, śpiewakiem. Młodsza z kobiet zaczęła po prostu łązić za Ofelią, niewiele mówiąc, całkiem jak nieznośne dziecko. Ofelia zauważyła, że Bilong zwędziła jeden z naszyjników, który teraz nosiła, i że zbyt wiele guzików koszuli pozostawia nie zapiętych. Po paru dniach snucia się za Ofelią, którą doprowadziło to niemal do grubiańskiej reakcji, Bilong zaczęła rozmowę. Zapytała, w jaki sposób Ofelia nauczyła stworzenia mówić.

Ofelia udzieliła wyjaśnień najlepiej, jak umiała. Próbowwała uczyć je tak, jak uczyła dzieci – ludzkie dzieci, dodała, choć Bilong nie wiedziała przecież nic o innych.

– Nie tak uczy się języka – oznajmiła młoda kobieta. – Ludzkich dzieci nie potrzeba specjalnie uczyć – uczą się po prostu same.

Bilong starała się być uprzejma. Ofelia potrafiła to rozpoznać, zorientowała się też, że ta kobieta traktuje ją z przesadną wyrozumiałością, jak niegrzeczne dziecko. Sama Ofelia starała się nie oburzać na arogancję, która nie była przecież zamierzona.

– Niektóre dzieci tak – zgodziła się Ofelia. Prawdopodobnie większość. Ale czy którakolwiek matka potrafi się powstrzymać od nauczania?

– Wszystkie – z naciskiem powtórzyła Bilong. – Wszystkie ludzkie dzieci same uczą się mówić, ponieważ stworzone są, by posługiwać się ludzkim językiem.

Ofelia żałowała, że nie może sobie przypomnieć, jak zrobić to, co robiła przez długie lata: odizolować się od rozmowy i pozwolić jej płynąć obok, ale zmieniła się – nie cofnie już wskazówek zegara.

– Dziecko Sary – usłyszała, że się odzywa, choć jej stary, ostrożny głos uprzejmie prosił ją, by siedziała cicho – nie mogło mówić, choćby nie wiem co.

– Miałam na myśli normalne dzieci – wyjaśniła kobieta już nie tak cierpliwie. – Ale to są Obcy, Ofelio; mogą nazywać cię Ofelią, prawda?

Dziewucha z tej dzielnicy nie ma powodu, by się wywyższać, mawiał ojciec Ofelii. Pycha poprzedza upadek, ktoś powiedział. Kto głowę wysoko nosi, sam o nóż się prosi. Jesteś niczym.

– Sera Ofelia – poprawiła młodą kobietę z lekkim naciskiem.

– Och... Sara? Wybacz; myślałam, że masz na imię Ofelia.

Kobieta zdawała się zmieszana, ale pełna dobrej woli.

Z akcentu, z jakim mówiła Bilong, Ofelia zorientowała się, że kobieta nie może słyszeć różnicy między imieniem Sara i tytułem Sera. Nie zwróciła też pewnie uwagi, kiedy przysadzisty mężczyzna zwrócił się do Ofelii poprawnie, nazywając ją Sera Falfurrias. Ofelia nie oświeciła kobiety w tym względzie. Czekala, mając nadzieję, że jej własna twarz pamięta jeszcze ten wyraz łagodności i pustki, który już wiele razy zaoszczędził właścicielce kłopotów.

– Saro – powiedziała lingwistka. – Pozwól, że wyjaśnię ci, jak to jest z językami Obcych. – Ofelia trwała w milczeniu, ale jej umysł aż trzeszczał od komentarzy. – Nie są podobne do ludzkich języków – ciągnęła lingwistka. Och, czyżby? Czy ona myśli, że Ofelia sama tego nie zauważyła? – Ponieważ biologicznie natura Obcych jest inna, sama struktura ich mózgów – jeśli możemy nazywać je mózgami, co jest wątpliwe – wymusza odmienną strukturę języka.

Ofelia z trudem stłumiła parsknięcie. Bez względu na to, co ma mózg do języka, niektóre komunikaty muszą być takie same. Jestem głodny, daj mi jeść. Czuję ból, pociesz mnie. Chodź tutaj. Idź sobie. AUUA. Zrób to jeszcze raz. Co to jest i jak to działa?

– Po prostu nie mogą chcieć przekazać takich samych znaczeń – zakończyła lingwistka, tym samym dopełniając obrazu idiotki. Rozwaga rozwiła się jak dym; Ofelia zbyt długo cieszyła się swobodą wypowiedzania myśli, nawet, jeśli mogła mówić tylko do siebie.

– Muszą przekazać choć kilka tych samych znaczeń – powiedziała. – Kiedy są głodni. Kiedy czują ból.

Młodsza kobieta uniosła brwi.

– No cóż... Jest kilka prawie uniwersalnych komunikatów. Ale te właśnie są najmniej ciekawe; nawet gatunki, które nie wykształciły języka, mogą wydawać odgłosy związane z głodem czy bólem. Poza tym w znanych nam językach te komunikaty nie są wcale wyrażane w ten sam sposób. Na przykład Goeci mówią dosłownie: „wyschła moja żywica”, gdy chcą powiedzieć, że są głodni, w jednym zaś z dialektów twojego języka... – Bilong powiedziała „twojego języka” w taki sposób, jakby był on wyjątkowo głupi – ...południowo-nariańskim, jak mi się wydaje, nikt nigdy nie powie „boli mnie” – zawsze używana jest forma „ja bolę”.

Ofelia dłuhała przez chwilę stopą w ziemi, przypominając sobie tamtą rzeczywistość. Nie słyszała w życiu o Goetach – czy to Obcy? – ale miała jedną ciotkę z Południowego Narianu i doskonale wiedziała, że ta ciotka mówiła „boli mnie noga”, kiedy się na czymś potknęła. Czy ta lingwistka mówi „ja bolę”, kiedy bolą ją plecy? A może, bardziej sensownie, mówi „bolą mnie plecy”? Ofelii przyszło do głowy pytanie, które mogłaby zadać.

– Ile języków Obcych znasz?

Kobieta zaczerwieniła się.

– Cóż... w zasadzie... żadnego. To znaczy, naprawdę języka Obcych. Nikt nigdy żadnego nie odkrył. Ten będzie pierwszy. – I, jakby Ofelia powiedziała na głos to, co myśli, Bilong szybko dodała: – Naturalnie ćwiczyliśmy na językach stworzonych przez komputer. Modelatory sieci neuronowych stworzyły symulacje sieci Obcych i ćwiczyliśmy na językach przez nie generowanych.

Ofelia starała się, by jej twarz niczego nie zdradzała. Rozumiała, co to znaczy: stworzyli maszyny, które mówiły językiem maszyn, i na tej podstawie myśla, że nauczyli się rozumieć języki Obcych. Głupcy. Maszyny nie myślą jak Obcy, ale jak maszyny. Stworzenia nie są maszynami – daleko im do tego.

Ale oto lingwistka przysunęła się bliżej, pragnąc się zwierzyć, jakby Ofelia była jej ukochaną ciotką albo babką.

Ofelia nie chciała być matką ani babką Bilong. Skończyła już z odgrywaniem tych ról, z byciem dobrym dzieckiem, dobrą żoną, dobrą matką. Włożyła w to siedemdziesiąt lat z hakiem; ciężko nad tym pracowała; teraz chciała być tylko Ofelią, która maluje, rzeźbi i śpiewa starym, chrypiącym głosem razem z dziwnymi stworami, w takt ich dziwnej muzyki. Rola, którą powierzyły jej stwory, wystarczała aż nadto.

– To wszystko przez to napięcie – mówiła lingwistka. – Pewnie nie powinnam ci o tym mówić... – Więc nie mów, pomyślała Ofelia. Nie mów mi. Nie chcę tego słyszeć. – ...ale jesteś mądra, nawet jeśli nie masz wykształcenia.

Arogancja tego stwierdzenia prawie wyrwała Ofelii z gardła odpowiedź, ale udało jej się ją stłumić. Mądra, choć bez wykształcenia? A co ma mądrość do wykształcenia? Poza tym Ofelia miała wykształcenie: spędziła godziny na nauce, całe noce i wczesne ranki, ucząc się, jeszcze zanim to dziecko przyszło na świat. Ta... ta siksa, która nie umiałaby naprawić pomp, która beztrudno przechodzi między krową i jej cielakiem.

– Chodzi o to – ciągnęła dziewczyna, szczęśliwie nieświadoma myśli Ofelii – że oni nie lubią się nawzajem, nigdy się nie lubili. Więc mojej osoby używają jako wymówki. Jeden mówi, że flirtuję, drugi mówi, że nie flirtuję, i...

– A flirtujesz? – zapytała Ofelia. Uważała, że tak właśnie jest. Po co inaczej używać takich perfum? Po co kołysać młodym ciałem, dojrzałym jak winne grona na pnączu, każdym ruchem deklarując chęć, by zostać zerwanym i zjedzonym?

– Oczywiście, że nie. – Gwałtowny ruch i pełne oburzenia spojrzenie. Dokładnie tak samo, jak Linda, która zawsze mową przeczyła temu, co ogłaszała wszem i wobec biodrami. Ale to nie jest Linda. – No może... troszkę. Ale nie naprawdę, rozumiesz, to nie tak samo, jak w twojej kulturze, no wiesz. – I znów ta subtelna łaskawość. – Nie mamy tych samych zasad... – Jakby biologia ludzi usuwała się na bok dla ich wygody, jakby mężczyźni nie byli zwierzętami, z wrodzonymi reakcjami na zapachy i ruchy. – Dosyć lubię jednego z nich i nie widzę powodu,

dla którego nie miałby o tym wiedzieć. Ale to naprawdę nie jest flirt.

– Uprawiasz z nim seks? – zapytała Ofelia.

Dziewczyna oblała się rumieńcem i zmarszczyła brwi.

– To nie twoja... – Przerwała gwałtownie i wyraz jej twarzy zmienił się, jakby ktoś przeciągnął ręką po glinianej tabliczce. – O, Kira, cześć. Jak tam wasz wywiad technologiczny?

Ofelia spojrzała w górę, na drugą kobietę. Starsza, ostrożniejsza od młodszej, ale i tak młodsza niż Ofelia. Była o coś zła, Ofelia podejrzewała, że chodziło o wybryki młodszej dziewczyny.

– Za dwadzieścia minut jest zebranie zespołu, a ty do tego czasu masz mieć gotową wstępną analizę...

– Nie mogę... to za mało czasu... mogę tylko omówić surowe dane...

– Więc zrób to. – Groźna niczym ściana chmur zwiastująca huragan, Kira stała nad młodszą kobietą tak długo, aż ta wstała i odeszła, sztywno prostując ramiona.

– Jesteś zła? – zapytała Ofelia. Oparła się plecami o nagrzaną od słońca ścianę. Miała nadzieję, że wygląda na starą i głupią.

– Bilong nie powinna marnować czasu na rozmowy z panią – odpowiedziała Kira. – Ma pracę do wykonania.

Ofelia czekała. Widziała już przedtem takie same manewry, kiedy starsze dzieci przeganiały młodsze. Tak naprawdę one także chciały mieć szansę na kilka chwil spędzonych z matką lub babką.

Kira westchnęła w ten dramatyczny sposób, który oznaczał, że i ona ma zamiar się zwierzać. Ofelia pozwoliła opaść powiekom. Może Kira zmieni zdanie, jeśli Ofelia będzie wyglądała wystarczająco głupio.

– Nie jest pani gadułą – powiedziała Kira. Błąd. Ta kobieta chce się zwierzyć, nie ryzykując, a do tego wystarczy głupia i małomówna baba. Ofelia otworzyła oczy, ale za późno było teraz udawać czujną plotkarę. Kira wykrzywiła usta. – Poza tym nie przypuszczam, by była pani choć w połowie tak tępa, jak pani udaje. Głupiec nie przeżyłby sam równie długiego czasu.

Słuszne spostrzeżenie, nawet jeśli niepochlebne. Ofelia chciałaby, żeby choć raz ludzie postrzegali ją taką, jaka jest, a nie taką, jaką malują ją ich wyobrażenia.

Spojrzała na Kirę: krótkie włosy były tak starannie ułożone, że musiała to być jakaś konkretna fryzura; gładka skóra ledwo ujawniała pierwsze zmarszczki. Kim jest ta kobieta tak naprawdę?

– Nie wydaje mi się, żebym była głupia – powiedziała.

Kira szeroko otworzyła oczy, by zaraz je zmrużyć.

– Nie. Widzę to. Czego nie widzę, to jakiegoś powodu, dla którego pani postanowiła tu zostać.

– Nie – powiedziała Ofelia, naśladowując sposób mówienia Kiry. – Widzę, że nie widzisz. Ale jesteś za młoda.

– Nie chciała pani umrzeć na pokładzie statku, w kriogenicie?

Zdenerwowana Ofelia wzruszyła ramionami. Zawsze muszą wracać do tematu śmierci, ci młodzi; chyba mają obsesję. Spróbowała to wyjaśnić:

– Nie chodziło o śmierć. Chodziło mi o życie. Gdyby udało mi się zostać, byłabym sama...

– Ależ nikt nie przetrwa w kompletnej izolacji – oświadczyła Kira, przerywając Ofelii, jak to już robiła przedtem, jak oni wszyscy robili. – Musiała pani być okropnie samotna. Miała pani szczęście, że w odpowiedniej chwili pojawili się autochtoni.

Nie miało sensu tłumaczyć, że nie czuła się samotna. Ofelia już tego próbowała, i patrzyli wtedy na nią z takim współczuciem, z taką wyższością.

– Może jestem szalona – powiedziała.

– Pani psychoprofil nic takiego nie ujawnił – poinformowała Kira.

A więc wtykali też nos do jej akt personalnych. Sama nigdy tego nie zrobiła. Znow zaczął się w niej powoli rozpałać gniew. Jakże mieli do tego prawo? Nie należeli do jej ludu: nie byli jej rodziną, przyjaciółmi, osadnikami z jednej kolonii, nie byli nawet kimś, do kogo zwróciła się o pomoc. – To nie jest... normalne – dodała kobieta – pragnąc być jedynym człowiekiem na całym świecie. – To nie jest normalne.

– Więc ja nie jestem normalna – odrzekła Ofelia. Z tą kobietą nie wygra, milcząc: o tym już się przekonała.

– Ale dlaczego?

Ofelia wzruszyła ramionami.

– Nie podobały ci się moje poprzednie odpowiedzi; powiedziałas, że nic nie rozumiem. Czy mam ci zdradzić prawdę, którą znam, czy też próbować odgadnąć nieprawdę, którą chcesz usłyszeć?

Kira szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. A to niespodzianka, staruszka pokazuje pazury.

– Nie musi pani być tak... reagować tak gwałtownie. Byłam tylko ciekawa. – Wyglądało na to, że się obraziła. Świetnie. Niech sobie będzie obrażona.

– Chciałam być sama. Nie byłam sama od lat. Nie przeszkadzała mi samotność, kiedy byłam dzieckiem, i teraz też mi nie przeszkadzała.

Kira lekko wstrząsnęła swą doskonałą fryzurą, odrzucając od siebie zrozumienie.

– Czy to dlatego, że pani mąż i dzieci zmarły tutaj? A pani czuła wtedy ich bliskość?

Ofelia westchnęła i odepchnęła się od ściany, powoli wstając na nogi. Ci ludzie są prawie tak obcy, jak stworzenia, mniej nawet niż one zainteresowani zrozumieniem jej.

– Nie usłyszysz, jeśli nie zaczniesz słuchać – powiedziała, dla podkreślenia swych słów ciągnąc się za ucho. I tak sami podejmą decyzję i nic, czego by się od niej dowiedzieli, tej decyzji

nie zmieni.

Ominęła przeciwległy róg swojego domu i wyszła na łąki. Kira szła za nią kilka kroków, mruczając coś niezrozumiale. Potem została w tyle. Ofelia nie odwróciła się, by na nią spojrzeć, ale czuła wzrok Kiry wbity w swoje plecy.

Na pastwisku, pośród na szczęście milczących owiec, które o tej porze dnia ignorowały ją całkowicie, na otwartej przestrzeni, Ofelia znalazła schronienie przed ludźmi. Kosz, który przyniosła, posłużył jej do zebrania owczych odchodów. Rozsypała je później wzdłuż zewnętrznego skraju pastwiska, wspomagając terraformujące trawy tą mieszanką bakterii i grzybów; dzięki temu granice łąki pozostawały wyraźne.

Nowi ludzie nie cierpieli owczych odchodów, nie znosili niczego, co było czuć życiem: „cuchnie organicznie”, tak to ujmowali. Nie chcieli mieć z nią do czynienia, kiedy wykonywała prace, które uważali za brudne. Po pierwszym zachwycie nad świeżymi pomidorami zniechęcili się, kiedy odkryli, że Ofelia nie sterylizuje owczego i krowiego nawozu i odpadków z kuchni, które wrzuca do dołu z kompostem, a potem użyźnia nim grządki. Nie chcieli się więcej częstować pomidorami i nie przyjmowali zaproszenia na chłodny napój z owoców – choć sami zrywali owoce prosto z drzew, a potem szorowali je w kuchennym zlewie w Centrum.

Ofelia nie mogła nie zauważyć kontrastu między zachowaniem ludzi a zachowaniem stworzeń. Stary głos, zadowolony i pewny siebie, mówił jej, że to było do przewidzenia. Dla ludzi Ofelia może nie znaczyć nic; oni umieją oceniać innych ludzi i ona znajduje się na samym spodzie. Stworzenia mogą o tym nie wiedzieć. Może lubią ją, ponieważ jest pierwszym człowiekiem, jakiego spotkały; może cenią ją ze względu na to, że jest kimś nowym. Jakikolwiek jest powód ich szacunku dla niej, nie mogą jej cenić za nic istotnego; nie wiedzą przecież, co jest istotne.

W upalnym słońcu owcze bobki szybko wysychały i Ofelia zbierała je bez obrzydzenia, choć męczyło ją ciągle schyłanie się. Głowa bolała ją teraz tylko wtedy, kiedy sama się pochylała, jakby cała krew spływała do tej napuchniętej guli i pulsowała w niej. Może tak właśnie było. Koszula, w którą była ubrana, ciągnęła w ramionach. Stary głos powtarzał Ofelii, jaka jest stara, słaba i bezużyteczna. Nowy głos milczał, ale tkwił w jej sercu jak zimny kłęb. Usiłowała ignorować stary głos i pracowała dalej. Może, jeśli będzie się trzymać z daleka od innych ludzi, nowy głos znów się do niej odezwie. Tęskniła za nim.

Jakiś cień, rozmyty ruch: pojawiło się jedno ze stworzeń. Ofelia podniosła wzrok, spróbowała wydobyć z piersi powitalny pomruk i usłyszała taki sam w odpowiedzi. Ten stwór nosił jeden z jej naszyjników, udrapowany na wierzchu własnego uzbrojenia. Kiedy już zwrócił na siebie uwagę Ofelii, poklepał jej koszyk i wygulgotał pytanie. Rzadko próbował naśladować ludzką mowę.

– Odchody owiec – powiedziała Ofelia, jakby znaczenie tych słów było oczywiste. – Dla trawy. Karmią trawę.

Stworzenie powoli zbliżyło się do jednej z owiec, która uniosła głowę, by na nie spojrzeć. Jeszcze wolniej pochyliło się, zerwało kępkę trawy i podało owcy. Ta potulnie przyjęła pokarm i jej wąskie szczęki zaczęły pracować. Stworzenie dotknęło gardła owcy, potem delikatnie przesunęło ręce po jej grzbiecie aż do zadu. Ofelia odgadła tok rozumowania: jedzenie wchodzi tędy i przechodzi przez... Kiedy stwór spróbował unieść ogon owcy, zwierzę odskoczyło i odbiegło żwawym krokiem. Stwór z otwartymi ustami popatrzył na Ofelię – czy to śmiech? Czy złość? – a potem pokazał zad owcy i owcze bobki na ziemi.

– Tak – potwierdziła Ofelia, energicznie kiwając głową.

Stwór odwrócił się do niej, prezentując własne siedzenie i uniósł ozdobną spódniczkę, by wskazać niedwuznaczny otwór. Ofelia odwróciła wzrok. Naprawdę nie chciała widzieć, jak wygląda ten otwór u stworzeń, ale i tak zdążyła zarejestrować, że, jak to było do przewidzenia, jest okrągły i pomarszczony.

– T’amnte tyhy – powiedziało stworzenie. „Tamte ty” oznaczało innych ludzi; żadne ze stworzeń nie próbowało wymówić słowa „ludzie”.

– Co ludzie? – zapytała Ofelia. Przywykła już, że stworzenia rozumieją więcej z jej mowy, niż ona rozumie z ich.

Stwór wskazał na swoje usta, potem na usta Ofelii... swój zad i owcze odchody.

– Ach... to znaczy, ciekaw jesteś, czy tamci ludzie też to robią? – Co za głupie pytanie. Oczywiście, że tak robią. Znów energicznie skinęła głową. – Tak. Robią to.

– Niia fidzi – powiedziało stworzenie.

Ofelia zastanowiła się nad tym. Tamci ludzie wciąż jeszcze mieszkali w budkach, które postawili na lądowisku; dopiero kilka dni temu wyprowadzili się z promu. Więc może stworzenia nigdy nie widziały ich jedzących czy załatwiających potrzeby.

Teraz stwór dotknął nosa i wyraźnie pokazał, że wącha.

– Niia fkasamo – Ofelia zrozumiała z tego, że nosem się nie tka, co nie miało sensu w kontekście całej rozmowy. Stworzenie spróbowało znowu: – Tamte tyhy... – pociągnięcie nosem – ...niia taaksam.

Tkasamo... taksam... tak samo. – Tamte ty nie pachną tak samo? Tak, może chodzić o to. Ofelia gestami wzmacniała znaczenie swych słów:

– Uważasz, że tamci ludzie pachną... nie tak, jak ja? Nie tak samo?

– T’ak. – Dotknął jej koszuli, potem własnej spódniczki i pasów. – Niia taksam ubranniia.

W samej rzeczy, tamci nie nosili takich samych ubrań; mieli wydęte koszule z długimi rękawami, długie spodnie i buty, wszystko w matowych kolorach.

– Taksam famte tyhy balili kszcz g’niazzdo.

Tacy sami jak tamte ty, czyli tamci ludzie, balili – bali? – coś tam gniazda. „Bali” mogłoby oznaczać „wali”. Ofelia odstawiała kosz na ziemię, żeby mieć obie ręce wolne. Czy ci pechowi koloniści rozwalili i zniszczyli gniazda stworów? Czy to dlatego zostali zaatakowani?

– Walić? – pokazała rozwalanie czegoś, kopanie i tłuczenie pięściami.

Stwór rozejrzał się, jakby zagubiony. Potem powiedział:

– Crrronce. Bali eji g’rrronce. – Gorące. Bali daje gorąco.

– Palić! – zaskoczenie i przerażenie uderzyły ją jednocześnie. Gdzie stwór nauczył się słowa „palić”? Czy używała go ostrzegając ich przed gorącym piecykiem? Nie mogła sobie przypomnieć. Więc inni ludzie spalili gniazda? Spalili dzieci?

Pomyślała o mechatotach spadających z nieba i zeskrobujących z powierzchni ziemi wszystko, co rośnie, żeby wyrównać miejsce pod lądowisko promów... Jeśli tam były gniazda, jeśli zapaliły się od płomieni z dysz mechatotów... A może roboty po prostu paliły sterty traw i korzenie... i nowo narodzone stworki.

Ofelia wiedziała, że jej twarz musi być maską grozy; stworzenie wpatrywało się w nią, pojmując, że jest wstrząśnięta.

– Tamte tyhy – powtórzył stwór, tym razem ze zdecydowanym ruchem głowy. – Niia taksam. Niia... – I wybulgotał szybki ciąg dźwięków we własnym języku; Ofelii zdawało się, że usłyszała cmok-kok-kirrr.

Choćby byli bardzo źli, ci ludzie nie zniszczyli gniazd ani małych. Powinna ich bronić. Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ma wyjaśnić tę zagmatwaną sytuację – już nie nieporozumienie, teraz sobie to uświadomiła, ale stanowczą wrogość. Dlaczego Błękitny Płaszcz nie powiedział jej o tym, kiedy ją uczył, kiedy sam uczył się od niej, kiedy odegrała mu taśmy z zapisem śmierci tamtych kolonistów?

Czy chciał jej oszczędzić bólu, czy może podświadomie jej nie ufał?

– Cmok-kok-kirrr – powiedziała, jako że to słowo zazwyczaj ich uspokajało. – Bulgot-cmok-ehem?

Stworzenie delikatnie dotknęło jej głowy.

– Tyhy do-obra cmok-kok-kirrr.

Może i jest dobrą cmok-kok-kirrr, ale wciąż nie zna wszystkich swoich obowiązków... obowiązków wobec obu gatunków, pomyślała nagle. Nie chciała tego – nie będą jej słuchać – ale nie może pozostawić ludzi w niewiedzy na temat tego, czego się przed chwilą dowiedziała. Najpierw jednak powinna dowiedzieć się więcej, a to oznacza, że musi znaleźć najlepsze źródło informacji.

– Błękitny Płaszcz? – zapytała stworzenia. – Gdzie jest Błękitny Płaszcz?

Stwór wskazał głową w kierunku lasu. Co Błękitny ma do roboty w lesie? Najprawdopodobniej poluje, i choć Ofelia osobiście nie czuła już lęku na widok długich noży,

tak naprawdę nie chciała oglądać, jak Błękitny zarzyna drzewnych wspinaczy. Ale towarzyszący jej stwór już ruszył w stronę lasu, więc Ofelia poszła za nim. Na skraju łąki zostawiła kosz z owczymi odchodami i ostrożnie weszła pomiędzy wyższe trawy i splecione zarośla strefy przejściowej.

Już dawniej, kiedy żyła sama, chciała częściej odwiedzać las, ale zawsze była zbyt zajęta różnymi sprawami w wiosce. Gdy jednak zobaczyła polowanie, nie miała już ochoty wędrować między drzewa razem ze stworzeniami. Teraz nie robiło jej to większej różnicy, tak samo mogłaby podążać za stworzeniem w jakiegokolwiek inne miejsce. Może tylko w lesie było chłodniej. Obserwowała ruchy stworzenia, jego chód z wysoko podnoszonymi nogami, w lesie ograniczany płataniną korzeni i pnączy. Stwór prowadził ją ścieżką, której nie miała powodu znać, kiedy jednak doszli do miejsca, w którym niegdyś się schroniła, rozpoznała je natychmiast, jakby to było zaledwie wczoraj. Tu leży zwalony pień, opodal krzywy korzeń, obok którego położyła sakwę z jedzeniem.

A tam – jej znajome stwory, prawie wszystkie. Błękitny Płaszcz w uroczystej szacie. Bulgot-cmok-ehem. Trójka jej dzieci, wewnątrz koła utworzonego przez ciała czterech stworzeń, które wyciągnęły się na ziemi, by uformować żywy kojec, gdzie dzieci fikały koziołki albo wylegiwały się. Ujrzawszy Ofelię, zaskrzeczały i chwiejnie podbiegły do czyichś nóg, gdzie zaczęły podskakiwać w górę i w dół na swych wielkich stopach, które z każdym dniem zdawały się większe.

Podczas gdy Błękitny Płaszcz witał Ofelię, ona sama zauważyła, że dwa stworzenia wymknęły się i skierowały z powrotem do wioski. W ich dłoniach błyszcząły noże. Czyżby Obcy zaplanowali masakrę?... Ofelia poszłaby ich śladem, ale Błękitny trzymał ją za rękę.

– Niia zzabicz – powiedział, jakby czytał w jej myślach. A raczej, co bardziej prawdopodobne, w jej twarzy; ludzkie twarze są tak ruchliwe, tak plastyczne. – Niia zzabicz t’ante tyhy. Batrzeć.

Nie zabić, tylko patrzeć. Utrzymać ich z daleka od tego spotkania, które stwory przezornie zorganizowały z dala od skanerów i magnetofonów porozmieszczanych po całej wiosce przez zmyślną Bilong.

Ofelia zdała sobie sprawę, że ten, który rozmawiał z nią na pastwisku, musiał wyczekiwać takiej okazji. Ciekawiło ją, jak długo – z pewnością stwory były w wiosce poprzedniego dnia – ale to nie wydawało się najistotniejszym pytaniem.

Nagle Błękitny Płaszcz nadał podgardle, które zaczęło tętnić. Wkrótce już wszyscy bębniłi palcami rąk i nóg, i całym ciałem, wybijali złożone rytmy, które zmuszały małe pośrodku do ślania się z jednej strony koła na drugą, podczas gdy ich stopy drgały raz w jednym rytmie, raz w drugim. Wreszcie rytm się ustabilizował: Ofelia czuła go całym ciałem, czuła, że sama wystukuje go palcami u stóp, że jej serce zwolniło i dopasowało się do leworękiego bębnienia,

które oznaczało zgodę.

I wtem, całkiem niespodziewanie, zapadła cisza, w której głośno zadźwięczały skrzeki małych. Ofelia wyciągnęła do nich rękę, więc przybiegły, liżąc jej nadgarstek, chwytając ją małymi paluszkami, wciąż jeszcze o tyle słabszymi od palców stóp, choć chętnie manipulowały wszystkim, co wpadło im w ręce. Ich pazurki kłuły jak maleńkie szpilki.

Kiedy Błękitny Płaszcz przemówił, Ofelia ledwo wierzyła własnym uszom. Mówił dokładnie jak Vasil Likisi, włącznie z akcentem i pompatycznością.

– Z nadanego mi przez rząd upoważnienia... – Przerwał i wyrzucił z siebie długi ciąg słów we własnym języku.

Ofelia stała zapatrzona w niego.

– Ale przecież...

Teraz odezwał się głos, który znała, ten, który zmieniał brzmienie niektórych dźwięków ludzkiej mowy.

– To do-obra kopijja, tk?

To nawet lepsze niż dobra kopia; lepsze, niż niektóre nagrania, które Ofelia słyszała.

– Możesz... możesz to robić cały czas?

– Niia. Kopijj kuuos, tfak, tso onn móffi. Móffi moji my-ysz’li, eji ‘nne dzifiekki.

Tego Ofelia nie rozumiała. Skoro potrafił tak wiernie naśladować głos Likisiego, dokładnie oddając akcent i ton, dlaczego nie mógł poprawnie wymawiać słów, kiedy wypowiadał własne myśli? Po raz pierwszy miała o co zapytać Bilong – zakładając, że Bilong będzie słuchała, a potem zrozumie pytanie – ale Bilong nie było pod ręką.

Błękitny nie czekał, aż Ofelia pojmie. Mówił dalej, teraz wypowiadał zdanie głosem Kiry Stavi, i jeszcze inne, płaskim, monotonnym tonem, którym doradcy wojskowi mamrotali do swoich mikrofoników wewnątrz kombinezonów. Na końcu powtórzył piosenkę, którą Ofelia śpiewała kiedyś małym – zdawała sobie sprawę, że ten głos musi należeć do niej, chociaż brzmiał bardziej chropawo, jak głos starej kobiety, starszy niż ten, który słyszała od wewnątrz. Nigdy nie słyszała nagrania swojego głosu. Może właśnie tak on brzmiał, bo Błękitny Płaszcz bardzo dokładnie oddał wszystkie inne głosy.

– Czy rozumiesz to wszystko? – zapytała Ofelia. – Czy tylko...

– T’aak – odparł Błękitny. – Wijemhm tso smaaczy.

Miał chyba na myśli „co znaczy”, tylko skąd to wie? Jak może rozumieć tak wiele, skoro ona nauczyła się tak mało z ich języka? Wiedziała, że są bystrzy, ale to... Bilong robiła tyle zamieszania wokół tego, jak trudno jest nauczyć się obcego języka, nawet jednego z ludzkich.

– Wszyscy? – zapytała Ofelia.

– Szszyscy wijemhm’. Niia szszyscy móffimhm’.

Jeśli wszystko rozumieją – to nie może być prawda, ale nawet, jeśli zdaje im się, że wszystko

rozumieją – w takim razie na podstawie tego, co usłyszeli w ciągu tych ostatnich decymów, musieli wyrobić sobie bardzo... dziwne... pojęcie o ludzkości.

Ofelia usiadła na poduszce, którą jeden ze stworów wydobył z za pnia. Jej myśli biegły teraz z jednego kąta umysłu w drugi, dokładnie tak, jak małe, które gonili się właśnie wewnątrz żywego kojca. Od jak dawna wszystko rozumieją?

Jak dużo rozumieją? I dlaczego to zebranie odbywa się teraz? Co planują? Czego się po niej spodziewają?

Jedno z dzieci zapiszczało, usiłując wspiąć się na nogi dorosłego, by dostać się do Ofelii. Bulgot-cmok-ehem podniosła je, polizała po karku i podała Ofelii. Ta przytuliła małe, pozwalając mu wylizać oba nadgarstki, a potem zwinąć się w kłębek na jej podołku.

– Ija – odezwał się Błękitny Płaszcz, pokazując na siebie samego. – Sss-bróbuji tyhyh tlltluumaczy tso mii kh'tsemij.

Ofelia odkryła, że rozumie go z łatwością; już prawie bez zastanowienia przekształcała jego słowa na znajome dźwięki własnej mowy. Pragnęli jej wyjaśnić, czego chcą? Tego właśnie sama najbardziej pragnęła w tej chwili... a wtedy będzie mogła dowiedzieć się więcej.

Tylko kilka razy w ciągu następnych paru godzin musiała prosić Błękitnego o powtórzenie czy wyjaśnienie jego słów; ta kombinacja prawie ludzkiego języka i gestów mogła przekazać bardziej złożone znaczenia, niżby się Ofelia spodziewała. Mimo że serdecznie nie znosiła ludzi z zespołu badawczego, nachodziła ją uporczywa myśl, że to oni powinni tu siedzieć zamiast niej – albo razem z nią. Oni byli wykształceni, przeszkoleni, by zrozumieć to, co ona z trudem usiłowała pojąć. Oto przekazywano jej wiedzę, po którą oni przylecieli z tak daleka, wiedzę, którą stworzenia wciąż przed nimi ukrywały (dały jej to wyraźnie do zrozumienia).

– Powinniście im powiedzieć – przekonywała Ofelia Obcych na początku spotkania. – Oni są tu... oficjalnie. – Jak ma im wytłumaczyć słowo „oficjalnie”? Jak wyjaśnić, że jej nikt nie będzie słuchał, że jest nikim w hierarchii społecznej?

Ale Błękitny Płaszcz przerwał jej stanowczo. Stwory będą mówić, a ona ma uważnie słuchać. Nic innego nie może zrobić.

Ori byłby zaintrygowany strukturą społeczną Ludu, pomyślała, tą kombinacją koczowniczego łowiectwa i pasterstwa, którym zajmowali się wszyscy dorośli, i stałego osadnictwa, gdzie w bezpiecznych osiedlach wychowywano dzieci; zabezpieczone przed drapieżnikami i surowością koczowniczego życia młode dorastały, wychowywane i chronione jednocześnie przez najmądrzejszych z dorosłych. W grupie specjalne miejsca zajmowali: śpiewający do obcych, przywódca wojenny, znajdujący drogi i cmok-kok-kirrr. Poza tym luźna konfederacja prawie wszystkich gromad, bezustanne badanie opinii poprzez bębnienie, praworękie i leworękie. Nie mieli pojęcia nieposłuszeństwa: kto się nie zgadzał, mógł zawsze opuścić gromadę razem z tymi, którzy zabębnił ten sam rytm – a dalej już natura rozstrzygała

o słuszności i błędach.

Teraz Błękitny Płaszcz tłumaczył Ofelii, na czym polega jej specjalna pozycja i jego stanowisko. Cmok-kok-kirrr: więcej niż ciotka, raczej kombinacja położnej, pielęgniarki i niani, przedszkolanki i nauczycielki... i obrońcy. Śpiewający do obcych: ci, którzy nawiązują kontakt z innymi gromadami, negocjują podział terytorium i obowiązków, w miarę możliwości starają się przeważać bębnienie na lewo.

Kira i Ori z pewnością oboje chcieliby posłuchać, jak stworzenia pojmują świat żywych istot... jak klasyfikują rośliny i zwierzęta, jak nauczyli się je wykorzystywać, jak hodują swoje trawożerne stada, jak odnawiają uprawę zniszczonego gąszczu gniazd.

Ofelia uświadomiła sobie, że dzieli to, co mówi Błękitny Płaszcz, na dziedziny, wedle tego, co ten lub tamten badacz chciałby wiedzieć – ale Błękitny nie rozumował w ten sposób. Dla niego każde „polowanie umysłu” było jednakowe, każdy trop prowadził do innej zwierzyny, lecz wszystko zawierało się w tej samej radości polowania. Ofelia przypomniała sobie, jak nawet pierwsze poznane stwory były chętne do nauki, niczym małe dzieci, zanim ktoś im wpoi, że ich ciekawość jest daremna i bezużyteczna.

Wróciła myślami do tego, co mówił Błękitny. Naród taki, jak ten, nie może mieć jednego rządu; w samej rzeczy, nic, co Obcy robili, nie przypominało ani trochę tego, co Ofelia wiedziała o rządach. Błękitny śpiewał za jakąś większą gromadę Ludu (Ofelia teraz już słyszała wielką literę na początku i przejęła ją), która przemierzała równiny, lecz śpiewanie za nich nie oznaczało rządzenia nimi. I nawet jeśli Błękitny Płaszcz śpiewał do (to nie to samo co za) niektórych z Ludu, zamieszkujących kamienne wybrzeże, nie oznaczało to jeszcze, że zawarto porozumienie.

Ofelia chciała dowiedzieć się więcej o ludzie zamieszkującym kamienne wybrzeże; kiedy pytała o to ludzi, nic jej nie chcieli powiedzieć. Błękitny Płaszcz wyjaśniał, a Ofelia zaczęła pojmować, dlaczego Obcy z taką łatwością wpadli na to, że woda i prąd płyną w rurach. Ich Lud również transportował wodę, inne płyny oraz substancje sypkie, takie jak piasek, rurami z drewna albo z pustych trzcin, a także warzył różne substancje w tykwach zrobionych z gliny lub topionego piasku. Nie mieli elektryczności – jeszcze nie – a ich pompy poruszała siła wody albo mięśni... ale koncepcja pompowania wody nie była im obca, nawet nomadom.

Jednakże sednem przemowy Błękitnego było wyjaśnienie sprawy kolonii, która zniszczyła gąszcz gniazd i na której wstrząśnięte stworzenia w odwecie dokonały rzezi... oraz sprawa nowych ludzi, którzy z tego właśnie powodu przybyli, którzy teraz chcieli narzucać swoje prawa Ludowi, mówić stworom, czego mogą się nauczyć, a czego im nie wolno. Gąszcz gniazd – jak się Ofelii zdawało, termin ten obejmował zarówno same gniazda, jak i małe oraz strażników gniazd – był w kulturze Ludu nietykalny.

Błękitny Płaszcz rozumiał – wszyscy to rozumieli – że być może obce potwory z nieba nie

wiedziały, co niszczą. Ale takiego tłumaczenia żadna cmok-kok-kirrr nie przyjęłaby od małego wychowanka. Dostrzegać skutki poczynań już na początku to największa cnota: zastawiać pułapkę tam, gdzie może się pojawić tylko ofiara, a nigdy sprzymierzeniec – tak brzmi pierwsza lekcja tropicieli. Ta zasada powtarza się we wszystkich lekcjach polowania: chodź raczej głodny, a nie zabijaj i nie zjadaj ostatniej samicy twojej zwierzyny. Bądź raczej spragniony, a nie zabieraj wody tym, którymi będziesz się żywił. Pozostaw na drzewie najśłodsze owoce dla wspinaczy, na których polujesz.

Ofelia rozumiała tę zasadę, ale nie pojmowała powagi, z jaką traktują ją stworzenia. Nie była szkolona w logice; nauczono ją tylko tyle matematyki, by umiała posłużyć się instrukcjami i obsługiwać niezbędne urządzenia. Pamiętała, że widziała raz Błękitnego pochyłonego nad starymi podręcznikami do algebry; teraz stwór wyciągnął jeden, pokazując jakiś wyjątkowo długi dowód. Ten, wyjaśnił Ofelii, – jest łatwy; stworzenia myślą dużo dłuższymi i bardziej skomplikowanymi ciągami logicznymi niż ten.

– Ale przecież wy... – Nie ma sposobu, by taktownie powiedzieć, że jak na tak bystry Lud, nie zaszli jeszcze daleko. Nie mają prawdziwych miast – no, ale nie widziała jeszcze tych na kamiennym wybrzeżu. Nie mają jednak też pojazdów, wielkich maszyn – przypomniała sobie nagranie zagłady nieszczęsnej kolonii, gdzie było coś o katapultcie wyrzucającej ładunki wybuchowe. Nie mają urządzeń z metalu, nie mają mechatotów. Nie mają komputerów.

– Bisskhlaaki – powiedział Błękitny Płaszcz. Jeśli Ofelia dobrze zrozumiała, jeśli on rozumiał, co się stało, to Lud uważał się za młody naród, prawie dzieci. Kiedyś byli inni, zaledwie dziesięć czy dwadzieścia pokoleń wstecz. Za pomocą książki do algebry i kamieni układanych w rzędach Błękitnemu udało się przekazać, że ich nie tak dawni przodkowie umieli myśleć krótkimi łańcuchami skojarzeń, ledwie kilkustopniowymi, podczas gdy oni potrafią myśleć wielostopniowymi ciągami. Coś się wydarzyło; stwory nie wiedzą co. Pewnego dnia dojdą i do tego, ale tymczasem mają inne sprawy do załatwienia.

Takie jak na przykład nieproszeni ludzie, którzy chcą ustalać granice nauki dla Ludu. Co sprowadza rozmowę z powrotem do strażników gniazd.

Dobry strażnik gniazd, tłumaczył Błękitny Płaszcz, pragnie, by małe uczyły się wszystkiego, co mogą, o wszystkim dookoła, aby były gotowe – i chętne – do poznawania nowych rzeczy. Zły strażnik gniazd chce małym ułatwić życie, więc każe im zadowalać się wciąż tym samym. Ci ludzie, mówił powoli Błękitny, obserwując twarz Ofelii, zniszczyli gąszcz gniazd. Teraz chcą nas powstrzymać przed poznaniem nowych rzeczy. To źli strażnicy gniazd. Nie tacy, jak ty. Poza tym nie darzą cię odpowiednim szacunkiem. Brzmiało to tak, jakby ci byli równie źli, jak tamci niszczyiele.

Ofelia pomyślała o tych wszystkich chwilach, kiedy irytowały ją pytania zadawane przez jej dzieci, kiedy denerwowała ją natrętna ciekawość stworów. Ofelię także zbywano w ten sposób;

powstrzymywano ją przed uczeniem się wszystkiego, czego tylko mogła. Wierzyła kiedyś, że to konieczne. Nie można pozwolić dzieciom w ten sposób marnować czasu; nigdy nie nauczą się dyscypliny, jeśli nie zmusi się ich do uczenia się tego, co potrzebne. Przed oczami jej pamięci przesuwały się jasne twarze, błyszczące oczy, słyszała gorliwe głosy... Przypominała sobie, jak się zmieniały, jak ona sama się zmieniła, jak cała dociekliwość i żarliwość opada, pleśnieje i zmienia się w stęchłe, pasywne posłuszeństwo, bardziej lub mniej ponure, w zależności od tego, jak wiele dziecko musiało odrzucić.

– Nie byłam dobrą strażniczką dla własnych dzieci – powiedziała. Małe na jej kolanach poruszyło się i obiema rękami schwyciło jej kciuk. Pochyliła głowę i pogłaskała wyczuwalny pod skórą ciąg kręgów na grzbiecie.

Teraz jesteś dobrą strażniczką, powiedział Błękitny Płaszcz. A matki i tak nie mogą być strażnikami gniazd. Tylko najstarsze, które już nie będą się gnieździć, które rozumieją świat, zostają strażniczkami. Może nie miałaś dobrego strażnika do pomocy.

– A ojcowie?

– Niia. – Koniec wyjaśnień. Ofelia widziała te sprawy, w których matki – babki – jeśli nadal były silne fizycznie i sprawne, mogły wiedzieć więcej o niemowlętach i dzieciach niż mężczyźni, których znała. Ale to nie są ludzie i Ofelia nie mogła zakładać, że ojcowie stworzeń także mają pewne ograniczenia. Jeśli stwory w ogóle posiadają ojców... Błękitny wciąż jeszcze nie wyjaśnił jej, jak się rozmnażają.

Ufają Ofelii, ciągnął dalej Błękitny Płaszcz. Jest strażniczką gniazd: udowodniła to przy gnieźdzeniu się Bulgot-cmok-ehem; małe ją zaakceptowały. Błękitny Płaszcz może za nią śpiewać, ale tylko strażnik gniazd potrafi uczynić zgodę, kiedy cały lud nie jest w stanie zabębnić razem z powodu oddalenia.

– Zgodę?

– Lub niezgodę.

To, co Błękitny powiedział potem, zaparło Ofelii dech w piersiach; czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w klatkę piersiową. Jest ich strażniczką gniazd; Lud będzie pertraktował z innymi ludźmi wyłącznie za jej pośrednictwem. Musi teraz sprawić, by zrozumieli to tamci ludzie, skoro sama już rozumie.

– Ale to się nie uda. Nie będą mnie słuchać. Poza tym powiedzieli, że muszę stąd odejść – przekonywała Ofelia. – Powiedzieli, że zabiorą mnie ze sobą, kiedy będą odlatywać.

– Nie! – krzyknęli wszyscy, a ich podgardla nadeły się.

Dziecko na kolanach Ofelii obudziło się nagle, nogami i ogonem uczepliło się jej ramienia i zaskrzeczało głośno. Automatycznie uspokoiła je, głaszcząc wolną ręką.

– Nie chcę odejść – zapewniła. – Pragnę tu zostać. Dlatego właśnie zostałam poprzednim razem, ale... – Ale jest tylko samotną, starą kobietą, a tamtych jest czworo – młodych, silnych

dorosłych ludzi, do tego dwóch żołnierzy i pilot; choćby krzyczała i kopała, mogą ją wynieść z domu, jeśli już do tego dojdzie. Albo po prostu dadzą jej zastrzyk, uśpią, a kiedy się obudzi – jeśli się obudzi – będzie już całkiem gdzie indziej.

– Niia odejdziesz! – głośno powtórzył Błękitny Płaszcz. – Zzaczczyhymhm iich.

Czyżby mówił, że powstrzymają tamtych? Że ją obronią? Patrząc na nich, nie miała wątpliwości, że to zrobią. Ale czy uwierzyli w cokolwiek z tego, co im mówiła o ludzkiej broni? Choćby byli nie wiadomo jak mądrzy, nic nie działają przeciw tym grubym pistoletom, które mają doradcy militarni, przeciw całemu magazynowi broni na pokładzie promu, nie mówiąc już o tym, co może się znajdować na pokładzie orbitującego statku. Ofelia nie chciała, by za nią ginęli; nie jest tego warta. Usiłowała to powiedzieć, ale Błękitny Płaszcz zasyczał; tak samo wszystkie małe – trzy różne nuty rozbrzmiały jak wąż ze sprężonym powietrzem, pęknięty w trzech miejscach.

Jest tego warta, jest ich strażniczką gniazd, a strażnik gniazd to najważniejsza pozycja wśród Ludu. Wszystkie oczy, i dorosłych, i dzieci, zwróciły się ku niej, podczas gdy stopy bębniły zgodę. Ona: strażniczka gniazd. Ona: ważna. Łzy zapiekły ją pod powiekami; nigdy jeszcze nie doświadczyła tak całkowitej akceptacji.

Stopy ucichły i Błękitny Płaszcz mówił dalej, jakby tłumaczył małemu dziecku, że dwa razy dwa daje cztery. Zadaniem Ofelii jest sprawić, by tamci ludzie zrozumieli. Muszą pozwolić Ludowi się uczyć; muszą pomóc Ludowi w nauce; muszą z szacunkiem odnosić się do Ofelii i wszystkich strażników gniazd, i do gąszczu gniazd. A Lud będzie rozmawiał tylko z Ofelią... jeśli zabiorą Ofelię, Lud nie będzie pertraktował w ogóle.

Ofelia rozumiała żądania, choć nie była przyzwyczajona do postrzegania Obcych z tej strony. Stworzenia – Lud – zachowywały się przedtem tak skromnie, tak po dziecinnemu... Ofelia odgoniła tę myśl. Dzieci stawiają żądania; ona wymagała, kiedy była dzieckiem. Ta część Ofelii, która kazała jej pozostać, to nie była najstarsza część, ale najmłodsza, dziecinna; to ona żądała, by pozwolono jej postawić na swoim, rozwijać się po swojemu... albo, jakby to ujęły stworzenia, podążyć na łowy swoim własnym tropem.

Dziecko na jej kolanach usiadło prosto i zatupało prawą stopą. Ofelia spojrzała w dół i napotkała jego wzrok; prawa stopa małego nie przestawała drgać rytmicznie. Niezgoda. Protest. Z czym się nie zgadzało? Błyszczące oczy wpatrywały się prosto w jej oczy, nie mrugając Ofelia westchnęła.

Tym razem, przy tym dziecku, dobrze spełni swe zadanie. Tym razem da mu to, czego tak naprawdę nigdy nie chciała dzieciom szczędzić.

– Ty – odezwała się do małego, czując, że jej twarz rozluźnia się w szczerym uśmiechu. – Ty chcesz, żebym podjęła się niemożliwego, prawda?

Stworek mrugnął tylko raz i zatupał lewą stopą. Niemożliwe. Zrób to. Ofelia nie wierzyła, by

mógł coś rozumieć, miał dopiero kilka dni. Ale tamci ludzie uważali, że ona nic nie rozumie, bo jest za stara, za głupia. Może wszyscy ludzie są w błędzie – ona, jeśli chodzi o to dziecko, tamci, jeśli chodzi o nią. Ale to przecież Obcy, tłumaczył jej stary głos. Nie. To jest lud, ludzie, którzy mają niemowlęta, dzieci i babcie, które dziećmi się zajmują, i ona nie może odmówić temu gorliwemu zapałowi w błyszczących oczach, temu pragnieniu w małych, pazurzastych łapkach.

To niemożliwe, niemożliwe, więc co właściwie szkodzi spróbować? Niemożliwego nie dokonuje się, siedząc w cieniu i bawiąc się z dziećmi.

Niemniej jednak, zanim Ofelia opuściła polanę, bawiła się ze wszystkimi trzema małymi, pochylała się nawet, by mogły zbadać jej włosy, którymi zdawały się najbardziej zafascynowane.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy w skwarze popołudnia dotarła z powrotem do wioski, wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Stary głos uparcie twierdził, że niemożliwe jest, by zdołała dokonać tego, czego chciały stworzenia. Nie ma zdolności, nie ma przeszkolenia, nie ma literek przed nazwiskiem. Jest za stara, za głupia, kompletna ignorantka. Na sekundę przymknęła oczy i z ciemności pod powiekami zaświeciły ku niej złote źrenice dziecka. Obiecała to dzieciom... ona, cmok-kok-kirrr. Musi to zrobić, czy to możliwe, czy nie.

Na początku nie mogła nawet znaleźć członków zespołu. Nie było ich w Centrum ani na drodze. Nie dostrzegła ich na pastwisku ani na łące na brzegu rzeki, którą było widać z zakrętu drogi. Zajrzała do kilku domów, ale na nikogo nie natrafiła. Było zbyt gorąco, by przejść wszystkie uliczki, zaglądać do wszystkich domów i ogrodów. Może jedzą albo odpoczywają w swoich budach? Ofelia poszła drogą w dół i zobaczyła doradców wojskowych, pochylonych nad silnikiem którejś ze starych, zardzewiałych ciężarówek. Jeden z nich dostrzegł ją i trącił drugiego łokciem. Obaj zaczęli się na nią gapić.

Ofelia nie chciała odwracać się do nich plecami; i tak już była niespokojna, kiedy stali przed nią. Podeszła bliżej, powoli, ostrożnie. Nie miała nawet pewności, który to z nich ją wtedy uderzył. Obaj byli rośli, tej samej postury, a ich twarze zdawały się zastygnięte w wyrazie czujnego lekceważenia.

– Czego pani chce? – zapytał jeden z nich, kiedy podeszła dostatecznie blisko. Mówił bardzo głośno, jakby myślał, że jest przygłucha.

– Chciałabym rozmawiać z jednym z nich – odparła Ofelia. – Z Ser Likisim albo...

– Nie ma ich tu – rzekł mężczyzna krótko, ucinając rozmowę. Odwrócił się z powrotem do ciężarówki.

– Czy wiecie może, kiedy... – zaczęła Ofelia.

Mężczyzna znów jej przerwał, tym razem nawet na nią nie patrząc:

– Nie. Nie zważają mi się ze swoich planów.

Po chwili Ofelia zdała sobie sprawę, że żołnierz nie jest zły na nią, ale właśnie na tamtych. Nie lubił ich. Podejrzewała to już wcześniej, ale widywała tych mężczyzn wyłącznie w towarzystwie grupy badaczy, a wtedy, naturalnie, maskowali swe uczucia.

– Przepraszam, że panów niepokoiłam – powiedziała oficjalnie. To sprawiło, że mężczyźni znów na nią spojrzeli, tym razem z lekkim zdziwieniem.

– Nie szkodzi – powiedział drugi mężczyzna, już nie tak głośno. – Czy coś jeszcze?

– Nie – odparła Ofelia. – Po prostu chciałam z nimi porozmawiać. – Ale ciekawość nie pozwoliła jej odejść. – Co robicie z tą ciężarówką? Chcecie jej używać?

Roześmiali się obaj.

– Nie, babciu – powiedział ten drugi. – Już się do tego nie nadaje. Ale ważniak kazał nam zdemontować silniki, tak tylko, na wypadek, gdyby te jaszczurki zdolne były nauczyć się ich używać.

Ofelia zamruwała oczami. Ważniak? Czy to Ser Likisi, który z pewnością zasługiwał na takie albo jeszcze gorsze przezwisko, czy może Sera Stavi? A jaszczurki? Czy tak właśnie postrzegali stworzenia?

– Zamknij się! – odezwał się drugi. Ze złością spojrzał na Ofelię. – Nie pójdzie pani naskarżyć naszemu szlachetnemu dowódcy, jak go nazywamy, prawda? – Nie było to właściwie pytanie, ale polecenie. Głos mężczyzny był aż ciężki od groźby.

– Nie – obiecała Ofelia. – Nie powiem mu. – Ani też nie powie tym dwóm tutaj, jak bardzo się z nimi zgadza... a może powinna im powiedzieć? – Jest bardzo... pewny siebie – powiedziała, dobitnie dając do zrozumienia, że mogła wyrazić to innymi słowami.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie i roześmiali się.

– Można tak powiedzieć – zgodził się ten łagodniejszy. – Pani też go nie lubi? Słyszałem, że robił dawniej w jakichś służbach Simsa; przerzucił się na pracę dla rządu, kiedy wpakował swój tyłek w jakąś afe...

– Kedrick!

– Nie przejmuj się, Bo, ta miła staruszka nie będzie przecież rozpuszczać plotek. Nie bardziej przepada za tym lizusem Likisim niż my, co?

Ofelia wyszczerzyła zęby, ale nic nie powiedziała. To ciekawe, jak ludzie są do siebie podobni, w tej organizacji czy w innej. Słyszała już dawniej takie komentarze, wypowiedane przez niezadowolonych kandydatów na kolonistów.

– Chce pani łyk czegoś... orzeźwiającego? – zapytał mężczyzna, pokazując gestem wychylenie szklanki.

Musi to oznaczać jakiś przemycony towar, jakąś kontrabandę, na pewno mają coś nielegalnego, jak wszyscy do nich podobni. Przypomniała sobie, że natychmiast po odlocie doradców Kompanii przydanych kolonii ktoś urządził destylarnię i zaczął produkować alkohol ze wszystkiego, co tylko uprawiano. Pamiętała kłótnie, bijatyki, rozbicie jednego urzędnika i natychmiastowe pojawienie się na nowo wstrętnego, palącego napoju, przekazywanego sobie nawzajem w małych flaszkach...

– Jestem już za stara – powiedziała, ale uśmiechnęła się do nich. Mężczyźni to lubią – całe swoje życie znała mężczyzn podobnych do tych, nawet jeśli ci mężczyźni nie uznaliby tego podobieństwa. – Ale dziękuję – dodała. Nikt nie ośmielił się przecież wywyższać wobec ludzi, którzy raczą się nielegalnymi substancjami.

– W porządziu, babciu – powiedział ten głośniejszy. – Tylko nie leć z ozorem do naszego niezrównanego szefa, co?

– Oczywiście – odpowiedziała Ofelia. – Zresztą on i tak nie słucha, co do niego mówię.

Popatrzyli na nią łaskawym okiem. Najwyraźniej nie stanowiła zagrożenia, a zachowywała się dokładnie tak, jak powinna się zachowywać stara, nieuczona kobieta.

– Jasne, że pani nie słucha – powiedział ten spokojniejszy, chyba Bo. – Jest dowódcą, no nie? Nie słucha nikogo, może prócz wielkiego ducha wszechświata...

Ofelia chciała się dowiedzieć, czy ktoś jeszcze w to wierzy, ale wiedziała, że lepiej tego nie robić. Nigdy nie pytaj o religię: to ludzi złości.

– Pewnie dobrze tu pani było, całkiem samej? – ciągnął ten spokojny. – Wszystkie urządzenia działają, całe jedzenie tylko dla siebie, co?

– Było tu bardzo spokojnie – odparła Ofelia. – Ale tak, maszyny ułatwiały mi życie.

– Ta dziwka Kira mówiła, że bawiła się pani oficjalnym dziennikiem kolonii. Pisała pani podobno jakieś opowiadki. Może była pani pisarką czy coś, zanim tu panią przysłali?

Ofelia pokręciła głową.

– Nie, Serin. Przedtem niczego nie pisałam. Ten dziennik... Czytałam go i wydał mi się nudny, tylko daty i nazwiska. Pomyślałam, że i tak nikt tego nigdy nie zobaczy.

– No to dorzuciła pani kilka pieprzonych szczegółów. Kira mówi że dopisała pani coś o romansach i takich tam...

Ofelia zorientowała się, że on po prostu chciałby to przeczytać... że chciałby usłyszeć o podchodach, zdradach, bijatykach... nie miał tylko pretekstu. Uśmiechnęła się szeroko, tym specjalnym, porozumiewawczym uśmiechem, jaki stara świntucha posyła młodszemu świntuchowi o kosmatych myślach.

– To było coś jak kostka z telenowelami – powiedziała, zniżając głos i rozglądając się dokoła, jakby chciała się upewnić, że w zasięgu jej głosu nie ma cnotliwej Kiry. – Musicie zrozumieć, Serin, w jakiej izolacji tu żyliśmy. No i stres...

Mężczyzna parsknął.

– Stres! Co cywile mogą wiedzieć o stresie? Ale seks...

– No, oczywiście, był i seks – odpowiedziała Ofelia głosem tak pełnym sugestii, jak to tylko było możliwe. – Naszym zadaniem było mnożyć się i powiększać kolonię. Żadnej kontroli urodzeń, po czwartym dziecku premia za każde następne. No, a są takie, które pozostają bardziej... bardziej atrakcyjne, rozumieją panowie. – Czy wyrażała się zbyt otwarcie? Nie. Ten głośniejszy odłożył narzędzia i oparł się o bok ciężarówki, gotów słuchać dalszego ciągu. – Nie wiem, czy powinnam wam o tym opowiadać – ciągnęła Ofelia z fałszywą świętobliwością. – Sera Stavi nie jest zachwycona tym, że dopisywałam coś do dziennika, i być może...

Ten bardziej hałaśliwy powiedział, co Sera Stavi może zrobić ze swoimi opiniami; nie różniło się to od tego, co mówili mężczyźni z kolonii. Nie po raz pierwszy Ofelia zadumała się nad tym, czy w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat ludzie wymyślili coś naprawdę nowego. Czy

może przemierzali wszechświat tylko dlatego, że znudziły ich dowcipy z brodą i monotonne przekleństwa?

Zacząła jednak snuć pikantną opowieść, której nawet nie zamieściła w dzienniku, ponieważ przybyły stworzenia i nigdy jej nie dokończyła – była to historia młodej dziewczyny imieniem Ampara i jej wyzywającego zachowania, które na pół roku wytrąciło z równowagi połowę dorosłych osadników – nie mówiąc już o jej nielicznych rówieśnikach.

– A jak wyglądała? – zapytał hałaśliwy żołnierz.

Ten drugi, spokojniejszy, dalej grzebał w silniku ciężarówki, głośno łomocząc narzędziami, by dać wyraz swej irytacji, wywołanej nieróbstwem współpracownika. Ofelia uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż zabolą ją szczeka.

– Spodziewacie się, że ja, stara kobieta, potrafię wam to opisać? – Ale powiedziała to tylko po to, by się z nimi podrażnić; był to nieodłączny element opowieści. Zagłębiła się w szczegółowy opis detali, dużo bardziej szczegółowy, niżby na to pozwalała jej wiedza, pamiętała jednak, czego tacy ludzie lubią słuchać o obfitych, miękkich splotach spływających na smukłe, jędrne plecy i pośladki, o krzywiznach, twardych zaokrągleniach i wilgotnej miękkości. Mężczyzna oddychał coraz szybciej, a Ofelii brakowało już pomysłów.

– Uwaga! – odezwał się nagle ten spokojny wyćwiczonym głosem. – Idą.

Ofelia urwała w pół słowa i odwróciła się powoli. Stawiając długie kroki, jak na zawodach w chodzie, zbliżali się Ser Likisi i Kira Stavi; oboje byli naburmuszeni.

– Sera Falfurrias! – Kira wyraźnie była na nią zdenerwowana i Ofelia zastanawiała się, z jakiego powodu.

– Słucham, Sera – odpowiedziała potulnie. Stała ze złożonymi rękami, jak służąca oczekująca poleceń. Wewnątrz jej głowy nowy głos kpił niemiłosiernie.

– Co takiego knują te stworzenia?

– Knują, Sera? – zapytała Ofelia.

– Autochtoni. Zniknęli wszyscy prócz jednego, a ten nie jest komunikatywny. Czy wrócili, skąd przyszli, czy co? Widziałam dzisiaj rano, jak szła pani z jednym z nich do lasu, więc proszę nie mówić, że nie ma pani o niczym pojęcia.

Skoro już plan A legł w gruzach, Ofelia uczepiła się pobocznego wątku.

– Dlaczego pani uważa, że chciałabym ją okłamać, Sera?

– Tego nie powiedziałam – zaczęła Kira zniecierpliwiona.

– Proszę wybaczyć, Sera, ale mówiła pani... Kira tupnęła jak krowa, którą obsiadły muchy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby pani miała zamiar oświadczyć, że pani nie wie, to ja już i tak wiem... och, nieważne.

Ze złością popatrzyła na Ofelię; za jej plecami Ofelia dostrzegła, że hałaśliwy żołnierz uśmiecha się szeroko i kpiąco. Do tego czasu zdążyła wymyślić już odpowiedź.

– Znaleźli to miejsce, w którym ukryłam się podczas ewakuacji – wyjaśniła. – Zostawiłam tam coś, więc chcieli wiedzieć, czy to należy do mnie, czy do pani.

– Oo. – Kira nie chciała w to uwierzyć; Ofelia widziała, że kobieta w takim nastroju nie uwierzy w nic, co ona powie, ale to nie było niezwykle. Kira niechętnie uwierzyła; nie marszczyła już brwi. – No cóż. Byliśmy tylko ciekawi.

Ofelia rozważyła możliwość rozwinięcia swej historyjki, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

– Przypuszczam, że widzieli, jak idę do lasu zbierać próbki tkanki... Mogli pomyśleć, że zostawiłam jakieś narzędzia.

– Zapewne tak właśnie pomyśleli, Sera – przytaknęła Ofelia.

– Czy chciała pani czegoś konkretnego? – zapytał Likisi. – Czy tylko dotrzymywała pani towarzystwa naszym obrońcom i doradcom? – Powiedział to tak, jakby robiła tu z nimi coś złego, a choć przecież rozpuszczała nieprzyzwoite plotki, oburzyło ją to pomówienie.

– Chciałam rozmawiać z panem, Ser Likisi – oświadczyła. – I z Serą Stavi, jeśli to dozwolone.

Likisi przewrócił oczami.

– Aa... no dobrze. Ale jeśli ma pani zamiar wyklócać się o pozostanie tu, może pani równie dobrze oszczędzić swój język i naszą cierpliwość.

– Nie o to chodzi, Ser Likisi – odparła Ofelia. Próbowała nadać swym słowom ton pokory, ale wypadło mniej pokornie, niż zamierzała. Ta kobieta, Kira, rzuciła jej ostre spojrzenie, nie odezwała się jednak.

– No to proszę – powiedział Likisi – proszę do środka... Tu jest za gorąco. – Poprowadził ją obok ciężarówki i doradców, którzy obaj mieli takie miny, jakby właśnie zjedli cytrynę, i dalej, przez służę, do wnętrza wielkiego, wyłożonego czymś miękkim baraku.

Wewnątrz panował zaduch, pomimo szumu klimatyzacji, i nie było tak chłodno, jak w zacienionym pokoju któregoś z domów. Likisi rozłożył ramiona.

– Aaa... tak już lepiej. – Potem z rozmachem usiadł na wyściełanej ławeczce. – Kira, bądź tak miła i przynieś nam coś zimnego do picia, dobrze?

Kobieta wyglądała, jakby przełknęła cytrynę. Ale ugryzła się w język i nie powiedziała tego, co zamierzała, za to zapytała słodko, czego by się nabiła Sera Falfurrias. Ofelia uprzejmie odmówiła poczęstunku dwukrotnie i za trzecim razem zgodziła się na wodę. Kira zniknęła za cienką ścianką. Nie zapytała Likisiego, czego się napije; znaczyło to, że już wcześniej przynosiła mu coś do picia.

Likisi obserwował Ofelię spod wpół przymkniętych powiek.

– O co więc teraz chodzi? Czy umierała pani z ciekawości, by zobaczyć wewnątrz naszego schronienia? Chce pani wiedzieć, ile będzie mogła zabrać, kiedy będziemy odlatywać?

– Nie, Ser Likisi – odparła Ofelia. Nie poprosił jej, by usiadła, więc stała przed nim ze

złożonymi rękami. Ruch powietrza wywołany przez wentylatory osuszył pot na jej plecach i ochłodził ją.

– Proszę... – Kira podała Ofelii szklankę wody z kostkami lodu. – Niech pani siada, na litość boską. Nie musi pani tam stać. – Wręczyła dowódcy szklaneczkę z czymś fioletowym, ze swoją zaś szklanką, napełnioną przezroczystym napojem, podeszła do jednego z krzeseł ustawionych wokół niskiego stolika. – Proszę... niech pani usiądzie koło mnie, jeśli pani chce.

Ofelia poszła za nią i usiadła. Krzesło skręciło się pod nią i Ofelia podskoczyła, posyłając Kirze spojrzenie pełne złości.

– Przepraszam – powiedziała kobieta; jej mina wskazywała na to, że przeprosiny były szczerze. – Nie pomyślałam... Te krzesła dopasowują się do każdego, kto na nich siądzie. Proszę mi wybaczyć, bardzo przepraszam.

Ofelia usiadła z powrotem, usztywniając plecy. Krzesło poruszyło się pod jej pośladkami i udami, próbując sprawić, by rozluźniła mięśnie. Trudno było siedzieć na nim sztywno i Ofelia czuła, jak jej opór ustępuje. Kiedy się rozluźniła, krzesło dopasowało się do jej kształtu. Musiała przyznać, że to wygodne. Pociągnęła łyk wody. Była zimna i bez smaku, w niczym niepodobna do prawdziwej wody, do której przywykła.

– Dziękuję, Sera – powiedziała uprzejmie. – To bardzo miłe.

– Takie same meble są w oddziałach domów geriatrycznych – powiedziała Kira. – Chronią przed odleżynami.

– To interesujące – odrzekła Ofelia. Wciąż nie miała planu, jak ich przekonać. Znow wypila łyk wody. – Sera... ci... autochtoni, tak ich nazywacie...

– O co chodzi? – zapytał Likisi.

– Myślę, że są zaniepokojeni. Wami.

Roześmiał się.

– Spodziewam się, że są zaniepokojeni. Dosyć łatwo eliminują pierwszych ludzi, jakich widzą w życiu, a tymczasem ludzie wracają. Poza tym zetknęli się z naszą technologią – choć nie powinno się tak stać, w pewien sposób musiało im to jasno uświadomić, jak długa jeszcze przed nimi droga, zanim będą mogli się z nami mierzyć.

– Nie zrobimy im żadnej krzywdy, Sera Falfurrias – powiedziała Kira. – Mamy świadomość, że nie rozumieli, co się dzieje, kiedy zaatakowali kolonistów. To był po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności; naprawdę przecież nie są tacy krwiożerczy. Jak pani sama mówiła, są dosyć inteligentni, a kiedy Bilong dokończy analizy lingwistycznej i będziemy mogli z nimi porozmawiać, wyjaśnić im, co wiemy...

Nieporozumienia tkwiły ukryte w tych słowach jak pestki w miąższu pomarańczy. Lud już zrozumiał; ci ludzie nie.

– Ci koloniści – zaczęła Ofelia. – Oni zniszczyli gniazda.

– Gniazda? – Likisi gapił się na Ofelię. – Autochtoni budują gniazda? Bilong mówiła co innego.

– Bilong powiedziała, że zdaje się jej, że tamta kolonia wylądowała w jakimś wyjątkowym miejscu, na pewnego rodzaju świętym terytorium, czy coś takiego.

– To były gniazda – powtórzyła Ofelia.

– Nie wiedzieli o tym – odparła Kira. – Nie mogli przecież... nie mieli przecież pojęcia, że są tu tubylcze inteligentne formy życia. – Z tej wypowiedzi jasno wynikało, że Kirze obojętny byłby los gniazd mniej inteligentnych tubylców.

Ofelii zrobiło się wstyd.

– Wszystko jedno... gniazda, święte miejsca... nie ma to znaczenia – ciągnęła Kira. – Ważne jest teraz, że już rozumiemy, dlaczego zareagowali tak gwałtownie. Jeśli obawiają się odwetu, powinni wiedzieć, że nie pragniemy żadnych aktów przemocy, jak długo są nastawieni pokojowo.

Ofelia nie mogła skoczyć na równe nogi i wrzasnąć: „Głupcy!” na tych dwoje; nic by to nie dało. Powiedzieć, że śmierć małych i strażników gniazd nie ma znaczenia... uważać, że Lud obawia się ludzkiej zemsty... myśleć, że to oni mają władzę, a nie ci, którzy zamieszkują tę planetę... Tak, są głupcami, obojętne, czy się ich tak głośno nazwie, czy nie.

– Dla nich miał znaczenie fakt, że to były gniazda – powiedziała cicho. Potem wstała; nie mogła już dłużej wytrzymać z nimi w jednym pomieszczeniu.

Za jej plecami zaszumiały otwierane drzwi i Ofelia aż podskoczyła. To tylko pozostała dwójka wracała.

– Urządził nam niezłą gonitwę – powiedział Ori. – Wydaje mi się, że miało to coś wspólnego z demonstracją technik łowieckich, ale nie mam pewności. Ależ mnie suszy! Dzień dobry, Sera Falfurrias... Proszę wybaczyć, że nie powitałem pani od razu.

– Nie uwierzycie, ile potrafią wymówić spółgłosek palatalnych – zabrała głos Bilong. Poklepała szarą skrzynkę, którą miała u boku. – Tym razem mam dobre nagrania, bardzo czysty dźwięk. Kiedy już przepuszczę to przez komputer i dostanę spektrum fal, będziemy mieć gotową – no, prawie gotową – analizę fonetyczną.

– Może właśnie dlatego nasz potężny łowca niczego nie upolował; był zbyt zajęty produkowaniem pięknych dźwięków do magnetofonu Bilong.

– Może zechcielibyście przyjść do mnie na kolację – zaproponowała Ofelia. – Nie miałam jeszcze honoru ugościć was w moim domu.

– Co proszę? – Likisi, troszeczkę jakby nieostry na brzegach (co to było, to fioletowe?) gapił się na nią z otwartymi ustami, potem przypomniał sobie o manierach. – Eee... dziękujemy, Sera, ale chyba nie dzisiaj, raczej nie. Ori jest wyczerpany, a szczerze mówiąc, ja także.

– W takim razie, może kiedy indziej? Jutro lub pojutrze? – Stworzenia wyraźnie dały jej do

zrozumienia, że chcą doprowadzić do konfrontacji jak najszybciej. Lud był gotowy. Ofelia nie rozumiała ich intencji do końca, ale ufała im.

– Jutro byłoby nam bardzo miło – powiedziała Kira. – Może pozwoli nam pani przynieść poczęstunek ze statku?

Ofelia przejrzała ją na wylot: nie mają zaufania do żywności z jej ogrodu. Gniew uczynił ją upartą; poczuła się ciężka jak skała, która opiera się wszelkim wysiłkom poruszenia jej.

– Wszystko zostanie starannie oczyszczone, Sera – zapewniła Ofelia. – Gotuję posiłki już od wielu lat. – I jeszcze nie umarłam, i jestem zdrowa. Tego już nie dodała.

– Naturalnie – powiedział Ori z westchnieniem. – Zdaje się, że zbyt często przejmujemy się tymi sprawami. Sera Falfurrias. Będziemy zaszczytzeni, mogąc zjeść z panią kolację.

Pozostali okazali jeszcze mniej entuzjazmu, ale nie sprzeciwili się.

– Dziękuję – powiedziała Ofelia i uciekła w słoneczny blask późnego popołudnia.

Dwaj doradcy wciąż pochylali się nad ciężarówką, ale tylko rozmawiali, nie pracowali. Kiedy ją zauważyli, stanęli wyprostowani, gdy ich mijała; ten hałaśliwszy wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale nie odezwał się.

Przez całą drogę do domu stary głos wypominał Ofelii, co powiedziała źle, co powinna była powiedzieć i że i tak nic z tego nie będzie. Nowy głos milczał, ale Ofelia wiedziała, że porusza w niej coś tak głęboko, że nie mogła go słyszeć, lecz jedynie czuć. Lewa ręka i prawa ręka. Błękitny Płaszcz czekał na nią, tak jak się tego spodziewała.

– Nie słuchali mnie dzisiaj – oznajmiła. – Powiedzieli mi, że nie planują zemsty za to, że Lud zabił kolonistów. Myśleli, że się tego obawiacie. – Usłyszała pojedyncze tupnięcie; nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, która to stopa. – Oczekują, że będą mogli ustanowić zasady dla waszego i mojego ludu, abyśmy mogli nawzajem się poznawać. Spodziewają się, że na to przystaniecie. – Uśmiechnęła się szeroko do stwora.

– Sądzę, że nie macie wyboru. Nic nie pojmują, ale wkrótce zrozumieją. Jutro wieczorem ich nakarmię. Tego właśnie oczekują po starych kobietach – że będą ich karmić, dbać o nich i słuchać ich.

Błękitny Płaszcz mówił tego popołudnia jeszcze wyraźniej; Ofelia nie miała najmniejszego kłopotu ze zrozumieniem jego słów, kiedy zapytał, ile im powiedziała.

– Niewiele – odparła. – Byli zgrzani i głodni; nie słuchali uważnie tego, co mówiłam. Poza tym muszę się więcej dowiedzieć. – Na przykład, jaka broń znajduje się na promie, a jaka na pokładzie statku na orbicie. Jakie rozkazy wydano kapitanowi. Jeśli dojdzie do użycia siły, będą zgubieni. Nie można do tego dopuścić. Wszystko musi zostać załatwione drogą perswazji.

Nazajutrz wczesnym rankiem Ofelia udała się do swych ogrodów, by zebrać świeże warzywa. Z rozbawieniem patrzyła, jak kilku z Ludu zajmowało uwagę ludzi i nie dopuszczało

ich do niej. Nikt jej nie przeszkadzał, kiedy była w ogrodzie, miała czas na planowanie, jakie dania przyrządzić z dostępnych produktów, miała czas przybrać i zastawić stół i przygotować posiłek. Tak dawno już nie gotowała nic, prócz tego, na co sama miała ochotę. Usiłowała odgadnąć, co będzie smakowało tym młodszym, tym nieznanym. Nastawiła kawałki dyni w twardej łupinie do zagotowania; postanowiła, że zrobi dwa rodzaje pasztecików, jedno z dynią, a drugie z owocami. W zamrażarce miała odłożoną paczkę kandyzowanych jagód. Wzięła owoce, a z półki z mięsem wybrała udziec jagnięcy.

Choć zaprosiła tylko członków grupy badawczej, zaniósła też dzbanek soku owocowego doradcom, którzy tego dnia pracowali nad kolejnym pojazdem.

– Mam bardzo mały dom – powiedziała, opuszczając wzrok, jakby zawstydzona.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział ten spokojny. – Dziękujemy za napój.

– Pewnie nie ma pani czasu dokończyć tamtej opowieści? – zapytał drugi, nie całkiem wyrażając prośbę.

Ofelia miała nadzieję, że to właśnie on wtedy ją uderzył; łatwiej byłoby go nie lubić. Rozsądek podpowiadał, że ten spokojny może być równie niebezpieczny, ale czuła tajony podziw dla kogoś, kto potrafi bezinteresownie okazać uprzejmość.

– Niestety – odpowiedziała – mam dużo gotowania. Później może przyniosę paszteciki...

– Jest jeszcze pilot – powiedział głośniejszy. – Nie obraziłby się pewnie na mały poczęstunek...

– Przestań... – upomniał go drugi.

– Będę zaszczycona – odparła Ofelia.

Odeszła, zanim zdążyli powiedzieć coś jeszcze. Podejrzewała, że wsadzą napój do jednego ze swoich automatów, żeby sprawdzić, czy nie dosypała im narkotyku. Nie byłaby aż tak głupia, ale oni nie mogli o tym wiedzieć. Nie odwróciła się, żeby zobaczyć, czy wypili sok.

Paszteciki były gotowe na tyle wcześniej, że dom nie zdążył się nagrzać. Udziec upieczone w sąsiednim domu albo w Centrum. Wyłożyła paszteciki na kratkę, a potem przesunęła stół kuchenny na drugi koniec pomieszczenia. Jeszcze raz poszła do Centrum i znalazła kilka metrów ciężkiego niebieskiego materiału, który mógł służyć jako obrus. Na nim nawet zwyczajne talerze wyglądały prawie odświętnie. Cięte kwiaty powoju nie wytrzymałyby długo, więc na środku stołu Ofelia ułożyła kompozycję z owoców i ziół.

Miała akurat tyle czasu przed główną częścią gotowania, żeby pospieszyć na lądowisko z tacą pasztecików, jednym z własnoręcznie upieczonych bochnów chleba, słoikiem dżemu, pętem twardej wołowej kiełbasy i świeżymi owocami. Doradcy i pilot – jeszcze nigdy go nie widziała – robili coś przy trzecim pojeździe, ale od razu ją zauważyli. Tym razem podeszli do niej, by odebrać tacę.

– Dziękujemy – powiedział ten spokojny. – To bardzo miłe z pani strony. – Wziął jeden

pasztecik. – Mam nadzieję, że głowa już panią nie boli... Pechowo wyszło, że mnie pani wtedy tak zaskoczyła.

Ofelia uśmiechnęła się do niego. Wciąż żałowała, że to nie ten drugi, którego i tak by nie polubiła.

– Głowa już mnie nie boli – odparła. – Nie chciałam pana wtedy przestraszyć.

– Oczywiście – odrzekł. Ugryzł pasztecik i wyraz jego twarzy zmienił się z uprzejmie neutralnego na kompletnie zaskoczony. – To jest naprawdę pyszne – oznajmił, jakby spodziewał się poczuć smak gorzkiej cytryny.

– Proszę wybaczyć – powiedziała Ofelia. – Muszę wracać do kuchni. Szykuję pieczeń... – Podążyła im dosyć szczegółów, żeby poczuli palącą zazdrość wobec tych, którzy zostali zaproszeni. Widziała, jak zawiść i niezadowolenie wzbierają w nich niczym bąbelki w zupie fasolowej. Patrzyli teraz na poczęstunek z mniejszym podziwem, teraz, kiedy wiedzieli, co ich ominie.

Gdy goście Ofelii przybyli, wszystko było już na półmiskach. Sałatka z pomidorów i cebuli, przyprawiona octem i oliwą, w wianuszkach rozmarynu i bazylii. Pieczony udziec barani, obtoczony w suszonych ziołach... szkoda, że przysmażony rozmaryn wyglądał jak kawałki spalonych owadów, ale za to pachniał smakowicie. A kiedy pokroiła pieczeń... jej goście aż syknęli z podziwu. Przygotowując ją, najpierw usunęła kości, potem płat mięsa owinęła wokół nadzienia z warzyw, sera i ziół. Każdy plaster przedstawiał inny, niepowtarzalny wzór.

Sama nie miała apetytu, i to nie tylko dlatego, że podjadała w trakcie gotowania. Częściej była na nogach, niż siedziała, przynosząc nowe dania i odbierając opróżnione talerze.

– Nie miałem pojęcia, że pani potrafi przyrządzić takie potrawy, Sera Falfurrias – powiedział Likisi, kiedy zobaczył plastry nadziewanej pieczeni. – Czy może była pani główną kucharką kolonii?

– Nie, Ser Likisi. Oprócz pierwszych dni, kiedy nie mieliśmy jeszcze własnych domów, każda rodzina gotowała dla siebie. Wszyscy przyrządzali dodatkowe posiłki. Były przechowywane w Centrum i przeznaczone dla tych, którzy będą chorzy. Dużych kuchni Centrum używałyśmy, gotując dla szkoły lub przy wyjątkowych okazjach, na przykład kiedy na polach potrzeba było więcej rąk do pracy. – Albo w czasie powodzi, albo epidemii, ale o tym już nie powiedziała.

Po pierwszych ostrożnych kęsach wszyscy czworo zaczęli jeść, jakby pościli od tygodnia. Kiedy Ofelia przyniosła resztę pasztecików, siedzieli na krzesłach odchyleni do tyłu, z na wpół sennym spojrzeniem, typowym dla ludzi, których żołądki są przepełnione. Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Zabrała brudne półmiski i patery, i umyła talerze. Każdemu podała mały talerzyk na paszteciki i w końcu sama usiadła na krześle, z którego niewiele korzystała tego wieczoru.

Bolały ją plecy i nogi; przedtem zbyt ciężko pracowała, by zwrócić na to uwagę. Ale od bólów nikt jeszcze nie umarł. Od wojen – wielu. Uśmiechnęła się do gości, a oni odpowiedzieli

uśmiechem, z ustami pełnymi słodkiego ciasta. Łagodniejsi już nie mogli być. Ponad ich głowami, w zapadającym zmierzchu, Ofelia dostrzegła Błękitnego i dwa inne stwory zmierzające do Centrum.

Tym razem, kiedy zaczęła mówić, zachowali ciszę, nawet jeśli nie słuchali z całą uwagą. Zaczęła od tego samego miejsca, co poprzedniego dnia: autochtoni są zaniepokojeni, ponieważ myślą, że ludzie nie zrozumieli, co się wydarzyło. Atak na ich gniazda spowodował atak na kolonistów, ale stworzenia nie obawiają się odwetu.

– Uważają, że ich reakcja była uzasadniona – tłumaczyła Ofelia. – Nie zamierzają tolerować kolejnej ingerencji.

– Powiedziałaś im chyba, że nie ma mowy o dalszej kolonizacji? – zapytał Likisi, patrząc na Bilong.

– Próbowałam – odparła lingwistka. – Myślałam, że udało mi się to przekazać.

– Widzi pani, Sera Falfurrias – zwrócił się Likisi do Ofelii – autochtoni są chronieni naszym prawem. Nikt nie będzie usiłował kolonizować tych terenów, ale oni nie mogą ot, tak sobie, zabijać ludzi, tylko dlatego, że są zaniepokojeni...

– Koloniści zabili ich ludzi... ich dzieci i strażników gniazd – odparła Ofelia.

– To był wypadek – powiedział Likisi. – Muszą to zrozumieć... Koloniści popełnili błąd, ale to, co oni sami zrobili, uczynili celowo. Możemy przyjąć, że to także była pomyłka – nikt przecież nie nawołuje do zemsty... no, może niektórzy, ale rząd na to nie zezwoli. Jednak oni nie mogą znowu użyć siły przeciwko nam. I musimy się upewnić, że nie mają dostępu do takich technologii, żeby wyrządzić nam prawdziwą krzywdę, dopóki nie są na tyle dojrzały, by z nich we właściwy sposób korzystać.

Ofelia czuła się tak, jakby ktoś z jej wnętrza zrobił na szydełku jeden wielki, spleciony węzeł. Zmusiła się, by ciągnąć dalej.

– Ale z tego, co pan i inni mówili, wynika, że daleko na północy mają miasta i łodzie z żaglami. Jak chcecie ich powstrzymać przed uczeniem się nowych rzeczy na własną rękę?

Likisi roześmiał się.

– To im zajmie lata, wieki, zanim osiągną stopień rozwoju prawdziwego początkującego przemysłu. Nieszczęśliwie się złożyło, że przyszli tutaj i dowiedzieli się o elektryczności, ale sami będą musieli wymyślić, jak zbudować generatory i baterie... Ludziom zajęło to tysiące lat, a oni nie wymyślą tego w krótszym czasie. W każdym razie, jak długo nie potrafią opuścić planety, nie mogą wyrządzić nam żadnej prawdziwej szkody.

Ludzie nie mieli gotowych urządzeń jako wzorców, pomyślała Ofelia. Ile czasu zajęło tym ludziom, którzy sami nie skonstruowali maszyn, nauczenie się ich obsługi? Produkcji i napraw?

Odezwała się Bilong:

– Nie rozumiem, Sera, skąd pani wie to wszystko. Nie zbadła pani naprawdę ich języka...

– Ale dłużej z nimi mieszkałam – odparła Ofelia. – Chcą ze mną rozmawiać.

– No tak, ale przecież może pani niewłaściwie zrozumieć mnóstwo rzeczy – powiedziała Bilong. – Na przykład to słowo, które słyszałam, jak pani wymawia... Zrobiłam analizę akustyczną i pani wymawia to całkiem inaczej niż oni. – Bilong zaczerpnęła tchu i wymówiła „cmok-kok-kirrr” w taki sposób, który wydał się Ofelii prawidłowy. – Tak oni to wymawiają, a pani mówi... „cmok-kok-kirrr”... Słyszysz pani różnicę?

Ofelia nie słyszała. Nie była nawet pewna, czy w ogóle była jakaś różnica; Błękitny rozumiał ją doskonale, kiedy wymawiała to słowo.

– Zmierzam do tego – ciągnęła Bilong, oparłszy na stole oba łokcie – że tak naprawdę pani ich nie rozumie; tylko się pani tak wydaje. A oni pojawili się w momencie, kiedy była pani całkiem sama, zapewne pod wpływem psychozy wywołanej samotnością, i myśli pani o nich jak o przyjaciółach. To nie są przyjaciele; to Obcy. To znaczy, autochtoni – poprawiła się, rzucając innym szybkie spojrzenie.

Ofelia wyjrzała przez okno. Na zewnątrz było ciemno, krótki, tropikalny wieczór już minął. Jeśli choć trochę znała się na ludziach, to dwaj doradcy wojskowi i pilot, pewni, że ich przełożeni nie wrócą przed upływem kilku godzin, zakrapiają swoją skromniejszą ucztę tym nielegalnym napojem, którym poprzedniego dnia chcieli ją poczęstować. Jeśli mieli na pokładzie jakąś formę rozrywki, na kostce albo w komputerze, to teraz zapewne skupili się wokół niego. Za wcześnie jeszcze, żeby zaczęli się martwić, za wcześnie na „coś może się stać”. Okażą się czujniejsi później, kiedy będą się spodziewali powrotu dowódcy.

Ofelia nie wiedziała jednak, jakiego rodzaju zabezpieczenia znajdują się na samym promie. Wyjaśniła Błękitnemu działanie tych zabezpieczeń, które znała: wąskich strumieni fal świetlnych czy dźwiękowych, które reagowały, kiedy się je przerwało, płytki reagujące na nacisk, zamki, które wymagały odcisku dłoni czy skanowania siatkówki. Błękitny Płaszcz nie wydawał się tym zmartwiony. Poza tym teraz to nie był jej problem.

– Są bardzo inteligentni – powiedziała. – Uczą się bardzo szybko, nawet dzieci.

– Dzieci! Co pani wie o ich małych? – Kira usiadła prosto i odłożyła pasztecik, który trzymała w ręce.

To była część zadania, która najbardziej przerażała Ofelię. Nie chciała ludziom wyjawiać, że w kolonii przebywają dzieci Ludu, ale Błękitny Płaszcz i Bulgot-cmok-ehem nalegali na to. Ofelia musi powiedzieć ludziom o małych. Oni muszą je zobaczyć.

– Mają przeurocze dzieci – oświadczyła. – Niezwykle uczuciowe, bardzo szybko się uczą.

– Pani widziała ich małe?! – zawołali wszyscy, praktycznie jednym głosem. – Małe są tutaj, w osiedlu?

– Czemu pani nic nam nie powiedziała? – zapytała Kira.

– Nie pytaliście mnie – odparła Ofelia z dużą satysfakcją. W momencie, kiedy ich gasnące

zdumienie zaczęło przekształcać się w gniew, wstała od stołu. – Chodźcie ze mną, jeśli chcecie je zobaczyć.

Nic nie mogło ich powstrzymać. Deptali jej po piętach, kiedy przechodzili przez drogę, kierując się do Centrum, gdzie Ofelia zapukała w zamknięte drzwi. Otworzył je Błękitny Płaszcz; Ofelia mrugnęła do niego i wprowadziła ich do środka. Kiedy już wszyscy weszli, zamknęła za nimi drzwi.

– Dlaczego pani zamyka drzwi? – zainteresował się Likisi.

– Nie chcemy, żeby dzieci wybiegały na ulicę – odrzekła, prowadząc ich korytarzem do pomieszczeń szkolnych. Za plecami słyszała kroki ludzi. Przed sobą widziała światło wylewające się przez niedomknięte drzwi pokoju szkolnego i słyszała piskliwe głosy małych.

ROZDZIAŁ 20

Ofelia sama dokładnie nie wiedziała, co Błękitny Płaszcz zaplanował w ramach tej demonstracji. To, co zobaczyła – co wszyscy zobaczyli – przekroczyło jej najśmielsze wyobrażenia. Jedno z dzieci, usadowione na kolanach Bulgot-cmok-ehem, buszowało po klawiaturze szkolnego komputera. Na monitorze wirowały kolorowe wzory. Dwoje dorosłych pochylało się nad kilkoma tykwami, manipulując przy wychodzących z nich drutach, które były podłączone do... Ofelia zamrużyła oczami... podłączyli do tych tykw połowę elektrycznych modeli w pokoju. Pozostała dwójka dzieci bawiła się na podłodze modelami przyborów i śrub, zajęta konstrukcją czegoś bardzo skomplikowanego. Ofelia ciekawa była, co to jest i czy będzie działać, kiedy już zostanie ukończone.

– Oo... mój Boże. – To odezwał się Likisi; Ofelia nie podejrzewała go o żadne wierzenia religijne. – One... one używają komputera?

Błękitny Płaszcz podszedł bliżej; wcześniej cicho zamknął za ludźmi drzwi.

– Ghofofe.

– Ale jak się tego nauczył... Pani ich uczyła? Mimo że panią ostrzegaliśmy? – Likisi ze złością spoglądał na Ofelię.

Błękitny Płaszcz stanął pomiędzy nimi, wymuszając na Likisim, by patrzył na niego.

– Tso myyhy fidzim', myyhy rroobhim' – powiedział Błękitny, zataczając ramieniem koło, jakby obejmował nim cały pokój.

– On mówi – zwróciła się do Likisiego Bilong – „co widzimy, to robimy”. To znaczy, oni robią. Twierdzi, że potrafią wykonać wszystko, co zobaczą. Faktycznie nie potrafią tego, ale...

– Eji zzzt! – zawołał Błękitny Płaszcz i powiedział coś we własnym języku do stworzeń przy tykwach.

Ofelia wstrzymała oddech. Prawie nie wierzyła, że urządzenie znowu zadziało. Już za pierwszym razem i tak zdawało się, że to czary.

Zgasły światła i zanim przerażeni ludzie zdążyli krzyknąć, na środku pokoju rozbłysnął szereg mniejszych żarówek. Na powrót zapalono światła w pomieszczeniu; stwór przy tykwach dwa razy wydał na ludzi podgardle, potem przesunął dźwignię i światelka zgasły.

– To niemożliwe! – zawołał Likisi. – Użyli przedłużacza... albo ukrytej baterii...

– Bateria siedzi w tykwach – wyjaśniła Ofelia. Błękitny Płaszcz jej to wytłumaczył. – Oni warzą jakąś substancję, która działa tak samo, jak kwas w baterii...

– Nie potrafią tego zrobić... to niemożliwe...

– To jest możliwe. – Kira podeszła bliżej, by się przyjrzeć. – Jeśli wymyślili kwas...

– Oni produkują ładunki wybuchowe, wiecie – powiedziała Ofelia. – Ten prom...

– Zzzt pf niabhije – powiedział Błękitny. – Taksam zzzt pf t'rrutakh eji szszjatfuuo, eji

ziaam, eji oob'rout...

– Pani im powiedziała! – Likisi obrócił się w stronę Ofelii. – Musiała im pani powiedzieć: nie mogli tego sami wymyślić. Nie mają przecież nawet rządu!

– Rząd i nauka nie są dla siebie wzajemnie niezbędne – rzekł sucho Ori. Wyglądał teraz bardziej na rozbawionego niż wystraszonego i wyraźnie cieszyła go trudna sytuacja dowódcy. – Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by Sera Falfurrias posiadała wiedzę konieczną do przygotowania tej demonstracji. – Odwrócił się do Ofelii. – Proszę mi powiedzieć, Sera, jaką to substancję trzeba „uwarzyć”, żeby chemicznie wytworzyć prąd – czy pani wie?

– Do baterii wykorzystuje się kwas – powiedziała. – Jest niebezpieczny i wydziela opary.

– Tak. Tak właśnie myślałem. I podejrzewam, Vasil, że jeśli poddamy analizie to, co autochtoni mają w swoich dzbankach, nie będzie to ten sam kwas, który Sera Falfurrias mogła widzieć w bateriach. Jak już próbowałem ci powiedzieć wiele razy, odkąd wyładowaliśmy, ci tubylcy są całkiem niepodobni do wszystkich innych kultur, jakie badałem.

– Cóż, to są Obcy! – odparł Likisi. – Naturalnie, że są inni.

– Przepraszam. – Ori odwrócił się od dowódcy i podszedł do Kiry. – Masz może jakieś pojęcie, co może być w środku?

– Ta roślina... Nie mam pojęcia, co to jest ani skąd ją wzięli... – Wyciągnęła rękę z garścią liści i kilkoma pomarańczowo-czerwonymi kulkami, mniejszymi od śliwek. – Nie mam pojęcia, jak oni z tego robią płyn...

– Nieważne, jak to robią – powiedział Likisi. – Ważne jest tylko, że to Obcy i że nie znali elektryczności, kiedy spotkali się z naszą Babcią, teraz natomiast znają. To jej wina...

Ofelia odskoczyła, gdy Likisi zbliżył się do niej; może nie miał zamiaru jej uderzyć, ale znała ten ton, tę postawę. Wtedy długie, mocne palce zamknęły się na jego ramionach i dwóch z Ludu przytrzymało go... nawet nie unieruchomiło, po prostu nie pozwoliło mu się poruszyć. Reszta ludzi zamarła, zapatrzona w tę scenę, potem wszyscy przenieśli wzrok na twarz Ofelii.

– Błękitny Płaszcz śpiewa za większość strażników gniazd plemion polujących – zaczęła Ofelia, ignorując wysiłki Likisiego, by się uwolnić, i miny innych. Miała nadzieję, że używa odpowiednich słów ludzkich, nazywając koncepcje tak dokładnie opisane jej przez Błękitnego. – Śpiewający to nie są „grajkowie”... – Mówiąc to, spojrzała prosto na Oriego. – Śpiewający nawiązują kontakt ze strażnikami gniazd, którzy chcą uzgodnić miejsce do gnieźdzenia albo tereny łowieckie; my nazwalibyśmy ich dyplomatami. Jedynie strażnicy gniazd mogą zawiązywać porozumienia wiążące dla Ludu.

– To... władcy? – zapytał Ori. Należy mu przyznać, że okazał się bardziej zainteresowany prawdą niż rozdrażniony tym, że był w błędzie.

– Nie. Nie władcy... nie całkiem. Przewodzą młodym – od gniazda do chwili, w której młode zaczynają wędrować z Ludem; a więc to oni decydują o tym, co jest ważne, czego należy uczyć

młode, które porozumienia zachować.

– Nie rozumiem, jak to funkcjonuje – powiedziała Kira, marszcząc brwi. – Jeśli oni pozostają przy gniazdach, z małymi, a pozostali wędrują, to skąd strażnicy wiedzą, jaka jest decyzja pozostałych?

Ofelia nie miała pojęcia, skąd to wiedzą i czy w ogóle to wiedzą. Mówiła dalej, tak jakby Kira jej nie przerwała.

– Błękitny Płaszcz przybył, kiedy pierwsi donieśli mu, że należę do tych samych zwierząt, które pozabijali, ale też, że jestem inna. Ponieważ byłam już stara i miałam dzieci, i ponieważ tu pozostałam, podczas gdy mój lud odszedł, uznali mnie za strażniczkę gniazd dla ludzi. Dla moich ludzi.

– Przypuszczam, że to logiczne rozumowanie. – Przynajmniej według ich reguł... Musieli dopasować panią do jakiejś kategorii.

– A teraz jestem strażniczką gniazd także dla nich – dokończyła Ofelia.

– Co? Jak to?

– Kiedy narodziły się te dzieci, ja tu byłam; przyjęły mnie jako cmok-kok-kirrr... – Na te słowa małe popatrzyły na Ofelię i zaskrzeczały; te na podłodze podbiegły do niej i oparły się o jej nogi. Ofelia powoli przykucnęła – strzeliło jej w kolanach – i stworki złapały ją za ręce. Poczowała na nadgarstkach teraz już znajomy dotyk ich języków.

– To imprinting... i chemotaksja... – powiedziała Kira miękko. – Rozpoznają ją od pierwszych chwil życia.

– Dlatego właśnie nie mogę wyjechać – oświadczyła Ofelia. – Jestem ich cmok-kok-kirrr, jedyną, jaką mają. Normalnie miałyby ich kilka, ale już za późno, by znajdować im nową...

– Ale ci inni mogli byli... – zaczęła Kira.

Ofelia potrząsnęła głową.

– Nie. Tylko matki, których czas gnieźdzenia już minął, mogą zostawać strażniczkami; nikt inny. Byłam jedyną dostępną, więc poprosili mnie... a ja się zgodziłam. Któż by nie chciał opiekować się tymi maluchami?... – Uśmiechnęła się, patrząc w dół na wielkookie dzieci, odpowiedziały na jej spojrzenie z ufnym i gorliwym oddaniem, które pamiętała tak dobrze u swych własnych dzieci. Przy tych postara się lepiej, obiecała sobie. I im.

Spojrzała przez ramię na Likisiego: twarz mu poczerwieniała i cały spływał potem; choć już się nie wrywał, każda część jego ciała wyrażała opór i gniew.

– Przykro mi, Ser Likisi, z powodu pana zakłopotania, ale widzi pan, musiałam wam to powiedzieć, przekonać was. Nie mogę stąd odejść, nawet gdybym chciała, a nie chcę. Te dzieci mnie potrzebują; tylko ja mogę zrobić dla nich to, co powinna zrobić cmok-kok-kirrr.

– To są Obcy – odparł Likisi chrapliwym głosem. – Nie możesz robić tego... cokolwiek to jest... Jesteś tylko prymitywną, wtrącającą się do wszystkiego, starą babą!

Podgardla stworów trzymających go za ramiona wydeły się i zaczęły pulsować. Likisi zbladł; Ofelia widziała, jak pot zaczyna spływać mu po twarzy.

– Oni szanują strażników gniazd i ufają im, Ser Likisi – powiedziała. – Nie lubią też tych, którzy robią inaczej.

– Ale...

– Bądźże cicho, człowieku – odezwał się Ori. – Wszystko chcesz zepsuć. – Usiadł tam, gdzie stał, obok płataniny drutów i małych żarówek, potem spojrzał na Ofelię. – Proszę mówić dalej.

Za bardzo dokuczały jej kolana, żeby mogła długo wytrwać w pozycji kucznej; usiadła na podłodze i małe wczółgały się jej na podolek.

– Powiedzieli mi... – Błękitny Płaszcz powiedział mi, że przyjęli mnie jako strażniczkę gniazd zarówno dla nich, jak i dla ludzi. Oznacza to, że to ja właśnie mogę zawiązywać porozumienia. Ale muszę pozostać tutaj.

– Przypuszczam, że to ma sens – odezwał się Ori. Nawet nie spojrzał na Likisiego. – Możemy wszystko wyjaśnić pani, a pani wyjaśni to im...

Wciąż nie rozumiał. Ofelia miała nadzieję, że pozostanie tak samo opanowany, kiedy już zrozumie.

– Przykro mi, Ser, ale to działa w drugą stronę. Oni wyjaśniają wszystko mnie, a ja wyjaśniam wszystko wam.

– Tak, oczywiście... ale miałem na myśli warunki ugody.

– Oni tak samo – oświadczyła Ofelia.

Ori wpatrywał się w nią przez długi czas, a jego twarz pozostała nieruchoma, podczas gdy docierało do niego to, co usłyszał.

– Warunki... ich... ugody.

– Tak, Ser. – Ofelia starała się, by zabrzmiało to niegroźnie.

– Tak... rozumiem. – Ori podniósł wzrok i spojrzał na pozostałych ludzi, którzy wciąż stali, Likisi przytrzymywany przez dwóch z Ludu. – Myślę, że musimy o tym porozmawiać. Z całym szacunkiem, Sera Falfurrias, bez pani. Pani jest zbyt... zaangażowana... by dysponować absolutnie otwartym umysłem.

– Nia. – To odezwał się Błękitny Płaszcz, który pozwolił Ofelii dotąd kierować sprawą.

– Nie bądź głupi – rzuciła Kira, kierując się ku drzwiom. Nikt jej nie powstrzymał. Chwyliła za klamkę i pociągnęła, ale drzwi pozostały zamknięte.

– Są zamknięte na zamek – wyjaśniła Ofelia, zupełnie niepotrzebnie. Poczula złośliwą satysfakcję, widząc minę Kiry. Czy to właśnie czuły kobiety, które uważała za złe? Widywała już dawniej wyraz twarzy wyrażający to uczucie, które miała w sobie, na twarzach innych ludzi. – Tak samo drzwi wejściowe. Będziecie musieli przedyskutować wszystko tutaj.

Goście sięgnęli do kieszeni, do pasków, i dopiero wtedy przypomnieli sobie, że nie przynieśli

ze sobą swoich narzędzi, swoich minikomputerów i interkomów, idąc na kolację w małym domku starej, nieuczzonej kobiety, która przecież nie mogła wyrządzić im żadnej krzywdy. Władza, uświadomiła sobie Ofelia, może zaiste spłodzić złośliwość; jej stary głos zganiał ją solidnie za śmiech, który chciał wyrwać się jej z ust, kiedy zobaczyła ich twarze – jak szybko zmieniają wyraz, a potem zmieniają się jeszcze raz.

– Nic złego wam się nie stanie – zapewniła ich. – Ale musicie mnie wysłuchać i zdecydować o tym, co jest konieczne.

– Czy pani wie, czego oni chcą? – zapytał Ori.

Praktyczny umysł, ten Ori, i wciąż taki opanowany. Miała nadzieję, że tu pozostanie – po wszystkim.

– Oni chcą się uczyć – odpowiedziała Ofelia. – To dla nich największa radość. – Pchnęła delikatnie małe siedzące na jej kolanach, a Bulgot-cmok-ehem zamruczała coś do nich. Stoczyły się na podłogę i podbiegły lekko do swojej porzuconej konstrukcji. – Patrzcie na nie – poleciła Ofelia.

– Ghootuff – powiedział Błękitny Płaszcz.

Jeden z Ludu podniósł przyrząd i umieścił go na tablicy kontrolnej. Dzieci zaskrzeczały coś, Ofelia nie mogła rozróżnić słów, ale z wyrazu twarzy słuchających ich dorosłych wynikało, że małe mówią do rzeczy. Ten sam stwór ponownie podniósł urządzenie i wstawił je do głębokiego zlewu laboratoryjnego. Błękitny Płaszcz podał Ofelii ramię i pomógł jej wstać, by mogła wszystko widzieć. Słyszając ponagląjące piski z podłogi, Błękitny podniósł też trójkę dzieci; jedno błyskawicznie wdrapało mu się na ramię. Drugie wyciągnęło ręce do Ofelii, która wzięła je i zaczęła kołysać.

Kiedy dorosły stwór odkręcił kurek i uregulował strumień wody, wszyscy zobaczyli, że małe wymyśliły urządzenie napędzane wodą, które poruszało kółka zębate coraz szybciej i szybciej...

– Zzzzt! – zawołał cieniutki głosik. – Eji zzzt!

– Niemożliwe – szepnął Likisi, ale tym razem bez złości w głosie, tylko z podziwem. – Puśćcie mnie – powiedział do trzymających go stworów. – Chcę zobaczyć...

Natychmiast puścili jego ręce, Likisi podszedł do zlewu i zajrzał do środka.

– Nie mogły przecież... w promieniu kilku lat świetlnych nie ma generatora wodnego... a jednak... to w zasadzie mogłoby zadziałać. – Wyciągnął palec, by zaraz go cofnąć.

– Wolicie ich jako przyjaciół, jako strażników gniazd, czy jako wrogów? – spytała Ofelia. Wciąż nie rozumiała, jak działa to coś, co zbudowały małe, ale skoro twierdziły, że to będzie dawało prąd, wierzyła im. – Jeśli spróbujecie ich powstrzymać... nie uda wam się, tylko ich rozgniewacie. Taki macie wybór.

– Ależ to za szybko... oni są tacy... aż tak inteligentni... – Likisi rozejrzał się dokoła, popatrzył na dorosłych, na dzieci, w końcu na Ofelię.

Ofelia starała się nie okazać zniecierpliwienia.

– Macie wybór pomiędzy: inteligentni i przyjaźni albo inteligentni i rozzłoszczeni. Oni uważają, że dobrzy strażnicy gniazd – dobrzy nauczyciele, dobrzy przyjaciele – pomagają młodym rozwijać się i uczyć... wszystkiego.

– Ciekawe, ile by mieli w skali Varinge’a – powiedział Likisi, a w każdej sylabie słysząc było zawiść.

– Więcej niż my – odparła Kira. – Będziemy potrzebowali większej grupy do badania, ale jeśli ci tutaj to typowi reprezentanci, średnia populacji będzie dobre dwadzieścia punktów wyżej niż ludzka. No i mieli te podręczniki, instrukcje do komputerów... Ich rozwój to już jest eksplozja, a jeszcze z tym... loty gwiazdne za niecałe sto lat, tak bym to określiła. Bez naszej pomocy.

– Poza tym agresywna obrona terytorium gnieźdzenia – dodał Ori. – Ajajaj. Przeróżające. – Jednak nie było po nim widać wielkiego przerażenia; w jego głosie brzmiał zapal.

Ofelia przeciągnęła palcem po kościstym grzbiecie dziecka.

– Nie takie przerażające, Ser... proszę... – Podała mu dziecko.

Omówili to już wcześniej. Ori był najdelikatniejszy z członków zespołu podczas prób obserwacji i nawiązywania kontaktu z Ludem, i Lud uznał, że powinien on mieć okazję potrzymać dziecko. Ofelia nadal uważała, że to nie jest bezpieczne, ale... ale trudno jest bać się i nienawidzić kogoś, czyje dziecko trzymało się na rękach. Ori wpatrywał się w nią... potem bardzo ostrożnie wyciągnął ręce. Mały chętnie przeszedł w dłonie mężczyzny – bądź co bądź, była to okazja poznania czegoś nowego – i polizał jego nadgarstek. Potem obejrzał się na Ofelię i zapiszczał. Nie był to ten sam smak, nie musiała usłyszeć wszystkich dźwięków, by wiedzieć, o co chodzi dziecku. Mały skierował swoje niesamowite oczy na twarz Oriego i wyciągnął się, by polizać jego podbródek. Ostre rysy Oriego zmiękły i Ofelia w końcu mogła się rozluźnić. Kira uśmiechnęła się szerokim, naturalnym uśmiechem szczęścia, tak samo Bilong.

I właśnie wtedy Likisi skoczył. Nie porwał dziecka z rąk Oriego, ale w chwili kiedy Błękitny odwrócił się, by spojrzeć na mężczyznę, pochwycił to, które siedziało na ramieniu stwora. Mały zasyczał i wbił pazurki w dłoń człowieka, ale ten chwycił stworka za szyję i mały zaczął się dusić.

Ofelia rzuciła się ku niemu, ale Likisi odepchnął ją z łatwością i zaczął się cofać ku drzwiom.

– One mają ogony – warknął. – Tresowane małpy... sprytnie jaszczurki... Wprost nie mogę uwierzyć, że dajecie się na to nabrać. Cała bogata planeta za bandę małych, łuskowatych jaszczurów i szaloną staruchę, która chce nad nimi panować? O, nie. – Dziecko wiło mu się w rękach, jego paski zaczęły blednąć, a oczy zaszyły mgłą. – Nie zbliżajcie się, bo skręcę mu ten paskudny kark. – Przez sekundę wszyscy wstrzymali oddech, nikt nawet nie drgnął. Potem Likisi wolną ręką wskazał Ofelię. – Ty. Na czworakach podejdź do drzwi i odblokuj je... Nie wmawiaj

mi, że nie znasz kodu. Nie wstawaj – na czworakach! Albo dzieciak zginie.

Ofelia spojrzała na Błękitnego, na innych ludzi, na Bulgot-cmok-ehem, w końcu na Likisiego i małe stworzonko, wijące się w uścisku jego rąk. Powoli – jej stawy nie pozwoliłyby na inny ruch – opuściła się na podłogę i zaczęła pełznąć w stronę mężczyzny.

– Tak już lepiej – powiedział. – To właśnie tacy ludzie, jak ty, są przyczyną wszelkich kłopotów... Nigdy nie powinnaś była nauczyć się czytać.

Niech mówi, odezwał się nowy głos Ofelii, wychodząc z ukrycia. Kiedy mówi, nie słucha. Ani nie myśli. Ciężko jej było posuwać się na czworakach; od lat tego nie robiła – z jej biodrem i kolanami, a teraz doszedł jeszcze ból w ramionach.

– Szybciej! – rozkazał Likisi, ale każdy wiedział, że żadna stara kobieta nie może czołgać się szybko, a ta była mniej sprawna od innych w jej wieku.

Przepraszająco podniosła wzrok i zobaczyła, że Likisi cofa nogę, by ją kopnąć, kopie... Ofelia chwyciła go za stopę i szarpnęła mocno. Nie miała dość siły, by go przewrócić, chcąc jednak odzyskać zachwianą równowagę, mężczyzna rozluźnił uchwyt rąk i mały, wykręciwszy całe ciało, zatopił drobne, lecz ostre ząbki w jego skórze pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym; jednocześnie długie pazury u stóp malca znalazły oparcie na ramieniu człowieka i zadrapały mocno.

– Auu! – zawył Likisi, odruchowo otwierając dłoń; dziecko wypadło z niej z tryumfalnym skrzekiem; mijając głowę Ofelii czterema smugami światła, cztery długie noże zatopiły się w ciele mężczyzny.

Ofelia skulona tkwiła na podłodze nie wiadomo jak długo, podczas gdy inni poruszali się wokół niej. Cierpienia Likisiego zakończyło szybkie cięcie noża po gardle. Potem była miękkość i ciepło, delikatne głosy przyjaciół, ktoś niósł ją z powrotem do jej domu, jej łóżka, do zapachu jedzenia, które gotowała...

Leżała na własnym pościeli otulona kocem, z dziećmi – całą trójką – zwiniętymi w kłębki u jej boku. Błękitny Płaszcz stał po lewej stronie łóżka; ludzie – Kira i Ori bladzi, lecz opanowani, Bilong łkając – stali u stóp łóżka, za ich plecami zaś stłoczyły się pozostałe stwory. Ofelia nie wiedziała, ile czasu minęło i co jeszcze się wydarzyło; w nosie wciąż czuła dokuczliwy zapach śmierci Likisiego.

Bulgot-cmok-ehem przyniosła jej szklanekę zimnej wody; Ofelia wypła łyk i zamęt w jej głowie zaczął się uspokajać i przybierać rozpoznawalne kształty. Była bezpieczna. Dzieci były bezpieczne. Wszyscy byli bezpieczni, prócz Likisiego, a tylko on zagrażał małym.

Jeśli ktokolwiek musiał zginąć, to właśnie on.

Zanim żołnierze wszczęli alarm – czyli grubo przed północą – Ori zgodził się przyjąć

rzeczywistość taką, jaka jest; on sam i Kira wrócili na prom, by wyjaśnić, co się stało (Likisi całkiem oszalał i zagroził jednemu z małych i Ofelii; stwory, co zrozumiały, chciały ich obronić). Bilong aż za dobrze odgrywała rolę rozpaczającej kochanki. Ofelia zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna naprawdę wierzy w to wszystko, co mówi o Likisim, czy te łkania są szczerze.

Do czasu, kiedy przybyli doradcy wojskowi, uzbrojeni i groźni, urządzenie zostało zdemontowane i usunięte z pokoju szkolnego. Ofelia przypuszczała, że ciało Likisiego wciąż leży w kałuży krwi na podłodze pokoju, ale nie musiała go oglądać. Doradcy wyraźnie widzieli jej sińce i ślady na gardle małego; widzieli, że Ori jest dosyć zadowolony z tego, co się stało.

– Idiota – powiedział jeden z żołnierzy, stojąc przed pomieszczeniem, w którym przesłuchiowano członków zespołu.

Choć, prawdę mówiąc, nie mają takiej władzy, wymamrotała Kira do Ofelii, czekając na swoją kolej. Likisi miał władzę cywilną, która teraz przeszła na nią, asystenta dowódcy zespołu, ale w końcu po co drażnić doradców wojskowych.

– Idiota – powtórzył mężczyzna. To był ten hałaśliwy. – Stary Ważniak nigdy nie miał rozsądku...

– Mogę jednego dotknąć? – zapytała Kira; jej twarz była łagodniejsza teraz, kiedy patrzyła na śpiące maluchy.

– Tak – zezwoliła Ofelia. – Lubią, żeby je głaskać tutaj... – Pokazała. Kira powtórzyła za nią ruch i małe otworzyło błyszczące oczy, przeciągnęło językiem po dłoni Kiry i zasnęło z powrotem.

– „Słodki” to nie jest odpowiednie słowo – powiedziała Kira – ale...

– Nie ma na to słowa – odparła Ofelia – ponieważ to nie są ludzie. Wymagają własnych słów.

– Bilong...

– Bilong – rzuciła Ofelia bardziej zgryźliwie, niż chciała – jest głupia. We własnej dziedzinie może coś wie, a może nie wie nic, ale jako osoba...

Kira uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Myślałam, że taka kobieta jak pani, będzie bardziej lubiła kogoś takiego jak Bilong... Że jest bardziej tradycyjna...

– Poczytaj sobie moje notatki w dzienniku o Lindzie – odpowiedziała Ofelia.

Dziecko lubiło Kirę; Ofelia sama by jej nie wybrała, ale dziecko zrobiło to za nią. Kira była mądrzejsza niż Rosara; może uda się ją przekwalifikować na sensowną córkę.

– I nie przegap szansy, zanim Bilong przestanie robić tyle hałasu o Likisiego i przypomni sobie, że jest jeszcze Ori.

Kira oblała się rumieńcem.

– O co pani chodzi? Ja nie...

Ofelia wzrokiem powstrzymała ją przed dokończeniem.

– Jestem stara, ale nie naiwna ani głupia. Lubisz tego Oriego...

– No cóż, to prawda, ale nie w ten..

– On chce tu zostać. Ty też zostaniesz. Polubisz go na tyle, żeby zostać matką. Już go lubisz; to dlatego nie cierpisz Bilong. – Złośliwa, jakże złośliwa to radość, widzieć, jak ta zawzięta kobieta otwiera usta ze zdziwienia, wstrząśnięta, jakby dostała cegłówką. Złośliwa przyjemność przenika krew, kiedy Ofelia widzi, jak ta kobieta odkrywa, że została przejrzana na wylot, że jej umysł jest obnażony przed starą kobietą, która zna naturę ludzką. Tak samo ciało tej starej kobiety było nagie przed zewnętrznym wzrokiem Kiry.

Ofelia oparła się na poduszkach, obserwując Kirę spod zasłony rżęs.

– Będziesz mnie nazywać Sera Ofelia – mówi. – Pomożesz mi przy tych dzieciach i przy następnych, i sama będziesz cmok-kok-kirrr dla swoich dzieci.

– Ale... ale...

Kira nie wygląda już tak władczo, kiedy tak bełkocze, jednak jest piękna z policzkami zaróżowionymi z oburzenia.

– Dobranoc – kończy Ofelia i zamyka oczy. Po chwili czuje, jak materac porusza się, kiedy Kira wstaje; słyszy szept w odległym końcu pokoju. Dzieci wiercą się zadowolone, ułożone wzdłuż jej ciała; Ofelia zapada w sen.

Oficjalne obowiązki cmok-kok-kirrr nie ciążyły Ofelii zbyt; wczesny ranek spędzała w ogrodzie, razem z dziećmi buszującymi pod ogromnymi, postrzępionymi liśćmi pnączy dyni, polującymi na rurkoślizy. Później zabierała je do Centrum, gdzie przyłączały się do pozostałych w pokoju szkolnym. W przeciwieństwie do strażniczek wywodzących się z Ludu, Ofelia otrzymywała wsparcie od dorosłych stworów: zdawały sobie sprawę, że sama nie dałaby sobie rady z trzema ruchliwymi stworzonkami. Kiedy musiała się na chwilę zdrzemnąć, zawsze któryś był w pobliżu... a czasem była to Kira albo Ori; oboje postanowili zostać jako jej ludzcy asystenci.

Nie czuła takiej wolności, jak w okresie samotnego życia w kolonii, ale taka egzystencja dawała jej sporą satysfakcję. Zniknęło to, czego najbardziej nie lubiła w życiu w społeczeństwie. Nikt nie mówił jej, co ma robić, nikt nie mówił jej, że się nie liczy. Nawet jej stary głos ostatecznie zniknął, sfrustrowany brakiem reakcji ze strony Ofelii.

Wciąż czuła dreszczyk złośliwej satysfakcji, kiedy mówiła do mikrofonu specjalnego łącza, niosącego jej głos (jak jej powiedziano) bezpośrednio do budynków rządowych na planecie, o której od prawie pół wieku nie pomyślała jak o domu. Gdzieś tam, gdzie się urodziła i gdzie żyła w anonimowym świecie czynszowych bloków przeludnionego miasta, tam, gdzie mówiono jej, czego nie może się uczyć, mężczyźni stanowiący prawa teraz słuchali jej głosu. Nie mogli jej nawet powiedzieć, żeby zamilkła, ponieważ łącze nie pozwalało na komunikację w obu

kierunkach jednocześnie. Najpierw zdawała swój raport, a potem, kilka dni później, docierała do niej okresowa transmisja.

Z początku pozwalała Kirze i Oriemu słuchać tych przekazów. Oni czuli się ważniejsi, a ona – odrobinę chroniona przed wydzwiewaniem pierwszych transmisji, dopóki ludzie nie zorientowali się, że w żaden sposób nie potrafią jej kontrolować. Wkrótce jednak paniczny lęk minął, a oni zbyt byli zajęci cieszeniem się sobą nawzajem i towarzystwem bystrych, nieskończenie ciekawych stworzeń z Ludu, które przybywały z wizytą.

„Profil”, magazyn nauk politycznych.

Ambasadorem ludzkości przy pierwszej pozaludzkiej kulturze, którą Człowiek napotkał w swym nieubłaganym marszu poprzez wszechświat, jest niewysoka, siwowłosa, bosa kobieta bez jakichkolwiek kwalifikacji na to stanowisko... prócz tej, że Obcy ją polubili. Urodzona jako Ofelia Damareux w robotniczej dzielnicy South Rock w Porter City na planecie Esclanz, Sera Ofelia Falfurrias piastuje obecnie najbardziej prestiżowe – a jak twierdzą niektórzy, najbardziej ryzykowne – stanowisko dyplomatyczne w historii ludzkości. Jaki rząd obsadziłby amatora – nie, nawet nie amatora, absolutnie nic nieznaczącą osobę – na tym stanowisku?

By uzyskać odpowiedź na to pytanie, rozmawiamy z ministrem do spraw kolonialnych.

– Osobiście uważam – mówi Ser Andreys Valpraiz – że popełniony został kardynalny błąd. Mój poprzednik, mianowany na to stanowisko przez administrację minionej kadencji, nie odznaczał się dostatecznym zdecydowaniem, by interweniować w tej, trzeba to przyznać, chaotycznej sytuacji, wynikłej z faktu, że wyznaczony kontakt najwyraźniej doznał zaburzeń psychicznych i zmarł w wyniku próby ataku na jednego z przedstawicieli miejscowych gatunków. Cały ten bałagan przejąłem w spadku. Jestem przynajmniej w stanie zapewnić, że wyznaczono już odpowiedniego następcę Sery Falfurrias, fachowca z odpowiednimi referencjami, który jasno postrzega potrzeby obu ludów. Nie będziemy dłużej tolerować przesyconego sentymentalizmem nonsensu „strażników gniazd”, kiedy mianowany ambasador obejmie stanowisko... oczywiście, Sera Falfurrias jest już zaawansowana w latach...

Charlotte Gathers podejrzliwie przyglądała się grubej, srebrzystej kopercie. „Agencja Turystyczna Srebrnego Wieku ogłasza konkurs na nagrodę Darmowe Wakacje dla Starszych Dam”. Otworzyła przesyłkę i w środku znalazła zgłoszenie do konkursu. Jest w odpowiednim wieku, tak, ma dzieci i wnuki. Czy chciałaby odbyć długą podróż? Tak, po tych beznadziejnych ostatnich wakacjach na wybrzeżu, kiedy to jej córki jasno dawały do zrozumienia, jak bardzo nie podoba im się płacenie za dwuosobowy pokój. Takie były samolubne – i to po tym wszystkim, co dla nich zrobiła! Możliwość emigracji? Postawiła krzyżyk w kwadraciku przy „tak”. Może życie jest lepsze na innych planetach. W wiadomościach widziała coś o planecie, na której ambasadorem jest mała staruszka. Przez chwilę Charlotte wyobraziła sobie siebie jako

ambasadora przy obcej rasie, w zasadzie nie lubiła jednak dziwnych zapachów i śmiesznych akcentów. Może nie jako ambasador, ale jako przyjaciółka ambasadora... ktoś, z kim można zjeść obiad, zagrać w karty... Gdyby tylko mogła wydostać się stąd do jakiegoś egzotycznego miejsca i pokazać córkom, że wcale ich nie potrzebuje!

Charlotte Gathers nie przeszła eliminacji na strażniczkę gniazd: rzuciwszy jedno spojrzenie na jej skwaśniałą minę i małe oczka, uprzejma młoda kobieta powiedziała jej od razu, że wygrała pomniejszą nagrodę – tydzień w uzdrowisku White Spring. Inne kandydatki, zakwalifikowane przez recepcjonistkę, dotarły do prawdziwych eliminacji przed komisją, a niektóre z nich wyemigrowały, by zostać strażniczkami gniazd; ich przelot został opłacony z dochodów ze sprzedaży wynalazków nader wynalazczego Ludu.

Stopniowo wioska znów się zapełniła. Teraz już ponad połowa domów była zamieszкана. Zajmowały je siwowłose strażniczki, otoczone przez prążkowane młode, jasno ubarwieni strażnicy Ludu z wolniej dorastającymi dziećmi ludzi, którzy tu zamieszkali – na przykład dziećmi Kiry i Oriego, które uczyły się języka Ludu od urodzenia. Prawie co rano Ofelię budziły głosy dobiegające z drogi, zarówno głosy ludzkie, jak i głosy stworzeń. W ciągu tych ostatnich paru lat zaczęła sypiać do późna; rzadko udawało jej się zobaczyć wschód słońca. Pierwszy miot Bulgot-cmok-ehem zdążył wyrosnąć już ze swoich szerokich pasów i przybrał barwy łowców; Ofelia nie była już zań odpowiedzialna. Z zaskoczeniem odkryła, że długie ogony i szerokie pasy zanikały w takim samym tempie. Podobnie jak ludzkie dzieci, tak i te najbrzydziej wyglądały w tym przejściowym okresie niezgrabności, kiedy z ogonów pozostawały krótkie kikuty, które nie mogły się już wokół niczego owinać, a pasy wyglądały na wyblakłe i jakby nieświeże.

Jeden z młodych lubił tropić idee bardziej niż zwierzyne; pomógł zbudować pierwszą maszynę latającą, zaprojektowaną przez Lud. Ofelia słyszała, że miasta na skalistym wybrzeżu mają już prąd, a plemiona wędrownie – małe komputery zasilane z baterii, dla których paliwo specjalnie uprawiano. Nie rozumiała wielu z tych spraw; większość czasu spędzała, drzemiąc, a dużo mniej ucząc.

Nie martwiło jej to. Czasem zastanawiała się, którą wersję jej życia usłyszą Barto i Rosara, kiedy obudzą się z długiego snu w kriogenie za trzydzieści lat. Czy otrzymają informację, że umarła w podróży... czy też dowiedzą się, że została na planecie i stała się sławna? Tak czy inaczej, był to niezły żart, i choć nie udało jej się umrzeć samotnie, jak to kiedyś zaplanowała, to jednak umarła z uśmiechem na ustach.